

MROCNIEJSZA NIŻ **MIASTECZKO TWIN PEAKS**,
BARDZIEJ TAJEMNICZA NIŻ **FARGO**



**MINDY
MEJIA**

**OSTATNIA
ROLA HATTIE**

MINDY MEJIA

OSTATNIA ROLA HATTIE

Z języka angielskiego przełożyła
MONIKA WIŚNIEWSKA



Tytuł oryginału: *Everything You Want Me to Be*

Copyright © by Mindy Mejia, 2016

By arrangement with the author. All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2017

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Tłumaczenie: Monika Wiśniewska

Redakcja: Magdalena Adamek / d2d.pl

Korekta: Anna Woś i Kamila Zimnicka-Warchoł / d2d.pl

Skład i łamanie: Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: Elnur / Shutterstock

ISBN: 978-83-8053-199-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

Spis treści

Dedykacja

HATTIE / Sobota, 22 marca 2008

DEL / Sobota, 12 kwietnia 2008

PETER / Piątek, 17 sierpnia 2007

HATTIE / Poniedziałek, 27 sierpnia 2007

DEL / Sobota, 13 kwietnia 2008

PETER / Sobota, 8 września 2007

DEL / Poniedziałek, 14 kwietnia 2008

HATTIE / Wtorek, 11 września 2007

PETER / Październik 2007

DEL / Wtorek, 15 kwietnia 2008

HATTIE / Środa, 7 listopada 2007

PETER / Czwartek, 6 grudnia 2007

HATTIE / Styczeń 2008

DEL / Środa, 16 kwietnia 2008

PETER / Piątek, 15 lutego 2008

HATTIE / Marzec 2008

DEL / Środa, 16 kwietnia 2008

PETER / Piątek, 21 marca 2008

DEL / Czwartek, 17 kwietnia 2008

PETER / Czwartek, 17 kwietnia 2008

HATTIE / Sobota, 22 marca 2008

DEL / Czwartek, 17 kwietnia 2008

HATTIE / Piątek, 11 kwietnia 2008

DEL / Sobota, 10 maja 2008

DEL / Niedziela, 11 maja 2008

PETER / 9 czerwca 2008

PODZIĘKOWANIA

Przypisy

O autorce

Myronowi, Blanche, Vicowi i Hilmie, którzy uprawiali wzgórza południowej Minnesoty i podtrzymywali spuściznę ciężkiej pracy, wyrozumiałości, radości oraz miłości. Wszystkie moje historie zaczynają się od Was.

HATTIE / Sobota, 22 marca 2008

Ucieczka z domu wcale nie była fajna.

Oto stałam dokładnie w tym miejscu, o którym tak wiele razy marzyłam podczas lekcji matematyki, czyli przed tablicą odlotów, i każdy szczegół wyglądał tak, jak to sobie wcześniej wyobrażałam. Ubrana byłam w strój podróżny: czarne legginsy, balerinki i za duży kremowy sweter, którego rękawy połykały mi dłonie, a szyja wydawała się jeszcze dłuższa i chudsza niż zazwyczaj. Miałam ze sobą śliczną skórzaną walizkę i wystarczająco pieniędzy w portfelu, żeby polecieć w dowolne miejsce, o jakim kiedykolwiek marzyłam. Mogłabym lecieć dokądkolwiek. Zrobić cokolwiek. Czemu więc czułam się jak w potrzasku?

Z domu wymknęłam się o trzeciej nad ranem, zostawiając na stole w kuchni kartkę, na której napisałam jedynie: „Wrócę później. Buziaki, Hattie”. Później, oczywiście, oznaczało każdy czas od teraz. Może dziesięć lat później. Nie wiedziałam tego. Może nigdy nie przestanę czuć bólu. Może nigdy nie odjadę wystarczająco daleko. Dopisek „Buziaki, Hattie” był lekką przesadą. Moja rodzina nie zostawiała sobie po domu czułych liścików, ale nawet jeśli rodzicom wyda się to podejrzanym, w życiu nie przyjdzie im do głowy, że poleciałam na drugi koniec kraju.

Praktycznie słyszałam mamę: „To nie w stylu Hattie. Na litość boską, do ukończenia szkoły zostały niecałe dwa miesiące, no a w szkolnym przedstawieniu gra Lady Makbet. Wiem, jak bardzo jest tym podekscytowana”.

Odsunęłam myśli o mamie na bok i ponownie odczytałam listę miejsc odlotów, licząc, że odnajdę w sobie choć odrobinę euforii, którą

spodziewałam się czuć w chwili, kiedy uda mi się wreszcie uciec z Pine Valley. Tylko raz miałam okazję lecieć samolotem. Postanowiliśmy wtedy odwiedzić krewnych w Phoenix. Pamiętałam, że przy moim fotelu było mnóstwo przycisków i światełek, a ubikacja wyglądała jak statek kosmiczny. Chciałam zamówić coś z wózka z przekąskami, ale mama miała w torebce owocowe żelki i to było wszystko, co mogłam zjeść, z wyjątkiem orzeszków ziemnych. Ich też zresztą nie dostałam. Greg wiedział, że nie lubię orzechów, i zjadł moją porcję. Jednak do końca lotu byłam wściekła, bo miałam pewność, że te orzeszki z samolotu by mi smakowały. Od tamtego czasu minęło osiem lat.

Dzisiaj miałam odbyć swój drugi lot – do drugiego życia.

I nie stałabym tutaj jak sparaliżowana, gdyby było wolne miejsce w samolocie udającym się na lotnisko La Guardia albo JFK. Taki był właśnie problem z impulsywnym podjęciem decyzji o ucieczce z domu dzień przed Wielkanocą. Na lotnisku miało się wrażenie, że to Czarny Piątek, a kolejka do odprawy sięgała barierek dla odprowadzających. Do Nowego Jorku mogłam lecieć nie wcześniej niż o szóstej rano w poniedziałek, a to zdecydowanie za późno. Musiałam opuścić ten stan dzisiaj.

Mogłabym lecieć do Chicago, ale to chyba zbyt blisko. No i to nadal Środkowy Zachód. Boże, dlaczego nie było żadnego wolnego miejsca na lot do Nowego Jorku? Wiedziałam dokładnie, do którego pociągu wsiądę na lotnisku, w jakim hostelu się zatrzymam, ile to będzie kosztować i w jaki sposób dostanę się do najbliższej stacji metra. Tyle godzin spędziłam w internecie, ucząc się na pamięć Nowego Jorku, aż w końcu miałam wrażenie, że już się tam przeprowadziłam. I tam właśnie miałam się udać, kiedy nad ranem wyszłam po cichu z domu. A teraz tkwiłam pod tablicą odlotów i szukałam jakiejś innej możliwości. Skoro nie mogłam lecieć bezpośrednio do Nowego Jorku, musiałam się przynajmniej do niego zbliżyć. O drugiej dwadzieścia odlatywał samolot do Bostonu. Jak daleko było stamtąd do Nowego Jorku?

Choć wiedziałam, że to niemądre, co i rusz zerkałam w stronę drzwi i obserwowałam, jak ludzie wlewają się do hali odlotów razem z górami

bagazy, dzierząc w dłoniach kluczyki, portfele i bilety. Nikt nie zamierzał mnie zatrzymać. Nikt nawet nie wiedział, że tu jestem. A gdyby nawet wiedziano, to czy ktoś by się tym rzeczywiście przejął? Oprócz moich rodziców nikt na tym świecie nie kochał mnie wystarczająco mocno, żeby wparować tutaj, wykrzykując moje imię i rozpaczliwie próbując mnie dogonić.

Walcząc ze łzami, podeszłam do stanowiska odpowiednich linii lotniczych. Od opalonej, przesadnie dziarskiej pani dowiedziałam się, że na lot do Bostonu zostało jedno wolne miejsce.

– Poproszę.

Bilet kosztował siedemset sześćdziesiąt dolarów i z wyjątkiem komputera jeszcze nigdy nie wydałam na nic tak dużo pieniędzy. Podałam kasjerce prawo jazdy i osiem banknotów studolarowych z tej koszarnej koperty, od której wszystko się zaczęło. Zostały dwa banknoty. Wydawały się takie małe i osamotnione. Nie mogłam ich włożyć do portfela. Tam znajdowały się pieniądze, które zarobiłam własną pracą, i nie chciałam, aby choć przez chwilę stykały się z zawartością koperty. Zalała mnie kolejna fala rozpacz i najwyraźniej nie usłyszałam tego, co powiedziała do mnie kobieta za kontuarem.

– Proszę pani? – Wychyliła się w moją stronę, wyraźnie próbując zwrócić na siebie moją uwagę.

Obok niej stał teraz jakiś mężczyzna i oboje patrzyli na mnie jak w tym śnie, kiedy nauczyciel zadaje ci pytania, a ty nie miałeś pojęcia, że w ogóle była jakaś praca domowa.

– Dlaczego leci pani dzisiaj do Bostonu? – zapytał mężczyzna. Zerknął na moją niedużą walizkę.

– Na herbatkę bostońską¹.

Uznałam swoją odpowiedź za dowcipną, ale żadne z nich się nie roześmiało.

– Ma pani jakiś drugi dowód tożsamości?

Pogrzebałam w torbie i wyjęłam z niej legitymację szkolną. Mężczyzna spojrział najpierw na nią, a potem na komputer.

– Rodzice wiedzą, gdzie pani jest?

Wpadłam w lekką panikę, choć byłam przecież pełnoletnia. Do głowy przyszło mi kilka odpowiedzi. Mogłabym powiedzieć, że rodzice są już w Bostonie i tam na mnie czekają, a może tylko tato. On i mama są w separacji i w ostatniej chwili przysłał mi pieniądze, żebym spędziła z nim Wielkanoc. Albo mogłabym odegrać rolę sieroty. Powstrzymały mnie jednak łyzy. Moje gardło dławili teraz emocje i wiedziałam, że nie dam rady. Nie w sytuacji, kiedy oni nabrali już podejrzeń. Pozwoliłam więc, aby górę nade mną wzięły właśnie emocje.

– Proszę pilnować swoich spraw! – Oburzona klientka. Lotnisko wydawało się dobrym miejscem na odegranie takiej roli.

Ludzie w kolejce za mną przestali gderać, zaciekawieni przedstawieniem.

– Proszę posłuchać, panno Hoffman, istnieją pewne protokoły, których musimy przestrzegać w przypadku zapłaty gotówką za bilet na lot tego samego dnia, zwłaszcza bilet w jedną stronę. Będę musiał poprosić panią ze mną, żebyśmy mogli to wyjaśnić.

Nie ma mowy, żebym dała się zamknąć w jednym pomieszczeniu z funkcjonariuszem Bezpieczeństwa Krajowego, który zadzwoni do moich rodziców i przez którego ten dzień stanie się dziesięć tysięcy razy gorszy. A jeśli będzie w stanie namierzyć osobę, która wypłaciła z bankomatu pieniądze z koperty? Wyciągnęłam rękę i szybko zabrałam swoje banknoty i dokumenty.

– W takim razie wsadźcie sobie w tyłek swój bilet.

– Mam wezwać ochronę? – Kobieta, która w międzyczasie straciła całą swoją dziarskość, wzięła do ręki słuchawkę i nie czekając na odpowiedź, zaczęła wystukiwać numer.

– Proszę nie robić sobie kłopotu; wychodzę. Widzicie? – Zacisnęłam dłoń na pieniądzach i jej wierzchem otarłam oczy.

– Proszę się uspokoić, panno Hoffman, a my...

– Może wy się uspokoiacie? – Weszłam mężczyźnie w słowo i spiorunowałam go wzrokiem. – Nie jestem terrorystką. Przykro mi, że nie chcecie moich ośmiuset dolarów za gówniany lot do Bostonu.

Ktoś z kolejki wydał jakiś wspierający mnie okrzyk, jednak większość

osób jedynie się przyglądała, jak odchodzę razem z walizką, prawdopodobnie zastanawiając się, jakiego rodzaju bombę zamierzałam wnieść do samolotu. „Kto by pomyślał, Velma? – Porozumiewawcze spojrzenia. – W ogóle by się jej nie podejrzewało, no nie?”

Popędziłam na parking, a potem nie miałam pojęcia, w jaki sposób dostałam się do mojej furgonetki ani jak zapłaciłam za postój – wszystko stanowiło jedną zamazaną plamę. Serce waliło mi jak młotem. Co chwila się oglądałam, bojąc się paranoicznie, że goni mnie jakiś ochroniarz. A kiedy już wjechałam na autostradę, na dobre się rozpłakałam. Tak mi się trzęsły ręce, że o mały włos nie uderzyłam w minivana. Dopiero pół godziny później dotarło do mnie, że jadę z powrotem ku Pine Valley. Minneapolis zdążyło już zniknąć i wszędzie w zasięgu wzroku znajdowały się nieobsiane pola.

Tak właśnie się działo, kiedy człowiek pozwalał sobie na to, aby potrzebować drugiej osoby.

Tak właśnie się działo, kiedy człowiek się zakochiwał.

Gdy jesienią zaczęłam ostatni rok w szkole, byłam taka szczęśliwa. Czuałam się wolna. Tamta Hattie gotowa była zmierzyć się ze światem i potrafiłaby zrobić dosłownie wszystko. A teraz byłam żalonym, szlochającym zasmarkańcem. Stałam się dziewczyną, jakiej zawsze nie cierpiałam.

Nagle radio umilkło i światła na desce rozdzielczej zamigotały. Cholera. Ogarnęła mnie panika. Dostrzegając w oddali zjazd, skręciłam w zwirową drogę, która przecinała dwa pola, puściłam nogę z gazu i pozwoliłam, aby samochód w końcu się zatrzymał. Kiedy ustawiłam drążek skrzyni biegów w pozycji „*park*”, silnik zakaszłał, a chwilę później zgasł. Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Nic. Utknęłam pośrodku pustkowia.

Położyłam się na siedzeniu i szlochałam w szorstki materiał tak długo, aż zebrało mi się na wymioty. Wytoczyłam się z auta i zwymiotowałam kawą i żółcią.

Pola smagał chłodny wiatr. Osuszył pot na moim czole i okazał się dobrym lekarstwem na mdłości. Na czworakach odeszłam od wymiocin i przysiadłam na skraju rowu. Ziemia była wilgotna i zimna.

Siedziałam tak i siedziałam, na tyle długo, że nie czułam już chłodu. Na tyle długo, że łzy przestały płynąć, a zamiast nich pojawiło się coś innego.

Byłam zupełnie sama, nie licząc przejeżdżających samochodów, i uświadomiłam sobie – po raz pierwszy, odkąd sięgałam pamięcią – że nie chciałam znajdować się w tej chwili nigdzie indziej. Nie chciałam siedzieć w zatłoczonym samolocie i lecieć do nieznanego miasta, w którym po wylądowaniu nie będę miała dokąd się udać. Nie chciałam znajdować się pośrodku sceny, gdy tymczasem widzowie obserwują każdy mój ruch. Nie chciałam leżeć sama w łóżku, podczas gdy mama szykuje kolację, na którą wcale nie mam ochoty. W otaczającej mnie ciemności odnajdywałam coś kojącego; puste pola wysadzone były nagimi drzewami i gdzieś tam tkwiły jeszcze resztki upartego śniegu.

Nikt nie wiedział, że tu jestem. Nagle ten fakt stał się dla mnie czymś cudownym. Mogłam powtarzać to przez całe życie wszystkim, których poznałam – „Nikt nie wie, że tu jestem” – a oni śmialiby się i przewracali oczami, i klepali mnie po plecach. Ale to była prawda. Przez całe życie odgrywałam różne role, wcielając się w osobę, którą chciano, abym była, skupiając się na otaczających mnie ludziach, a przy tym czułam się tak, jakbym siedziała w tym właśnie miejscu: skulona w samym środku martwej, bezkresnej prerii, zupełnie sama. Teraz wszystko nabrało sensu. Wszystko wskoczyło na swoje miejsce, tak jak w filmach, kiedy do bohaterki dociera, że kocha tego głupiego faceta albo że może spełnić swój amerykański, beznadziejny sen, i słychać coraz głośniejszą muzykę, a ona zdecydowanym krokiem wychodzi z jakiegoś pokoju. To było dokładnie coś takiego, tyle że bez tandetnej ścieżki dźwiękowej. Dalej siedziałam na skraju rowu w samym sercu pustkowia, ale we mnie wszystko się nagle zmieniło.

Ponownie usłyszałam głos mojej matki. Przypomniało mi się, co powiedziała wczoraj wieczorem, kiedy byłam zbyt pochłonięta wypłakiwaniem się w jej ramię, żeby słuchać czy zrozumieć.

„Zejdź ze sceny, skarbie. Nie możesz przez całe życie grać dla innych ludzi. Oni cię po prostu wykorzystają. Musisz poznać siebie i zrozumieć, czego chcesz. Nie zrobię tego za ciebie. Nikt nie zrobi”.

Wiedziałam dokładnie, kim jestem – być może po raz pierwszy w życiu – i czego dokładnie chcę i co muszę zrobić, żeby to zdobyć. To było niczym przebudzenie się ze snu, kiedy się myślało, że wszystko jest prawdą, a potem wracała świadomość otaczającego cię świata. Wstałam – gotowa, aby raz na zawsze porzucić tę żalną płaczkę. Krzyżyk na drogę.

W walizce, na samej górze, leżała stara kamera Geralda. Wyjęłam ją i ustawiłam na pace samochodu, włączyłam przycisk nagrywania nowej taśmy i stanęłam przed obiektywem.

– No dobrze, cześć. – Wytarłam oczy i oddychałam głęboko przeponą, tak jak nauczył mnie Gerald. – To jestem ja. Nazywam się Henrietta Sue Hoffman.

A kiedy w końcu wyjadę z Pine Valley, gwarantuję, że nikt mnie nigdy nie zapomni.

DEL / Sobota, 12 kwietnia 2008

Martwa dziewczyna leżała na plecach w kącie dawno nieużywanej stodoły Ericksonów, częściowo pod wodą z jeziora, która zalewała najniżej położony kawałek zarywającej się podłogi. Jej ręce spoczywały na klatce piersiowej przysłoniętej falbaniastym, poplamionym krwią materiałem, najpewniej sukienką, spod której rąbka wystawały gołe nogi. Były napuchnięte i unosiły się na wodzie niczym manaty w brudnej lagunie. Górna połowa ciała wyglądała, jakby nogi nie należały do niej. Miałem okazję widzieć zwłoki z mnóstwem ran ciętych i całkiem sporo topielców, ale nigdy nie leżały obok siebie, złączone w tym samym ciełe. Choć twarz ofiary była zbyt okaleczona, by móc ją zidentyfikować, obecnie w całym hrabstwie zgłoszono zaginięcie tylko jednej dziewczyny.

– To na pewno Hattie – odezwał się Jake, mój zastępca.

Do dyspozytorni zadzwonił najmłodszy chłopak Sandersów, który ją znalazł, kiedy zakradł się tu z jakąś dziewczyną. Zaraz za drzwiami widać było świeże wymiociny, pozostawione przez jedno z nich. Nie wiedziałem, czy to przez nie czy przez smród śmierci, ale kiedy tu wchodziliśmy, Jake lekko się zakrztusił. W normalnych okolicznościach ponabijałbym się z niego, ale nie teraz. Nie, patrząc na coś takiego.

Odpiąłem od paska aparat i zabrałem się do robienia zdjęć, najpierw z daleka, a potem coraz bliżej, starając się nie wpaść do wody.

– Na razie nie wiemy, czy to Hattie. – Choć w gardle czułem wielką gulę, musieliśmy to zrobić zgodnie z procedurami.

Tuż po tym, gdy tu weszliśmy, zadzwoniłem do laboratorium

w Minneapolis i poprosiłem o ekipę ekspertów medycyny sądowej, którzy zabiorą stąd wszystkie możliwe dowody. Zanim tu dotrą, mieliśmy może z godzinę do dyspozycji.

– A kto inny miałby to być? – Jake ostrożnie obchodził tułów dziewczyny, a deski jęczały pod jego niemałym ciężarem. Nachylił się i widziałem, jak w jego głowie włącza się tryb przedstawiciela prawa.

– Nie da się jej zidentyfikować z taką twarzą, zwłaszcza że zaczęła już puchnąć. Brak pierścionków czy innej biżuterii. Brak widocznych tatuaży.

– Gdzie się podziała jej torebka? Nie znam dziewczyny, która nie trzymałaby jej murem przy sobie.

– Może sprawca ją zabrał.

– Koszmarne miejsce na rabunek i zabójstwo.

– Nie tak prędko. Najpierw identyfikacja. – Kucnąłem przy niej. Odzianym w rękawiczkę palcem rozchyliłem jej usta i okazało się, że zęby miała nienaruszone. – Chyba się uda po uzębieniu.

Jake obejrzał sukienkę w poszukiwaniu kieszeni, nie znalazł ich jednak.

– Przyczyna zgonu: najprawdopodobniej rany kłute. – Uniosłem jej jedną rękę i naszym oczom ukazała się rana od ciosu zadanego nożem w sam środek albo tuż nad sercem.

– Najprawdopodobniej? – prychnął Jake.

Zignorowałem go i uniosłem rękę nieco wyżej, aby odsłonić miejsce, gdzie biała skóra z góry łączyła się z czerwoną.

– Widzisz to? – Pokazałem na linię oddzielającą kolory. – Plamy opadowe. Kiedy krew przestaje krążyć, pod wpływem grawitacji gromadzi się w najniższej położonych częściach ciała. Jeśli czerwień nie znajduje się na dole, tak jak powinna, wiadomo, że ciało zostało przeniesione.

Sprawdziliśmy jeszcze kilka innych fragmentów jej ciała.

– Wygląda w porządku. Prawdopodobnie jest to miejsce zbrodni.

Nie porzucając belferskiego tonu, skupiłem się na dziewczynie tak, jakby to były po prostu zwłoki. Widziałem ich setki, oczywiście głównie w Wietnamie, i w tej akurat chwili wolałbym tam wrócić, niż myśleć o tym, do kogo należy to sponiewierane ciało.

Pokazałem Jake'owi test palca.

– Jeśli naciśniesz palcem tę bladą część ciała i zrobi się czerwona, zgon nastąpił mniej niż dwanaście godzin temu.

– Więc krew opada w ciągu dwunastu godzin.

– Mhmm. – Skóra pod moim palcem pozostała biała. A więc ciało leżało tutaj co najmniej od wczesnych godzin porannych.

Podłoga stodoły zatrzeszczała ostrzegawczo i obaj się cofnęliśmy.

– Ta rudera zawali się nam na głowy.

– Wątpię. Jest w takim stanie od ponad dziesięciu lat.

Latem widywałem tę stodołę niemal co weekend, aż do końca sezonu wędkarskiego; znajdowała się na wschodnim brzegu jeziora Crosby, coraz bardziej się ku niemu nachylając. Choć może mówić, że ją widywałem, to lekka przesada. Jasne, wiedziałem, że tam jest, równie charakterystyczna dla tego miejsca jak publiczna plaża na drugim końcu jeziora, ale nigdy się nie zatrzymywałem, żeby specjalnie popatrzeć na starą stodołę Ericksonów. Tak już bywa z tym, co człowieka otacza. Lars Erickson przestał jej używać przed dwudziestu laty, kiedy sprzedał miastu większą część ziemi nad samym jeziorem i wybudował nowe stodoły zaraz obok swojego domu z prefabrykatów, niemal dwa kilometry stąd. Jedynymi gośćmi, którzy odwiedzali tę rudere, nie licząc samego jeziora, zalewającego ją w latach powodziowych, byli nastolatkiw pokroju chłopaka Sandersów, którzy szukali miejsca, gdzie mogli uprawiać seks i palić jointy.

Tu akurat mieli zapewnioną prywatność. Stodoła była duża, sześć na dziewięć metrów, a przestrzeń pod krokwiemi była pusta z wyjątkiem resztek siana w części, która schodziła do jeziora. Po drugiej stronie znajdowały się podwójne drzwi, a w miejscu, gdzie kiedyś było okno, teraz zionęła dziura w ścianie.

Z powodu silnych opadów deszczu i wyjątkowo wczesnych roztopów tej wiosny woda zakrywała mniej więcej jedną czwartą podłogi; pływały w niej niedopałki, puste opakowania po bibułkach do jointów, a także coś, co wyglądało jak prezerwatywa.

Jake podążył za moim spojrzeniem.

– Myśli pan, że znajdziemy narzędzie zbrodni?

– Jeśli tu jest, to zespół techników je znajdzie. Są bardzo dokładni.

Niektóre hrabstwa miały własne laboratoria kryminalistyczne, całe wydziały analityków i śledczych, ale nie nasze. Byliśmy krainą wykroczeń, a najczęściej popełnianymi przestępstwami na naszym terenie były te związane z narkotykami i przemocą domową, co nie usprawiedliwiałoby dodatkowych etatów. Od ponad roku nie dzwoniłem do chłopaków z Minneapolis.

– Jeśli to nie Hattie, to na pewno ktoś przejezdny. W pięciu sąsiednich hrabstwach nie ma żadnego innego zgłoszenia zaginięcia.

– Rochester też liczysz?

– Hmm. – Zamyślił się.

– Sprawdź, czy uda się coś znaleźć przed wejściem.

Wręczyłem mu aparat, a sam ponownie zbliżyłem się do krawędzi wody. Pod nieobecność Jake'a deski prawie w ogóle nie trzeszczały – w porównaniu z nim byłem drobny i wysuszony po trzydziestu latach służby. Przykucnąłem obok dziewczyny i oparłem brodę na dłoni, szukając tego, czego na pierwszy rzut oka nie widać. Była blada i miała lekko odwróconą na bok głowę. Do oczodołów, pełnych zaschniętej krwi, dostało się także trochę włosów. Rany zadano głównie w okolicach oczu i policzków i były to rany kłute z wyjątkiem jednego długiego, ukośnego cięcia biegnącego od skroni do żuchwy. Wykrzyknik. Jeśli nie liczyć rany kłutej klatki piersiowej, pozostała część ciała była względnie czysta. Komuś zależało, aby poharatać dziewczynie twarz.

Obejrzałem się na Jake'a, by się upewnić, że mnie nie usłyszy, po czym nachyliłem się ku dziewczynie.

– Henrietta? – Zawsze się wściekała, kiedy używałem jej pełnego imienia, i dlatego właśnie robiłem to praktycznie od osiemnastu lat. Od dnia, w którym wyszła ze szpitala z koronkową opaską na słodkiej, łysej główce, wszyscy nazywali ją Hattie. To wspomnienie mnie dobiło, więc odkaszlnąłem i jeszcze raz sprawdziłem, czy Jake jest zajęty, a potem wypowiedziałem imię, którego dla żartów nigdy nie chciałem używać: – Hattie?

Nie spodziewałem się żadnej reakcji ani znaku od Boga, ani niczego w tym

stylu, ale czasem trzeba wypowiedzieć coś na głos i się przekonać, jaki te słowa mają wydźwięk, w jaki sposób do Ciebie docierają. Poczuję, jakby przeszły mnie noże. Przyglądałem się sylwetce ofiary, długim, brązowym włosom, kusej sukience, zupełnie nieodpowiedniej na tę porę roku. Bez względu na to, co oświadczyłem Jake'owi, to właśnie te szczegóły powiedziały mi, kogo znalazłem, już w chwili, kiedy wszedłem do stodoły.

Kiedy rankiem w moim gabinecie zjawił się Bud i rzekł, że musi złożyć zawiadomienie o zaginięciu Hattie, obaj uznaliśmy, że po prostu dała drapaka. Ta dziewczyna niczego nie pragnęła równie mocno, jak uciec z naszej miejsciny, ale żona Buda nie była tego taka pewna. Hattie w weekend grała główną rolę w szkolnym przedstawieniu i Mona była przekonana, że nie wyjechałaby, nie pojawiwszy się wcześniej na scenie. Jakaś sztuka Szekspira. Mona twierdziła także, że Hattie nie zniknęłaby dwa miesiące przed końcem szkoły. Jej słowa miały sens, ale prędzej piekło zamarznie, nim uwierzę, że nastolatka kieruje się zdrowym rozsądkiem. Przyjąłem oczywiście zgłoszenie o zaginięciu, przez cały czas myśląc o tym, że za tydzień Bud i Mona dostaną od niej e-mail z informacją, że pojechała do Minneapolis albo Chicago.

Teraz, kiedy patrzyłem na coś, co prawdopodobnie było szczątkami jedynej córki mojego kumpla od wędkowania, zaczęło mnie dręczyć gorsze pytanie: pytanie, które wypatroszy życie Buda równie łatwo, jak my patroszyliśmy karpie niecałe pięćset metrów stąd.

Kto mógł zamordować Hattie Hoffman?

Zanim zjawił się zespół z laboratorium, a karetce udało się dojechać zarośniętą drogą do stodoły po ciało, mój telefon dzwonił kilkanaście razy. Odebrałem tylko raz, gdy telefonował Brian Haeffner, burmistrz Pine Valley.

– To prawda, Del?

Odszedłem na bok; chłopcy z Minneapolis przeczesywali całą stodołę, centymetr po centymetrze.

– Tak, to prawda.

– Wypadek? – W głosie Briana słychać było nadzieję.

– Nie.

– Chcesz mi powiedzieć, że na naszym terenie grasuje morderca?

Wyszedłem na zewnątrz i splunąłem, próbując pozbyć się z ust smaku śmierci. Trawa nie była zdeptana i poruszał nią lekki, wiejący ku jezioru wiatr.

– Mówię jedynie, że mamy zabójstwo i ofiarę, której tożsamości na razie nie potwierdzono.

– Będziesz musiał wydać oświadczenie. Wszystkie stanowe stacje informacyjne zaczną do nas wydzwaniać.

Brian zawsze przesadzał. Parę razy zadzwonią do niego pewnie z „County Gazette” i tyle. Gotowy się byłem założyć, że to jego żona chciała poznać wszystkie szczegóły, by móc się nimi dzielić w Sally’s Café, gdzie co rano piekła muffinki. Z Brianem znaliśmy się od dawna, jako że obaj długo już pełniliśmy funkcje publiczne. Udzielaliśmy sobie nawzajem poparcia za każdym razem, kiedy nadchodził termin kolejnych wyborów, i był dobrym burmistrzem, ale nie mogłem wypijać z nim więcej niż jednego drinka. Potrafił paplać bez końca i zawsze mnie wypytywał o prowadzone przez moje biuro sprawy i „trendy w przestępczości”. Czasem przypominał mi jednego z tych łatwo ekscytujących się psów, które nie są w stanie przestać cię lizać po ręce.

– Właśnie ci przekazałem swoje oświadczenie, Brianie. Kiedy tożsamość ofiary zostanie potwierdzona, przekazemy ją do wiadomości publicznej.

– Muszę wiedzieć, czy miastu coś grozi, Del.

– Ja też.

Rozłączyłem się i chowałem akurat telefon w kieszeni, kiedy podeszła do mnie sanitariuszka z pogotowia.

– Szeryfie, jesteście gotowi, aby ją zabrać.

– W porządku, później dojadę. Najpierw muszę coś sprawdzić.

– Jakież tropy? – Na twarzy dziewczyny malowała się nadzieja. Nigdy wcześniej jej nie widziałem; musiała być spoza hrabstwa.

– Nie ma czegoś takiego jak trop. – Ruszyłem w stronę stodoły. – Albo ujmuje się sprawcę, albo nie.

Chłopaki od ekspertyz sądowych zebrali wszystko, co tylko nie było przytwierdzone na stałe, i przeczesali każdy centymetr stojącej w stodole wody. Znaleźli pustą butelkę po winie, lampę naftową, pięć opakowań po

papierosach, zapalki i trzy zużyte prezerwatywy.

Patrzyłem, jak oklejają taśmą drzwi i okna.

Podszedł do mnie Jake.

– Nie ma narzędzia zbrodni.

– Nie.

Czekaliśmy, aż zespół skończy i się zbierze. Znalaziono kilka włosów i zamierzano przebadać prezerwatywy pod kątem pozostałego na nich DNA. Z resztą na razie się wstrzymają, dopóki im nie powiemy, czego konkretnie potrzebujemy, albo do czasu zamknięcia sprawy.

Kiedy ich vany zniknęły za horyzontem, jedynymi pozostałymi dźwiękami było wycie wiatru na polach i sporadyczne nawoływanie jaskółki znad jeziora. Tak przynajmniej wolałem myśleć.

– Leżała w kącie najdalej od drzwi.

– Albo więc została tam zapędzona, albo ktoś ją tam znalazł. – Tok myślenia Jake’a pokrywał się z moim. Dlatego właśnie wybrałem go na swojego zastępcę.

– Brak widocznych ran czy śladów na rękach, co świadczy o tym, że raczej się nie broniła. – Podszedłem do drzwi stodoły i stanąłem tyłem do nich. W każdą stronę ciągnęły się pola, na których leżały resztki śniegu. Nie było stąd widać ani jednego domu czy innego budynku. – Zabija ją, a potem wychodzi. Nie zostawia noża. Musi stąd uciec i pozbyć się narzędzia zbrodni oraz ubrań.

Jake pokazał na ścieżkę, która biegła wokół jeziora w stronę plaży i cumowiska.

– Myślę, że możemy założyć tę trasę. Zostawił tam samochód i wrócił tą samą drogą.

– Albo tak, albo przeszedł na przełaj do dwupasmówki lub obok domu Ericksonów do drogi numer siedem. W obu przypadkach niecałe dwa kilometry.

– Czemu miałby parkować tak daleko? To nie ma sensu.

– To prawda. Ale większość zabójców nie grzeszy mądrością. Oni na ogół nie planują, że kogoś zabiją, więc nie obmyślają szczegółów takich jak

najlepsza droga ucieczki.

Jake chrząknął, dając mi tym do zrozumienia, że nie brał pod uwagę drogi na przełaj.

– Będziemy potrzebowali psów. Dwa kilometry w każdym kierunku. Zadzwoń do Micka z Rochester. I trzeba wysłać na jezioro łódź z wykrywaczem metalu. Zabójca mógł wrzucić do wody nóż, wracając do samochodu.

– Zgadzam się. Każę im przeszukać każdy centymetr dna i brzegu.

Opuściliśmy miejsce zbrodni i udaliśmy się radiowozem przez pola do domu Winifred Erickson. Jake nalegał, abyśmy pojechali prosto do miasta, ale ja najpierw zapukałem do jej drzwi. Odpowiedziała mi cisza. Nie znaczyło to wcale, że w domu nikogo nie ma. Większość tutejszych mieszkańców otwierała drzwi na sam widok kurzu na horyzoncie, ale Winifred miała swoje kaprysy. Bywało, że całymi tygodniami nie pokazywała się w mieście, i już nieraz wysyłano mnie, abym sprawdził, czy nie leży przypadkiem martwa w kuchni. Drzwi otwierała dopiero, kiedy już się zabierałem do ich wyważenia; resztki lichych włosów zawsze miała nawinięte na papiloty, a z jej ust zwisała stara fajka Larsa. Pytała mnie, czy wiem, ile kosztują drzwi, i czy mam, do diaska, ochotę kupić jej nowe. Kilka dni później ponownie paradowała po Main Street, serdeczna i przyjacielska. Tak dziwnie zachowywała się od dnia, w którym zabiła męża.

Zostawiłem jej kartkę z informacją o przeszukiwaniu terenu razem z psami, a potem wróciłem do miasta.

Kiedy wszedłem do biura, telefony dzwoniły jak na alarm, ale Nancy nie było przy biurku. Znalazłem ją w pokoju socjalnym, gdzie robiła sobie kawę. Jake z telefonem przy uchu wcinał kanapkę.

– Czekam na rozmowę z Rochester – poinformował mnie między kęsami. To dobrze, że widok okaleczonych zwłok nie pozbawił chłopaka apetytu.

– Nance, zrobisz kawę także dla mnie?

– Oni nie dają mi spokoju, Del. Jakies dwadzieścia minut po twoim wyjeździe zaczęli się schodzić jeden po drugim.

– Kto? – zapytał Jake.

– Choćby wszyscy moi znajomi, a ja im powtarzam, żeby pilnowali własnego nosa. Ale dzwonią także z gazet, no i Shel chciał wiedzieć, czy ma się zjawić.

Shel był jednym z naszych czterech pełnoetatowych zastępców. Biuro zatrudniało jedynie dwanaście osób i podczas śledztwa w sprawie zabójstwa z całą pewnością da nam się to we znaki.

– Jak to, u diabła, możliwe, że tak szybko się o tym dowiedział?

– Jest krewnym Sandersów. Zadzwonili do niego od razu, jak chłopak wrócił do domu.

– Nie, powiedz mi, że na razie dajemy sobie radę. Potencjalnymi interwencjami może się zająć Jake.

– Ale ja muszę rozpocząć sprawę – zaprotestował.

– Ja to zrobię.

– To ja zarządzam pionem dochodzeniowym, Del.

– A ja jestem szeryfem tego hrabstwa.

Nieczęsto machałem mu przed nosem odznaką i wcale nie wyglądał na zadowolonego, że zrobiłem to właśnie teraz. Nie szkodzi. To była moja sprawa. Za mną do biura udała się niosąca kawę Nancy.

– Żadnych telefonów przez dwadzieścia minut. Dopóki ci nie powiem, nikomu ani słowa czy choćby kiwnięcia głową. Możemy potwierdzić znalezienie zwłok kobiety, która została pchnięta nożem. To wszystko.

– Znasz mnie, Del. Nie pisnę ani słowa.

W drzwiach odwróciła się.

– Źle było?

Podniosłem głowę znad telefonu i westchnąłem.

– Będzie jeszcze gorzej.

– Przykro mi, Del. Przygotuj komunikat prasowy, który będzie czekał na potwierdzenie tożsamości.

Nancy zamknęła za sobą drzwi. Westchnąłem i spojrzałem na wiszące na ścianie zdjęcie, zrobione nad jeziorem Michigan. Trzymałem na nim niemal piętnastokilowego szczupaka amerykańskiego, największą rybę, jaką udało mi się złowić w słodkiej wodzie. Bud nazwał go potworem, a nazajutrz niemal

mnie przebił, łowiąc sztukę ważącą prawie trzynaście kilo. Jezu Chryste. Nie myśląc więcej, wybrałem numer i zadzwoniłem.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– To ona?

Zacisnąłem zęby, wziąłem głęboki oddech.

– Słyszałeś.

– Mona szaleje z niepokoju. Co wiesz?

– Na razie nie mogę powiedzieć, kto to.

– Nie możesz czy nie chcesz? – Ton głosu Buda w ogóle się nie zmienił, ale w ciągu dwudziestu pięciu lat naszej przyjaźni nigdy nie zadał mi tego rodzaju pytania.

– Nie mogę, Bud. Twarz została... uszkodzona... i nie możemy potwierdzić tożsamości.

Nic nie powiedział, ale wiedziałem, że jego wizja martwej dziewczyny, która mogła być jego córką, stała się jeszcze potworniejsza.

Według słów Buda Hattie po raz ostatni widziano w piątek wieczorem po szkolnym przedstawieniu. Bud i Mona poszli je zobaczyć, a po wszystkim uściskali córkę i powiedzieli, żeby nie wracała do domu zbyt późno. Ale ona w ogóle się nie zjawiała.

– Pamiętasz, co Hattie miała wtedy na sobie, Bud?

– Swój kostium. Sukienkę.

– Na ramiączkach?

– Nie, białą sukienkę poplamioną krwią. Sztuczną krwią. A na głowie koronę.

– Czy przed wyjściem przebrałaby się?

– Raczej tak.

– Ma żółtą sukienkę na ramiączkach? Taką z falbankami?

– A żebym to wiedział. – Zapytał Monę. Słyszałem ich głosy, ciche i pełne napięcia. – Nie, Mona mówi, że nie ma. – W jego głosie pojawiła się nutka ulgi. Ja nie podzielałem tego uczucia.

– Hmm. Nadal nie przychodzi wam do głowy, kto mógł ją potem zabrać ze szkoły?

– Razem z Moną sądzimy, że najpewniej Portia. Ona też grała w przedstawieniu, ale twierdzi, że później nie widziała się już z Hattie.

– W porządku, Bud. Słuchaj, musisz nam udostępnić dane dentystyczne Hattie. Wyślę po nie Nancy razem z formularzem i pierwszy dowiesz się, czy ta dziewczyna to Hattie, czy nie. Obiecuję ci to.

Wydał dźwięk, który odebrałem jako roztrzęsioną zgodę, po czym się rozłączył.

Nim zdążyłem zacząć się zastanawiać nad tym, o co właśnie poprosiłem swojego najlepszego przyjaciela, zadzwoniłem do Rochester i potwierdziłem, że sekcja zwłok zostanie wykonana jutro z samego rana. Nieważne, że nazajutrz wypadała niedziela; w prosektorium nie istniał podział na dni powszednie i świąteczne. Podczas gdy Nancy zajęła się robotą papierkową i zdjęciami, ja otworzyłem w komputerze dokument nowej sprawy. Służył do tego nowatorski, wymyślny program Jake'a, w którym ciężko się było połapać. Utyskiwanie na niego musiałem odłożyć na inny raz. Kiedy w końcu udało mi się to cholerstwo otworzyć, wpisałem kilka znanych nam informacji. Tyle co nic.

Kobieta.

Rasa biała.

Rany kłute i możliwy uraz głowy.

Ciało znalezione przez dwóch miejscowych małych w starej stodole Ericksonów, data znalezienia: sobota, 12 kwietnia 2008 roku, godzina 16.32.

Przełknąłem ślinę i potarłem brodę, przyglądając się tym wszystkim pustym rubrykom. Po raz pierwszy, odkąd sięgałem pamięcią, martwiłem się na myśl o tym, co będę tu musiał wpisać. Dziewcząt nie mordowano ot tak, nie w hrabstwie Wabash. Nie dochodziło tu do strzelanin, żadni gniewni chłopcy nie wypakowywali w szkole swojego arsenału z plecaków. Lata świetlne dzieliły od nas to całe miejskie gównno i właśnie dlatego tak wielu mieszkańców decydowało się tu pozostać. Zgoda, sklepowe wystawy w Pine Valley zawsze były pustawe. Kiedy spadały ceny upraw, mieszkańcy może i mieli problem ze spłatą hipoteki, ale tworzyli społeczność. Miejsce, w którym nadal liczyli się ludzie. Coś musiało się okazać na tyle ważne, że

przygnało tę dziewczynę do położonej na uboczu stodoły Ericksonów. I bez względu na to, co to było, dla kogoś innego okazało się na tyle ważne, by ją zabić.

Zrobiło się późno, więc udałem się do domu, ale w sumie nie wiedziałem po co. Większość posiłków jadałem w biurze i ostatnio mało co spałem. Kiedyś bywało tak tylko podczas prowadzenia dużych spraw, ale obecnie także wystarczały mi cztery godziny snu. Należała do mnie górna połowa bliźniaka położonego jedną przecznicę od Main Street. Na dole mieszkali Nguyenowie, którzy mieli sklep monopolowy. Byli praktycznie jedynymi Azjatami w hrabstwie i choć gotowane przez nich potrawy strasznie śmierdziały – w ogóle nie przypominając zapachów obecnych w lokalach z chińszczyzną – zachowywali się bardzo spokojnie i nigdy nie walili w rury, żebym się zamknął, jak to robiła ich poprzedniczka, staruszka, która w końcu umarła na zawał. Mimo wszystko i tak starałem się zachowywać cicho, zwłaszcza w środku nocy, kiedy dręczyła mnie bezsenność. Czasami puszczałem muzykę, ale w ogóle nie oglądałem już telewizji; przez to czułem się jak martwy. O tym, co się dzieje na świecie, dowiadywałem się z gazet, a transmisji z meczów słuchałem w radiu, więc posiadanie telewizora było w sumie pozbawione sensu, tyle że kot Nguyenów lubił wskakiwać przez okno i wylegiwać się na odbiorniku. Choć nigdy nie lubiłem kotów, ten akurat był całkiem w porządku. Nie paradował po mieszkaniu, domagając się jedzenia, ani nie zostawiał wszędzie sierści. Po prostu siedział na telewizorze w jednym kącie salonu, a ja siedziałem na sofie w drugim i tak nam było dobrze.

Przez całą noc rozmyślałem o tych zwłokach. Odpoczywałem od ich widoku tylko wtedy, kiedy udało mi się na chwilę zdrzemnąć. Kotu drgał ogon, a ja sporządzałem notatki i listy osób, z którymi trzeba porozmawiać, i obserwowałem, jak wskazówki na zegarze zbliżają się powoli do siódmej.

– Proszę, proszę, szeryfie Goodman, czyim szczątkom zawdzięczam pańską wizytę?

Doktor Frances Okada w ogóle się nie zmieniła. Zgoda, jej upięte w kok włosy były teraz siwe i lekko się garbiła, ale nadal przechadzała się po prosektorium niczym królowa umarłych i nadal dzieliła moje nazwisko na

sylaby – „Good-man” – jakby był to jakiś doskonały żart, którego nie rozumie nikt oprócz niej.

– Z zadaniem dokładnie tego samego pytania czekam od godziny w tym cholernym holu, Fran.

– Tak, widzisz, co za szkoda, że ten młody człowiek – pokazała głową na zwłoki, przy których pracował technik – miał czelność dopuścić do tego, że podczas wieczornego treningu pękł mu tętniak. Grzeczność nakazywałaby, aby najpierw sprawdził twój grafik.

Bez słowa podszedłem do stołu. Matka zawsze powtarzała moim siostrom i mnie, że milczenie kończy kłótnię szybciej niż słowa. Sprawdzało się to także w przypadku przemądrzałych lekarzy sądowych, a choć Fran była niczym wrzód na tyłku, dzięki niej poznam tożsamość ofiary. Bud i Mona czekali.

Ciało znowu uległo zmianie. W jaskrawym świetle laboratoryjnych lamp dziewczyna była teraz szara, no i coraz bardziej rozdęta. Nie wyglądała już jak człowiek, nie mówiąc o Hattie.

– Od razu, jak się tu zjawiała, wysłałam tę twoją dziewczynę na radiologię. To jej zęby. – Wsunęła zdjęcia do przeglądarki. – A to materiał, który pochodzi od twojej przypuszczalnej ofiary, Henrietty.

– Hattie – poprawiłem, robiąc krok do przodu, aby przyjrzeć się zdjęciom.

– Widzisz te ubytki, tutaj i tutaj? – Pokazała na oba zdjęcia. – Wypełnienia idealnie do siebie pasują, profil także z obu stron wygląda identycznie.

Palec Fran zawisł nad lekko krzywym zębem w dolnym łuku.

– W tym przypadku badanie DNA nie jest konieczne. To Henrietta.

– Hattie. – Zabrzmiało to nieco gniewniej, niż miałem zamiar.

– Sądząc po stopniu rozkładu, można założyć, że kiedy odkryto jej ciało, nie żyła od dwunastu do osiemnastu godzin. – Fran włożyła nowe rękawiczki i jej głos nieco złagodniał. – Znałeś ją?

– Teraz to nie ma znaczenia, no nie? Potrzebuję pełnej specyfikacji w kierunku zabójstwa. Obca krew, włosy, cokolwiek, co mogłoby nas dokądś prowadzić. I muszę to mieć jak najszybciej, rozumiesz? Zadzwoń, kiedy się z tym uwiniesz. – Znajdowałem się już w połowie drogi do drzwi.

– A może zostaniesz i weźmiesz udział w sekcji zwłok?

Obejrzałem się i zobaczyłem, że Fran w końcu patrzy mi prosto w oczy, stojąc niczym strażnik nad oszpeconymi szczątkami tego, co jeszcze dwa dni temu było Hattie.

– Mam coś innego do roboty.

Kiedy zatrzymałem się na podjeździe, pikap Buda już tam stał, choć było jeszcze wcześniej, za wcześniej na to, aby wrócić z kościoła. Gdy szedłem w stronę domu, podbiegł do mnie Bear, ich czarny labrador, domagając się zwyczajowego drapania za uszami. Nawet na niego nie spojrzałem. Nie zdążyłem jeszcze dojść do drzwi, a już otworzyły się i stanęła w nich Mona.

Miała na sobie duży, kwiaciasty fartuch, a włosy przewięzała jakąś chustką. Była jedyną znaną mi kobietą w jej wieku, która nosiła długie włosy, a to czyniło ją na swój sposób ponadczasową. Miała spokojną twarz i także samo usposobienie, dziś jednak w jej oczach czaiła się panika.

– No i? – wyrzuciła z siebie.

– Mona. – Zdjąłem czapkę. – Jest Bud?

– Po prostu to powiedz, Del. – Jej palce wybijały nerwowy rytm na boku uda, gdy tak stała sztywna jak deska. Wyglądało to tak, jakby palce nie należały do reszty ciała, i przed moimi oczami pojawiła się Hattie, połowa ciała w wodzie, połowa poza nią.

– Mogę wejść?

– Oczywiście, Del. – Za Moną pojawił się Bud i otworzył szerzej drzwi. Położył dłonie na ramionach żony i pociągnął ją ku sobie, żebym mógł przejść. Strząsnęła z siebie jego ręce i pierwsza udała się do salonu.

Po wejściu natychmiast poczułem zapach masła i czekolady. Kuchnia pełna była ciasteczek – na niezliczonej liczbie półmisek leżały wiatraczki, ciastka z czekoladą i kruche ciasteczka z lukrem.

Bud zauważył moje spojrzenie.

– Piekła wczoraj na kiermasz kościelny, kiedy zadzwoniono do nas z informacją o zwłokach, a potem – wzruszył bezradnie ramionami – po prostu nie była w stanie przestać. Nie chce iść do kościoła i nie wiem, czy w nocy choć trochę się przespała.

Głos Buda wydawał się odległy, jakbym nie stał tuż obok niego, i nie

wiedziałem, czy ten dystans pochodzi od niego czy ode mnie.

Wszedłem do salonu i stanąłem przy kominku, nad którego gzymsem wisiały oprawione w złote ramki zdjęcia Hattie i Grega. Hattie z rękami skrzyżowanymi na piersi opierała się o drzewo, miała na sobie białą koszulę z przypiętym do niej kwiatem i uśmiechała się lekko. Wyglądała na szczęśliwą. Chociaż nie, niezupełnie szczęśliwą. Zadowoloną. Wyglądała na dziewczynę, która wie, czego chce i w jaki sposób to zdobyć. Była dzieckiem, które miało odnieść sukces i ułożyć sobie życie z dala od Pine Valley, poślubić jakiegoś nadętego prawnika i przyjeżdżać do domu tylko na święta, i paradować po miasteczku z synem lub córką albo najlepiej parką. Nie była dzieckiem, które miało zginąć. Zerknąłem na zdjęcie Grega pozującego z Bearem i śrutówką. Włosy miał obcięte na zapałkę na długo przed ukończeniem liceum, kiedy to ochoczo zaciągnął się do wojska i dał się wysłać do Afganistanu. To on miał zginąć. To on był dzieckiem, na którego śmierć Bud i Mona starali się być przygotowani.

Bud usiadł na sofie obok żony. Wziął ją za rękę i czekał. Ileż razy miałem okazję przebywać w ich salonie? Setki, i za każdym razem dzięki Budowi czułem się tak, jakby to był mój salon, jakby na ścianach wisiały zdjęcia mojej rodziny. Wziąłem głęboki oddech i spojrzałem na niego teraz. Włosy miał przyprószone siwizną, a koszula coraz bardziej opinała się na brzuchu. Popatrzył mi prosto w oczy i wtedy mu powiedziałem:

– Dentysta przesłał dane Hattie do Rochester, gdzie znajduje się ciało zamordowanej dziewczyny, i porównano tam zęby Hattie z zębami ofiary. Wszystko idealnie do siebie pasuje. To Hattie.

Mona nachyliła się, jakby ktoś uderzył ją w plecy, i Bud puścił jej dłoń, ale z ich ust nie wydobył się jakikolwiek dźwięk.

– Boże, tak mi przykro, Bud. – W gardle miałem wielką gulę, ale jakoś udało mi się dodać: – Mona, nie masz pojęcia, jak potwornie się czuję. Obiecuję, że znajdę tego bydlaka.

Mona miała wzrok wbity w wyblakły zielony dywan.

– Zęby?

Bud popatrzył na wiszące na ścianach zdjęcia.

– Co się stało? Jak ona...?

– Znaleziono ją w starej stodole Ericksonów nad jeziorem i wygląda na to, że tam właśnie to się stało. Zaatakował ją ktoś z nożem i zmarła od ciosu zadanego w klatkę piersiową.

Gdy to mówiłem, Bud siedział sztywno wyprostowany, zaś Mona cała się trzęsła.

– Mówiłeś, że nie dało się jej zidentyfikować po twarzy.

Ja i mój cholerny długi jęzor. Próbowałem maksymalnie wszystko uprościć, oszczędzić im drastycznych szczegółów.

– Napastnik pociął jej także nożem twarz, ale możliwe, że nastąpiło to już po jej śmierci. Dowiemy się tego dopiero po zakończeniu sekcji zwłok.

Z gardła Mony wydobyło się coś jakby niskie wycie. Bud otrząsnął się z transu i próbował ją objąć, ona go jednak odtrąciła.

– Zostaw mnie!

Wstała i poszła do kuchni, potykając się, obijając się po drodze o ściany i szlochając. Im bardziej się oddalała, tym głośniejszy stawał się jej szloch. Mona była twardą, rozsądną kobietą. Przez wszystkie lata naszej znajomości nie widziałem, by uroniła choćby jedną łzę. Słuchanie jej rozdzierającego płaczu okazało się najgorszym, co dane mi było w życiu słyszeć.

Nachyliłem się ku Budowi, który nadal siedział znieruchomiał na sofie.

– Bud, co Hattie zamierzała zrobić po piątkowym przedstawieniu? O tym wieczorze muszę zgromadzić tyle informacji, ile się tylko da.

Zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał, ale po długiej chwili przejechał stwardniałą dłonią po twarzy i odkaslnął, wpatrując się w podłogę.

– Mówiła, że razem z innymi dziećmiakami będzie świętować premierę ich sztuki.

– Nie mówiła z kim konkretnie?

– Nie. Uznaliśmy, że całą grupą. Tydzień temu też wszyscy razem gdzieś wyszli, kiedy skończyli budować scenografię.

– Nie stała tam z nikim?

– Stała z nami. – Głos mu się załamał i Bud przełknął ślinę. – Nasza córka

była tam razem z nami.

Obaj podskoczyliśmy, kiedy rozległ się głośny łomot. Pobiegnęłam przez kuchnię w stronę ich sypialni. Mona leżała na boku na tym, co zostało z niewielkiego, składanego stolika. Wyglądało na to, że ugięły się pod nią nogi. Jej plecy drżały niekontrolowanie pośród tego bałaganu. Kiedy próbowałam się przekonać, czy nie jest ranna, zaczęła okładać mnie pięściami, a jej płacz zmienił się w wysokie zawodzenie. Wróciłam do salonu i stwierdziłam, że Bud nie ruszył się z miejsca.

– Bud.

Nie zareagował. Wzrok miał błędny. Po tym, jak Mona go odepchnęła, w jego włosach zostało trochę mąki.

– Bud.

Wstał sztywno i poszedł do sypialni. Nachylił się nad żoną, zakrywając jej szlochające ciało swoim. Otarłem oczy i zostawiłem ich samych.

Liceum w Pine Valley było parterowym budynkiem z cegły i mieściło się w centrum miasteczka, a konkretnie jego południowej części, znacząc punkt, od którego sklepy na Main Street ustępowały miejsca domom i stacjom benzynowym. W ogóle się nie zmieniło od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy dobudowano do niego salę gimnastyczną.

Zostawiłem samochód na w połowie pustym parkingu, przed wejściem spotkałem się z Jakiem i razem udaliśmy się za znakami kierującymi do „nowej sali gimnastycznej”, gdzie przedstawienie było już w toku. Trzy tygodnie i całe życie temu obiecałem Hattie, że zjawię się na niedzielnym spektaklu. No i się zjawiłem.

Jake przebiegł wzrokiem po programie.

– Napisano tu, że Hattie gra Lady Makbet.

Wślizgnęliśmy się na salę i usiedliśmy na pustych krzesłach na samym końcu. Na scenie znajdowała się właśnie dwójka dzieciaków, oboje byli ubrani na biało i stali na tle jakiejś zamkowej scenerii. Rozpoznałem Azjatkę, Portię Nguyen, ale chłopaka nie znałem. Mówili w tym kwiecistym szekspirowskim języku, który nigdy do mnie nie przemawiał, ale po jakimś czasie zacząłem rozumieć, o co im chodzi. Ona próbowała nakłonić go do

tego, aby kogoś zabił, a on chyba się na to zgadzał. Na końcu sceny podeszła do niego i wyjaśniała, jak się będą zachowywać po zabójstwie.

– Kto by się odważył inaczej myśleć, gdy krzyki usłyszysz boleści naszej nad Duncana śmiercią?²

Ujął jej dłoń.

– Postanowiłem. Do strasznego czynu przywołam wszystkie duszy mej potęgi. Idźmy pozorem pięknym zwodzić gości. – Sprowadził ją ze sceny, mówiąc w ciemności: – Serc kłamstwo ukryć w twarzy kłamliwości!

Po przedstawieniu odciągnąłem na bok nauczyciela prowadzącego kółko teatralne i oświadczyłem mu, że muszę porozmawiać z całą obsadą i resztą zespołu. Pobladł, ale o nic mnie nie zapytał. Peter Lund, tak się nazywał, młody facet w okularach i z czystymi paznokciami.

Lund powiedział wszystkim, że chce dokonać „krótkiego podsumowania”, i poprosił, aby przeszli do sali muzycznej. Kiedy drzwi się w końcu zamknęły, zapanowała głucha cisza. Wszyscy czekali.

– Świetne przedstawienie, eee... gratuluję wszystkim. Portia... dobrze sobie poradziłaś. Za chwilę rozbierzemy dekoracje, ale najpierw musi z nami porozmawiać szeryf Goodman.

Przeszedł na koniec sali, zostawiając z przodu mnie i Jake'a. Niektóre dziewczęta już płakały. Pine Valley było małym miastem i miałem pewność, że wszyscy już wiedzą o znalezieniu ciała.

Nie owijałem w bawełnę. Przekazałem im to wprost i zachowali się w sposób, którego można oczekiwać od grupy nastolatków na wieść o tym, że ktoś z ich grona zginął od ciosu nożem. Po raz pierwszy ktoś im pokazał, że oni także są śmiertelnikami. Pojawiły się szok, mnóstwo łez i zawodzenia. Większość chłopców stała się kredowobiała; znieruchomieli i widać było, że zwykle piórko mogłoby ich w tej chwili przewrócić. Większość dziewcząt tuliła się wzajemnie. Lund siedział zgarbiony, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Dałem im nieco czasu, ale nie chciałem czekać, aż kontrolę nad nimi przejmie trauma, więc przeszedłem do sedna sprawy.

– Zamordowano ją w piątek wieczorem po przedstawieniu. Teraz każdy z was musi się zastanowić. Zróbcie to dla Hattie. Z kim wyszła tamtego

wieczoru? Czy ktoś z was spotkał się z nią później, żeby wybrać się na imprezę albo coś w tym rodzaju?

– Niektórzy poszli do Dairy Queen, ale ona się tam nie pojawiła – odparł chłopak, który grał Makbeta. Większy obłęd miał w oczach teraz niż kilka minut temu na scenie.

– Tommy był na przedstawieniu, prawda? Portia, czy Hattie nie wyszła razem z nim? – ktoś zapytał.

Portia Nguyen wyplątała się z objęć innej zapłakanej dziewczyny i podniosła na mnie płaską, moką twarz. Korona na jej głowie zdążyła się przekrzywić.

– Może. Nie wiem. Mało rozmawialiśmy. Nawet jej nie pogratulowałam.

– Tommy by ją odwiózł, gdyby go o to poprosiła. Zrobiłby dla niej wszystko.

– Jaki Tommy? – zapytał Jake.

– Tommy Kinakis – odpowiedziałem. O ile mnie pamięć nie myliła, Hattie spotykała się z nim od prawie roku. Jesienią widziałem go podczas meczu: grał w reprezentacji uczelni na pozycji liniowego. Był silny, trudny do obejścia i ani razu nie pozwolił, aby spuszczone manto jego rozgrywającemu. Jeśli chłopak jego pokroju miał ochotę ugodzić kogoś nożem, niewiele zdołaloby go od tego odwieść.

– Wiem, co ją zabiło. – Portia wstała i zwróciła się w moją stronę, jakby szykowała się do wygłoszenia jednej z tych długich przemów ze sztuki. – To klątwa.

– Co takiego?

Część nastolatków wciągnęła gwałtownie powietrze i zasłoniła dłońmi usta.

– To klątwa zabiła Hattie. Klątwa *Makbeta*.

PETER / Piątek, 17 sierpnia 2007

Wykończy mnie niewydolność serca.

Miałem dwadzieścia sześć lat i byłem w szczytowej formie. Z chudego, siedzącego z nosem w książkach licealisty przekształciłem się w faceta, który przebiegał co najmniej dwadzieścia pięć kilometrów tygodniowo. Prawdopodobnie dałbym sobie nawet radę z podnoszeniem ciężarów, gdybym tylko się ośmielił i poszedł na jedną z tych siłowni pełnych spoconych mięśniaków. Byłem wegetarianinem i nie paliłem – ale to niewydolność serca rujnowała mi życie.

– Co zjesz na deser?

Spojrzałem na siedzącą naprzeciwko mnie Mary. Mało co się odzywała, odkąd przyniesiono nam dania główne, i co chwilę zerkała na zegarek.

– Mus czekoladowy? – zapytałem z szerokim uśmiechem. Po siedmiu spędzonych wspólnie latach wiedziałem, że nie potrafi oprzeć się czemuś, w czym jest choć odrobina czekolady. Zapewne wielu facetów mówi tak o swoich żonach, ale kiedyś na festynie widziałem, jak Mary zjada bekon w czekoladzie. Smażony świński tłuszcz zanurzany w czekoladzie. Na widok mojej pozieleniałej twarzy roześmiała się i oświadczyła, że nie było to wcale takie złe.

– Może być. – Wzruszyła ramionami.

Przywołałem kelnera i zamówiłem kawę oraz deser. Był to tego rodzaju lokal, w którym bez problemu można było machnąć na dyskretną obsługę i zamówić *caffè americano*. Nad stolikami wisiały nisko lampy, otulając każdą grupkę gości własnym kokonem światła. Było tu nowocześnie, ale

romantycznie. Mary nie miała ochoty jechać aż do Rochester, ale w Pine Valley można było wybrać albo Dairy Queen, albo kawiarnię, którą zamykano o siódmej. Poza tym w Pine Valley nie było kina, a to miała być nasza tradycyjna randka w stylu „kolacja plus kino”, tyle że w przeciwieństwie do większości par zawsze zmienialiśmy kolejność. Najpierw kino, potem kolacja, tak żebyśmy mogli podyskutować o obejrzanym filmie. Tak właśnie zrobiliśmy podczas naszej pierwszej randki, kiedy poszliśmy na *American Beauty* i omawialiśmy wyższość moralną każdej z postaci, aż w końcu kelnerka poprosiła nas o opuszczenie lokalu, żeby można było posprzątać. Dzisiejszego wieczoru długie, kokieteryjne debaty z całą pewnością nie okazały się problemem dla pracowników restauracji.

Na stolik wjechała kawa i od razu wziąłem łyk, parząc sobie język. Nie przejąłem się tym. Piłem i obserwowałem Mary, próbując zrozumieć, w którym momencie popełniłem błąd.

Włosy miała dzisiaj rozpuszczone i światło lampy sprawiało, że wokół jej głowy widać było złotą aureolę. Kosmyki opadały jej na twarz, kiedy przyglądała się obrusowi, innym gościom i wykuszowym oknom, wszystkiemu, tylko nie mnie. Mary miała twarz w kształcie jabłka, taką z okrągłymi policzkami, które w chwili szczęścia unosiły się ku oczom, dzisiaj jednak nie odnajdywałem w niej żadnej radości.

Włożyła niebieską szmizjerkę w stylu lat pięćdziesiątych, a kiedy zeszła na dół przed wyjściem, przytuliłem ją, pocałowałem w policzek i szepnąłem:

– Witaj, piękna.

Uśmiechnęła się i odsunęła. Wtedy uznałem, że powodem jest Elsa, która siedziała na sofie i nas obserwowała, ale Mary tak samo zachowywała się przez resztę wieczoru. Była grzeczna. Chłodna. Jakby to wyjście było takim samym obowiązkiem jak wyrzucanie łajna z kurnika Elsy. Film nie okazał się pomocny, ale to wyłącznie moja wina. Wybrałem *Wpadkę*, bo Mary lubiła komedie romantyczne, a ten film cieszył się dobrymi recenzjami, ale podczas seansu mało się śmialiśmy. Od czasu nocy poślubnej żadne z nas nie stosowało antykoncepcji i po trzech latach starań moja żona musiała siedzieć i patrzeć, jak para idiotów udaje, że pijacka przygoda na jedną noc kończy się dla nich

ciężą.

– Przepraszam za ten film.

W końcu na mnie spojrzała.

– W porządku.

– Powinienem był o tym pomyśleć.

– Nie, naprawdę, Peter. – Mary wyprostowała się, kiedy zjawił się kelner i postawił między nami deser. – Ostatnio mało myślę o dzieciach.

– To niedobrze. Bo po kolacji zamierzałem zaparkować gdzieś auto i się z tobą poobściskować. A może i coś więcej. – Mrugnąłem do niej. Nic nie powiedziała, więc z nadzieją kontynuowałem: – Mam wrażenie, jakbyśmy znowu mieszkali w akademiku. Czekali, aż nasi współlokatorzy gdzieś sobie pójda, albo szukali jakiegoś ustronnego parkingu. Pamiętasz ten piętrowy na Fourth Street? I tę część, gdzie nie działały światła?

Nabrała na łyżeczkę odrobinę musu, wsunęła ją do ust i pokręciła głową.

– Musimy wracać. I tak długo nas nie ma.

– Elsa dawała sobie radę przez siedemdziesiąt trzy lata. Wytrzyma jeszcze jedną godzinę.

Mary wzięła kolejny kęs, ignorując mnie. Następnie odłożyła łyżeczkę i skrzyżowała ręce na piersi.

– O co chodzi?

– Dziesięć dolarów za mus czekoladowy. To szaleństwo.

– Cóż, w takim razie jeszcze większym szaleństwem jest zamówienie go i niezjedzenie. – Posmakowałem mus. Był cholernie dobry. Lekki, mocno czekoladowy i nie za słodki. – Spróbuj jeszcze. To porcja za dziesięć dolarów. – Zamachałem jej łyżeczką przed twarzą, a Mary westchnęła i otworzyła usta.

Ponownie zaczęła jeść, ale w milczeniu, nie mając ochoty na rozmowę. Dopiłem kawę i próbowałem zagadywać żonę. Nic nie działało.

Kiedy przyniesiono nam rachunek, od razu przejęła go Mary. Zapłaciła kelnerowi i wzięła do ręki torebkę.

– Gotowy?

– Twojej mamie nic nie jest – rzekłem, głaszcząc ją po dłoni, kiedy

sześliśmy do samochodu.

– Wiem – odparła, choć oboje wiedzieliśmy, że wcale nie mówię prawdy.

– No to o co chodzi?

– O sześćdziesiąt osiem dolarów za kolację, Peter. Do tego dwadzieścia za kino. Myślisz, że kto za to wszystko zapłaci?

– Mam pracę. Będziemy mieli pieniądze. – Jej irytacja powoli zaczynała się mi udzielać.

– Jeszcze nie zacząłeś pracować, a już wydajesz.

– Chciałem po prostu, żebyśmy gdzieś wyszli i miło spędzili czas – rzuciłem ponad dachem auta, po czym oboje wsiedliśmy i trzasnęliśmy drzwiami.

Droga do Pine Valley była ciemną, płaską dwupasmówką biegnącą pośród pól uprawnych. Żadne z nas nie miało ochoty słuchać radia. Tego wieczoru nic już nie było w stanie uratować.

Jeśli miałem być szczerzy – a z każdym kolejnym kilometrem pomysł ten stawał się coraz rozsądniejszy – nadal nie miałem pojęcia, jak się w to wszystko wpakowałem.

Pochodziłem z Minneapolis. Dorastałem, włóczęc się po barach kawowych, omawiając nad makaronem w Figlio's okładkę licealnej gazetki poświęconej literaturze, a każdy weekend spędzałem na przerzucaniu płyt w sklepie muzycznym. Mary poznałem na uczelni i pobraliśmy się latem, zaraz po skończeniu studiów. Byliśmy prawdopodobnie zbyt młodzi, ale jej rodzice byli starzy. Dziecko późno pojawiło się w ich życiu – ogromna niespodzianka po latach niepowodzeń i porzuconych marzeń. Zapewnili córce najlepszy możliwy start, kochali ją i wspierali, a ona w zamian pragnęła im pokazać, że jest zamężna i ustatkowana. Wykorzystałem cały limit na karcie kredytowej i wsunąłem brylant na palec Mary, a potem staliśmy przed ołtarzem w kościele w jej rodzinnym mieście, gdy tymczasem jej rodzice siedzieli rozpromienieni w pierwszym rzędzie. Ten ślub okazał się pociechą dla nas obojga, kiedy następnej wiosny jej ojciec podczas pracy w polu zmarł na zawał.

Po ślubie wynajęliśmy dwupokojowe mieszkanie niedaleko przystanku autobusowego i podjąłem studia uzupełniające, a Mary znalazła pracę

w jednym z banków w centrum.

I wtedy w naszym życiu pojawiła się niewydolność serca.

Elsa, matka Mary, zaczęła coraz bardziej słabnąć. Mary jeździła do niej raz w miesiącu, żeby sprawdzić, jak się czuje, i pomóc jej na farmie. Zawsze trzeba było coś przerobić albo naprawić, albo dopilnować terminów wizyt u lekarza. Próbowałem żartować na temat mojej żony farmerki, ale ona śmiała się coraz rzadziej. Potem zaczęła jeździć w każdy weekend, a jako że część zajęć miałem wieczorami, bywało, że nie widywaliśmy się całymi dniami. Kiedy skończyłem studia i uzyskałem licencję nauczycielską, Mary trzy dni w tygodniu spędzała w Pine Valley, a przez cztery pracowała w banku po dziesięć godzin dziennie.

Była wykończona. Przekonywałem ją, że Elsa musi sprzedać farmę, ale za każdym razem Mary zgrzytała zębami, przewracała oczami i mówiła:

– Myślisz, że tego nie próbowałam?

Nie mogliśmy znaleźć nikogo do pomocy; jedyna wykwalifikowana pielęgniarka, która skłonna była jeździć na farmę, życzyła sobie tysiąka tygodniowo.

Szukałem pracy w szkole, tak żeby Mary mogła odejść z banku, albo przynajmniej przejść na pół etatu. Próbowałem być dobrym mężem. Czyż tak właśnie nie robią dobrzy mężowie? Tyle że nie mogłem niczego znaleźć. Jedyne wakaty były w podstawówkach specjalnych, a ja nie miałem doświadczenia w takiej pracy. Chciano, abym obiecał, że wrócę na studia i zrobię tę specjalność, ale ja chciałem uczyć literatury, a nie umiejętności społecznych.

A potem, w marcu, Mary wróciła do domu z wycinkiem z gazety. Pokazała mi ogłoszenie – nauczyciel angielskiego w liceum w Pine Valley, dokładnie taka praca, do której miałem kwalifikacje – i oświadczyła, że Elsa zna osobiście dyrektora i że mnie poleciła. Dyrektor czekał na mój telefon.

Boże, nie chciałem się przeprowadzać do Pine Valley. Ale w jej oczach było tyle nadziei i zmęczenia i nie mam pojęcia, jak to się stało, ale dwa miesiące później wprowadziliśmy się do jej matki, a ja straciłem całe swoje życie. Choć Mary twierdziła, że to sytuacja tymczasowa, oboje wiedzieliśmy,

że zostaniemy tutaj do czasu śmierci Elsy, nieważne, czy nastąpi ona za kilka miesięcy czy za kilka lat. Ostatnio, choć wstyd się przyznać, coraz bardziej liczyłem na tę pierwszą ewentualność.

Przez całe lato była tylko Elsa, Elsa, Elsa. Jak się dzisiaj czuła? Czy potrzebowała nowego zbiornika z tlenem? Czy mogła sama wziąć prysznic? Było tak, jakbyśmy mieli małe dziecko, tyle że nasze dziecko to stara, uparta, schorowana kobieta.

Elsa była wdzięczna, ale jej wdzięczność zdawała się zarezerwowana dla Mary. Mnie traktowała jak lekko irytującego studenta z zagranicznej wymiany.

Zaczął się od wegetarianizmu. Kwestionowała wszystko, co jadłem, począwszy od jarmużu, poprzez burgery z czarnej fasoli, aż do tempeh. Kiedy wybierałem się na przebieżkę, Elsa kręciła głową, jakby nigdy nie widziała, aby człowiek poruszał się szybciej niż podczas marszu za pługiem. A jeśli wieczorem otwierałem sobie piwo, pociągała nosem i znacząco odwracała wzrok.

Autentycznie miałem gdzieś, co myśli o mnie moja teściowa, ale wchodziła między mnie a Mary. Za każdym razem, kiedy traktowała mnie oziębło, moja żona miała coraz mniejszą ochotę na granie roli rozjemcy. Pewnego dnia naprawiłem ogrodzenie wokół kurnika i potem Elsa przydreptała, żeby sprawdzić, jak sobie poradziłem, i ucieliśmy sobie całkiem miłą pogawędkę o dzieciństwie Mary, tyle że nie minął tydzień, a ona zdążyła o wszystkim zapomnieć. Niedostateczna ilość tlenu dostarczanego do mózgu pozbawiała ją wspomnień, zwłaszcza tych najświeższych, bezcelowe więc okazywały się moje próby naprawienia naszych relacji.

No i jeszcze to gdakanie. Choć kury mieszkwały w kurniku na samym końcu głównej stodoły, ich gdakanie, szeleszczenie i skrobanie w ziemię było wszechobecne, bez względu na porę dnia. Każdego doprowadziłoby to do szaleństwa. Kur było tylko około pięćdziesięciu, reszta stada ojca Mary, ale wyglądało na to, że zapewniają jajka połowie hrabstwa. Na okrągło przyjeżdżali po nie ludzie, a Mary osobiście dostarczała je naszej sąsiadce, Winifred Erickson, która najczęściej odprowadzała ją potem do domu, gdzie godzinami gawędziła z Elsą. Mary zbierała jajka dwa razy dziennie,

zaczynając o szóstej rano, sprzątała grzędy, sprzątała podłogę i wysypywała karmę – zarabiając na tym, z tego, co mi było wiadomo, zaledwie kilka dolców dziennie – i to ona chciała rozmawiać o braku pieniędzy?

– Czemu nie pozbędziesz się tych kur? – pytałem ją co chwilę.

– Mnie to nie przeszkadza. Od dziecka się tym zajmowałam. Nie wiem jedynie, jak mama radziła sobie sama.

– Dlaczego musisz się tym zajmować? Możemy kupować jajka w sklepie.

– Mama nawet nie chce słyszeć o ich sprzedaży – odparła, co tego lata stało się jej standardową śpiewką. Nasze siedemdziesięcioletnie dziecko chce tego. Nasze siedemdziesięcioletnie dziecko nie będzie tolerować tamtego.

Miało to wpływ na każdy aspekt naszego życia. Mary nie rozmawiała już ze mną o książkach. Twierdziła, że nie ma czasu na czytanie, a mimo to oglądała co wieczór z Elszą te durne programy. Nie chciała jechać do miasta do teatru czy choćby po to, aby spędzić wieczór w gronie przyjaciół.

Kręciła głową.

– To za daleko, jestem zmęczona na samą myśl o tym.

Dzięki Bogu, w domu był internet. Rozłożyłem się z komputerem na piętrze w małym pokoju, w którym znajdowały się ozdoby bożonarodzeniowe i zakurzone kartony z napisami w rodzaju „Pogrzeb wujka Joego” albo „Dewitt 1938”. Tam właśnie czytałem, przygotowywałem konspekty lekcji na jesień i co wieczór zaglądałem na Facebooka, obserwując, jak moi znajomi chodzą do barów, na spotkania literackie, przyjęcia i konferencje.

Nie zamierzałem kłamać; sporo sobie obiecywałem po dzisiejszym wyjeździe. Rozpaczliwie pragnąłem odsunąć nasz związek – choćby na kilka godzin – od farmy i Elsy, aby wskrzesić to poczucie humoru i spontaniczność z czasów studenckich, nim naszymi piątkowymi wieczorami nie zawładnęły studia uzupełniające i choroba. Kiedy wspomniałem o tym Mary na początku tygodnia, okazała podekscytowanie.

– Wieczór poza domem – rzekłem zachęcająco. – Zanim zaczniesz się rok szkolny. Nie zrobimy absolutnie nic produktywnego.

Zaśmiała się.

– Obiecujesz?

Teraz, kiedy wracaliśmy do Pine Valley w milczeniu, które odgradzało nas od siebie jeszcze wyższym murem, po raz kolejny zastanawiałem się, w którym momencie nawaliłem. Albo ona? Każdy, kto by nas dzisiaj obserwował, na pewno czułby się zażenowany tym, jak bardzo się starałem, ale zupełnie mi nie wychodziło. Nieodpowiedni film. Nieodpowiednia restauracja. Byłoby lepiej, gdybyśmy się wybrali do Dairy Queen i zjedli lody w otoczeniu flirtujących nastolatków?

Horyzont rozjaśniały światła Pine Valley i choć nie znosiłem personifikacji, było tak, jakby samo miasteczko udzielało mi odpowiedzi. Tak. Tak, zbyt mocno się starałeś. Chciałeś mieć wieczór rodem z Minneapolis, ale już nie masz żony z Minneapolis.

Wjechaliśmy do miasteczka, które tworzyło kilka ulic na krzyż i widniejące w oddali kominy fabryczne przetwórci soi. Parę stacji benzynowych, Dairy Queen i apteka-drogeria CVS³ to jedyne miejsca, które o dziewiątej w piątkowy wieczór były jeszcze otwarte.

– Możesz zatrzymać się pod apteką? Muszę odebrać leki dla mamy i zdjęcia.

Posłusznie wjechałem na parking i zgasilem silnik, po czym udałem się za Mary. Skierowała się do okienka w części aptecznej, a mnie wysłała do stoiska fotograficznego na drugim końcu sklepu. Młodziutka sprzedawczyni nie zauważyła, że podszedłem, a mnie się nie chciało zwracać na siebie jej uwagi.

Nie miałem już żony z Minneapolis.

Stwierdzenie, że nie byłem przygotowany na tę zmianę u Mary, stanowiło niedomówienie roku. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę się musiał na coś takiego przygotować. Problem z przysięgami był taki, że są zbyt ogólne. Stałem w tamtym kościele, zaledwie przecnicę stąd, i powtarzałem: „Na dobre i na złe”, wyobrażając sobie, że to złe to w najgorszym razie grypa, podczas której Mary wymagać będzie ode mnie rosołu i chusteczek. Ewentualnie utrata pracy. Może niepłodność. Do tych słów przypisywałem każdy normalny scenariusz, to, czego kazano mi się spodziewać, ale pastor ani razu nie powiedział: „Może będziecie musieli porzucić wszystkich i wszystko,

co kochacie, i przeprowadzić się na podupadłą farmę leżącą pośrodku prerii, gdzie nie będziecie uprawiać seksu, a każda rozmowa dotyczyć będzie stanu umierającej kobiety, która cię nienawidzi”. Nie, on stał przed nami, uśmiechał się i mówił: „Na dobre i na złe”. Ale co konkretnie? Przystałem na te zdawkowe stwierdzenia. Radośnie uścisnąłem dłońe Mary i wymieniłem z nią słowa tej ogólnikowej przysięgi. Dla kogoś, kto miał ambicje profesorskie, coś takiego wydało się nagle potwornym żartem.

– W czym mogę pomóc?

Zamrugąłem. Sprzedawczyni stała teraz po drugiej stronie lady i wyraźnie czekała, aż coś powiem.

– Och. Tak. Zdjęcia na nazwisko Mary Lund?

Od razu zaczęła szperać w koszu z zamówieniami.

– Nie mam nic na takie nazwisko.

Kiedy pierwsza odpowiedź była negatywna, zazwyczaj prosiłem o ponowne sprawdzenie. Większość pracowników tej sieci była młoda, niewydarzona i znajdowała zamówienie dopiero za drugim albo i trzecim razem. Ta dziewczyna była młoda, ale zupełnie nie wyglądała na niewydarzoną. Zdążyła się już wyprostować, niezwykle pewna siebie. Tym razem to ja mogłem się wydać niewydarzony.

– Eee... a może Elsa Reeve?

– Ma pan interesujące pseudonimy. – Tym razem uśmiechnęła się, po czym zaczęła szukać pod „R”.

– To, co zowiem różą...

– Pod inną nazwą równie by miało zdjęcia w CVS – dokończyła, wyjmując z kosza kopertę i machając nią teatralnym gestem.

– Na to wygląda.

Zeskanowała kod kreskowy.

– No więc, Elso, potrzebujesz dzisiaj coś jeszcze?

– Eee... – Zerknąłem w kierunku części aptecznej. Czy Mary chciała coś jeszcze? Nie mogłem sobie przypomnieć, a zważywszy na przebieg wieczoru, lepiej pewnie nie wydawać na nic więcej pieniędzy.

– Nie, to będzie wszystko.

Wręczyłem jej kartę kredytową i patrzyłem, jak realizuje płatność. Była w niej jakaś bystrość, błysk osobowości. Nastolatkiem zazwyczaj w tego rodzaju pracy byli roztargnieni albo naburmuszeni, ale ta dziewczyna w pełni oddawała się temu, co robiła w danej chwili. Kiedy ją lustrowałem wzrokiem, przebiegła przeze mnie iskra nienawiści. Wysoka i szczupła, miała w sobie wdzięk i lekkość. Była opalona, jej nieco zbyt szerokie usta lśniły od błyszczycy, a w oczach widać było tego typu przebiegłą inteligencję, która pozwoliła jej zripostować tekstem z *Romea i Julii*. Ta dziewczyna nie zdążyła jeszcze popełnić żadnych błędów i dla niej świat był niczym gigantyczne ciastko do beztroskiego smakowania.

Odwróciła się, aby podać mi zdjęcia, i w jej oczach nie było już śladu przebiegłości.

– Co się stało?

– Słucham? – Jej nagła troska wyrwała mnie z zamyślenia.

– Pan wyglądał na zagniewanego.

Co to za miasteczko, gdzie nieznajomi mówią ci, jak się czujesz?

– Nie, to znaczy, cóż... – dukałem jak idiota. – Ja nie...

– Jest pan bardzo zły. – Moje dukanie sprawiało jej przyjemność. Szeroko się uśmiechnęła. – Widzę to tu i tu. – Pokazała na swoje brwi i żuchwę, po czym skrzyżowała ręce na piersi, tak jak ja.

Opuściłem ręce i wzruszyłem ramionami.

– Nie chodzi mi o zdjęcia. – Czemu tego nie przyznać?

– O jeden z pseudonimów?

– A skąd wiesz, że nie o ciebie?

– Nie-e. Nawet się nie znamy. Och, tak przy okazji, jestem Hattie. –

Wyciągnęła rękę i przez chwilę się w nią wpatrywałem, po czym ją uściskałem.

– Peter.

– Hej, Peter. Wiesz, co robię z pseudonimami, które zaczynają mnie uwierać?

– Co takiego?

– Wymieniam je na lepsze.

– Jasne, można tak robić, kiedy ma się szesnaście lat.

Zachichotała.

– A ty ile masz, osiemdziesiąt?

– Osiemdziesiąt dwa.

– No cóż, może w takim razie potrzebujesz jedynie poduszek na krzesła.

Znajdziesz je w alejce numer sześć.

Wybuchnąłem śmiechem, a ona pokiwała głową, jakby skończyła swoją pracę, i wtedy pojawiła się Mary z reklamówką pełną lekarstw.

– Gotowy? – zapytała.

– Tak.

Skinąłem głową kasjerce Hattie, która machnęła do nas ręką.

– Dobranoc. Dzięki za wizytę w naszym sklepie.

Podczas jazdy do domu położyłem rękę na dłoni Mary, gotowy, aby spróbować raz jeszcze. Kiedy skręciliśmy w prowadzącą do farmy żwirową drogę, na ciemnym niebie coś zamigotało.

– Patrz! – Wyłączyłem światła i wcisnąłem hamulec.

Obserwowaliśmy, jak spadająca gwiazda przemyka przez konstelacje, by w końcu spłonąć i zniknąć. Przez chwilę oboje milczeliśmy. Następnie Mary odwróciła dłoń tak, że teraz trzymaliśmy się za rękę.

– Pomyślałeś życzenie?

– Myślałem, że tak się robi w przypadku pierwszej gwiazdy.

Wzruszyła ramionami.

– Może w przypadku pierwszej spadającej gwiazdy także.

– Okej. – Ucisnąłem lekko jej dłoń. – Gwiazdko, gwiazdko...

– Nie, to musi być tajemnica, inaczej się nie spełni.

– Każdy to wie. Ja tylko czyniłem wstęp.

Uśmiechnęła się i pozwoliła mi dokończyć. Choć reszta drogi upłynęła nam w milczeniu, zniknęło wcześniejsze napięcie i wieczór zaczął przypominać taki, na jaki liczyłem. Kiedy jechaliśmy w stronę farmy, w myślach wypowiedziałem życzenie.

Po pięciu minutach jazdy krętą, żwirową drogą zatrzymałem się między drzewami, które chroniły dom i zabudowania Elsy przed charakterystycznym

dla prerii wiatrem. Zgasilem silnik i omiotłem spojrzeniem otaczający nas teren, nie spiesząc się z wyjściem z samochodu. Ojciec Mary utrzymywał farmę w doskonałym stanie, ale po trzech latach, jakie upłynęły od jego śmierci, zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki zaniedbania. Z największej stodoły łuszczyła się farba. W ogrodzie warzywnym, tam, gdzie wcześniej w równych rzędkach rosły fasola i groch, teraz prym wiodły chwasty. W świetle dnia na dachach budynków widać było kilka pokrzywionych gontów, pozostałości po burzach, których nie miał kto naprawić. Pola Elsa dzierżawiła sąsiadowi, ale zabudowania i kury wciąż stanowiły jej królestwo. Fakt, iż chciała tu zostać, był zupełnie pozbawiony sensu. Moja mama kilka miesięcy po ukończeniu przeze mnie studiów przeprowadziła się do mieszkania w Arizonie. Czemu Elsa chciała starzeć się w miejscu, które każdą złamaną żerdzią i wyszczerbionym parapetem przypominało jej o tym, jak bardzo jest niedołączona?

Mary westchnęła i w tym samym czasie przez podwórze przebiegł jeden z mieszkających w stodole kotów. Za wszelką cenę pragnąłem podtrzymać dobry nastrój.

– Hej. – Potrząsnąłem żartobliwie jej ręką. – Chodź tutaj.

To jednak ja pokonałem dzielącą nas odległość i to ja pocałowałem ją lekko. Początkowo przyjęła mój pocałunek, ale kiedy się przedłużał, odwróciła głowę. Przez chwilę żadne z nas nie ruszało się ani nic nie mówiło.

– Wypowiedziałam w myślach życzenie, aby było inaczej – odezwała się w końcu. – Kiedy patrzyliśmy na gwiazdę. Aby mama była zdrowa.

– Nie można tego nikomu mówić, pamiętasz?

– To nieważne. I tak się nie spełni. – Głos jej się załamał, a ja odruchowo uniosłem rękę i pogłaskałem jej spięte ramię.

– Zbyt wiele wzięłaś na swoje barki.

Pokręciła głową i popatrzyła w stronę pól.

– Dali mi wszystko. Kochali mnie bardziej, niż można to sobie wyobrazić... i to właśnie mogę zrobić dla nich, tylko tak mogę odpłacić im miłością.

– Potrzebna nam pomoc. Można to robić inaczej.

– W porządku. Daję sobie radę.

– Nie potrafisz się nawet cieszyć kolacją z dala od matki. Popatrz, jak ta sytuacja wpływa na nasz związek.

Spojrzała na mnie z wyrazem twarzy, który widziałem u niej po raz pierwszy. Był to chłód. Moja Mary, moja słodka, szczodra, kochająca styl *vintage* Mary patrzyła na mnie tak, jakbym był irytującym bezdomnym żebrzącym o jakieś resztki.

– Przykro mi, że obecnie nie mogę zajmować się tobą, Peterze.

– Nie chcę, żebyś się mną zajmowała. Jezu, chciałem jedynie, żebyśmy spędzili fajny wieczór.

– Nie wzywaj tak imienia Jezusa.

– Czy ty sobie, kurwa, żartujesz? – Możliwe, że nie była to najbardziej elokwentna reakcja.

– Moja mama... – Pokręciła głową i zerknęła na dom. – Moja mama przez całe życie chodziła co niedzielę do kościoła. Wiara jest dla niej bardzo ważna. Czy dopóki tu mieszkamy, możesz to, proszę, szanować?

– Teraz nie ma z nami Elsy. – Ale nawet w chwili, gdy wypowiadałem te słowa, wiedziałem, że jest inaczej. Elsa była wszędzie, siedziała między nami w kinie, kręciła nosem na ceny w restauracyjnym menu i przez nią Mary spinała się tutaj, dokąd docierał amoniakowy smród z kurnika.

– Ja tylko mówię.

– W porządku. – Wysiadłem z samochodu i trzasnąłem drzwiami, przez co rozgdały się kury.

W domu panowała ciemność i powitało nas tylko światło nad kuchenką. Elsa najwyraźniej poszła wcześniej spać, być może przez wzgląd na nasz wspólny wieczór. Zazwyczaj Mary pomagała jej się położyć, a potem odgarniała jej z twarzy liche włosy, gdy tymczasem Elsa przeglądała albumy ze zdjęciami i opowiadała o ludziach, których nie znałem; obie śmiały się wtedy i wymieniały wspomnieniami. Podczas tych wieczornych rytuałów nie było miejsca dla mnie.

– Sprawdzę, co u niej, i zaraz wracam – odezwała się Mary.

– Okej.

Udałem się na górę do naszej sypialni. Z kratki wentylacyjnych dochodziły ciche głosy i wyobrażałem sobie, jak Mary siedzi na skraju ślubnej kołdry Elsy i opowiadają sobie, jak im minęły trzy spędzone osobno godziny, odwracając wzrok od pustego miejsca po drugiej stronie łóżka.

Życzeniem, jakie pomyślałem na widok spadającej gwiazdy, było to, abyśmy ja i Mary znowu byli szczęśliwi. Może już nigdy nie byłoby jak kiedyś, ale na pewno istniał jakiś inny rodzaj szczęścia, taki, którego na razie nie znałem. Rozebrałem się i położyłem, po czym ze wzrokiem wbitym w poplamiony wodą sufit czekałem na Mary, aż w końcu zasnąłem. Czekając.

HATTIE / Poniedziałek, 27 sierpnia 2007

Ludzie w większości uważają, że aktorstwo to gra. Zabawa, podczas której wkłada się kostiumy i udaje, że się całuje albo zadaje sobie ciosy nożem, a potem symuluje, że łapie się gwałtownie powietrze i umiera. Uważają, że to przedstawienie. Nie rozumieją, że aktorstwo to stawanie się kimś innym, zmienianie swoich myśli i potrzeb tak, że nie pamięta się już własnych. Pozwalasz, aby inna osoba opanowała wszystko, czym jesteś, a potem na scenie wylewa się z ciebie jej tożsamość, jakby to było upuszczanie krwi. Czasami uważam, że aktorstwo to choroba, ale pewności nie mam, gdyż nie wiem, jak to jest być zdrowym.

O ile pamiętam, pierwszą postacią, jaką odgrywałam, była Nieustraszona Młodsza Siostra.

Nawet kiedy byliśmy mali, mojego brata Grega cechowała radosna złośliwość nastolatka i jedną z jego ulubionych zabaw były próby nastraszenia mnie. Chował w moim pokoju różne żyjątka – żaby, kameleony, pająki, węże, wszystko, co można było znaleźć na farmie – i czekał, aż zacznę wrzeszczeć. I to właśnie miałam ochotę robić. Zamiast tego zmuszałam się, aby wziąć w rękę każde z tych uciekających, obrzydliwych stworzeń, i udawałam się razem z nimi do pokoju brata, gdzie zupełnie nieporuszona zarzucałam go pytaniami: „Skąd masz tego węża? Popatrz tylko na ten prążek na jego brzuchu. Jak powinnam go nazwać?”.

Próbował mnie nastraszyć, mówiąc, że teraz dłonie mi zzielenieją albo wypadną włosy, ale ja się śmiałam i nazywałam go kłamcą. Och, byłam przerażona. Nie znosiłam widoku pudełka na buty, bo wiedziałam, że Greg

schował tam coś oślizgłego albo pokrytego łuskami, ale nauczyłam się przemieniać krzyk w uśmiech i głośno mówić, gdy tymczasem jedyne, na co miałam ochotę, to zwinąć się w kulkę i kwilić.

Nie rwałam włosów z głowy, kiedy zaraz po maturze Greg zaciągnął się do wojska i został wysłany do Afganistanu. Wiedziałam, że wróci zmieniony; nie wiedziałam tylko, czy to będzie zmiana na lepsze czy gorsze.

Pierwszą i najważniejszą lekcją aktorstwa było studiowanie widowni. Dowiedzenie się, kim ci ludzie chcą, żebyś była, i danie im tego. Nauczycielka ze szkółki niedzielnej pragnęła słodkich uśmiechów i delikatnych głosów. Nauczyciel wuefu z gimnazjum chciał agresywnych baseballistów, wymachujących kijem jak Sosa, nawet jeśli nie było się w stanie trafić w zaparkowany samochód. Mojemu tacie zależało na dobrych pracownikach – wypełniających swoje obowiązki sumiennie i bez słowa skargi. I choć nie lubiałam swoich domowych obowiązków, stałam się Kopciuszkiem, cierpliwym i pełnym wdzięku.

O tym, że dobrze ci idzie, świadczyło zadowolenie widzów. Uśmiechali się, chwalili cię i opowiadali sobie nawzajem, jaka to jesteś wspaniała. Możliwe, że część ciebie marzyła o tym, że ci ludzie przejrzą twoją grę, choćby raz, i powiedzą ci jak w tym filmie o Bridget Jones, że lubią cię taką, jaką jesteś, tak się jednak nigdy nie stało. Nikt nie chciał chodzić z tobą na filmy nurtu niezależnego. Śmiano się z książek, które czytałaś, a przez sposób wysławiania się zyskałaś etykietkę snobki. Więc wkładałaś maskę i czekałaś, aż pewnego dnia zacznie się twoje prawdziwe życie.

Grałam od zawsze i jak dotąd zaprowadziło mnie to tylko tutaj, do pierwszego dnia ostatniej klasy w liceum w Pine Valley. Mojego ostatniego roku w tym gmachu. Ostatniego roku obowiązkowych, tryskających energią szkolnych uroczystości, ostatniego roku unoszącego się na korytarzu zapachu gumowatego makaronu zapiekanego z serem, ostatniego roku biedzenia się z sinusami, cosinusami i tymi trzecimi.

W szkole zawsze dobrze mi szło, nie dlatego, że byłam pilną uczennicą, ale ponieważ potrafiłam zapamiętać wszystko, co przeczytałam albo usłyszałam. A na tym właśnie polegało chodzenie do szkoły: na czytaniu, a potem

opowiadaniu o tym na głos. Nauczyciele to uwielbiali. Tym, czego naprawdę nie znosiłam, były projekty wykonywane w grupach. Nauczyciele na okrągło łączyli w pary bystrych uczniów z tymi mało kumatymi albo leniwymi, co było bardzo niesprawiedliwe. Czasami sami mogliśmy dobierać się w grupy, ale nawet wtedy zawsze kończyło się to tak, że musiałam pracować z kimś, kto nie rozumiał, czym się zajmujemy. Wiosną ja, Portia i Heather przygotowywałyśmy projekt na historię i Heather na okrągło myliła MLK⁴ z Malcolmem X. Poważnie. Aż pewnego dnia Portia oświadczyła:

– Doskonale rozumiem, czemu ich mylisz. Obaj są przecież czarni.

A Heather kiwnęła jedynie głową, jakby Portia mówiła poważnie.

Portia popatrzyła na mnie wzrokiem pełnym niedowierzania – jest bardzo wyczulona na kwestie rasowe, no bo sama wywodzi się z ludu Hmong. Ale jest także wyczulona na wszystko inne po prostu dlatego, że jest Portią.

Później podała mi karteczkę, na której napisała: „Czy to nie straszne, że nasze głupie koleżanki okazują się głupsze, niż sądziłyśmy?”. Myślałam, że umrę ze śmiechu, i musiałam schować karteczkę, nim dojrzał ją pan Jacobs.

Rodzina Portii przeprowadziła się tutaj z Chicago, kiedy byłyśmy w dziewiątej klasie. Wcześniej miałam pewność, że coś jest ze mną nie tak. Nikt inny nie musiał udawać, że lubi takie rzeczy jak 4H⁵ czy *Amerykańskiego idola*. Wtedy pojawiła się Portia razem z opowieściami o Magnificent Mile i reklamach świetlnych przed teatrem Goodman i dotarło do mnie, że istnieją miejsca, gdzie nie ma znaczenia fakt, że twoja krowa wygrała błękitną wstęgę na jarmarku stanowym. Od tamtego czasu Portia to moja najlepsza przyjaciółka.

Zajechałam pod szkołę starym pikapem Grega i pomachałam do Portii, która właśnie miała wejść. Zaczekała na mnie.

– O mój Boże, wyglądasz rewelacyjnie – oświadczyła, lustrując mój strój. – Odwróć się.

– Podoba ci się? – Zrobiłam obrót godny gwiazdy wybiegów. Mój ubiór na pierwszy dzień szkoły składał się z wyglądających najbardziej nowojorsko rzeczy, jakie udało mi się znaleźć w centrum handlowym Apache w Rochester: czarna ołówkowa spódnica i szary bliźniak, do tego czarne czółenka. Włosy

miałam długie i proste, w kolorze jasnego brązu, gdyż mama nie pozwalała mi ich farbować, i zazwyczaj wiązałam je w niski, elegancki kucyk.

– Wyglądasz jak rodowita mieszkanka Wschodniego Wybrzeża, moja droga.

– A ty stanowisz uosobienie kalifornijskiego szyku. – Uśmiechnęłam się na widok jej sukienki na ramiączkach i dużych okularów przeciwsłonecznych. – To w sumie ma sens, że spotykamy się pośrodku.

Portia roześmiała się, wsunęła mi rękę pod ramię i pociągnęła za sobą do środka.

– Minęłaś się z Beccą Larson. Ma na cyckach ślady po stroju kąpielowym i połowa drużyny piłkarskiej zaglądała jej w dekolt. Ze trzy razy próbowałam dodzwonić się do Maggie, żeby porównać plany lekcji, ale nie odebrała ani nic nie napisała, więc nie wiem, co ją ugryzło.

Portia nie przestawała nawijać, kiedy szwendałyśmy się po korytarzach, a ja co i rusz wtrącałam jakieś słowo, ale prawda była taka, że moja przyjaciółka nie potrzebowała wielu odpowiedzi. Udawałam więc, że biorę udział w zjeździe absolwentów po dziesięciu latach od ukończenia szkoły. „Patrzcie tylko, jakie to wszystko jest małe! To moja dawna szafka. I tak, od dziesięciu lat mieszkam w Nowym Jorku. Na Manhattanie, kochana. Raczej nie mogłabym mieszkać na północ od Dziewięćdziesiątej Szóstej”. Nie znaczy to, że wiedziałam, gdzie jest Dziewięćdziesiąta Szósta. Ale się dowiem. Za niecały rok tam właśnie się znajdę, a mój nowy strój stanowił oficjalny początek odliczania.

Dotarliśmy do naszych szafek, gdzie zastałyśmy Maggie flirtującą z Coreym Hansbrookiem, który nadal miał trądzik na szyi. Fuj.

– No i jak? – Maggie odwróciła się do nas, kiedy Corey już sobie poszedł. – Widziałyście nowego nauczyciela angielskiego?

– Nie! Gadaj. – Perspektywa najnowszych plotek sprawiła, że Portia zupełnie zapomniała o byciu zignorowaną przez Maggie. Przynajmniej na razie.

– Widziałam go, kiedy razem z tatą wjechałam na parking, i zapytałam, kto to taki. – Ojciec Maggie był wicedyrektorem, ale to nigdy nie kolidowało z jej

sekskapadami. Mój ojciec wkurzyłby się, gdyby wyszło na jaw, że spotykam się z kimś, kto ma penisa. – Ma fantastyczne ciemne włosy, fajne kanciaste okulary i wygląda jak student.

– Tyłek? – zapytała Portia.

– Nie widziałam. Szedł w naszą stronę. Raczej chudy, ale niezły, takie ciało biblioteczne. Obściskiwanie między regałami, rozumiecie, co mam na myśli?

Roześmiałam się razem z Portią i w tym momencie rozległ się dzwonek, a nowemu nauczycielowi nie poświęciłam żadnej myśli aż do czwartej godziny lekcyjnej, czyli angielskiego. Wtedy coś się zmieniło.

Przez cały ranek czułam się w swoim nowojorskim stroju zupełnie nie na miejscu, ale o to właśnie w tym wszystkim chodziło – czyniałam pierwsze, rozmyślne kroki ku niezależności – kiedy jednak weszłam na angielski i zobaczyłam nowego nauczyciela, poczułam, że idealnie tu pasuję. Siedział za biurkiem, patrzył w okno i pozostawał nieświadomy strumienia napływających do klasy uczniów, gawędzących ze sobą, śmiejących się i wybierających sobie miejsca. Ja także niewiele uwagi im poświęciłam; usiadłam w pierwszym rzędzie i wyjęłam zeszyt. Wokół mnie miejsca zajęli Portia i kilka innych osób, a Maggie nachyliła się i szepnęła:

– Widzisz, jest naprawdę niezły.

Posłałam jej uśmiech Mony Lisy i zaczęłam rysować na okładce zeszytu nic nieznaczące wzorki.

Kiedy rozległ się dzwonek, w klasie zapanował spokój i nowy nauczyciel wyprostował się na swoim krześle.

– No dobrze. Jestem pan Lund, a to są rozszerzone zajęcia z literatury angielskiej. Jeśli nie taki przedmiot macie wpisany w swoim planie lekcji, to znaczy, że znaleźliście się w niewłaściwym miejscu.

Wtedy, kiedy zobaczyłam go w pełnej krasie, dotarło do mnie, że już mieliśmy okazję się poznać. Spojrzał na mnie, ale po chwili jego wzrok prześlizgnął się na inny rząd. W przeciwieństwie do niektórych nauczycieli nie robił wielkiego halo z przedstawiania się, i zdawał się nie przejmować szeptami, które nie wszędzie zdążyły ucichnąć.

– Rozdam teraz kserówki. Proszę wpisać swoje nazwisko na liście obecności, wziąć kopię programu zajęć i go przejrzeć. Tym się będziemy zajmować podczas pierwszego semestru, ale żeby przystąpić do egzaminu punktowanego w trakcie przyjęć na studia, będziecie się także musieli zapisać na drugi semestr. Wszystko jasne? Jakies pytania?

Kiedy nikt się nie odezwał, kontynuował z lekkim uśmiechem:

– To jak na razie najlepsze zajęcia, jakie przydzielono mi w tym roku. Wszyscy macie w planach studia, więc jesteście inteligentniejsi od przeciętnych licealistów. Nie musimy zwracać sobie głowy wypracowaniami składającymi się z pięciu akapitów czy standardowymi testami. Mamy nieco większe pole do popisu i możemy się rzeczywiście czegoś nauczyć. Będę od was oczekiwał samodzielnego myślenia, wyrażania własnych opinii i chęci brania udziału w dyskusjach, podczas których albo będziecie tych opinii bronić, albo się ich zrzekniecie. Jeśli należycie do tych cichych, możecie mieć tutaj problem. Musicie się odzywać. Nie jestem Robinem Williamsem ze *Stowarzyszenia umarłych poetów*, jasne? Nie zamierzam wyciągać was z tych waszych małych skorup i pokazywać, że skrywa się w was poeta.

Parę osób parsknęło śmiechem.

– A skoro już o tym mowa, to wiedzcie, że tutaj nie będziemy pisać poezji. Wiersze są zakazane. Nie znoszę ich. Nie piszcie wiersza w odpowiedzi na któryś z naszych tekstów i nie oczekujcie, że dam wam zaliczenie. Te zajęcia polegają na czytaniu i krytycznej analizie tego, co przeczytaliście, i tego, co ten tekst w was zmienił. Każda książka w jakiś sposób was zmienia, czasem to, jak postrzegacie świat, czasem to, jak określacie samych siebie w stosunku do świata. Literatura, nawet ta okropna, zapewnia wam tożsamość. *Moby Dick* na przykład zdefiniował moje odczucia względem lin. Nie wiem, jak można poświęcić całe strony cienko tkanym metaforom odnoszącym się do lin. Jeśli w tej klasie znajdują się jacyś fani Melville'a, wiedzcie, że mogę mieć problem z daniem wam zaliczenia.

Znowu śmiech i tym razem ja także się przyłączyłam. Pan Lund wziął z ławki uzupełnioną listę obecności.

– Spodziewam się, że te zajęcia stanowiącą będą główną atrakcją mojego

dnia. Proszę mnie nie zawieść.

Gdy zaczął omawiać program zajęć, poczułam, że głęboko w moim żołądku dzieje się coś dobrego. Podobnego uczucia doświadczyłam, kiedy kilka tygodni temu Teatr Miejski w Rochester ogłosił casting do *Jane Eyre*, a ja od razu wiedziałam, że zagram główną rolę. Pan Lund był bystry, zabawny i wielkomiejski. Nie pasował do tego budynku z cegieł i cementu w takim samym stopniu jak ja. I choć musiał to być wytwór mojej znudzonej chodzeniem do Pine Valley wyobraźni, czułam, jak emanuje z niego ciepło. Wyczuwałam mydlany zapach jego dezodorantu. Był prawdziwy i mówił do nas tak, jakbyśmy byli ludźmi, a takiej akurat strategii nauczania w tej szkole nie próbował jeszcze nikt. To uczucie w żołądku miałam przez całe zajęcia, a kiedy rozległ się dzwonek, z szerokim uśmiechem zebrałam swoje rzeczy.

Wychodziłam z klasy razem z Maggie i Portią, gdy pan Lund mnie zawołał.

– Kasjerka Hattie. – Uśmiechnął się i zmazał tablicę.

– Klient Peter.

– Niech będzie pan Lund, w porządku?

– W porządku. – Pożegnałam się z nim machnięciem ręki, po czym udałam się na lunch.

Może sprawiło to jego zachowanie, a może obietnica prawdziwych dyskusji na tematy literackie, bez względu jednak na powód zapomniałam o podekscytowaniu, jakie wcześniej czułam na myśl o końcu roku szkolnego. Teraz ekscytowało mnie to, co ten rok może przynieść.

Pracowałam w punkcie fotograficznym w CVS. Było to o wiele prostsze niż praca na farmie, poza tym za pracę tutaj dostawałam pieniądze. Jedyne, co musiałam robić, to wywoływać zdjęcia, obsługiwać kasę, a czasami pomagać starszkom wybrać pocztówki dla wnuków. Zawsze chciały te z misiami za dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Uważałam je za skąpe, dopóki aptekarz nie powiedział mi, ile co miesiąc wydają na lekarstwa. Jezu, uchron mnie przed starością.

Kiedy przyszłam tu po szkole, w sklepie było raczej spokojnie. Najwięcej ludzi pojawiała się po pierwszej zmianie w przetwórni, a potem znowu po godzinie piątej, kiedy do miasteczka wracały osoby dojeżdżające do pracy

w Rochester. Włożyłam niebieski fartuch na mój strój mieszkanki Nowego Jorku i zabrałam się do ściągania ze strony internetowej plików ze zdjęciami, a następnie wysyłania ich do drukarki. Najczęściej były to fotografie z urodzin dzieci i wakacji, czasem ze ślubu albo z krótkiego wypadu do Branson. Raz musiałam wywołać dwieście zdjęć z Hawajów, a innym razem ktoś wybrał się do Paryża. Godzinami przeglądałam te paryskie zdjęcia, wyobrażając sobie, jak przesiaduję w małych kafejkach i przechadzam się po mostach, poznaję znanego fotografa i mam okazję zobaczyć kulisy pokazu mody. Wyobraziłam sobie całą wycieczkę, kiedy jednak po zdjęciu przyszła klientka, wyjaśniła, że to była tylko przerwa w podróży służbowej. Moja wersja była zdecydowanie lepsza. To zawsze kobiety wywoływały zdjęcia. Kiedy już zjawiał się facet, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach odbierał je dla kogoś innego, tak jak w zeszłym tygodniu pan Lund. Najwięcej wywoływały panie parające się scrapbookingiem; zawsze opowiadały, nad jakim albumem aktualnie pracują, i pokazywały mi nawet kilka zdjęć, jakbym już ich wszystkich nie zdążyła przejrzeć.

Kiedy skończyłam ściągać zdjęcia, do lady podszedł Tommy Kinakis.

– Hej, Tommy.

Kiwnął głową i otworzył usta, ale nic się z nich nie wydobyło.

– Przeszedłeś po zdjęcia? – zapytałam, próbując mu pomóc. Był czerwony i jakby mokry.

– Tak, dla mamy. Obiecałem, że wpadnę po nie po treningu.

– Dlatego jesteś taki spocony?

Zaśmiał się z zakłopotaniem, po czym przeczesał dłonią włosy. Całe mu teraz sterczały.

– Trener ostro nas dzisiaj przeorał. W piątek wieczorem gramy pierwszy mecz. Będziesz?

Tommy i ja od początku chodziliśmy razem do szkoły, jak większość dzieciaków z Pine Valley. Znałam go, kiedy rzucał kamyczkami na szkolnym dziedzińcu. W szóstej klasie obserwowałam, jak wywołany do tablicy, aby opowiedział o historii Niemiec, nie wie nic na temat drugiej wojny światowej i robi się czerwony jak burak. Kiedy szedł do liceum, był już potężniejszy

i wyższy od mojego taty i mało mówił, jako że zmieniał mu się głos. Miał włosy w odcieniu brudnego blondu i niebieskie oczy.

Odnalazłam zdjęcia jego mamy.

– Chyba nie dam rady. W piątek pracuję.

– Tutaj? – Rozejrzał się, jakby nie miał pewności, czy to miejsce jest prawdziwe.

– Tak, ktoś musi mieć baczenie na sklep.

– Nie rozumiem dlaczego. Wszyscy będą na meczu. – Wyjął wyblakły skórzany portfel i podał mi banknot dwudziestodolarowy.

– No nie? Tak im właśnie mówię. – Nikomu. Nigdy.

Tommy skinął głową, z powagą przyjmując resztę. Temat piłki nożnej chyba rozwiązał mu język.

– Powinnaś przyjść. Zamierzamy zniszczyć Greenville. Rzucić tych drani na kolana.

– Wiem, że tak się stanie.

– Nie dotkną Dereka choćby jednym palcem. – Walnął pięścią w ladę. – W tym roku mamy najlepszego rozgrywającego w regionie.

Cóż mogłam powiedzieć? Posłałam mu więc jedynie zalotny uśmiech. Natychmiast złagodniał, opuścił głowę i schował portfel.

– Jestem pewny, że szefostwo znajdzie kogoś innego na piątek.

– Byłoby ekstra. – Nigdy w życiu nie zamierzałam prosić o to kierownika.

W końcu Tommy podniósł wzrok i wziął ode mnie zdjęcia, po czym wyrzucił z siebie:

– Będę się za tobą rozglądał na trybunach.

Uśmiechnął się półgębkiem, odwrócił na pięcie i szybko wyszedł ze sklepu.

Przez kolejne pół godziny czułam konsternację. Tommy Kinakis? Co ja takiego zrobiłam, że zainteresował się mną Tommy Kinakis? Na pewno nie byłby zadowolony, gdybym mu powiedziała, że sama poprosiłam o pracę w piątki.

Futbol to kolejna rzecz, która różniła mnie od pozostałych mieszkańców tego miasta. Nie rozumiałam, co jest takiego wspaniałego w objających się

o siebie napakowanych facetach i rzucaniu podłużną piłką, ale nikt z Pine Valley nie podzielał mojego sceptycyzmu. Wszyscy mieszkańcy w wieku od dziesięciu do stu dziesięciu lat znali na pamięć kalendarz rozgrywek i jak jeden mąż pojawiali się na wszystkich meczach, krzycząc i klaszcząc tak głośno, że słycać to było aż tutaj. Lubiłam pracę podczas meczów, gdyż do sklepu nie przychodził wtedy zupełnie nikt. Mogłam czytać książki ze stojaka z bestsellerami albo malować paznokcie, dopóki mecz się nie skończył i wszyscy nie przypomnieli sobie nagle, że mają do odebrania zdjęcia albo muszą kupić jakąś kartkę. Nim zdążyłam się obejrzeć, moja zmiana dobiegała końca, a współpracownicy cieszyli się, że dzięki mnie mieli wolny wieczór.

Kiedy skończyłam pracę, odbiłam kartę i pojechałam do domu krętą drogą gruntową, którą znałam jak własną kieszeń. Naszą farmę od miasta dzieliło jakieś dziesięć kilometrów i w pobliżu znajdowały się jedynie pola i turbiny wiatrowe. Dostawaliśmy część pieniędzy za prąd wytworzony przez te, które stały na naszym terenie. Kasa na ślub, śmiał się zawsze tato, kiedy go o nie pytałam. Choć nie sądziłam, bym kiedykolwiek miała wyjść za mąż, nie mówiłam mu tego. Zamiast tego pytałam:

– Ślub w stylu Holiday Inn czy Hyatt Regency⁶?

A on udawał, że trzepie mnie w głowę, i razem śmialiśmy się. Skoro Greg był na wojnie, tato lubił sobie myśleć, że chociaż ja wiodę bezpieczne, normalne życie – idę na studia, robię karierę, wychodzę za mąż i obdarzam go wnukami, z którymi goniłby się wokół bel siana i które nazywałyby go dziadziem.

Zaparkowałam na podjeździe i ze zdziwieniem przekonałam się, że w kuchni świeci się światło. Kiedy wracałam z pracy, rodzice zazwyczaj leżeli już w łóżku. Tato oglądał telewizję, a mama czytała to, co akurat przyniosła z biblioteki. Nigdy jednak nie chciała rozmawiać o książkach. Połykała jedynie kolejne kartki i wszystko trzymała w sobie. Może właśnie przez to tak trudno było ją czasem rozgryźć.

Kiedy weszłam, mama wyjmowała właśnie z piekarnika potrawkę z kurczaka. Nim zdjęłam kurtkę i buty, wyłożyła ją na dwa talerze.

– Późna kolacja?

– Chciałam zjeść razem z tobą, dowiedzieć się, jak ci minął pierwszy dzień w szkole. Tata nie mógł poczekać.

– Nie je się kolacji za piętnaście dziesiąta! – zawołał z sypialni. – Będzie się miało zgagę.

– Po to właśnie są krople Tums! – odkrzyknęłam. Lubił sobie pokrzyzczeć. Dzięki temu czuł, że ten dom żyje.

– Usiądź, zjedz. Wszystkim podobał się twój nowy strój? – Mama zerknęła na moje ubranie, jakbym nadal miała dziesięć lat i bawiła się z kuzynkami w przebieranki.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Nieważne. Mnie się podoba.

– Wyglądasz... inaczej. Tego chyba właśnie chciałaś.

– Aha, tego chcą wszyscy zbuntowani nastolatki. Złamać system ołówkowymi spódnicami i bliźniakami.

– Jedz groszek.

Jadłam i przez chwilę milczaliśmy. Zastanawiałam się, co warto jej powiedzieć. To był w większości normalny dzień.

– Mamy nowego nauczyciela angielskiego.

– Słyszałam.

– Wydaje się fajny. Inny, no wiesz, niż pozostali nauczyciele.

– Zięc Elsy Reeve. Latem on i Mary przyjechali tu, aby z nią zamieszkać.

Kilka kolejnych kęsów. Wiszący na ścianie zegar taty, zsynchronizowany radiowo z zegarem w Denver, twierdził, że jest dziewiąta pięćdziesiąt dwie. Zegar mamy na mikrofalówce pokazywał dziesiątą trzy. Mówiła, że dzięki temu jest spokojna.

„Ale tutaj przecież wisi zegar taty” – zawsze jej mówiłam.

„Nie patrzę na niego” – brzmiała niezmienna odpowiedź.

– Tommy Kinakis był w CVS po zdjęcia – rzuciłam, byle tylko coś powiedzieć.

Tata, w samych bokserkach i podkoszulku, wszedł do kuchni, żeby dolać sobie wody. Kiedyś do wieczornych wiadomości pił zawsze piwo korzenne, dopóki lekarz mu nie oświadczył, że jest na granicy cukrzycy. Nie był gruby,

nie miał wcale wielkiego bębna, jak niektórzy. Był po prostu solidnie zbudowany. Ale chyba jego sylwetka stawała się bardziej solidna, niż życzył sobie tego lekarz, więc tata teraz wieczorami pił wodę.

– Tommy Kinakis? W tym sezonie zapowiada się na niezłego liniowego. Spodziewają się, że zwerbuje go jakaś porządna uczelnia.

– Chyba próbował się ze mną umówić.

Tato mruknął coś pod nosem. Pewnie będzie musiał zrewidować swoją opinię na temat Tommy'ego. Mama zgarnęła z naczynia resztki potrawy i wyrzuciła je za drzwi dla kotów.

– Tommy to dobry chłopak. Mogłabyś trafić znacznie gorzej.

– Nie wiem. Pewnie tak.

– Nie musisz się z nikim spotykać, nieważne, czy to Kinakis, czy nie Kinakis. – Wychodząc z kuchni, tato uściśnął mi ramię.

– Doszły już te broszurki na temat zakonów, na które czekasz? – zawołałam za nim i usłyszałam, jak się śmieje.

Pomogłam mamie posprzątać ze stołu i załadować zmywarkę. Nigdy mi za to nie dziękowała, ale widziałam, że cieszy się, kiedy jej pomagam.

Przynajmniej to o niej wiedziałam.

– Dzięki, że zaczekałaś na mnie z kolacją. – Podniosłam z podłogi torbę z książkami i zdążyłam już wyjść na korytarz, kiedy mnie zatrzymała.

– Hattie. – Wycisnęła w zlewie ścierkę do naczyń i przewiesiła ją przez kran, aby wyschła.

– Tak?

– Może powinnaś umówić się z Tommym. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś poudzielała się trochę towarzysko, miała przyjaciół w prawdziwym świecie, a nie na okrągło gmerała w telefonie, jak ostatnimi czasy.

Powinam jej była po prostu przyznać rację, ale odkąd latem kupiłam sobie motorolę, mama zachowywała się tak, jakbym w torbie nosiła samego szatana. Jakbym nie chodziła do szkoły, do pracy i na próby. Czemu nie mogłam esemesować z przyjaciółmi i wchodzić na różne fora?

– Internet nie jest pełen wymyślonych ludzi, mammo. Oni także są prawdziwi.

– Owszem, ale to ważne, aby rozmawiać z ludźmi twarzą w twarz. Nie wiesz, kim oni naprawdę są.

– Oczywiście, że wiem. Tacy sami ludzie jak ja.

– Och, skarbie... – Pokręciła głową i popatrzyła na mnie takim wzrokiem, że rzeczywiście poczułam się jak dziesięciolatka z Minnesoty przebijająca się za mieszkankę Nowego Jorku. – Wiele się jeszcze musisz nauczyć o świecie.

– Na przykład co? – zjeżyłam się, gotowa na kłótnię, ale mama jedynie się uśmiechnęła, jakbym udowodniła, że ma rację.

– Nie siedź do późna.

Podeszła i pocałowała mnie w policzek; w jednej ręce trzymała książkę z biblioteki, w drugiej tabletki na cholesterol. Patrzyłam, jak idzie korytarzem do sypialni i zapala nocną lampkę. Połowę włosów miała już siwych. I po raz milionowy zastanawiałam się, kim moja matka chce, abym była.

DEL / Sobota, 13 kwietnia 2008

Zaraz po przedstawieniu razem z Jakiem pojechaliśmy do Kinakisów.

– Myśli pan, że Tommy miał z tym coś wspólnego? – zapytał Jake.

Był lekko urażony, bo kazałem mu zostawić radiowóz pod posterunkiem i jechać ze mną. Czasami nie myślał perspektywicznie. Nie zamierzałem wystraszyć Tommy'ego faktem, że pod jego dom zajadą dwa radiowozy. Tutaj coś takiego nigdy się nie sprawdzało, bez względu na to, co twierdzili chłopcy z miasta. Tutaj wszyscy się znali. Nie zrobią tego, czego według nich samych nie powinni, tylko dlatego że zamacha im się przed nosem odznaką. A im większą liczbą odznak się macha, tym bardziej niektórzy robią się uparci. To przez tę norweską i irlandzką krew.

– Niczego nie myślę o Tommym, z wyjątkiem tego, że być może Hattie odjechała spod szkoły razem z nim.

– I że się z nim spotykała – dodał.

– Aha.

– Duży chłopak.

– Hmm.

Wiedziałem, że myśli Jake'a błędzą tym samym torem co moje. W zeszłym roku sześćdziesiąt pięć procent wszystkich kobiet zamordowanych w Minnesocie to ofiary przemocy domowej. Byliśmy spokojnym hrabstwem, nie mieliśmy do czynienia z zabójstwami, ale przemoc domowa nie stanowiła odosobnionych przypadków.

– No więc po przedstawieniu zabiera Hattie do stodoły Ericksonów na małe bara-bara. Piątkowy wieczór, wiosna, młodzież to młodzież. Zaczynają

się o coś kłócić i sprawy wymykają się spod kontroli.

Prychnąłem.

– Sam jesteś cholerna młodzież. Zabrzmiało to tak, jakby jakiś gliniarz przemawiał w telewizji.

– Ja tylko opisuję, co mogło się stać.

– Zostawmy to Tommy’emu.

Zatrzymaliśmy się przed domem Kinakisów i w drzwiach od razu pojawiła się matka chłopaka. Martha, z tego co pamiętałem. Ja i Jake nie spieszyliśmy się, wysiadając z radiowozu. Jeśli nie przyjeżdżało się po to, żeby kogoś aresztować, dobrze było dać ludziom minutę albo dwie, aby się zastanowili nad powodem naszej wizyty. Dochodzili do własnych wniosków i często dostarczali dodatkowych informacji, o których istnieniu nie miało się pojęcia.

– Pani Kinakis. – Kiedy się zbliżyliśmy, zdjąłem kapelusz. – Zastaliśmy Tommy’ego?

– Tak. – Patrzyła to na mnie, to na Jake’a i widać było, że nie bardzo ma ochotę nas wpuścić. – Jest w kiepskim stanie. Właśnie się dowiedzieliśmy.

– Dlatego przyjechaliśmy.

– To nie może poczekać do jutra? Pozwolę mu nie iść do szkoły.

– Obawiam się, że nie. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa i musimy porozmawiać z każdym, kto widział Hattie w piątek wieczorem. Możemy to zrobić tutaj albo na posterunku. Proszę zdecydować.

Przez chwilę wyglądała na rozdartą i jednocześnie przestraszoną i zirytowaną. W końcu wpuściła nas do domu.

Czekaliśmy w salonie. Jake chodził po pokoju, uderzając kapeluszem w nogę, ja natomiast przyglądałem się ustawionym na pianinie zdjęciom. Tommy na boisku, Tommy na traktorze, Tommy pozujący z martwym jeleniem i bażantami.

Wszedł do pokoju. Towarzyszyli mu oboje rodzice. Wyglądał jak pięciolatek – okrągła twarz cała w czerwonych plamach, flanelowa koszula wyłożona na spodnie, ręce zwisające po bokach tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z ich istnienia. W pierwszej chwili zdawało się, że zamierza coś powiedzieć, potem jednak opuścił głowę i czekał.

– Tommy, chcemy ci zadać kilka pytań.

Ponownie wtrąciła się pani Kinakis:

– On naprawdę nie jest w tej chwili w stanie odpowiadać na pytania.

Jeszcze zanim zadzwoniono do nas, uważałam, że rozbiera go jakieś choróbsko. Jeśli panowie chcą, jutro z samego rana przywiozę go na posterunek.

– To śledztwo w sprawie zabójstwa, proszę pani. – Jake aż się palił do mówienia. – Jeśli chcemy znaleźć zabójcę Hattie, nie mamy czasu do stracenia.

Tommy wzdrygnął się lekko. Matka położyła uspokajającą dłoń na jego ramieniu.

– Najlepiej rozmawiać, dopóki wspomnienia są świeże – odezwałem się.

– Wobec tego usiądźmy. Miejmy to za sobą. – Pan Kinakis machnął muskularną ręką w kierunku sofy, a żonie posłał uciszające spojrzenie.

Żadnego z Kinakisów nie można było nazwać delikatnym kwiatuszkiem, kiedy więc usiedli na narożnej sofie, niewiele zostało miejsca dla mnie i dla Jake'a. Podszedłem do okna i dałem wszystkim chwilę na oswojenie się z sytuacją. Słońce znajdowało się jeszcze wysoko nad horyzontem, topiąc resztki śniegu w północnej części ich zabudowań.

– W piątek wieczorem Hattie odjechała po przedstawieniu razem z tobą, Tommy? – Na polu po przeciwnej stronie drogi wylądowało stado bernikli kanadyjskich. Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. – Od jak dawna się z nią spotykałeś?

Milczenie, w końcu wyrzucił z siebie:

– Od czasu Sadie Hawkins⁷.

– Pięć, sześć miesięcy. Musieliście być ze sobą bardzo blisko.

– Nie wiem.

– Podobało ci się przedstawienie w piątek? Hattie dobrze grała?

– Chyba tak.

Chłopak nie był zbyt rozmowny. W końcu się odwróciłem, stanąłem przed nim i czekałem, aż podniósł na mnie wzrok. Tommy był potężny; prawdopodobnie zdołałby mnie unieść, ale w tej chwili taki się nie wydawał.

Wyglądał na małego i przerażonego, gdy tak siedział skulony między mamą a tatą.

– Dokąd ty i Hattie pojechaliście po przedstawieniu, Tommy?

– Przejechać się.

– Przejechać się gdzie?

– Nie wiem.

Do akcji wkroczył Jake, zdecydowany grać rolę złego gliny.

– Możemy zabrać cię na posterunek, jeśli wolisz, albo na miejsce zbrodni.

Może to ci odświeży pamięć.

– Jake’u Adkinsie, o co oskarżasz mojego syna? – zapytała pani Kinakis, wstając z sofy.

– Nikt nikogo o nic nie oskarża, pani Kinakis. Wiemy jedynie, że Hattie w piątek wieczorem odjechała spod szkoły razem z Tommym, a na drugi dzień znaleziono jej ciało. Musimy się teraz dowiedzieć, co wie Tommy. Rozumiem, że trudno jest mu o tym rozmawiać, ale będzie znacznie trudniej, jeśli nie zechce tego zrobić. Dla nas i dla niego.

Pan Kinakis odkaszlnął i gestem pokazał żonie, aby usiadła. Zamiast tego przeszła na drugi koniec pokoju; wszyscy czekaliśmy na Tommy’ego. Po mniej więcej minucie wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

– Myślałem, że pojedziemy do Dairy Queen, ona jednak chciała jechać nad Crosby.

Pani Kinakis wciągnęła głośno powietrze i zasłoniła usta dłonią.

– Nie mówiłeś nam, że zabrałeś ją nad jezioro.

Tommy odwrócił wzrok.

– Gdzie konkretnie? – zapytałem.

– Na ten parking przy plaży. Jeździliśmy tam czasem, żeby się... – Zerknął na tatę. – Po prostu poprzytulać. Nic więcej. Od jakiegoś czasu nie chciała tam jeździć.

– Potem co?

– Sądziłem, że chce, no wie pan, ale ona nie chciała. Powiedziała, że nie może się już ze mną spotykać.

– Zerwała z tobą? – zapytał Jake.

Chłopak kiwnął głową.

– Strasznie dziwnie się zachowywała. Powiedziałem jej, że do końca szkoły i balu maturalnego zostały jeszcze dwa miesiące. I zapytałem, czy nie chce iść na bal.

Wzrok miał teraz wbity w swoje dłonie i wyglądał, jakby niemal zapomniał o naszej obecności.

– Wtedy umilkła. Przez chwilę wydawała się smutna. I powiedziała, że niektórym dziewczynom nie jest pisany bal maturalny. Było tak, jakby już wiedziała. Jakby wiedziała, że zginie.

Urwał i skrył twarz w dłoniach.

– Co się działo potem, Tommy?

– Poszła sobie. – Głos miał zduszony i żałowałem, że nie widzę jego oczu. – Wysiadła z samochodu i powiedziała, że bym znalazł sobie inną dziewczynę z farmy, która pozwoli mi się pieprzyć. Przepraszam, mamó. Powiedziała: „Na razie, Tommy”, a potem odeszła w ciemną noc. Nie miałem pojęcia, czemu się tak zachowuje. Nie miałem pojęcia, co zrobiłem nie tak.

– Poszedłeś za nią?

– Nie.

– To, co powiedziała, na pewno cię zdenerwowało.

Uniósł głowę. Oczy miał mokre.

– Byłem wkurzony na maksa. Pomyślałem, że w takim razie niech sobie wróci do domu pieszo. Pieprzyć ją. Przepraszam, mamó.

– Na parkingu był ktoś jeszcze?

– Nie.

– Minąłeś kogoś, kiedy tam jechałeś?

– Raczej nie.

– I tak po prostu pozwoliłeś jej odejść i wróciłeś do domu?

– Ja... tak, odjechałem, ale nim wróciłem do domu, trochę pojeździłem dookoła. Byłem naprawdę zły.

– Zgarnąłeś kogoś po drodze? Zadzwoiłeś do kumpli, żeby o tym pogadać?

Pokręcił głową.

– Nie chciałem nikomu mówić. Ja nawet... zawróciłem i przez jakiś czas jeździłem bocznymi drogami, myśląc, że może ją spotkam i może mnie wtedy przeprosi. Ona naprawdę taka nie była, wiecie? Mieliśmy już plany. Zamierzaliśmy wynająć limuzynę na bal maturalny, a w lipcu całą paczką wybieraliśmy się do domku letniskowego Dereka. Od dawna wszystko było zaplanowane. Wszyscy zabierali swoje dziewczyny.

– Wróciłeś na parking? Próbowalesz tam ją znaleźć?

– Przejechałem tamtędy, ale bez zatrzymywania się. – Przełknął ślinę i wziął drżący oddech. – Zimno było.

– Potem co?

Spojrzał na drzwi.

– Wróciłem do domu.

– O której godzinie wrócił wczoraj do domu? – zapytał Jake jego rodziców.

– Nie słyszałem – odparł pan Kinakis. – Leżeliśmy już w łóżku.

– A ja jestem pewna, że go słyszałam – wtrąciła pani Kinakis. – Na pewno nie później niż o wpół do jedenastej.

– Tommy? – zwróciłem się do niego.

– Tak, mogła być taka godzina – mruknął.

Zadaliśmy mu więcej szczegółowych pytań, a on odpowiadał na wszystkie bez wahania. Głowę miał spuszczoną i umięśnionymi przedramionami ocierał oczy. Gdy skończyliśmy, pani Kinakis wyraźnie nie mogła się doczekać, kiedy sobie pójdziemy. W drzwiach obejrzałem się jeszcze i zadałem Tommy'emu ostatnie pytanie:

– Hattie mówiła kiedyś o kłatwie?

– O kłatwie? Czymś w rodzaju voodoo? – Popatrzył na nas wzrokiem pozbawionym wyrazu i pokręcił głową, a pani Kinakis zamknęła za nami drzwi.

Potem udaliśmy się razem z Jakiem na wschodni brzeg Crosby, aby zajrzeć do Shela, zastępcy, któremu przypadło w udziale przeszukanie jeziora.

Pozostali chłopcy z samego rana przeczesali linię brzegową, niczego jednak nie znaleźli. Większość chodziła teraz z psami po polach Winifred, natomiast

Shel wypłynął na jezioro i przeszukiwał dno. Jezioro było płytkie. Sześć metrów w najgłębszym miejscu. Jeśli coś leżało na dnie, Shel z pewnością to znajdzie.

Podczas gdy Jake łączył się z nim przez radio, ja obszedłem parking przy plaży. Żwir był suchy i pozbawiony śniegu, nie zostały więc żadne potencjalne ślady opon. Podszedłem do miejsca, gdzie zaczynała się ścieżka, i przykucnąłem. Latem ledwie ją było widać z powodu chwastów i trawy, teraz jednak, tuż po roztopach, wyglądała zupełnie inaczej. Dostrzegłem kilka fragmentów śladów butów – za mało, by coś wywnioskować. W piątek wieczorem mogło tędy przejść i z pół tuzina osób i nie dałoby się rady tego wykryć.

Udałem się ścieżką do stodoły – nie było to daleko, może z osiemset metrów – i popatrzyłem na brzeg, żeby sprawdzić, czy jezioro nie wyrzuciło czegoś w ciągu kilku ostatnich godzin. Nic.

Kiedy wróciłem, Jake sprawdzał coś w telefonie.

– Jak na razie Shel wyłowił skrzynkę pustych butelek po piwie. Wszystkie etykiety odklejone. Wyglądają na pozostałości po lecie.

– Ile mu zostało? – zapytałem.

– Ogarnął już połowę jeziora. Tak przynajmniej twierdzi.

Zerknąłem na Jake'a, który prychnął pogardliwie.

– Pływa tą łodzią jak dwunastoletnia dziewczyna.

– To lepsze niż marudzenie jak dwunastoletni chłopiec, że ktoś inny otworzył sprawę.

Burknął coś pod nosem.

– A więc Hattie wysiada z pikapa i Tommy sądzi, że idzie do domu, ale ona udaje się do stodoły.

– Okno stodoły znajduje się z drugiej strony budynku. Z tego miejsca nie zobaczyłoby się żadnego światła.

– Dokładnie. – Ponownie spojrzałem w tamtym kierunku.

W sensie fizycznym była widoczną w oddali ruderą, którą oglądałem każdego sezonu wędkarskiego, ale jej znaczenie się zmieniło. Teraz skrywała w sobie horror, wspomnienie martwej dziewczyny, która uderzała mnie

w ramię zawsze, kiedy nazywałem ją Henriettą, a raz oświadczyła mi z bezczelnym uśmiechem: „Każę cię aresztować za zniesławienie”.

Roześmiałem się wtedy i wyjaśniłem, że nazywanie kogoś jego pełnym imieniem trudno uznać za zniesławienie. A potem odbyliśmy długą rozmowę na temat wolności słowa i tego, co jest zgodne z prawem. Bud się nam przysłuchiwał i kręcił głową, jakby był jednocześnie dumny i zaskoczony faktem, że to rzeczywiście jego córka.

– No więc jeśli Hattie poszła do stodoły sama, zabójca albo tam na nią czekał, albo wiedział, że tam będzie, i przyszedł później.

Odwróciłem się od stodoły i wspomnień, które nie były mi w tej chwili ani trochę potrzebne.

– Zgadza się. Mało prawdopodobne, aby spotkali się tutaj przypadkiem. Ktoś wiedział, że w piątek wieczorem Hattie pójdzie do stodoły.

– Nie podoba się panu Tommy jako podejrzany – rzekł Jake, wpatrując się w jezioro.

– Na chwilę obecną mamy tylko jego, a poza tym przyznał się do kłótni.

– Nie podoba się panu, że mógłby być zabójcą.

– Mmm.

Na jeziorze rozległ się krzyk i Shel zamachał gwałtownie rękami. Czekałem w bezruchu, licząc na nóż. Wyciągnął z wody swoje znalezisko i podpłynął do łodzi policyjnej. To była jednak torebka, znaleziona mniej więcej dwadzieścia metrów od brzegu, na wysokości jednej trzeciej drogi od stodoły do plaży. W środku znajdowała się szkolna legitymacja Hattie i prawo jazdy, co nam powiedziało, że zabójca najpewniej wyrzucił torebkę, kiedy szedł w stronę jednego z parkingów.

– Chce pan odwołać przeczesywanie pól? – zapytał Jake, kiedy oparciu o maskę radiowozu spisywaliśmy zawartość torebki.

– Wieczorem. Na razie niech szukają, bo może coś się jednak znajdzie. – Nie było sensu marnować siły roboczej, jaką mi użyczyło hrabstwo Olmsted.

Opisaliśmy wszystko, co znaleźliśmy w torebce Hattie, i umieściliśmy w osobnych woreczkach: od zamkniętego telefonu do pustych opakowań po żelkach, kryjących się w każdej możliwej kieszonce. Po dziesięciu minutach

metodycznego obszukiwania interesowało mnie tylko jedno.

– Jones.

Uniosłem woreczek z wizytówką, którą znaleźliśmy w portfelu Hattie. Z jednej strony była czarna, z drugiej biała, a wymyślną czcionką napisano: „Gerald Jones”. Pod spodem znajdował się adres strony internetowej. Na białej stronie ktoś odręcznie napisał numer telefonu.

– Chcę wiedzieć, kto to taki i dlaczego Hattie ma jego wizytówkę. Sprawdź ten numer. Dowiedz się, kim jest ten człowiek.

Jake kiwnął głową, trzymając w ręce kolejny woreczek na dowody.

– Myślę, że telefon jest do wyrzucenia. Szkoda.

– Wygląda na to, że będziemy musieli stosować nasze stare, policyjne metody.

Jake zebrał do kupy wszystkie woreczki, po czym wsiedliśmy do radiowozu.

– Tradycyjne metody są przestarzałe. Chce się pan czegoś dowiedzieć o tym Geraldzie Jonesie? Gdyby telefon działał, mógłbym po prostu sprawdzić, czy jego numer widnieje w jej kontaktach, i zobaczyć, kiedy ostatni raz z nim rozmawiała.

– No więc teraz musisz zdobyć nakaz, żeby uzyskać dostęp do połączeń. Doprawdy straszne.

Przerzucaliśmy się tak argumentami, dopóki nie dojechaliśmy do Pine Valley. Tam Jake wyskoczył do Dairy Queen po coś na wynos, a ja kazałem Nancy dokończyć pisanie komunikatu dla prasy. Żadne z nich nie wydawało się myśleć o powrocie do domu w ten niedzielny wieczór. Jeśli Jake musiał pracować po godzinach, do tego czasu zazwyczaj zaczynał już utyskiwać, ale dzisiaj nie usłyszałem od niego choćby słowa skargi. Nic nie wspomniał o żadnej randce z dziewczyną z nogami aż do nieba ani o piwach z kumplami. Łączyło nas milczące porozumienie, że ta sprawa dotyczy nas wszystkich.

Kiedy jedliśmy, porozmawiałem z ekipami przeczesującymi pola. Ani Shel, ani psy nie trafili na nic więcej. Skoro nie udało nam się znaleźć narzędzia zbrodni, to, czy będziemy dysponowali dowodem, zależało wyłącznie od wyników sekcji zwłok i ekspertyzy sądowej przedmiotów

znalezionych w stodole. Potrzebne nam były odciski palców albo jakieś DNA. Bardzo potrzebne.

– Hej, szeryfie, nie uwierzy pan. Proszę posłuchać, co znalazłem.

Jake wszedł do mojego gabinetu z laptopem i zaczął czytać na głos.

W drzwiach stanęła Nancy.

– Klątwa to jeden z najpowszechniejszych przesądów w teatrze, mający swój początek setki lat temu. Podobno Szekspir wplótł do swojej sztuki autentyczne zaklęcia czarownic, co rozgniewało tych, którzy rzeczywiście uprawiali czarną magię. Każde przedstawienie *Makbeta* czy też *Szkockiej sztuki*, jak nazywały ją pokolenia przerażonych aktorów, jest uważane za niebezpieczne i wiążą się z nim wypadki i przestępstwa.

– Jaka klątwa? – zapytała Nancy.

– Po co sprawdzasz te brednie? – Zwinąłem w kulkę papierek po kanapce.

– To pan zapytał o nią Tommy’ego.

– W takim razie niedostatecznie dobrze mnie słuchałeś. – Zostawiłem ich i poszedłem sprawdzić, czy w dzbanku jest jeszcze kawa. Powąchałem ją, po czym wstawiłem do mikrofalówki. Kiedy wróciłem, wyglądało na to, że Jake zdążył już wszystko opowiedzieć Nancy. Spojrzałem gniewnie w jej wielkie, przestraszone oczy.

– Nie zapytałem Tommy’ego o klątwę. Zapytałem osobę podejrzaną o zabójstwo, czy chce przenieść podejrzenia gdzieś indziej. Nie chciał.

– Co więc nam to mówi?

– Albo ją zabił i nie wiedział o klątwie, albo jej nie zabił, a zrobił to ktoś inny. Ktoś, kto nie jest jakąś cholerną historyjką o duchach.

– Zaklęciem czarownicy – poprawiła Nancy.

– Zaklęcia czarownicy, dobre sobie. – Mikrofalówka piknęła. Wyszedłem i przelałem resztki kawy do kubka.

– Proszę posłuchać tego – rzekł Jake, kiedy znowu wszedłem do gabinetu. – Grając w *Makbecie*, Laurence Olivier kilka razy mało nie zginął. Trzy osoby umarły podczas przedstawienia w Londynie w 1942 roku. Pięć lat później w Manchesterze aktor grający *Makbeta* oświadczył, że nie wierzy w klątwę. Podczas próby pojedynku na szable został trafiony w serce i zmarł.

– No więc ktoś go nie lubił i uznał, że to dobra okazja, żeby się go pozbyć. Jake nie zwracał uwagi na moje słowa.

– Kiedy Charlton Heston grał Makbeta, uległ poważnemu poparzeniu.

– Tak się dzieje, kiedy się staje za blisko ognia.

Oboje dali się temu wciągnąć. Jake przewijał kolejne strony, a Nancy czytała mu przez ramię.

– Legenda głosi, że Lady Makbet zmarła podczas pierwszego przedstawienia dla króla Jakuba w 1606 roku. Aktorka przewróciła się i za kulisami umarła. Nikt nie wiedział dlaczego.

Pokręciłem głową, łykając namiastkę kawy.

– Oboje zachowujecie się jak ta dziewczyna, Portia.

– Sporo się tego działo przy jednej tylko sztuce, a teraz jeszcze Hattie. Nic dziwnego, że człowiek zaczyna się zastanawiać.

– Może t y zaczynasz się zastanawiać. Ja zaczynam sądzić, że przy tej sprawie potrzebny mi inny zastępca.

– Szeryfie, da pan spokój.

Chwyciłem kurtkę, zostawiłem oboje z głowami pełnymi bzdur i ponownie ruszyłem w stronę domu Buda. Musiałem głębiej pogrzebać w życiu Hattie, sprawdzić, co robiła w czasie wolnym. Chciałem się także zobaczyć z Budem i Moną. Sprawdzić, czy już się otrząsnęli.

Kłątwy. Jezu. Głupich nie sieją, sami się rodzą. Kłątwa to nic więcej jak słowa. Tak jak błogosławieństwa, modlitwy i im podobne. Ludzie słowami próbowali zmienić to, co powinni zmieniać za pomocą własnych rąk. A jeśli problem okazywał się zbyt poważny do rozwiązania, nie zmieniałyby tego żadne wypowiedane ku niebu słowa. Minąłem zjazd do Buda i jechałem dalej, po to żeby przyjrzeć się wszystkiemu z odpowiedniej perspektywy.

Montanę nazywano Krainą Wielkiego Nieba i tutaj było tak samo.

Wszędzie aż po sam horyzont ciągnęły się niewysokie wzgórza obsadzone soją i kukurydzą. Wokół budynków na farmach rosły kępy drzew, ale poza tym nic nie przełamywało jednostajności krajobrazu. Rządziło tu niebo, bez względu na to, czy było to słońce palące uprawy czy wiatr kładący wszystko na swojej drodze. W niektóre poranki niebo nie pozwalało nawet dojrzeć ziemi;

rozkładało mgłę tak gęstą, że nie widać było jadącego przed tobą samochodu. Wszystko pochodziło z nieba i sprawiało, że człowiek czuł się tak mały i niewiele znaczący. Przez wiele lat po Wietnamie zatrzymywałem samochód w pobliżu dwupasmówki i obserwowałem ogromne, przetaczające się nad ziemią cumulusy. Patrzenie, jak wszystko pod nimi staje się ciemne i przestraszone, miało na mnie kojący wpływ. Dlatego tutejsi ludzie tak chętnie chodzili do kościoła. W wielkim mieście niebo zasłaniają budynki, mosty i wszystko inne. Ludzie zapominają o tym, jacy są malutcy. Zapominają, że to nie oni rządzą. Tutaj było to jasne jak słońce. Wystarczyło popatrzeć przed siebie i widziało się Boga. Nie przekonywali mnie ci duchowni, którzy twierdzili, że Bóg wysłuchuje każdego z nas i miesza się w nasze codzienne życie niczym wścibski szef. Jako dziecko w coś takiego wierzyłem, ale zbyt wiele w życiu widziałem, żeby tak na to teraz patrzeć. Na przykład Hattie. Kto mógł zobaczyć to pokiereszowane, wzdęte ciało i powiedzieć mi, że taka była wola Pana? Nie, Bóg nie miał z tym nic wspólnego. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż przejmowanie się tym, w jaki sposób marnujemy sobie życie i jak umieramy.

Kiedy zawróciłem, zadzwoniono do mnie z prosektorium.

– Szeryfie Goodman – usłyszałem. Fran nie witała się tak jak inni. Przez to człowiek się czuł, jakby otrzymał pozwolenie na rozmowę z nią, nawet jeśli to ona dzwoniła.

– Co masz?

– Żadnych obcych włókien i włosów. Brak także śladów walki.

– Więc niczego się nie spodziewała?

– Rzekłabym, że pierwszy był cios w klatkę piersiową, a zanim nastąpił, albo nie miała czasu, albo chęci, żeby go powstrzymać. Twarz pocięto już po śmierci.

– Skąd to wiesz?

– Brak śladów walki. Cięcia nie były na tyle głębokie, żeby straciła przytomność, więc gdyby żyła, wywołałoby to odruch obrony.

– A więc śmierć nastąpiła szybko.

– Zgadza się.

Cóż, dobre i to. Przynajmniej tak mogłem pocieszyć Buda.

– Coś jeszcze?

– Tak. Na bieliźnie znalazłam ślady spermy.

– Jezu Chryste. – Zjechałem na pobocze i wcisnąłem hamulec. Minęło mnie kilka samochodów, zwalniając, jakbym mógł ich ukarać mandatem za przekroczenie prędkości. Potarłem czoło, intensywnie myśląc. – Ktoś ją zgwałcił, a dopiero potem zabił?

– Nie wygląda mi to na gwałt. Znalazłam kilka drobnych otarć. Niczego poważniejszego.

– Co to, u licha, znaczy?

– Że seks był agresywny, ale prawdopodobnie za obopólną zgodą.

– I sperma zachowała się w wodzie? – zapytałem.

– Tylko nogi znalazły się pod wodą. Tors pozostał suchy, w przeciwnym razie nie udałoby nam się znaleźć śladów czynności seksualnych.

– Da się określić, kiedy to się stało?

– Sądząc po otarciach, do kilku godzin przed śmiercią.

W takim razie musiało do tego dojść po przedstawieniu. Albo Tommy nie powiedział wszystkiego o tym, co się wydarzyło na parkingu na plaży, albo Hattie udała się na spotkanie z kochankiem, agresywnym kochankiem, który możliwe, że ją załatwił.

– Cóż, mamy w takim razie jakieś DNA.

– Owszem.

– To dobrze. Mam przynajmniej jednego podejrzanego do zbadania.

– Porównaniami kodów genetycznych zajmuje się laboratorium w hrabstwie Hennepin. Może to potrwać kilka tygodni, zależnie od tego, jak długa jest lista oczekujących. Niech przyjedzie do Mayo, żeby pobrać od niego próbkę.

– Rano się tam zjawi. – Już ja tego dopilnuję.

Kiedy skończyłem rozmawiać z Fran, przez długą chwilę wpatrywałem się w niebo, po czym wziąłem głęboki oddech i ruszyłem do domu Buda.

Wzdłuż podjazdu stało kilka samochodów, dużych i małych – rodzina zjechała się, żeby pomóc na tyle, na ile to możliwe. Przyjechał także pastor

i panie z kościoła. Buda znalazłem w stodole razem z kilkorgiem mężczyzn. Obiecywali, że pomogą mi przy tegorocznych zbiorach kukurydzy, i nie przyjmowali odpowiedzi odmownej. Skinąłem głową każdemu po kolei. Zaraz potem wyszli, pozostawiając Buda opierającego się o kombajn. Wzrok miał wbity w ziemię. Nie zapytałem go, jak się czuje. Nie zasypywałem wyrazami współczucia. Jedyne, co mogłem zrobić, to zabrać go do domu, posadzić razem z Moną w sypialni, z dala od wszystkich kwok, i przekazać im to, czego się dowiedziałem od Fran. Że Hattie niczego nie czuła. Że to była chwila. Że nie czuła strachu dłużej niż przez dwie sekundy.

Potem powiedziałem im o seksie.

– Co takiego? – Bud zerwał się na równe nogi z taką miną, jakby chciał mnie uderzyć. A nawet nie wspomniałem o tym, że było agresywnie. – Cholerny Kinakis. Cholerny gnój.

W tej chwili Bud nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym, więc zwróciłem się do Mony:

– Czy oprócz Tommy’ego Kinakisa spotykała się z kimś jeszcze?

Pokręciła głową.

– Zaczęli się umawiać jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Podczas gdy wzburzony Bud krążył po pokoju, prawdopodobnie planując śmierć Tommy’ego, przysiadłem na łóżku obok Mony. Splatała i rozplatała dłonie, wpatrując się wzrokiem pozbawionym wyrazu w to, co zostało ze stolika, na który wpadła dzisiejszego ranka.

– Wiedziałaś, że uprawia seks, Mona?

Bud odwrócił się i cały zamienił się w słuch.

– Nie. – Do otaczających jej oczy kurzych łapek spływały łzy, których nawet nie próbowała wycierać. – Nie wiedziałam tego. Przypuszczałam, że jest coś, o czym mi nie mówi, ale nie sądziłam, że chodzi o seks. Hattie nigdy nie była zauroczona żadnym chłopakiem. Tak naprawdę to według mnie wcale jakoś specjalnie nie lubiła Tommy’ego. Nie potrafiłam rozgryźć tego, dlaczego się z nim spotyka.

– Ten chłopak sporo mi będzie musiał wyjaśnić.

– Spokojnie, Bud. Rano znowu porozmawiamy z Tommym i każemy mu

oddać próbkę DNA, którą porównamy z tym, co znaleźliśmy na Hattie.

– Jesteś pewny, że to nie był gwałt? – szepnęła Mona.

– Tak. To nie był gwałt. Lekarka sądowa ma co do tego pewność. I wy też tak nie myślcie.

Oboje milczeli.

– Będę musiał obejrzeć pokój Hattie. Jeśli przypomni wam się ktoś, z kim była blisko albo z kim pozostawała w kontakcie, od razu do mnie dzwońcie. Bez względu na porę. Nawet w nocy.

Mona rozplakała się na dobre, a Bud podszedł do niej. Zostawiłem ich samych i udałem się na górę do pokoju Hattie, nie zwracając uwagi na czające się przy kuchennych drzwiach kwoki.

Ze zdziwieniem przekonałem się, że niewiele jest do oglądania. Pojedyncze łóżko, komoda i biurko. Na ścianach nie wisały plakaty, jak w pokojach większości nastolatków, a jedynie oprawione w ramkę zdjęcie nad łóżkiem – panorama Nowego Jorku. W szafie Hattie panował typowy bałagan, ale nie znalazłem w niej niczego poza ubraniami i torebkami, w których trzymała błyszczki, wsuwki, odcinki biletów do kina i drobniaki. Nic, co mogłoby się okazać pomocne. Najbardziej osobiste było biurko. Szuflady wypełniały powycinane z gazet zdjęcia stacji metra, neonów i kobiet przechadzających się ulicami wielkiego miasta z małymi pieskami w torbach pod pachą. Nie znalazłem żadnego kalendarza ani pamiętnika, co samo w sobie wydało mi się dziwne. Hattie wyglądała mi na osobę, która prowadzi pamiętnik. W jej laptopie znajdowało się sporo rzeczy i może tam wypatrzymy coś ciekawego. Już Jake dobierze się do wszystkich plików.

W dolnej szufladzie odkryłem program sztuki teatralnej z Rochester, w której Hattie dostała główną rolę. Przypomniało mi się, jak Bud mówił coś o tym jesienią, drapiąc się po karku i wzruszając ramionami.

Zabezpieczaliśmy wtedy przed mrozem jego łódź. „Ta mała ma talent. Nie mam pojęcia po kim”.

Kiedy przeglądałem program, moją uwagę zwróciło jedno z nazwisk. Gerald Jones, reżyser.

Po co Hattie w dniu śmierci wizytówka i numer telefonu człowieka,

którego nie widziała od sześciu miesięcy? Kogoś, z kim łączył ją teatr?

Uśmiechnąłem się ponuro, szykując się na to, że po powrocie do biura utnę Jake'owi nosa. Proszę, czego udało mi się dowiedzieć dzięki tradycyjnym policyjnym metodom pracy.

PETER / Sobota, 8 września 2007

Szekspir był przebiegłym sukinsynem. Nie przemawiały do mnie jego komedie, te farsy pełne wioskowych głupków i zamieniania się miejscami. Od zawsze ciągnęło mnie do tragedii, w których nawet wiedźmy i duchy nie były w stanie odwrócić uwagi publiczności od głównej, psychologicznej prawdy: z natury wszystkim nam grozi nieuchronność przeznaczenia. Szekspir nie napisał niczego nowego. Nie wymyślił zazdrości, zdrady czy chciwości królów. Zło uważał za coś ponadczasowego; stawiał je w blasku reflektorów i oświadczał: „Tacy jesteśmy i tacy będziemy”.

Oczywiście w tej akurat chwili nie miałem pojęcia, jaka jest moja żona.

– No więc Peter dowiedział się właśnie, że będzie reżyserem szkolnego przedstawienia, które ma być wystawione wiosną – rzuciła Mary swobodnym tonem, krojąc delikatną pierś kurczaka. Uśmiechnęła się do mnie, zachęcając do przyłączenia się do rozmowy. Nie potrafiłem się jednak skupić na niczym poza kurczakiem. Jeszcze kilka godzin temu żył, a teraz do jego upieczonej skóry przyklejone były gałązki rozmarynu. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy Elsa i nasza sąsiadka Winifred uniosły talerze, czekając na nałożenie dania głównego.

– Wystawcie *Music Mana*. Podobają mi się piosenki w tej sztuce – oświadczyła Winifred.

Często przyjeżdżała do nas na sobotnią kolację i na ogół niecierpliwie na nią czekałem. Była szorstka w obyciu, pewna siebie i cechował ją hart ducha, którego brakowało Elsie.

Pokręciłem głową.

– Dyrektor mówił, że to musi być coś Szekspira.

I że może to być jakakolwiek sztuka z wyjątkiem *Romea i Julii*. Nic samobójczego, tak mi powiedział.

Elsa uśmiechnęła się czule, nakładając sobie na talerz porcję groszku.

– Lyle bardzo lubi Szekspira.

– Pamiętacie, jak na obsadzonym fasolą polu Willa Davisa wystawiono *Sen nocy letniej*? – zapytała wesoło Winifred. Spojrzała na mnie i wyjaśniła żart: – Wszystkie krzesła były już ustawione, kiedy się okazało, że jest tam gigantyczne mrowisko. Nim pierwszy akt dobiegł końca, cała widownia pogryziona była przez mrówki.

Elsa położyła drżącą dłoń na ręce Winifred i powróciła do utyskiwania na to, jak nie podoba jej się fakt, że przyjaciółka mieszka sama. Obecność Mary i mnie pozwoliła jej się przekonać, o ile lepiej jest mieć pomoc. Winifred zbyła jej niepokój i przeniosła rozmowę na temat nowego pieca, który instalowano właśnie w miejscowej kawiarni.

Wszyscy lubili sobotnie kolacje z Winifred. Rozmowa zawsze była wtedy bardziej interesująca. Elsa ożywiała się, a jej cera wyglądała zdrowiej, co z kolei wpływało dobrze na Mary. Raz po kolacji rozegraliśmy partyjkę, a Winifred napiła się nawet ze mną piwa, ale stało się oczywiste, że Elsa nie bardzo już może grać w karty, pozbierano je więc ze stołu i zamiast nich włączono telewizor.

Podczas tych wieczorów zawsze czułem się niczym piąte koło u wozu, bez powodzenia próbując dołączyć do rozmowy o zaletach poszczególnych marek pieców albo przedstawionej w *Almanachu farmera* prognozie pogody na nadchodzący rok. Moje wszystkie nawiązania do literatury czy popkultury pozostawały bez echa, choć Mary i ja próbowaliśmy objaśnić starszym paniom kontekst. Nie bojkotowano mnie celowo, niemniej tak właśnie się czułem. Dzisiaj jednak nawet nie próbowałem się odzywać. Moja uwaga skupiona była na postawionym pośrodku stołu półmisku z kurczakiem i na profilu Mary.

– Nie wygląda to dobrze. – Winifred nachyliła się nad moim talerzem i dotknęła palcem wegetariańskiego burgera.

– Proszę spróbować, jeśli ma pani ochotę. – Wstałem i wyjąłem z lodówki

colę.

– Tak naprawdę są całkiem smaczne – wtrąciła Mary. – Zwłaszcza grillowane, z dodatkiem sera i pomidorów. Świetne danie na lunch.

– Nie, dzięki – odparła Winifred. – Jem tylko coś, co znam.

Następnie ona i Elsa zaangażowały się w dyskusję na temat telewizyjnych programów kulinarnych.

Po kolacji Mary i ja posprzątaaliśmy ze stołu. Zabrała się do zmywania i przez okno łączące kuchnię z salonem co i rusz dorzucała swoją uwagę. Dłonie miała czerwone od gorącej wody. Nie mogłem oderwać od nich wzroku. Zaśmiała się z czegoś, po czym dostrzegła moją minę, spoważniała i podała mi talerz do wytarcia.

Kiedy w kuchni panował już porządek, przeprosiłem i udałem się na górę. W małym pokoiku spędzałem coraz więcej czasu, o czym świadczyły leżące na zakurzonych pudłach sterty książek i uczniowskich wypracowań. Całe gorąco z kuchni przywędrowało na piętro. Otworzyłem okno i zacząłem przeglądać książki. Wziąłem do ręki jedną z nich, przesunąłem palcem po złożonych literach, po czym podniosłem ze sterty inną, zerknąłem na datę wydania, którą i tak znałem. Otworzyłem w przypadkowym miejscu i przeczytałem kilka wersów, następnie chwyciłem kolejną książkę, a potem jeszcze jedną. Nie byłem się w stanie na nich skupić, nie potrafiłem zapomnieć o tym, co się dzisiaj stało.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że to ja wpadłem na ten pomysł.

„Pokaż mi, co trzeba robić przy kurach, a spróbuję cię trochę odciążyć”, zaoferowałem pewnego dnia Mary. To było desperackie posunięcie z mojej strony. Do głowy przychodziło mi tysiąc innych rzeczy, które wolałbym robić w celu naprawienia mojego małżeństwa, zamiast sprzątać kurze łajno, ale wszystkie próby niesienia pomocy Elsie okazywały się nieskuteczne. Nie wiem, czy to była kwestia dumy czy wstydu, ale tylko Mary mogła jej pomagać przy większości czynności, a kiedy pytałem teściową, jak się czuje, odpowiedź zawsze była taka sama. „Dobrze, dobrze”. No to niech będzie kurze łajno. Choć Mary uniosła brwi, słysząc moją propozycję, to jednak się zgodziła.

Odkąd zaczęła się szkoła, w soboty lubiłem dłużej pospać, lecz dzisiaj, choć do późna oceniałem wypracowania, zwlokłem się z łóżka o wpół do szóstej i podreptałem za nią przez dziedziniec, na którym nie było jeszcze widać żadnych oznak świtu.

Pokazała mi, jak się zbiera, myje i przechowuje jajka, jak się sprząta ekskrementy i jak w razie potrzeby zmienia się słomę. Nakarmiliśmy razem kury, a one chodziły nam wokół nóg i przyglądały się tymi swoimi paciorkowatymi oczami. Mary zrobiła mi wykład na temat tego, co stanowi objaw chorobowy, a potem wzięła jedną kurę, zaniósła ją na tył stodoły i zabiła.

Z tego, co się dzieje, zdałem sobie sprawę dopiero na widok noża w jej ręce.

– Co ty robisz?

– A jak ci się wydaje? – Ton głosu miała rzeczowy. W ostrzu odbił się różowy świt, a ptak próbował się uwolnić.

– Jest chora? Co się dzieje?

Kura gorączkowo przewracała oczami i nie byłem się w stanie skupić na czymkolwiek innym.

– Nic się nie dzieje. Winifred przychodzi dzisiaj na kolację.

Po tych słowach ucięła kurze głowę i na ziemię trysnęła krew. Korpus rzucił się gorączkowo, jakby nie był świadomy własnej śmierci, i rozpaczliwie próbował odzyskać utraconą część ciała. Zacząłem się cofać, aż wpadłem na ścianę stodoły. Gdybym miał coś w żołądku, zwymiotowałbym na widok tej fontanny krwi. Mary podeszła do szlauchu i umyła nóż, najpierw z jednej strony, potem z drugiej, aż w czystym ostrzu odbiła się jej twarz.

Ptak podskakiwał w moją stronę, a ja uciekłem od niego, co spowodowało, że Mary przewróciła oczami.

– To tylko kura, Peter. W sklepie nie uciekasz przed nimi.

– W sklepie kury mnie nie gonią! – krzyknąłem.

– Upiekę ją chyba z ziemniakami, ale tobie przygotuję coś innego.

Nie odpowiedziałem. Stała po jednej stronie bezgłowej kury, a ja po drugiej, i nie miałem pojęcia, jak zareagować na jej uprzejmą propozycję

przyrządzenia mi wegetariańskiego dania.

Większość moich znajomych byłaby pod wrażeniem. „Dziewczyna ma jaja” – niemal słyszałem ich słowa. Nawet kiedy wyprowadzała ich w pole swoją prostą logiką podczas dyskusji w barze – czy to na temat podwyżki płacy minimalnej, czy też literackiego wpływu Harry’ego Pottera na millenialsów – na koniec zawsze kupowała im piwo i doprowadzała do śmiechu. Gdybym im opowiedział o tym, co miało miejsce dzisiaj, przykleiłby się do niej status legendy.

Nie wiedziałem, dlaczego tak bardzo się tym przejąłem. Setki razy widziałem przecież w tamtych czasach, jak Mary wcina skrzydełka z kurczaka. Czy byłoby w porządku, gdyby moja żona jadła martwe zwierzęta, ale nie była ich w stanie sama zabić? Absurdalna hipokryzja. Doskonale o tym wiedziałem. Ale nie mogłem przestać myśleć o tym cholernym kurzym oku. Wpatrywało się we mnie z pozbawionej życia głowy, leżącej w kałuży własnej krwi.

W salonie rozległ się śmiech, a potem usłyszałem kroki na schodach. W drzwiach stanęła Mary i uśmiechnęła się do mnie.

– Znalazłam stare karty do Piotrusia i pomyślałam, że fajnie byłoby zagrać. Dołączysz do nas?

– Nie znam tej gry.

– Jest prosta. Myślę, że nawet mama da sobie radę.

– Nie mam ochoty na grę w karty.

– O co chodzi? – Mary weszła do pokoju i oparła się o biurko. Odsunęła mi z oczu pasmo włosów.

– O nic. – Uchyliłem się.

– Nadal się boczysz o tę kurę?

– Mogłaś mnie przynajmniej uprzedzić.

– Och, daj spokój, Peter. – W jej tonie słychać było lekceważenie.

Wstałem i zacząłem chodzić po małym pokoju.

– Ciebie to wcale nie ruszyło, prawda?

– A co mam powiedzieć? Tak mnie wychowano.

Wszystko w jej zachowaniu mówiło mi, że to ja mam problem. To ja stanowiłem odchylenie od normy. Po siedmiu latach albo nie rozumiała moich

wyborów moralnych, albo miała je gdzieś. Pokręciłem głową i wziąłem do ręki leżącą na stercie pod oknem książkę. Przerzucałem kartki tak, jakby kryło się w niej coś bardzo ważnego.

– Nie zejdziesz ze mną?

Słyszałem, że jest jej przykro, ale nieszczęśliwie się tym przejąłem.

– Nie. Chyba daruję sobie ekscytującą grę w karty z siedemdziesięciolatkami.

– Czy ty naprawdę nie możesz spróbować być częścią tej rodziny?

Podszedłem do niej i książką pokazałem na znajdującej się za oknem stodołę.

– A myślisz, że co robiłem dziś rano? Myślisz, że dla przyjemności zbierałem jajka i mordowałem się z belami słomy?

– Nie, wiem, że nienawidziłeś każdej spędzonej tam sekundy. Nie mogłeś mi dać tego jaśniej do zrozumienia.

Zaśmiałem się drwiąco.

– Och, uwierz mi, że mogłem.

– Nie myślałam, że tak to się wszystko ułoży. – Zamrugła, walcząc ze łzami. – Wiedziałam, że przeprowadzka tutaj oznaczać będzie trochę zmian, ale ty się nawet nie starasz przystosować.

Kręcąc głową, odwróciłem się w stronę okna. Jeśli sądziła, że „trochę zmian” zamieni mnie w rzeźnika, nic więcej nie miałem do powiedzenia.

Wzięła oddech, jakby chciała rzec coś jeszcze, po czym usłyszałem skrzypienie desek na korytarzu. Zostałem sam.

Po długiej chwili usiadłem na krześle i opuściłem głowę na trzymaną w ręce książkę, odbijając sobie na czole wypukłe litery z grzbietu. Prawda była taka, że naprawdę chciałem stać się częścią tej rodziny. Czegóż bym nie dał za to, żeby zrelaksować się tego wieczoru z Mary albo dawną Mary. Zapomnieć o tym, co o niej wiedziałem.

Wyprostowałem się z irytacją, cisnąłem książkę na biurko i dopiero wtedy dostrzegłem jej tytuł. *Tragedie i kroniki Williama Szekspira*.

„Nic samobójczego – tak rzekł dyrektor, siedząc przed szklaną witryną pełną wypolerowanych modeli traktorów. – Nie chcę pokazywać nastolatkom

samobójstwa. Nie chcę, aby tym zbłąkanym coś przyszło jeszcze do głowy”. Nie chciał niepokoić nastolatków, którzy na farmach rodziców uczyli się ścinać głowy kurom, którzy prowadzili krowy i świnie na przyczepy i odwozili je na śmierć.

Przerzuciłem kartki, aż dotarłem do *Makbeta*.

Makbet – możliwe, że najbrutalniejsza sztuka, jaka wyszła spod pióra Szekspira. Mógłbym wylewać na scenę całe wiadra zabarwionego na czerwono syropu kukurydzianego, pozwolić im zabijać i upajać się krwią przeciwników. W tej sztuce nie było romantycznych samobójstw; *Makbet* to krwawa jatka napędzana chciwością, szaleństwem i zemstą. Wielki Bard zawsze odsłania naszą prawdziwą naturę, a w tej akurat sztuce pokazuje, że w odpowiedniej sytuacji i dysponując odpowiednim motywem, wszyscy jesteśmy morderczymi potworami.

Zaznaczyłem stronę i odłożyłem książkę na sam koniec biurka, z dala od wszystkiego innego, jakbym bał się tego, co się w niej kryje.

DEL / Poniedziałek, 14 kwietnia 2008

O siódmej rano Jake buszował w laptopie Hattie, ja zaś pukałem do drzwi Kinakisów. Panią Kinakis ani trochę nie ucieszył mój widok, zwłaszcza kiedy wyjaśniłem, że Tommy musi dziś rano oddać próbkę DNA. Oboje rodzice byli po królewsku wzburzeni faktem, że ich syn znalazł się na liście podejrzanych, ale sam Tommy nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia. Był równie milczący jak wczoraj, siedział w kuchni i grzebał w misce z owsianką.

– Zrobię to – odezwał się w końcu, przerywając w pół słowa argumenty rodziców. Bez oglądania się na nich włożył sportową kurtkę z emblematami swojej drużyny, a potem pojechaliśmy razem do Rochester.

Przez całą drogę wyglądał przez boczną szybę, co jakiś czas wycierając oczy. Od chwili, kiedy zapytał, czy będzie musiał siedzieć z tyłu, nie odezwał się ani słowem.

Kiedy byliśmy prawie na miejscu, powiedziałem mu, że dobrze robi.

– Bez problemu uzyskałbym nakaz, wiesz? Oszczędziłeś mi czasu.

Kiwnął głową, a później zapytał:

– Czy krew oczyści mnie z podejrzeń?

– Sperma.

– Sperma?

– Znaleziono trochę na jej ciele. Jesteś pewny, że nie twoja? – Chciałem zadać mu to pytanie bez obecności rodziców.

– Nie. – Odpowiedzi udzielił wyjątkowo szybko. – Już wam mówiłem, że mi nie pozwoliła.

Kolejna chwila milczenia, kiedy wyraźnie oswajał się z tą myślą.

– Ktoś... ją zgwałcił?

Nie bez problemu wypowiedział to słowo.

– Nie mogę powiedzieć.

– Więc moja... sperma... nie będzie zgodna i wtedy mnie oczyścicie, tak? Skreślicie z tej swojej listy?

– Zobaczymy. – Nie powiedziałem mu, że nie licząc Geralda Jonesa, tylko on znajduje się na liście.

Przez resztę poranka milczał, pozwalając, aby pielęgniarki dyrygowały nim jak jakimś przerośniętym szczeniakiem. Odwiózłszy go do domu, pojechałem na farmę Ericksonów. W garażu stał buick Winifred, a pod domem zaparkowany był pikap. Z dziesięć minut waliłem w drzwi, a potem poszedłem w stronę zabudowań. Winifred dzierżawiła większą część swojej ziemi jednej z dużych spółdzielni rolniczych i nie postawiła nogi na polu od dnia, w którym zastrzeliła Larsa, ale gdzieś tu musiała być.

Rozglądałem się, aż w końcu usłyszałem jakieś głosy dochodzące z szopy na narzędzia.

– ...nie wiem, co zrobię.

– Nie piśniesz ani słowa, oto, co zrobisz.

Słowa pierwszej osoby były nieco zduszone, ale odpowiedź Winifred brzmiała jasno i wyraźnie.

– Nie mogę wiecznie trzymać tego w tajemnicy.

– Nie możesz powiedzieć, dopóki nie zdecydujesz, co zrobisz.

– Nie rozmawiamy o tym.

– Musisz z kimś porozmawiać, a ja wiem dokładnie, jak się czujesz.

– To morderstwo.

– Morderstwo ma swoje miejsce, jak wszystko inne. Kiedy byłam... –

Głos Winifred ucichł. I wtedy ogłuszył mnie huk wystrzału.

Rzuciłem się na ścianę szopy, zdążywszy wyciągnąć broń.

– Do cholery, Winifred!

– Kto tam jest? Zabieraj się z mojego terenu, nim poślę kolejną kulkę.

– Tu szeryf Goodman. Wchodzę, a jeśli w ciągu pięciu sekund nie usłyszę, jak rzucasz broń na podłogę, zacznę strzelać. Słyszysz mnie?

Cisza.

– Winifred? Zaczynam liczyć.

Rozległo się głucho walnięcie.

– Niech ci będzie – warknęła.

Wślizgnąłem się do słabo oświetlonego wnętrza, celując do dwóch znajdujących się pod ścianą kobiet. Winifred ubrana była w kwiecistą podomkę. Głowę miała całą w wałkach, w ustach fajkę i urażoną minę. U jej stóp leżała stara strzelba. Jej towarzyszka była co najmniej czterdzieści lat od niej młodsza i siedziała skulona na stołku. Miała jasne włosy związane w kucyk i okrągłe, mokre od łez policzki. Żadna z nich nie stanowiła zagrożenia, ale trzymałem je na muszce, tak dla zasady.

– Strzelasz do wszystkich swoich gości, Winifred?

Skrzyżowała ręce na piersi i warknęła:

– Jasne, kiedy się tu zakradają, a w okolicy grasuje morderca.

Westchnąłem, po czym schowałem broń do kabury i wbiłem wzrok w młodszą z kobiet. Wydawała mi się znajoma.

– Mam do ciebie kilka pytań, Winifred.

W tej chwili najbardziej mnie ciekawiło, dlaczego rozmawiały o morderstwie, ale coś mi mówiło, że więcej wyciągnę z młodszej, na osobności.

– Właśnie coś robię.

– Nie, nie. Ja już jadę. – Kobieta wstała i ruszyła w stronę drzwi, ale stanąłem jej na drodze.

– Nie usłyszałem pani nazwiska.

– Mary Beth Lund, szeryfie. – Wyciągnęła rękę. – Albo Mary Beth Reeve, pod takim nazwiskiem mnie pan pewnie kojarzy.

– No tak. – Uścisnąłem jej dłoń, która pomimo zaczerwienionych oczu wydawała się całkiem silna. – Razem z mężem wprowadziła się pani przed rokiem do mamy, zgadza się?

– Tak, mama choruje, a nie chce porzucić farmy.

– Sporo tu upartych staruszków.

Winifred prychnęła, a Mary Beth uśmiechnęła się.

– W każdym razie mieszkamy niedaleko, a Winifred jest taka miła i zawsze mi coś pożycza albo zagląda, żeby pogadać.

– Odprowadzę cię, skarbie. – Winifred objęła młodszą kobietę, a wolną ręką wyjęła z ust fajkę. – Del, możesz iść do domu.

Patrzyłem, jak odchodzą powoli, cicho do siebie mówiąc. Nie istniał powód, dla którego te dwie kobiety nie mogły się przyjaźnić, ale ich rozmowa w ogóle mi się nie podobała. Z Winifred Erickson nie rozmawiało się o morderstwie.

Zerknąłem na pas lasu w północnej części farmy, gdzie przed dwunastu laty Winifred zastrzeliła Larsa. Pamiętałem to tak dobrze, jakby się stało dziś rano. Zawsze tak jest z zabójstwami. Zostają w tobie, nawet jeśli wszystko inne zdąży już ulecieć.

Kiedy dotarłem na miejsce, leżał na plecach, a w boku miał kulkę ze strzelby winchester kaliber trzysta osiem. Tego roku grasowały kojoty, przez co kury Ericksonów miały ciężkie życie. Lars wracał do domu od Reeferów, a w tym samym czasie Winifred ścigała kojota, który właśnie oddalał się od kurnika. Ławie przysięgłych powiedziała, że strzeliła do zwierzęcia i przez pomyłkę trafiła Larsa. Choć stała się beneficjentką polisy na życie opiewającej na pięćset tysięcy dolarów i odziedziczyła po Larsie całą farmę, która wcześniej należała wyłącznie do niego, ława przysięgłych uniewinniła ją, ponieważ Winifred udowodniła, jak wiele kur straciła przez kojoty, a poza tym postrzeliła Larsa w bok z dużej odległości. Wyglądało na to, że członkowie ławy przysięgłych uważają, iż aby kogoś zabić, trzeba to zrobić z bliska.

Z Larsa był kawał skurwysyna, nieustannie nawijającego o tym, kto go dzisiaj oszukał, i robiącego afery z powodu każdego drobiazgu. Większość ludzi sądziła, że zachowuje się tak, bo stracił obu synów – jeden zmarł na zapalenie płuc, drugi zginął w Wietnamie – ja jednak byłem zdania, że Lars taki się już urodził. Dla niego nic nie było wystarczająco dobre. Każdego uważał za wroga. Winifred powiedziała ławie przysięgłych, a wcześniej mnie, kiedy ją przy nim znalazłem, że nic nie mogła zrobić, żeby mu pomóc. I myślę, że to była prawda, aczkolwiek wątpię, aby to właśnie o tym mówiła dziś rano.

– Nic o tym nie wiem, więc nie strzęp sobie języka. – Winifred pojawiła się na werandzie. Samochód Mary Beth odjechał, wzbijając tuman kurzu.

– Czemu płakała? – Kiwnąłem głową w stronę drogi.

– To jej sprawa.

– W śledztwie o zabójstwo wszystko jest moją sprawą.

– Problemy małżeńskie nie zabiły tej Hoffmanówny. – Winifred otworzyła drzwi, a ja wszedłem za nią do domu.

– Sporo w takim razie musisz o tym wiedzieć, skoro mówisz, co tego nie spowodowało.

Wylała zimną herbatę, po czym nastawiła czajnik.

– O Hattie Hoffman wiem tyle samo co wszyscy.

– Ta stodoła znajduje się na twoim terenie.

– Myślisz, że kiedy tam byłam po raz ostatni? Przez artretyzm nie przeszłabym nawet połowy drogi.

– Och, według mnie jesteś w stanie zrobić wszystko, co tylko sobie postanowisz, Winifred.

Zarechotała i postawiła na stole drugi kubek.

– Earl grey albo nic.

– Może być earl grey.

Usiadłem i patrzyłem, jak parzy herbatę. Kiedy już wszystko ogarnęła, dmuchnęła na unoszącą się nad jej kubkiem parę i język jej się trochę rozwiązał.

– Pewnie, wiedziałam, że dzieciaki jej używają, dlatego od wschodniej strony ustawiłam tabliczkę z napisem „Wstęp wzbroniony”, żeby nikt nie mógł mnie pozwać, jeśli dach mu się zawali na głowę. Ale sama nie byłam tam od wielu lat.

– W piątek wieczorem nie widziałaś ani nie słyszałaś niczego dziwnego?

– Nic a nic. Wróciłam z przedstawienia i poszłam spać.

Coś we mnie zamarło, kiedy to powiedziała, i nie tylko dlatego, że wiedziałam, iż mówi prawdę. Ja też powinienem być wtedy w szkole, kibicować Hattie, patrzeć, jak błyszczy po raz ostatni. Pijąc w milczeniu herbatę, zobaczyłem przez okno, jak na jednym z karmników Winifred siada

kardynał. Herbata była gorzka.

– Mona na pewno szaleje z rozpaczy – odezwała się po chwili.

– To prawda.

– Znam to uczucie. Kiedy umiera ci dziecko, coś się w tobie na zawsze zmienia. – Pokiwała w zamyśleniu głową, pogrążona w dawnym, znajomym smutku, który był w tej chwili tak samo częścią niej jak wałki na głowie.

Dopiłem herbatę i ruszyłem ku drzwiom.

– Nie przychodzi ci do głowy nic więcej na temat Hattie, co?

– Zawsze trochę zadzierała nosa, opowiadała o wyprowadzce do Nowego Jorku i graniu na Broadwayu, ale nie myślałam tak o niej, kiedy w piątek jechałam do domu. Ta dziewczyna potrafiła grać. Naprawdę było na co popatrzeć.

– No cóż, nie wykluczam, że będziemy się tu jeszcze kręcić, a do stodoły masz na razie zakaz wstępu.

– Jasne, jasne.

– I przestań strzelać do ludzi, inaczej skonfiskuję ci strzelbę.

– Mhmm.

Odprowadziła mnie do radiowozu, nieszczególnie zmartwiona perspektywą utraty broni. Najpewniej miała jeszcze pięć takich strzelb.

– Mona nadal jest w domu czy pojechała do swojej mamy? – zapytała.

– Nie wiem. Wczoraj była.

– Lepiej do niej pojedę. – Winifred na podomkę narzuciła znoszony sweter, mimo że świeciło dzisiaj słońce. Spojrzała w niebo, a potem na linię horyzontu. Westchnęła. – Dzieciaki bez końca stąd wyjeżdżają, a te, które zostają, ktoś zabija. Mężczyźni padają jak muchy na zawał. Niedługo to będzie kraina starych kobiet.

Posłałem jej zawadiacki uśmiech.

– Mnie to pasuje.

Klepnęła mnie w ramię, a ja wsiałem do radiowozu.

– Och, jedź już.

Zdając się na wycucie, ruszyłem w kierunku farmy Reeve'ów.

Zobaczyłem, że mam dwa nieodebrane połączenia od Jake'a. Zadzwoiłem do

niego.

– Co pan robi, szeryfie?

– Sprawdzam parę rzeczy. Skontaktowałeś się z Geraldem Jonesem?

– Do jutra jest w Denver. Mówi, że siedzi tam od środy. Sprawdzamy to, ale wygląda na to, że ma żelazne alibi.

Cholera. Teraz na mojej liście podejrzanych znajdował się tylko Tommy.

– Chcę z nim porozmawiać, kiedy wróci.

– Mam mu kazać przyjechać? – zapytał Jake.

– Nie, ja pojadę do niego. Odzywali się z laboratorium?

– Jeszcze nie, ale...

– Co z komputerem Hattie?

– Nie uwierzy pan, co w nim znalazłem.

– Cóż, przez cały ranek wydzwaniasz do mnie niczym wzgardzona kobieta.

Musi to być coś ważnego.

– Jezu, szeryfie, mam trop wiodący do zabójcy. Chciał pan, żebym czekał, aż skończy pan jeść śniadanie w Dairy Queen?

Wjechałem na podjazd przed domem Reeверów i podskoczyłem na błotnych koleinach.

– Co masz?

– Wygląda na to, że Hattie często rozmawiała z facetem o imieniu F.L.

– Co to za głupie imię?

– To nick.

– Co takiego?

– Wy tłumaczę panu na miejscu. Przywiezie mi pan coś z Dairy Queen, okej? – I się rozłączył, gówniarz jeden.

Reeверów poznałem, kiedy się dowiedzieli, że Elsa jest w ciąży z Mary Beth. Całe miasteczko mogło ich dostrzec z daleka – zaferowany John otwierał przed żoną drzwi i nosił torby z zakupami, Elsa przewracała oczami, a jedną rękę trzymała zawsze na brzuchu. Oboje byli już sporo po czterdziestce, a szczyrzyli się do siebie jak nastolatki na pierwszej randce. Tego rodzaju szczęście działało dwojako – albo cię przyciągało, albo odrzucało, a w ciągu tych lat po wojnie nie wiedziałem, jak pozwolić się

przyciągnąć. Byłem policjantem patrolującym ulice, tylko do tego się wtedy nadawałem – do wypisywania mandatów i egzekwowania prawa, wszystko dla mnie było czarne albo białe – i doszło do tego, że kiedy tylko na Main Street dostrzegalem Reeverów, natychmiast zajmowałem się czymś po przeciwnej stronie ulicy. Kilka lat później zatrzymałem Johna za przekroczenie prędkości. Mary Beth podskakiwała i coś tam gadała w swoim foteliku, a zawstydzony John wyjaśnił:

– Zawsze się wtedy śmieje.

Ja też się roześmiałem, stojąc przy ich pontiacu na poboczu drogi numer dwanaście. W końcu pozwoliłem się przyciągnąć.

– Del, co cię do nas sprowadza? – Drzwi otworzyła Elsa. Od jej nosa biegła rurka z tlenem, a staruszka wyglądała tak, jakby mógł ją przewrócić najłżejszy powiew wiatru. Od śmierci Johna coraz bardziej gasła.

– Szukam Mary Beth.

– Och, jest u Winifred. – Położyła rękę na klamce i mrużąc oczy, popatrzyła na las, który odgradzał dwie farmy.

– Nie sędzę. Byłem tam i widziałem, jak odjeżdża.

– Och?

– A na podjeździe stoi jej auto.

Wydawała się skonsternowana, więc zmieniłem taktykę.

– Wczoraj na przedstawieniu poznałem pani zięcia.

– Przedstawienie. – Wypowiedziała to słowo tak, jakby próbowała przywołać jakieś wspomnienie. – Chyba w ten weekend mieliśmy jechać na jakieś przedstawienie.

– To pewnie dobrze mieć do pomocy na farmie dodatkowe pary rąk.

– Wszystko robi Mary Beth. On się nie zdąży nawet zmęczyć.

– Pole i zwierzęta? Sporo jak dla jednej osoby.

– Nie, polem się nie zajmuje. Po śmierci Johna wydzierżawiłyśmy ziemię. Tylko kury i ogród.

– Przyjemnie mieć na stole świeży drób.

– Dokładnie – oświadczyła Elsa z dziwną gwałtownością. – Tak powinien uważać każdy porządny mężczyzna.

– Mogę się za nią rozejrzeć?

– Pewnie, śmiało. Ja nie bardzo mogę. Krzyczy na mnie, kiedy próbuję ciągnąć po błocie zbiornik z tlenem.

Ukloniłem się na pożegnanie, a potem ruszyłem na obchód obejścia. Zajrzałem do kilku budynków, aż w końcu znalazłem Mary Beth w kurniku. Zbierała akurat jajka. U stóp miała spore stadko kur, niektóre białe, inne brązowe i pomarańczowe, a wszystkie skrobały ziemię i gdakały. Nie było tu ciasno jak na niektórych farmach, gdzie przez morze zwierząt ledwo widać ziemię. To stado wyglądało raczej jak dalecy krewni zgromadzeni wokół matki rodu.

– Pani Lund?

Pisnęła i podskoczyła, a kury rozpierzchły się we wszystkich kierunkach, nie upuściła jednak kosza. Z wyglądu podobna była do ojca – miała jasne włosy i mocną budowę, taką, dzięki której miała przetrwać każdą burzę. I wyglądało na to, że teraz znajduje się właśnie w środku jednej z takich burz. Kosz drżał w jej dłoniach i choć widziała już, kto ją przestraszył, jej oddech jeszcze się nie uspokoił.

– Szeryfie. Mój Boże. – Przyłożyła jedną rękę do serca i sprawdziła, czy jajka się nie potłukły.

– Nie chciałem pani przestraszyć.

– W porządku – rzekła, nie podnosząc wzroku.

– Jak się tu pani żyje?

– Dobrze. – Najwyraźniej nie należała do osób rozmownych. Mary Beth nigdy nie była na bakier z prawem, nie znałem jej więc zbyt dobrze. Chyba w liceum grała w siatkówkę i była stypendystką programu National Merit.

– Właśnie rozmawiałem z Elszą. Mówiła, że obecnie to głównie pani zajmuje się farmą.

– Robię, co mogę. Nie jestem swoim tatą, to pewne.

– On pierwszy podziękowałby za to Bogu.

Uśmiechnęła się blado, ale uśmiech zniknął z jej twarzy równie szybko, jak się pojawił, i zajęła się sprawdzaniem pozostałych gniazd.

– Co pana tu sprowadza?

– Jeśli mam być szczery, to jajka – skłamałem, patrząc, jak kury przebiegają przez otwór w drzwiach, który zapewne prowadził na wybieg. – Kiedy zobaczyłem panią u Winifred, przypomniało mi się, że znowu zaczęła je pani sprzedawać. Dawniej kupowałem czasem jajka od Johna.

– Jasne.

Sprawdziła ostatnie gniazda, po czym pokazała mi, abym poszedł za nią. W głównej stodole pod jedną ze ścian stało kilka starych lodówek.

– Ile pan potrzebuje?

– Tuzin wystarczy. Ile płacę?

– Nie trzeba. – Podała mi karton i machnęła ręką na banknot pięciodolarowy, który wyjąłem z portfela.

– Przykro mi, ale nie mogę ich przyjąć za darmo. Kiedyś się na czymś takim sparzyłem. Znałem barmana, który pozwalał mi pić za darmo przez mniej więcej rok podczas tych lat, których i tak nie chce się zbyt dobrze pamiętać. Wtedy wydawało mi się to super, dopóki się nie dowiedziałem, że sprzedaje marihuanę, którą jego kuzyn uprawia pośrodku swoich pól kukurydzy. Uważał mnie za swojego dłużnika. Nigdy mi nie wybaczył, że wsadziłem obu do paki.

– Ja nie hoduję marihuany – powiedziała Mary Beth z nerwowym śmiechem.

– Nic nie szkodzi. – Trzymałem w górze banknot, aż w końcu go ode mnie przyjęła.

– Nie mam przy sobie drobnych, więc musi pan wziąć jeszcze tuzin.

– Jasne, wrócę po niego, kiedy ten mi się skończy. – Wsunąłem sobie karton pod ramię i zmieniłem temat. – Nie znała pani Hattie Hoffman, prawda?

– Nie – odpowiedziała szybko, zabierając się do wypakowywania przyniesionych jajek.

– Byliśmy praktycznie rodziną.

– Bardzo mi przykro. – Miałem wrażenie, że mówi szczerze.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Tyle że sporo się teraz dzieje.

– Mmm. Choroba mamy i farma, i w ogóle.

Pokiwała głową, nie przerywając pracy.

– Dlaczego rozmawiała pani z Winifred o morderstwie?

– Słucham? – Uniosła gwałtownie głowę i w końcu spojrzała mi w oczy. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie i napięcie, tego rodzaju napięcie, które buduje się miesiącami i latami, kiedy mięśnie nie pamiętają już, jak się rozluźnić. Winifred mówiła coś o problemach małżeńskich.

– Słyszałem was, zanim do mnie strzeliła. Powiedziała, że morderstwo ma swoje miejsce.

– To nic takiego. Nie to, co pan myśli.

– No to może powie mi pani, o co chodziło, a wtedy ja pani powiem, czy o tym właśnie myślałem.

– Chodziło o... Petera, mojego męża. – Przełknęła ślinę i znieruchomiała, po czym omiotła wzrokiem podłogę. – Jest wegetarianinem. Uważa, że nie powinno się zabijać zwierząt. Winifred próbowała mnie pocieszyć.

Choć to wyjaśniało stwierdzenie Elsy o porządnym mężczyźnie, coś mi jednak nie pasowało w reszcie rozmowy.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– To sprawa prywatna między nią a mną. Ja nie... – Zaciśnęła usta w cienką linię i wiedziałem, że więcej z niej nie wyciągnę.

– Muszę obejrzeć wasze noże.

– Dlaczego? – Jej oczy błysnęły, ale nie było w nich strachu.

– Hattie zginęła od ciosu nożem.

Kiwnęła głową i zaprowadziła mnie do domu, gdzie pokazała noże.

Wczoraj wieczorem przysłano wyniki sekcji zwłok. Rany zadano prostym, gładkim ostrzem o długości od około czternastu do dwudziestu centymetrów. Zmierzyłem wszystkie noże Mary Beth i żaden z nich nie pasował do tego opisu. Jedyne noże o odpowiedniej długości miały ząbki, a żaden nie miał właściwej szerokości. Nie sądziłem, że u Mary Beth znajdę narzędzie zbrodni, ale czegoś z całą pewnością mi nie powiedziała.

Odprosiła mnie do radiowozu i machnęła ręką Elsie, która przyglądała nam się przez okno.

– Hej, czy mówi coś pani słowo „nick”? – zapytałem. Mary Beth była tylko kilka lat starsza od Jake’a.

– Nikt?

– Nie, nick.

– Pewnie, tak się mówi na pseudonim, jaki się przyjmuje w internecie, na blogach i tym podobnych.

Podziękowałem jej, a kiedy wycofywałem się z podjazdu, gwizdałem, gotowy usadzić mojego zastępcę na swoim miejscu.

Przejechałem powoli przez Main Street, kiwając głową mężczyznom stojącym przed sklepem z paszami, którzy najczęściej poruszali temat cen świń i kukurydzy. Obserwowali mnie przez całą drogę, aż do skrzyżowania, a ich zmrużone oczy i zaciśnięte usta nie pozostawiały złudzeń co do tematu dzisiejszej dyskusji.

Kiedy wszedłem do biura, Jake siedział pochylony nad komputerem Hattie, jakby oglądał w nim właśnie dziewiątą rundę siódmego meczu World Series⁸. Położyłem na biurku torebkę z burgerami.

– Nie uwierzy pan, co znalazłem. – Wyjął burgera i wgryzł się w niego, nie patrząc nawet, co je.

Oparłem się o biurko.

– Hattie poznała w necie kogoś o nicku F.L.

– Skąd pan wiedział? – Jake wyglądał na szczerze rozczarowanego. Najwyraźniej nie mógł się doczekać, kiedy wyjaśni staruszkowi, który o internecie nie wie nic, czym jest nick. Zdusiłem uśmiech.

– To proste.

– No dobrze, myślę, że nie zapisała wszystkiego. Widzi pan? Wiadomości kopiowała i wklejała do dokumentu tekstowego. Część wiadomości nie stanowi kontynuacji poprzednich i nie ma w nich żadnych imion, z wyjątkiem tej.

Obrócił ekran w moją stronę.

HollyG,

powinienem pewnie używać teraz twojego prawdziwego imienia, ale jakoś nie mogę się przemóc. Ostatni moment dwoistości pozwoli mi powiedzieć to, co muszę. Koniec z naszą przyjaźnią. Sam ten pomysł był niebezpieczny, bez względu na to, kim byłaś, ale teraz, kiedy

zdemaskowała nas Jane Eyre, to oczywiste, jak bardzo jest to niewłaściwe. Wiedz, proszę, że życzę ci tego, co najlepsze, i całą winę biorę na siebie.

Nigdy nie możemy o tym rozmawiać. Ani nikomu powiedzieć.

Żegnaj,

F.L.

– Jaką to ma datę? – zapytałem.

– Zapisała to w pałdzierniku. Jest kilkanaście takich plików, każdy z setkami wiadomości. Szeryfie, Hattie była w sekretnym związku.

– Z F.L. – mruknąłem.

Jake otworzył kolejną wiadomość i przeczytaliśmy ją. Zjedliśmy burgery i przeczytaliśmy jeszcze kilka wiadomości.

HATTIE / Wtorek, 11 września 2007

– Kiedy się nad tym zastanowić, tak naprawdę jest tylko trzech chłopaków wartych tego, aby ich zaprosić na Sadie Hawkins.

– Ja bym dodała do tego jeszcze trzech. – Wywoływałam zamówienie pani Gustafson: trzydzieści ujęć brzydkich dzieci, gdy tymczasem Portia opierała się o ladę i studiowała swoje paznokcie. Z części drogeryjnej przyniosła lakiery w czterech nowych kolorach i teraz zastanawiała się, który najlepiej będzie pasował do tradycyjnej dla tej imprezy flaneli. Ignorując mnie, podniosła jedną z buteleczek do światła. Przypominała niebieski napój izotoniczny Gatorade. To kolor, w którym ja wyglądałam paskudnie, a ona, z tą swoją jasnobrązową cerą, wręcz przeciwnie.

Portia często odwiedzała mnie w pracy, jako że sklep monopolowy jej rodziców znajdował się tylko przecznicę dalej. Nie lubiła odrabiać pracy domowej w miejscu, gdzie ludzie kupowali piwo i prosili jej matkę o to, żeby powtórzyła, co mówi, dlatego że miała problem z wymawianiem „r”. Choć trochę czasu musiało minąć, nim sama zaczęłam ją rozumieć, zawsze strasznie lubiłam chodzić do ich domu. Pani Nguyen utyskiwała na nas tym swoim niskim staccato, nalewając do naszych talerzy pikantną zupę pho. Portia była wszystkim oczywiście mocno zawstydzona. Nie rozumiała, jak wspaniale jest nie pochodzić stąd.

– No dobrze, Trenton. – Zaczęła wyliczać potencjalnych towarzyszy, ustawiając ich w rzędzie niczym buteleczki z lakierem.

– Chodzi z Molly.

– Na razie. Do Sadie został jeszcze miesiąc. No i jest Matt.

– On ma metr w kapeluszu.
– No ale ja też. Nie każdy jest żyrafą, tak jak ty.
– Wolę określenie gazela. – Wsunęłam zdjęcia do koperty i przykleiłam kod kreskowy. – Albo nieodkryta modelka.

– Marz sobie dalej – prychnęła Portia.

– A ten trzeci to kto?

– Hmm? Och, Tommy.

– Jaki Tommy?

– Kinakis. – Wypowiadając to nazwisko, odwróciła wzrok.

– Tommy Kinakis? No co ty, Porsche?

– Bo co? Nie uważasz, że jest niezły?

W sumie był. Miał ładne włosy i oczy, ale był głupi jak but. Wielki but.

– O czym w ogóle byście ze sobą rozmawiali?

– Kto powiedział, że byśmy rozmawiali?

Przez chwilę się zastanawiałam, po czym rzekłam:

– Zaprosił mnie na jeden ze swoich meczów.

– Naprawdę? – Przestała bawić się lakierami. – I co, pójdziesz?

– Jasne. Znasz mnie. Dzień dobry, pani Gustafson.

Po tym jak Portia oddaliła się razem z lakierami, wydałam pani Gustafson zdjęcia. Opowiedziała mi o każdym brzydkim wnuku, a ja kiwałam głową i grzecznie śmiałam się z jej historii.

Kiedy już przejrzałyśmy wszystkie zdjęcia, położyła mi rękę na ramieniu.

– Niedługo kończysz szkołę, prawda, Hattie?

– Aha. Na wiosnę.

– I co potem?

Wiedziałam, jak brzmi prawidłowa odpowiedź na to pytanie. Powinnam oświadczyć, że wybieram się na studia pielęgnarskie albo jakieś inne, specjalizujące się w czymś równie produktywnym, a rozmowę zakończyć optymistycznym uśmiechem. Zamiast tego powiedziałam jej prawdę.

– Przeprowadzam się do Nowego Jorku.

Uniosła brwi.

– I co tam będziesz robić, skarbie?

– Będę aktorką na Broadwayu – wyjaśniłam.

– Cóż, w takim razie powodzenia.

Poklepałam ją po poprzecinanej fioletowymi żyłami dłoni i powiedziałam, żeby za jakiś czas szukała mojego nazwiska w gazetach. Kiedy wyszła, uśmiechając się i kręcąc głową, jakby to były tylko mrzonki, poczułam ożywczy przypływ adrenaliny, jak zawsze, kiedy mówiłam o swoich planach na głos. Zamierzałam wyjechać do Nowego Jorku i po raz pierwszy miałam gdzieś, co inni o mnie myślą. Pragnęłam od życia czegoś więcej niż Pine Valley, pragnęłam czegoś zupełnie innego.

Nie byłam głupia. Pewnie będę musiała załatwić sobie przeniesienie do którejś z nowojorskich filii CVS i przez jakiś czas tam pracować. Tak byłoby najprościej, a w czasie, kiedy zajmę się szukaniem czegoś lepszego, przynajmniej będę miała na czynsz. I owszem, może nie zostanę aktorką, ale miałam na to resztę życia, a teraz nie było już przecież tak, że aż do emerytury pracuje się w jednym miejscu. W nowym milenium chodziło o recykling, zmianę i fuzję. Mogłam być jednocześnie aktorką, fotografką i wyprowadzaczem psów albo pracownicą galerii, kelnerką i modelką. Jezu, popatrzcie na mnie teraz. Mogłam być setką różnych osób, zależnie od tego, z kim rozmawiałam albo jak się czułam. Wszystkie panie Gustafson tego świata musiały zrozumieć, że już nie zadaje się pytania „Kim zamierzasz zostać?”.

Portia kupiła różowy lakier i magazyn „People”, a potem poszła do sklepu rodziców. Kiedy jakiś czas później zbierałam się do domu, przysłała mi esemesa, w którym napisała, żebym zaprosiła Tommy’ego na Sadie Hawkins, a ja odpisałam: „Czemu nie ty?”. Nie odpowiedziała.

Pojechałam do domu, gdzie zjadłam kanapkę, a potem poszłam do siebie.

– Najpierw lekcje! – zawołała za mną mama, kiedy wchodziłam po schodach.

– Wiem! – odkrzyknęłam.

Zamknęłam za sobą drzwi, wyjęłam z torby podręcznik do historii i zeszyt i otworzyłam w laptopie stronę o średniowieczu, na wypadek gdyby mama do mnie zajrzała. A potem przeszłam na właściwą stronę: Puls.

Puls to forum dla nowojorczyków, na które zaczęłam wchodzić latem, gdyż umieszczano tam mnóstwo informacji o castingach. Sprawdziałam każde ogłoszenie: w wyszukiwarce szukałam informacji o sztuce, teatrze, a także reżyserze, dlatego że kilka tygodni temu rozpoczęły się próby w Teatrze Miejskim w Rochester i okazało się, że nasz reżyser Gerald uwielbia plotkować o swoich kolegach po fachu. Wiedziałam więc, o jakich reżyserów go pytać. Bardzo lubił, kiedy zadawano mu pytania, bo mógł wtedy wyrażać swoje zjadliwie złośliwe opinie, ale generalnie fajnie było słuchać, jak opowiada o nowojorskiej scenie teatralnej.

Zalogowałam się pod swoim nickiem, HollyG, i na ekranie pojawił się mój avatar: zbliżenie ryjów dwóch świń taty Heather. Jeśli nie było się córką farmera, nie miało się pojęcia, co to takiego. Wyglądało jak pogniecione, stare, różowe płótno z czarnymi rozcięciami. Ludzie z forum zawsze to komentowali. Uważali, że to kawał świetnej sztuki. Jedna osoba, kiedy się dowiedziała, że to ja jestem autorką zdjęcia, poprosiła mnie nawet o link do mojego portfolio. Wyglądało więc na to, że nowojorczyków łatwo jest oszukać.

Choć nie udzielałam się we wszystkich wątkach, czytałam absolutnie każdy post. Ludzie rozmawiali o premierach teatralnych, sztukach schodzących z afisza, nowym budynku, który wyglądał dosłownie koszmarnie, otwartej niedawno restauracji, która wyprzedzała swoje czasy, uciążliwym, niemającym końca remoncie ulicy i o tym, jaka stacja metra znajduje się najbliżej pewnej modnej galerii. Nigdy nie pisano o pogodzie czy telewizji, co stanowiło główne tematy rozmów w CVS. Zawsze miałam wtedy ochotę przewrócić oczami i rzec:

– Kogo obchodzi, czy wydano ostrzeżenie przed przymrozkami?

Wiedziałam jednak, że mojego tatę obchodzi i że to ważne dla jego upraw, rozmawiałam więc o tym tak, jakby to był najbardziej interesujący temat pod słońcem. Pod ladą trzymałam nawet *Almanach farmera*. Niemniej uważałam, że dlatego tak bardzo lubię Puls, gdyż mogę tam być sobą. Mogłam mówić, co naprawdę czuję, i pytać o to, co chciałam wiedzieć. Mama twierdziła, że internet jest niebezpieczny, ponieważ każdy jest w nim anonimowy i nigdy tak

naprawdę nie wiadomo, z kim się rozmawia, ale myślę, że właśnie dzięki temu nabrałam odwagi, aby się otworzyć. Na forach odnalazłam siebie. Codziennie w szkole stawałam się osobą, której chcieli moi nauczyciele i koleżanki, potem jechałam do pracy albo na próbę i byłam znowu kimś innym, a po powrocie do domu musiałam odrobić lekcje i próbować się domyślić, czego pragną moi rodzice – choć, szczerze mówiąc, jedynym, czego naprawdę pragnęli, było to, aby Greg wrócił do domu, a ja znowu miała dziesięć lat (*sorry*, mamó i tato. Tak się nie stanie) – a potem była już dziesiąta. Kiedy zalogowałam się na Pulsie, miałam wrażenie, że po raz pierwszy tego dnia swobodnie oddycham. Odprężyłam się i rozejrzałam po wątkach i wtedy właśnie dostrzegłam post napisany przez nowego użytkownika.

FanLit: Witam wszystkich. Jestem tu nowy. Przeczytałem na jednym z wątków, że w przyszłym tygodniu Thomas Pynchon będzie podpisywał swoją książkę i NIE MOGĘ W TO UWIERZYĆ. Nie będzie mnie wtedy w Nowym Jorku, ale jeśli ktoś się wybiera, czy mogę przesłać książkę do podpisania i 50 dolców za fatygę?

HollyG: 50 dolców za fatygę? Na pewno pochodzisz ze Środkowego Zachodu.

FanLit: Przyznaję się. Skąd wiedziałaś?

HollyG: No bo nikt nie robi tego za mniej niż 200, zresztą i tak do tego nie dojdzie. Thomas Pynchon to miejska legenda.

FanLit: Hmm. Czytałem jego książki i notkę biograficzną i wydaje mi się raczej prawdziwy.

HollyG: Nie sam facet. Podpisywanie książki to miejska legenda. Jesteś tu nowicjuszem, więc nie wiesz, że podpisywanie książki przez Thomasa Pynchona jest jak start Giulianiego na prezydenta, jak koniec robót drogowych na głównej przecznicy, jak Amelia Earhart lądująca na JFK.

FanLit: Och. No tak. Do bani. Taki byłem podekscytowany. Dlaczego więc ludzie wstawiają posty o tym wydarzeniu, jakby rzeczywiście miało dojść do skutku?

Kolejną wiadomość wysłałam jako prywatną.

HollyG: Niektórzy uważają to za zabawne, ale większość ma po prostu chrapkę na twoje 200 dolców. Oznaczyłam ten wątek dla moderatorów,

żeby go zdjęli. Tyle że czasem długo to trwa.

FanLit: No to pewnie powinienem podziękować ci za to, że uratowałaś mnie przed utratą pieniędzy i rozczarowaniem.

HollyG: Nie mogę dopuścić do tego, aby pobratymiec ze Środkowego Zachodu dał się wyrolować.

FanLit: Pochodzisz stamtąd czy tam teraz mieszkasz?

HollyG: Mieszkam, na razie. O tej porze za rok będę już w Nowym Jorku.

FanLit: A teraz gdzie jesteś?

HollyG: Południowa Minnesota.

FanLit: Ja też! Niestety. Jaka miejscowość?

HollyG: To zbyt krępujące. Poza tym jesteś pewnie pedofilem, a ja nie zamierzam spotkać się z tobą w najbliższym McDonalddie.

FanLit: Skoro chwalisz się McDonalddem, to z całą pewnością nie mieszkamy w tej samej miejscowości. No to wyjaśnijmy coś sobie: czy skoro ja jestem pedofilem, to ty jesteś używającą komputera taty sześciolatką?

HollyG: Oczywiście.

FanLit: W takim razie udzielę ci rady. Nie zagłądaj do internetowych plików tymczasowych tatusia.

HollyG: 😊

FanLit: Och – teraz już rozumiem.

HollyG: ??

FanLit: HollyG. Tyle że w tej chwili jesteś jeszcze Lulą Mae, prawda?

HollyG: Jeśli rzeczywiście jesteś fanem literatury, to naprawdę sporo czasu ci to zabrało.

FanLit: Cóż mogę rzec? Jestem równie wolny jak moje łącze internetowe. Dobrze, że tak naprawdę nie mam z kim tutaj rozmawiać.

HollyG: Biedny, samotny FanLit. [W tle grają skrzypce]

FanLit: Wiem, wiem. Tyle że dopiero niedawno przeprowadziłem się do tej dziury i brak mi kontaktu z przyjaciółmi.

HollyG: Przyjechałeś tu z własnej woli???

FanLit: To kwestia dyskusyjna. Przyjechałem z powodu mojej żony.

HollyG: Czemu więc nie rozmawiasz z żoną?

FanLit: Eee... rozmawiam.

HollyG: Nie, powiedziałaś, że nie masz z kim rozmawiać, pamiętasz? No a żona?

FanLit: Och, niech ci będzie. Widać, że nie jesteś mężatką.

HollyG: Mam sześć lat. Na razie nie wolno mi nawet pracować legalnie w fabryce.

FanLit: 😊

HollyG: No dobrze, panie FanLit, jacy są twoi ulubieni autorzy, nie licząc nieuchwytnego Pynchona? Z całą pewnością nie Capote...

I tak się to ciągnęło tygodniami. Wrzesień przeszedł w październik i wszystko inne wydawało się normalne. Cała szkoła dosłownie oszalała, kiedy drużyna futbolowa dotarła do regionalnych playoffów. Miałam przymiarki kostiumów w teatrze, a próby odbywały się już bez pomocy scenariusza. Zaczęły się testy w połowie semestru i tato Portii wkurzył się, kiedy dostała dwójkę z trygonometrii.

Pozostawałam tego wszystkiego praktycznie nieświadoma. Zamiast tego nieustannie wchodziłam w telefonie na forum. Za każdym razem, kiedy sprawdzałam skrzynkę prywatną, znajdowałam wiadomość od niego. Czasami dla nowych tematów zakładaliśmy nowe wątki prywatne, a wieczory często spędzaliśmy online, godzinami pisząc do siebie. Opowiedział mi o Donie DeLillo i Davidzie Fosterze Wallasie, rozmawialiśmy także na temat najlepszych dzieł Toma Stopparda i Edwarda Albee'ego. Oboje uważaliśmy, że nowy gmach teatru Guthrie jest po prostu wspaniały, i nie zgadzaliśmy się co do okropności sceny teatralnej w Rochester. Nie powiedziałam mu o swojej roli w *Jane Eyre*. Oboje uważaliśmy, żeby zbyt wiele nie opowiadać o swoim życiu. Raz nazwał swój dom obozem śmierci, ale nigdy nie mówił o pracy ani żonie. Pytał mnie na przykład o to, jaką postacią z literatury chciałabym być. Nie miałam pojęcia. Stawałam się główną bohaterką każdej książki, którą czytałam. Czulałam, że wchodzi w jej skórę, nie miało to nic wspólnego z tym, czy ją lubię ani czy chciałabym nią być. Mówił, że kiedy był młodszy, chciał być Charliem Bucketem, a kiedy skończył dwadzieścia lat, przeczytał *Miłość w czasach zarazy* i poczuł dziwną zazdrość w stosunku do

Florentina Arizy, który przez pięćdziesiąt lat kochał kobietę, choć nie mógł z nią być. Odpisałam, że skoro miał ochotę przez całe życie czuć frustrację i smutek, to czemu nie został po prostu doradcą zawodowym? Zaśmiał się, a potem odpisał: „Florentino wiedział, czego chce. Nawet Charlie wiedział, czego chce. Ja chyba po prostu chciałbym wiedzieć, co jest moją fabryką czekolady”.

Był żonaty, do tego pewnie łysy, gruby i puszczał gazy – i nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ nie przebywaliśmy w prawdziwym świecie. Opowiadałam mu o tym, co naprawdę czuję, że najbardziej na świecie pragnę się przeprowadzić do Nowego Jorku, ale że czasami ogarnia mnie przerażenie, gdyż nie mam planu ani nikogo tam nie znam i nikomu nie mogę o tym powiedzieć. Odparł, że wszystko, co warto jest robienia, powinno z lekka przerażać i że sporo wspaniałych historii bierze swój początek z podróży. Wtedy zaczęłam wklejać tekst piosenki Journey i wkrótce oboje kołysaliśmy się w rytm *Don't Stop Believin'*. Zaczęłam wyobrażać sobie FanaLit, kiedy leżałam wieczorem w łóżku; słyszałam bicie swojego serca, a w głowie pełno miałam wszystkiego, co zamierzałam zobaczyć i zrobić, i udawałam, że to nie moje dłonie, a jego prześlizgują się w górę moich ud, że to on mnie dotyka, że on także mnie pragnie.

FanLit: Wiesz, że dzisiaj mija miesiąc, odkąd piszemy ze sobą na privie?

HollyG: Dziś zmieniłeś się w dziewczynę?

FanLit: To pewnie czyni z ciebie mężczyznę w naszym związku.

HollyG: Nie wiem, czy kilka wiadomości można nazwać związkiem.

I miesiąc? Boże, według mnie rocznice obchodzi się po upływie roku.

FanLit: Oczywiście, że to jest związek. Wszystko nim jest. Można być w związku ze swoją kurą, na litość boską.

HollyG: Tylko dziewczyna ze wsi mogłaby coś takiego przeczytać i nie zrozumieć opacznie.

FanLit: A więc w końcu się przyznajesz, Lulo Mae.

HollyG: Do niczego się nie przyznaję. To było tylko stwierdzenie faktu. Ja zrozumiałam to zupełnie inaczej.

FanLit: Czyżby?

HollyG: <wyobraża sobie> Cip, cip, śliczne kurki. FanLit nic wam nie

zrobi.

FanLit: LOL.

HollyG: 😊

FanLit: Ależ ty mnie słabo znasz, wcale bym ich tak nie przywoływał. Jestem znacznie subtelniejszy.

HollyG: Jakie więc byłoby twoje podejście?

FanLit: Hmm... Nigdy nie myślałem o metodach uwodzenia kur. Wstrzymałam oddech, kiedy na monitorze pojawiła się ostatnia odpowiedź. Pisałam powoli, z rozmysłem, czując, jak wzbiera we mnie wyczekiwanie.

HollyG: Udawaj, że jestem kurą. Zrób to najlepiej, jak potrafisz. Nie odpisywał przez całą długą minutę.

FanLit: Jesteś pewna?

I wtedy właśnie zrozumiałam, że zakochałam się w tym widmowym mężczyźnie. Nie próbował stroić sobie żartów ani mnie zbyć. Jego odpowiedź mi powiedziała, że czuje pokusę, ale robi to tylko wtedy, jeśli będę mieć całkowitą pewność. Serce zaczęło mi walić jak młotem.

HollyG: Tak.

FanLit: No cóż...

Wzrok miałam przyklejony do ekranu.

FanLit: Najpierw...

Jeszcze nigdy tak wolno nie pisał. Praktycznie słyszałam jego myśli, widziałam, jak jego wzrok prześlizguje się po moim ciele.

FanLit: Przesunąłbym opuszkami palców w górę twoich pleców, zaczynając od bioder, aż do szyi, do tych wgłębień za uszami, gdzie, jak mówiłaś, masz łaskotki. Ale to akurat by cię nie łaskotało...

Tego wieczoru po raz pierwszy uprawialiśmy seks.

Pewnego dnia w połowie października siedziałam na angielskim i próbowałam się skupić na wykładzie, ponieważ pan Lund lubił wywoływać do odpowiedzi bez żadnego ostrzeżenia, a jednocześnie śniłam na jawie o wczorajszym czacie z FanemLit. Kiedy wspomniał coś o *Jane Eyre*, odparłam, że książka ta byłaby o wiele lepsza, gdyby żona spaliła pana

Rochestera w jego łóżku, zwała to na Jane, a potem szturmem podbiła Londyn. Stwierdził, że odarłoby to zupełnie tę powieść z moralnego przesłania, na co ja zauważyłam, że jedyną osobą, która nie otrzymałaby tego, na co zasłużyła, byłaby Jane i że powinna się była domyślić całej intrygi. Głupota wielu ludzi zaprowadziła na szubienicę. Czemu Jane miałaby stać się wyjątkiem? Wtedy mi powiedział, że byłabym dobrym dyktatorem, i oboje się zaśmialiśmy.

Oderwałam się od tych marzeń, kiedy po klasie zaczęły krążyć egzemplarze naszej kolejnej lektury.

To była *Jane Eyre*.

– Wiem, że dla facetów nie jest to może porywająca lektura, ale uwierzcie mi, każda z sióstr Brontë jest lepsza od Jane Austen.

– Czemu nie możemy przeczytać czegoś z tego wieku? – ktoś zapytał.

– Ten wiek ma dopiero kilka lat. Wybór jest zdecydowanie mniejszy, no i wszystkie książki to pierwsze wydania, więc są droższe. Szkoła nie chce wydawać na nie pieniędzy, ale nie usłyszeliście tego ode mnie.

– To nie ta książka, w której kopniętą żonę zamyka się na strychu? – zapytała Jenny Adkins, przebiegając wzrokiem po tekście na okładce. Była zagorzałą anglofilką, obejrzała każdy możliwy brytyjski film i kochała się w Hugh Grancie. Raz ją próbowałam przekonać, jaki z niego beznadziejny aktor, ale ona jedynie westchnęła i zaszemrała: „To nie aktor. To gwiazda”.

– Bez spoilerów, Jenny, bardzo proszę. – Wszyscy się roześmieli, a pan Lund oparł się o biurko, jak zawsze, kiedy rozpoczynał wykład. – Prawdę mówiąc, wczoraj ktoś mi powiedział, że ta książka byłaby znacznie lepsza, gdyby żona głównego bohatera spaliła go w jego łóżku, zrzuciła to na główną bohaterkę, a sama szastała w Londynie jego pieniędzmi.

Prawie nie słyszałam śmiechu, jaki rozległ się w klasie. O mój Boże. O MÓJ BOŻE. Jego twarz stała się niewyraźna. Jego twarz, twarz FanaLit, twarz, o której marzyłam od tygodni. Twarz, której tak bardzo pragnęłam dotknąć, teraz znajdowała się tutaj, w tym samym pomieszczeniu co ja. Zamarłam, a serce waliło mi tak głośno, że byłam pewna, iż Portia także je słyszy. O mój Boże.

– Hattie?

Podskoczyłam.

– Co?

– Witamy z powrotem. – Uśmiechnął się szeroko, a ja z trudem przełknęłam ślinę. – Powiedziałem, że zakładam, iż już to czytałaś.

– Tak, czytałam. – Stało się to swoistym żartem między nauczycielem a jego pupilką. Przeczytałam już wszystko z programu zajęć z wyjątkiem jakiejś książki o Wietnamie, którą mieliśmy omawiać dopiero w okolicach Święta Dziękczynienia.

– Jakieś przemyślenia, którymi chciałabyś się podzielić z klasą, nim oddamy się wszyscy lekturze?

Mogłam to teraz zrobić. Mogłam rzucić jakąś uwagę o tym, że ta książka to moralitet, cytując to, co mi wczoraj napisał, i on poznałby wtedy prawdę. Otworzyłby szeroko oczy, twarz by mu pobladła. W wyobraźni widziałam tę scenę, widziałam w jego oczach szok i wstyd. Zerwałby ze mną kontakt i już nigdy nie odezwałby się do mnie poza czterema ścianami tej klasy.

I właśnie dlatego tak nie zrobiłam.

– Podobało mi się to, jak Jane przejęła kontrolę nad swoim życiem. Sama zadecydowała o swoim przeznaczeniu.

Wypowiadając te słowa, patrzyłam przez okno, nie będąc w stanie spojrzeć nauczycielowi w twarz. Bałam się, że jakimś cudem zobaczy to w moich oczach, że domyśli się prawdy, a nasz cyberromans dobiegnie końca.

Bycie zakochanym w Peterze okazało się zaskakująco proste – teraz myślałam o nim jako o Peterze, mimo że online nadal nazywałam go FanemLit, a w szkole panem Lundem. Miałam wrażenie, że odgrywa różne role, tak jak ja. Przyglądałam mu się na zbiórkach kibiców, uczyłam się na pamięć jego garderoby i grafiku. Wiedziałam nawet, jakim jeździ samochodem – zdezelowanym, niebieskim mitsubishi, z którego część chłopaków stroiła sobie żarty, bo była to marka zagraniczna, a tutaj podejrzany był każdy, kto nie jeździł fordem albo GM. Widziałam, że rozmawia tylko z jednym nauczycielem, panem Jacobsem. Beznadziejny facet. Jedyne, o czym miał ochotę nauczać na swoich lekcjach historii, to wojny; na okrągło nawijał

o tym, który kraj zaatakował który, a na tablicy rysował niekończące się schematy pól bitewnych. A jeśli chodzi o przyjaciół, to wkrótce stało się jasne, że Peter poza mną nie miał nikogo.

Za to ja wynagradzałam mu wszystko.

Pewnego dnia wykładałam na półki towar, kiedy do CVS weszła Mary Lund, żeby odebrać leki dla matki. Nie poznałam jej. Wychowywała się w Pine Valley, ale była osiem lat starsza ode mnie, więc nigdy się nie znałyśmy. Dopiero kiedy usłyszałam, jak rozmawia z aptekarką o Elsie Reeve, teściowej Petera, dotarło do mnie, kto to taki. Na chwilę znieruchomiałam; poczerwieniałam i dopadły mnie wyrzuty sumienia, choć wiedziałam, że ona nie ma pojęcia o tym, że jej mąż niemal co wieczór ze mną rozmawia. Razem z kartonem leków antyhistaminowych przeszłam do alejki z preparatami na kaszel i przeziębienie, żeby lepiej się przyjrzeć Mary.

Nie była ani za wysoka, ani za niska, ani za gruba, ani za chuda. Jej uczesane w kucyk włosy miały odcień burego blondu. Była opalona i miała na sobie stare džinsy i zwyczajną bluzę z kapturem, którą we Fleet Farm można kupić za dziesięć dolców. Nie widziałam w niej niczego szczególnego, nie rozumiałam, dlaczego Peter ją wybrał. Jedyne, co ją wyróżniało, to dwa spore znamiona obok prawego ucha. Z daleka wyglądało to tak, jakby wampir nie trafił z ugryzieniem w szyję.

Stałam na tyle blisko, żeby słyszeć całą rozmowę. Wykładałam towar na półkę, a minę miałam znudzoną, by nikt sobie nie pomyślał, że podsłuchuję.

– Jak sobie radzi z tlenem? – zapytała aptekarka.

Mary wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Poziom energii nie uległ zmianie, ale ona twierdzi, że dzięki niemu czuje się lepiej.

– Czasami to właśnie jest najważniejsze.

– Pewnie tak. Nadal nie przejdzie dalej niż z pokoju do pokoju. Potem musi usiąść i odpocząć.

– Elsa ma szczęście, że tu wróciłaś. Większość ludzi w jej stanie przebywałaby już w domu opieki.

Z odległości trzech metrów usłyszałam, jak wzdycha.

– Może ona też powinna tam być. Boję się zostawiać ją samą, nawet na krótko, tak jak teraz.

– Ale jest z nią twój mąż.

– No tak. – Pauza. – Ma pani rację.

Przez kilka minut rozmawiały o lekarstwach, dawkowaniu i skutkach ubocznych, a potem Mary wyszła.

Od mamy wiedziałam, że Peter i jego żona mieszkają na starej farmie Reevearów, i teraz wszystko zaczęło się układać w jedną całość. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziałam panią Reevear. Chodziła do tego samego kościoła co my, ale ostatnio jej tam nie spotykałam.

Niewykluczone, że była za słaba, co znaczyło, że może niedługo umrzeć albo umieszczą ją w domu opieki, o czym wspomniała żona Petera. Tak czy inaczej, to by znaczyło, że on stąd wyjedzie. Na tę okropną myśl ogarnęła mnie panika, której nie potrafiłam się pozbyć do końca tygodnia.

W następną niedzielę pani Reevear zjawiała się w kościele. Peter i jego żona pomogli jej wejść po schodach, i wyglądało to tak, jakby całą trójką poruszali się w zwolnionym tempie. W końcu posadzili ją w ostatniej ławce, a pani Reevear ścisnęła w ręce rurkę z tlenem i oddychała płytko, przez co poliestrowe kwiatki na jej sukni lekko się poruszały. Peter postawił na ziemi zbiornik z tlenem; na twarzy jego żony na chwilę pojawiło się uczucie wdzięczności, ale on tego nie widział. Pozostałą część mszy Mary Lund spędziła na pomaganiu matce. Raz próbował coś do niej powiedzieć, ale albo go nie usłyszała, albo zignorowała. Kiedy nadeszła pora hymnów, tylko ona z ich trójki wstała. Pani Reevear wypowiadała bezgłośnie słowa, które musiała znać na pamięć, ponieważ nie trzymała w ręce zbioru hymnów, zaś Peter nawet go nie otworzył. Wzrok miał wbity w ławkę przed nimi. Czasami podnosił głowę i rozglądał się po kościele i w jednej z takich chwil zobaczył, że mu się przyglądam.

Serce podeszło mi do gardła i choć czułam, że moje policzki zaczynają oblewać się rumieńcem, nie odwróciłam wzroku. Oczywiście, że mogłam się w ten sposób zdradzić. Kiedy zastanawiałam się nad tym, co zrobić, on się uśmiechnął. Nie tak, jak nauczyciel do ucznia, kiedy ich ścieżki krzyżują się

poza murami szkoły, ale był to szczerzy uśmiech osoby, która się cieszy na twój widok. Przez ułamek sekundy wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie, że będzie wyglądał, kiedy mu powiem prawdę. Nie byłam w stanie oddychać, nie mówiąc o śpiewaniu tego głupiego hymnu. Odwzajemniłam uśmiech i uniosłam rękę w geście pozdrowienia, po czym powoli się odwróciłam, mając nadzieję, że nadal na mnie patrzy, że jego oczy błędzą po mojej sylwetce i że podoba im się to, co widzą.

I wtedy podjęłam decyzję. Z mocno bijącym sercem, mając w pamięci słowa sekretnej modlitwy, którą odmawiałam co tydzień, czułam pragnienie większe niż cokolwiek, co znałam do tej pory. Kiedy to sobie uświadomiłam, niemal padłam na kolana. Pragnęłam, aby Peter uśmiechał się tak do mnie każdego dnia, aby brał mnie za ręce i opowiadał o wszystkim, co myśli. Pragnęłam opleść go nogami i poczuć, jak wbija się we mnie. Pragnęłam czuć zapach jego spoconego ciała, nocą w środku lata, kiedy za oknem słyszeć cykady.

Pora, aby HollyG poznała FanaLit.

PETER / Październik 2007

Najbardziej ze wszystkiego lubiłem bieganie, ponieważ pomagało mi zapomnieć. Było coś w tej równowadze spokojnego terenu i miarowego tempa, co usuwało z mojej głowy wszystkie poważniejsze myśli.

W Minneapolis biegałem wokół jeziora, a po przeprowadzce do Pine Valley zacząłem od bocznych dróg w sąsiedztwie farmy, aż znalazłem lepszą trasę. Dołączyłem do licealnej grupy uprawiającej biegi przełajowe.

Oczywiście nieoficjalnie. Grupę trenował jeden z nauczycieli matematyki i próbował mnie zwerbować na stanowisko swojego asystenta, ale za żadne skarby nie zamierzałem się wyrzec wszystkich sobotnich poranków od teraz aż do Święta Dziękczynienia. Po prostu biegałem razem z chłopakami. Zнали każdy skrót i szlak w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i we wtorki oraz czwartki po szkole ruszaliśmy w teren, niewielka grupa ludzi przebiegająca obok pastwisk, z których gapiły się na nas krowy. Większość chłopców wyglądała tak jak ja w liceum – niezdarni, spaleni słońcem i kompletnie pozbawieni tkanki mięśniowej – ale bieg po nierównym terenie uczył ich wytrzymałości. Ćwiczyliśmy podbiegi pomiędzy rzędami kukurydzy i robiliśmy okrążenia na świeżo zaoranych polach. Sprintem pokonywaliśmy proste odcinki na boisku do piłki nożnej, a potem okrążaliśmy jezioro Crosby, żeby nauczyć się manewrować na wąskiej ścieżce. Chłopcy próbowali wyjść na prowadzenie w miejscu, gdzie ścieżka rozszerzała się koło opuszczonej stodoły, i stało się wesołą tradycją, że zbliżając się tam, cali się spinali, uśmiechali się szeroko i szykowali do szaleńczego przyspieszenia. Ja zostawałem z tyłu, żeby dopingować maruderów, wołając na przykład:

„Tempo, tempo”, „Nie chodzi o tempo, ale o wysiłek” i „Dalej, nie poddawaj się”.

Zapominałem.

Przebiegałem wiele kilometrów, wyrównując oddech, czując, jak pieką mnie łydki, i wpatrywałem się w pusty horyzont z uczuciem pełni szczęścia. Jej słowa spadały na mnie jak krople deszczu, z niczym niepołączone, i gasiły coś we mnie, tę dogłębną jałowość, do której istnienia niechętnie się przyznawałem.

I zapominałem, jaki ze mnie gnojek.

Zdradzałem żonę.

Na ogół próbowałem to usprawiedliwiać, wmawiając sobie, że nawet przecież nie poznałem HollyG. Była jedynie nickiem na monitorze, internetową syreną. Czy moja rosnąca fiksacja na jej punkcie różniła się czymkolwiek od kupowania „Penthouse’u”?

Znałem ją dogłębnie, a jednocześnie w ogóle. Potrafiłem powiedzieć, jakie ma zdanie na temat dowolnej książki czy sztuki, wiedziałem, jaki jest jej ulubiony drink, dlaczego nie znosi telewizyjnych programów typu *reality show*, jacy ludzie ją denerwują. A mimo to nie znałem jej twarzy, wieku, wagi ani życia. Mogła być rozwódką z szóstką dzieci. Mogła czekać, aż znajdzie nową pracę i będzie mogła odejść od męża. Jak miałbym zdradzać z kimś, kogo nie byłbym w stanie rozpoznać podczas policyjnego okazania?

Owszem, uprawialiśmy seks. Trzy razy. To był jednak cyberseks. Czym on się różnił od tego z romansów Elsy? Nie miałem kogo o to zapytać, nie ufałem nikomu z wyjątkiem HollyG, a kiedy pewnego dnia złamałem się i poruszyłem ten temat, oświadczyła mi, że w głębi duszy każdy zdradza i że nie jestem wcale lepszy od innych. Oczywiście roześmiałem się, ale powiedziałem, że bardziej martwi mnie to, że mogę być gorszy od innych. Wtedy odparła coś, czego nigdy nie zapomnę. Długo nie odpisywała, aż w końcu na monitorze pojawiły się dwa zdania: „Nie jesteś gorszy ode mnie. Tylko to się liczy”.

Boże, na widok tych słów ogarnęła mnie euforia. Taka euforia, jaka ogarnąć może tylko prawdziwego gnojka. Przeczytałem jej odpowiedź z kilkanaście razy, ciesząc się tym, jak nas w kilku prostych słowach

sparowała, jak staliśmy się jedyną linijką, którą mierzy się wszystkich innych. Nie jesteś gorszy ode mnie, tak napisała. A więc ona także była w związku małżeńskim. Na swój sposób pocieszająca stała się myśl, że ona także jest winna, że nawet nasze grzechy są porównywalne.

Zamknąłem się w pokoiku na górze, powiedziawszy Mary i Elsie, że będę sprawdzał prace i pisał konspekty.

– Ile planów lekcji potrzebujesz dla tych dzieciaków? – zapytała mnie Elsa pewnego wieczoru, kiedy sprzątałem ze stołu i szykowałem się do odwrotu.

– W pierwszym roku ma się naprawdę dużo pracy. Zaczynam od zera, a mam sześć klas i uczniów w różnym wieku i na różnym poziomie, nie wspominając o przygotowywaniu do egzaminów państwowych. Na każdy dzień muszę mieć osobny plan zajęć.

– Ale jest piątek, no nie? – Elsa spojrzała na Mary, a ta kiwnęła głową, zgarniając resztki ziemniaków do metalowej miski, którą po kolacji zawsze wystawiała na dwór dla mieszkających w stodole kotów. Od tamtego dnia, w którym zabiła kurę, żona coraz rzadziej się do mnie odzywała.

– Tym bardziej warto się do tego zabrać i mieć potem z głowy.

Wyjąłem z lodówki colę i wyszedłem z kuchni, nim Elsa zdążyła zadać mi więcej pytań. Powinienem był zapytać Mary, czy pomóc jej w zmywaniu albo jakie ma plany na weekend, co nieco by złagodziło galopujące wyrzuty sumienia, które mnie nawiedzały za każdym razem, kiedy na nią patrzyłem. Ona jednak zdawała się niczego ode mnie nie chcieć, jakby moja kompletna nieudolność w roli farmera wykluczała mnie z każdego innego obszaru jej życia. Nie ciągnąłem tematu. Nie próbowałem już do niej dotrzeć, a kiedy zamykałem za sobą drzwi i logowałem się do komputera, czułem się w pewnym stopniu usprawiedliwiony – taki był ze mnie sukinsyn – ponieważ to ona pierwsza się ode mnie odsunęła. To Mary porzuciła nasze małżeństwo na rzecz kogoś innego, a kiedy HollyG znalazła mnie na tym forum, byłem w desperacji. W tamtym czasie każdy wieczór poświęcałem na szukanie pierwszych wydań, książek z autografami autorów i pozycji rzadko spotykanych albo już niewydawanych. Tak właśnie reagowałem na poczucie straty od czasu, kiedy jako dziesięciolatek przeżyłem rozwód rodziców.

Przyciągała mnie do tego nie tylko możliwość ucieczki, ale także przewidywalność. Książki były czymś ograniczonym, światem zawartym między dwiema okładkami, który dawało się powtarzać za każdym razem, kiedy je otwierałem na pierwszej stronie. Bez względu na to, ile nieszczęścia na swoich bohaterów sprowadzał Tołstoj ani jak często bohaterowie Chucka Palahniuka pieprzyli sobie życie, ich losy stały się pewne i nieuchronne. Mogłem na nie liczyć. Samotny i głodny czegoś znajomego, wybrałem się na poszukiwanie książek. Zamiast nich znalazłem coś zupełnie innego.

HollyG: A więc jesteś.

Jej słowa, zawsze tak pełne życia i bezpośrednio, zdolne dotrzeć do mojego jestestwa, pojawiły się na ekranie i odsunęły ode mnie wszelkie myśli o Mary i niewierności. Zdziwiłem się jednak. Rzadko tak wcześnie była online.

HollyG: Wieczór się wlecze. Nudzę się i mam ochotę zobaczyć twoją twarz.

FanLit: Uznam to za metaforę.

Przemawiał przeze mnie belfer, choć w zawodzie pracowałem od niecałych dwóch miesięcy.

HollyG: Nie, powiedziałam to w sensie dosłownym.

FanLit: ??

HollyG: Chcesz mnie poznać?

Wyprostowałem się na chybotliwym krześle i jeszcze raz przeczytałem to, co napisała, chcąc się upewnić, że dobrze zrozumiałem jej słowa. Napisałem coś, skasowałem, zacząłem jeszcze raz.

FanLit: Chcę, ale to nie jest dobry pomysł. Znasz moją sytuację.

HollyG: Znam. W takim razie może poznamy się bez poznania?

FanLit: Raz jeszcze „??”. Co masz na myśli?

HollyG: W przyszłym tygodniu teatr w Rochester wystawia *Jane Eyre*.

FanLit: Czy w tej wersji żona zgarnia wszystko? 😊

HollyG: Będziesz musiał przyjechać i się tego dowiedzieć.

FanLit: Nie rozumiem. Będziesz tam?

HollyG: Zjawię się na czwartkowym przedstawieniu popołudniowym.

Włożę szarą sukienkę z białymi mankietami. Nie porozmawiamy ze sobą ani nawet nie usiądziemy blisko siebie. Poznamy się bez poznania.

FanLit: Nie mogę. I tak już stąpamy po cienkim lodzie.

HollyG: Nie martw się, nie pozwolę ci wpaść do wody. Przemyśl to. Ja tak czy inaczej przyjadę.

Boże, nie potrafiłem wyrzucić tej myśli z głowy. Dręczyła mnie przez dwa dni. Pokusa, aby ją zobaczyć, nadać twarz jedynej osobie w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, której na mnie zależało, była nieodparta. Nim nastał niedzielny wieczór, poddałem się jej. Cóż mogło być bardziej niewinnego niż dwoje nieznajomych oglądających przedstawienie z dwóch przeciwnych rzędów w teatrze? Poza tym miałem nadzieję, że jej widok położy kres memu obłąkańczemu zadurzeniu. Może się okaże, że ma sześćdziesiąt lat albo egzemę. Mogłem sobie marzyć.

Powiedzenie w szkole, że jestem chory, nawet nie wchodziło w grę. Dzięki zażyłej znajomości Elsy z dyrektorem Mary dowiedziałyby się o mojej udawanej chorobie jeszcze przed antraktem. Na razie nie kwalifikowałem się także do urlopu, ale kiedy w poniedziałek rano przekroczyłem próg szkoły, miałem opracowany plan. W jednej z klas przerabiałem właśnie *Jane Eyre*, czemu więc nie wybrać się na przedstawienie? Towarzyszyłoby mi osiemnaścioro dzieciaków, cieszących się z dnia poza szkołą razem z nowym, fajnym nauczycielem. Doskonała przykrywka. Nim pierwszy uczeń wszedł do klasy na pierwszą lekcję, zdążyłem już uzyskać aprobatę dyrektora, zarezerwować autobus i wydrukować zgody na wyjazd, które mieli podpisać rodzice.

Kiedy jednak w wieczór poprzedzający przedstawienie Mary i ja położyliśmy się do łóżka, własna obłuda przyprawiała mnie o mdłości.

– Co się stało? – zapytała Mary.

Opowiedziałem jej o wycieczce.

– Chyba po prostu denerwuję się tym, co może się zdarzyć.

– Wszystko będzie dobrze – odparła z ziewnięciem.

Obróciłem się twarzą do niej. Do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

– A może też się wybierzesz? Mogłabyś zjawić się w szkole i jechać

razem z nami autobusem. Będzie jak w Minneapolis, tyle że teraz mam zniżki dla nauczycieli.

Wezbrała we mnie nadzieja, ale Mary pokręciła głową i strzepnęła poduszkę, po czym położyła się na boku, twarzą do ściany.

– Jutro jadę z mamą do kardiologa. Zapomniałeś?

– Przełóż to.

– Nie, Peter. Trzy miesiące czekałyśmy na tę wizytę. Dasz sobie radę.

– Dlaczego nigdy już nie masz dla mnie czasu?

Odwróciła się w moją stronę i pociągnęła kołdrę.

– Żartujesz? Prosisz mnie o to dzień wcześniej i spodziewasz się, że wszystko dla ciebie rzucę?

– Pomyślałem, że byłoby fajnie. Wybacz, że mam ochotę spędzić miło czas z żoną.

Pokręciła głową i dziabnęła mnie palcem w klatkę piersiową.

– Nie, dopiero co mówiłeś, że denerwujesz się tym, że jedziesz sam. Nie próbuj udawać, że chodziło ci o nas. Jeśli chcesz się gdzieś ze mną wybrać, zrób to wtedy, kiedy nie będzie ci towarzyszyć dwudziestka nastolatków.

Odsunęła się najdalej, jak się dało, i kilka minut później zasnęła, gdy tymczasem ja leżałem i wpatrywałem się w jej plecy.

Nazajutrz nie byłem się w stanie na niczym skoncentrować. Podczas wszystkich porannych lekcji kazałem uczniom pracować w małych grupach. Nie miałem ochoty na lunch, a kiedy Carl zapytał mnie, co się dzieje, mruknąłem coś o problemach z zatokami. W autobusie jeden z uczniów musiał mi przypomnieć o sprawdzeniu listy obecności i dopiero wtedy stałem się świadomy tego, że Hattie Hoffman, moja ulubienica w tej klasie, jest dziś nieobecna. Podróż do Rochester nie trwała długo i nim zdążyłem się przygotować, weszliśmy do niedużego teatru, na którego widowni znajdowało się dwieście krzeseł obitych wyblakłym czerwonym pluszem. Sala była w połowie pełna i możliwie subtelnie przeczesalem wzrokiem widownię, jednak żadna z kobiet nie miała na sobie szarej sukienki. Nawet kiedy światła przygasły i zaczęło się przedstawienie, co chwila się oglądałem na te cholerne drzwi. HollyG się zjawi, byłem pewny. Może się jednak spóźnić, tak

z przekory. Nie miałem pojęcia, co się dzieje na scenie, dopóki siedząca obok mnie uczennica nie wciągnęła głośno powietrza i nie szturchnęła mnie łokciem w żebra.

– To Hattie!

– Słucham? – szepnąłem i spojrzałem na scenę.

Skupiłem się na sztuce i pośrodku sceny zobaczyłem Hattie Hoffman prowadzącą dialog ze starszą kobietą z włosami spiętymi w ciasny kok. Przekartkowałem program i spostrzegłem jej nazwisko. Grała tytułową rolę. A to gówniara. Nie wspomniała o tym ani słowem, kiedy rozdawałem wydrukowane zgody dla rodziców. Sądziłem nawet, że powie coś o tej wycieczce, jako że Hattie zawsze miała własne zdanie na każdy temat, ale ona milczała i miała wzrok wbity w zeszyt. Krępowało ją, że gra w tej sztuce?

Słuchałem przez chwilę i jasne się stało, że Hattie dobrze sobie radzi na scenie. Nie próbowała naśladować angielskiego akcentu, co było mądrym posunięciem, i swoje kwestie wypowiadała ostrożnie, z dokładnie takim niepokojem, jaki okazała Jane, kiedy oświadczyła, że odchodzi ze szkoły dla dziewcząt w Lowood, aby szukać swojego przeznaczenia w Thornfield Hall. Im dłużej ją obserwowałem, tym bardziej to było niesamowite. Hattie na co dzień poruszała się z niespieszną gracją; zawsze zwracałem na to uwagę, gdyż to właśnie różniło ją od reszty uczniów. Na scenie jej pewność siebie zniknęła; w stu procentach stała się Jane. Wstrzymywałem oddech w momencie, kiedy robiła to Hattie, patrzyłem tam, gdzie błędził jej wzrok. Byłem urzeczony w stopniu, którego nie rozumiałem. Może dlatego, że była moją uczennicą i czułem coś na kształt dumy. Tyle że nie do końca była to duma. Było to coś bardziej intensywnego i dręczącego, jakbym powinien zdawać sobie z czegoś sprawę.

W tej chwili pani Fairfax kazała jej przywdziać swoją najlepszą suknię, gdyż miała poznać pana Rochester, a Hattie stała poważna, wygładziła fałdy swojej szarej sukienki i nerwowo pociągnęła za jasne mankiety.

– To moja najlepsza suknia, pani Fairfax.

Jej suknia. Och. Kurwa. Mać.

To niedające spokoju uczucie z tyłu głowy eksplodowało i wszystko stało

się zamazane. A kiedy w końcu znowu byłem w stanie widzieć, dwie kobiety przechodziły właśnie przez scenę. Biodra Hattie oddalały się spokojnie, zakryte szarością, szarością, szarością. O Boże.

Nie. Obcesowo rozglądałem się i lustrowałem wzrokiem wszystkie osoby na widowni, desperacko szukając kogoś innego. Kogokolwiek. Nie romansowałem z jedną ze swoich uczennic, na rany Chrystusa. Ale nikogo nie znalazłem. Nikt inny w całym teatrze nie mógł być HollyG. Moja podświadomość zrozumiała to w chwili, kiedy zobaczyłem na scenie Hattie.

Pozostała część przedstawienia spowita była mgłą. Osunąłem się niżej na fotelu, aż w końcu jeden z uczniów zapytał, czy dobrze się czuję, a ja przeprosiłem i wyszedłem do toalety. Jedyne, czego pragnąłem, to się stąd wydostać; wybiec na ulicę i nigdy się, kurwa, nie zatrzymać.

Spryskałem wodą twarz i przez dziesięć minut siedziałem na sedesie, próbując wymyślić, co mam teraz zrobić. Dopiero podczas drugiego aktu dotarło do mnie, że przecież istnieje dla mnie wyjście z tej sytuacji. HollyG nie wiedziała, kim jest FanLit – nie dałem jej żadnych wskazówek, dzięki którym mogła wyłowić mnie z tłumu. I czemu miałyby mnie podejrzewać? Ja tylko zabrałem uczniów na wycieczkę do teatru.

Trzymając się tego, wróciłem na swoje miejsce, długo jednak nie mogłem się skupić. Do rzeczywistości przywołały mnie dopiero oświadczyzny pana Rochesterera.

– Wątpisz we mnie, Jane? – Aktor chwycił Hattie za ramiona i przyciągnął do siebie.

– Szczerze i całkowicie.

Kiedy wziął ją w objęcia, puls mi przyspieszył. Był starszy ode mnie, miał trzydzieści kilka lat, a więc nie był tak stary jak książkowy pan Rochester, no ale wystarczająco blisko. A Hattie była niemal dokładnie w wieku Jane – młoda, niewinna dziewczyna, która podbiła serce znużonego światem Rochesterera. Gdy do Jane dotarło, że pan Rochester mówi poważnie, i przyjęła jego propozycję małżeństwa, w mojej głowie wydarzyło się wiele rzeczy naraz. Siedzący we mnie nauczyciel pomyślał, że dobrze obsadzono główne role, z wyjątkiem może faktu, iż Hattie była za ładna, żeby grać Jane.

Nauczyciel we mnie obserwował, jak bohaterowie się obejmują, jak delikatny różowy policzek ociera się o całodniowy zarost, i poczuł się skrepowany oraz pełen troski. Natomiast reszta mnie po prostu patrzyła, jak jej gibkie ciało owija się wokół mężczyzny dwa razy od niej starszego. Przełknąłem głośno ślinę.

I ta relacja miała teraz dobiec końca. Jezu, ile razy czytałem w gazetach o jakimś nauczycielu, który wdał się w romans z uczennicą? Właściwie częściej były to nauczycielki, zdesperowane kobiety bez wiary w siebie, które próbowały sobie wmówić, że kochają tych idiotów. Nigdy nie obwiniałem uczniów. Nastoletni chłopcy skłonni byliby uprawiać seks ze skórką od banana, ale dla nauczycielek nie istniało usprawiedliwienie. Powinny były zrobić to, co ja zamierzałem zrobić teraz. Zakończyć to. Zakończyć, zanim się jeszcze zaczęło, albo przynajmniej zanim się świadomie zaczęło. Nie mogłem wiedzieć, że HollyG to Hattie. HollyG była Hattie, była Jane. Przed moimi oczami przewijały się jej tożsamości, a żadna z nich nie do końca pasowała do dziewczyny na scenie, która w ślubnej sukni uciekała właśnie przed panem Rochesterem. Uciekała przed mężczyzną, który miał już żonę. Tylko to stanowiło dla mnie odrobinę pociechy, kiedy czekałem, aż te męczarnie dobiegną końca – fakt, że przynajmniej jakaś wersja jej robiła to, co należy.

Po zakończeniu przedstawienia aktorzy wyszli przed kurtynę, a wszyscy widzowie wstali i bili im brawo. Aktor grający pana Rochesterę pchnął Hattie do przodu, a kiedy się ukloniła, oklaski stały się jeszcze głośniejsze. A potem, w połowie owacji, spojrzała prosto na mnie i powoli, rozmyślnie, przesunęła dłoń po rękawie sukienki aż do mankietu. Kąciki jej ust uniosły się, a oczy rozbłysły tysiącem znaczeń. Poczułem, że obowiązkowy uśmiech znika mi z twarzy, a moje dłonie zamierają w połowie kłaśnięcia.

Ona wiedziała.

Przyparła mnie do muru po przedstawieniu, kiedy aktorzy wmieszali się w tłum zgromadzonych w lobby widzów, wiedząc, że nie będę miał dokąd uciec.

– Witam, panie Lund.

– Hattie. – Wypowiedziałem jej imię, imię małej dziewczynki,

i próbowałem zmusić się do tego, aby mówić właśnie do niej. – Wspaniałe przedstawienie. Nie wiedziałem, że grasz w teatrze.

– To była moja pierwsza produkcja. – Jeśli wyczuwała, jak bardzo jestem skrępowany, nie dała tego po sobie znać. Wprost przeciwnie, jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Masz talent. Jakbyś się urodziła na scenie.

Zaśmiała się na te słowa i nim udało jej się męczyć mnie dalej, została zgarnięta przez jedną z uczennic.

Zanim tego wieczoru usunąłem swoje konto na Pulsie, raz jeszcze przeczytałem wszystkie nasze wiadomości. Zachowałem je i żenująca była świadomość tego, co od początku powinno stać się oczywiste. Za niecały rok przeprowadzała się do Nowego Jorku. Oczywiście, dlatego że najpierw musiała skończyć liceum. Tak bardzo mi imponowała książkami, które przeczytała, ale było tak dlatego, że znajdowały się na liście wybranych przeze mnie lektur. Uznałbym to nawet za zabawne, gdyby nie przytrafiło się właśnie mnie. Spędziwszy pół nocy na rozmyślaniu, postanowiłem, że wyślę jej jedną, ostatnią wiadomość. Lepiej mieć absolutną jasność w kwestii tego, co się musiało stać. Pragnąłem jej napisać, jak wiele dla mnie znaczyła, ale wiedziałem, że nie mogę jej dać ani jednego słowa, które by mogła odebrać jako zachętę.

W kolejnym tygodniu widać było, że Hattie próbuje znaleźć sposób na to, aby ze mną porozmawiać, a ja z kolei robiłem, co mogłem, aby tego uniknąć. Gdy tylko rozlegał się obwieszczający koniec lekcji dzwonek, wychodziłem na korytarz i pełniłem na nim dyżur, albo wynajdywałem powód, aby pędzić do pokoju nauczycielskiego. Paranoicznie bałem się zostawać sam w szkole i wymyślałem preteksty, żeby podczas okienek spotykać się z Carlem. W piątek zaprosiłem żonę na prawdziwą randkę, ale kardiolog potwierdził, że sercu Elsy został najwyżej rok, i Mary była zbyt zrozpaczona, żeby mieć na cokolwiek ochotę. Kiedy ją zapytałem, czy chce o tym porozmawiać, wzruszyła tylko ramionami i odwróciła wzrok.

Tydzień później Hattie podeszła do mnie w czasie lekcji. Uczniowie pracowali w parach, a ona porzuciła swoją partnerkę w połowie zdania,

zbliżyła się niespiesznie do biurka i oparła się o stertę wypracowań, które przed chwilą zebrałem.

– Chciałaś coś, Hattie? – Nie podniosłem głowy znad komputera, mimo to wyczuwałem jej obecność. Wiedziałem, że ma na sobie niebieską bluzkę z okrągłym wycięciem, która jest za luźna i czasem spada jej z ramienia. Jej palce wybijały rytm na blacie biurka; zawsze miała nerwowe palce. Przez chwilę nic nie mówiła i czułem na sobie jej spojrzenie, czekające, aż podniosę na nią wzrok. Nie zrobiłem tego.

– Miałam parę pytań w związku z wypracowaniem.

– Tak? – Dalej stukiałem w klawiaturę.

– Nie byłam pewna, jaka ma być konstrukcja.

Kłamała i nawet tego zbytnio nie kryła. Wypracowanie było prostym porównaniem książkowej i scenicznej wersji *Jane Eyre*. Hattie nigdy nie miała pytań odnośnie do prac domowych i ton jej głosu brzmiał nie tak, jak trzeba. Był zbyt spokojny, zgaszony. W końcu podniosłem na nią wzrok i starałem się zachować obojętność. Stała na tyle blisko mnie, że czułem jej zapach. Oczy miała szeroko otwarte i poważne. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, jej palce znieruchomiały.

– Jestem pewny, że dałaś sobie radę. – Niełatwo mi było wypowiedzieć te słowa.

– Martwi mnie głównie ten trzeci akapit. Mam nadzieję, że się panu spodoba.

Boże, czemu ona była taka młoda? Czemu była moją uczennicą? Czemu nadal mnie pociągała, podczas gdy każdy inny porządny człowiek myślałby o niej tylko w kategorii przestępstwa?

– Zerknę na niego. Wracaj do swojej partnerki. – Popatrzyłem na zegar, po czym skupiłem się ponownie na ekranie komputera. – Zostało tylko kilka minut.

Tego wieczoru po kolacji położyłem stos wypracowań na środku kuchennego stołu i zabrałem się do sprawdzania. Mruczałem pod nosem uwagi i głośno i zamasyście pisałem, upewniając się, że Elsa i Mary mnie słyszą. Co nie znaczy, żeby którąkolwiek to obchodziło. Od czasu tamtej wizyty

u kardiologa Mary każdą możliwą chwilę spędzała z matką i czymś pozbawionym sensu było ponowne proponowanie wspólnego wyjścia.

Kiedy dotarłem do wypracowania Hattie, kusił mnie, żeby wsunąć je pod inne prace albo po prostu postawić jej piątkę i sięgnąć po kolejne. Jednak kryjący się we mnie perwersyjny Humbert Humbert nie mógł się oprzeć. Praca Hattie okazała się standardową analizą, niczym szczególnie głębokim. Uważała, że w książce lepiej przedstawiono pochodzenie i środowisko głównych bohaterów, choć w przedstawieniu stali się postaciami żyjącymi i oddychającymi. Jej słowa, nie moje. Przewróciłem pierwszą kartkę i dotarłem do trzeciego akapitu.

...w przypadku żony pana Rochestera. Z powodu ograniczeń czasowych w przedstawieniu nie pokazano jej moralnej dwuznaczności czy choćby jej historii. Peter, jeśli to czytasz, spotkaj się ze mną w starej stodole Ericksonów nad jeziorem o wpół do dziewiątej, muszę z tobą porozmawiać. Jednakże przedstawienie pozwala, aby pani Rochester stała się postacią trójwymiarową...

Przeczytałem to jeszcze dwukrotnie, aby mieć pewność, po czym spojrzałem na zegarek. Ósma trzydzieści dziewięć. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Zerknąłem do salonu, gdzie Elsa i Mary jak co czwartek oglądały *Amerykańskiego idola*, pogodnie krytykując uczestników. Choć żadna z nich nie popatrzyła w moją stronę, nagle poczułem, że wypracowanie Hattie parzy moją dłoń. Złożyłem je dwa razy, po czym wbiłem wzrok w biały prostokąt. Zacząłem się pocić.

Nie myślałem. Poszedłem na górę i przebrałem się w dres, następnie zszedłem i włożyłem buty do biegania.

- Dokąd się wybierasz? – zapytała Mary.
- Mam zgagę po kolacji. Spróbuję ją wybiegać.
- Tak późno? Jest już ciemno.
- Wezmę latarkę.

Zabrałem ją z werandy i pobiegłem w stronę farmy Winifred Erickson. Kiedy straciłem z oczu dom, zgasilem latarkę i biegłem na oślep po żwirze, goniąc bladą krawędź horyzontu, mając nadzieję, że trafię na wybój albo źle

postawię stopę i skrucę kostkę. Przyspieszyłem, mnąc w dłoni złożone kartki. Oddech miałem urywany, nierozgrzane mięśnie sztywniały. Skręciłem do lasu, modląc się, żeby jakiś korzeń podciął mi nogi i wybił zęby albo przynajmniej uraczył wstrząśnieniem mózgu. Nic się jednak nie wydarzyło. Byłem biegaczem widmem, nienaruszalnym, który z płonącymi mięśniami wbiegł na polanę, a potem dostrzegł stodołę. Zatrzymałem się i stałem tak, ciężko oddychając. Obok budynku rósł olbrzymi dąb, osłaniając go przed światłem rzucanym przez księżyc. Nie mogłem już zrobić nic innego jak stawić czoła Hattie.

Drzwi ustąpiły z głuchym skrzypnięciem. Panującą w środku ciemność rozświetlała jedynie mała latarka kempingowa, ustawiona na stołku w jednym z rogów. W pierwszej chwili nie dostrzegłem Hattie, ale kiedy mój wzrok przystosował się do ciemności, zobaczyłem, jak opiera się o okno pod dębem. Musiała widzieć, jak tu szedłem. Włosy związała i miała na sobie czerwoną kurtkę w szkocką kratę. Wepchnąłem ręce do kieszeni. Zanim się tu zjawiłem, pewnie powinienem był zastanowić się nad tym, co powiem.

– Witaj, FanLit – odezwała się cicho w ciemności.

Przełknąłem ślinę.

– Witaj, Hattie.

– Czemu nie nazywasz mnie HollyG?

– Bo nie masz tak na imię.

– Hattie też nie. To zdrobnienie.

– Ale to właśnie nią jesteś. Jesteś Hattie Hoffman. Jesteś nastoletnią uczennicą liceum, a ja twoim żonatym nauczycielem angielskiego.

Nic nie powiedziała ani nie odsunęła się od okna.

– Musisz zrozumieć, że to koniec. Bez względu na to, co nas łączyło, to koniec. Nie powinienem był nigdy... Chryste.

Odwróciłem się w stronę drzwi, potwornie sfrustrowany. Deski zatrzęszczały.

– Owszem, nie powinieneś. Ale to zrobiłeś. – Głos jej lekko drżał.

– Mam żonę, Hattie. – Może kiedy to powtórzę, w końcu do niej dotrze znaczenie moich słów. – Mam żonę.

W stodole ponownie coś zatrzeszczało i głos Hattie tym razem był silniejszy i rozległ się bliżej.

– Tydzień temu także miałeś żonę, ale to cię nie powstrzymało przed chęcią poznania mnie. To cię nie powstrzymało przed byciem zaklinaczem kur.

Wbrew sobie roześmiałem się. Taką dała mi ksywkę po tamtym pierwszym wieczorze cyberseksu, kiedy wszystko zaczęło się od absurdalnego pomysłu uwiedzenia kury. Śmiech jednak szybko ucichł, gdy wróciły tamte słowa i kolorowe obrazy przedstawiające to, co robiliśmy, miejsca, które kazałem jej pieścić, wyobrażając sobie, że zamiast jej palców znajdują się tam moje usta. Deski zatrzeszczały pod nami i odwróciłem się, nim zdążyła podejść jeszcze bliżej. Znajdowała się teraz tak blisko mnie, że widziałem w jej oczach pragnienie i wahanie. Usta miała rozchyłone i wyglądała tak cholernie młodo. Dziecko z ciałem kobiety. Nie miała nawet pojęcia, jak bardzo jest młoda. Uważała się pewnie za dorosłą i gotową na stawienie czoła światu, z tym swoim aktorstwem i dowcipnymi uwagami, i mózgiem, który chłonał wszystko, co ją otaczało. Uważała pewnie, że dzieli nas tylko kilka lat, ale to było całe życie – mroczne, nieodkryte jaskinie rozczarowań i kompromisów. Ona była wyidealizowanym dorosłym. Ja byłem tym prawdziwym.

– Jestem twoim nauczycielem, Hattie. Nie potrafisz zrozumieć, jak bardzo jest to niewłaściwe?

Kącik jej ust drgnął.

– Czy kiedyś czegoś mnie nauczyłeś?

Zrobiła kolejny krok w moją stronę, a ja automatycznie uniosłem ręce i położyłem je na jej ramionach, pozostawiając między nami te ostatnie pół metra rozsądku.

– Mogę cię nauczyć paru rzeczy na temat przepisów mówiących o gwałcie na osobie nieletniej.

Spojrzała na moje dłonie.

– A więc o tym myślałeś.

Chryste, ona mnie w ogóle nie słuchała. Znajdowała się na zupełnie innej planecie i prowadziła zupełnie inną rozmowę.

– Nie. Cóż, tak, ale tylko w odniesieniu do tego, na jak długo trafiłbym do

więzienia. Jesteś dzieckiem, Hattie.

Tym do niej dotarłem. Zrobiła krok w tył i skrzyżowała ręce na piersi.

– Mam siedemnaście lat.

– No właśnie.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała, przez co piersi napierały na ramiona. Fakt, że w ogóle zwróciłem na to uwagę, jeszcze bardziej mnie rozgniewał.

– Słuchaj, Hattie, zjawiłem się tu tylko po to, żeby ci osobiście powiedzieć, iż popełniłem okropny błąd, ale to koniec. Koniec. Jesteś dobrą uczennicą i...

– Dobrą? – Uniosła brwi.

– Świetną, w porządku? Przed tym wszystkim byłaś moją ulubioną uczennicą.

– A kim jestem teraz? Twoim ulubionym czym?

Zacisnąłem zęby.

– Nadal jesteś moją ulubioną uczennicą, albo przynajmniej nią będziesz, jeśli natychmiast z tym skończysz.

Jej twarz się zmieniła, pojawiła się na niej bezbronność. Skrzyżowane na piersiach ręce wyglądały teraz tak, jakby zapewniały jej ciału wsparcie.

Opuściła głowę i szepnęła:

– Chyba nie potrafię, Peterze.

– Nie mów tak na mnie.

– To twoje imię.

– Dla ciebie nie. Wysłuchaj mnie w końcu. Jesteś dzieckiem. Ja jestem... – zaśmiałem się nieprzyjemnie – odpowiedzialnym dorosłym, a to? – Pokazałem na siebie i na nią. – ...To się nigdy, kurwa, nie wydarzy. Powinienem siedzieć teraz w domu i sprawdzać wypracowania, podczas gdy moja żona i jej matka oglądają telewizję, a nie spotykać się w środku nocy z dziećmi w opuszczonych stodołach.

– Wciąż nazywasz mnie dzieckiem.

– No bo nim jesteś.

Uniosła głowę i jej twarz ponownie uległa zmianie. Była niczym żywe

srebro, tak szybko przetwarzała informacje i emocje i przechodziła do kolejnych. Teraz wyglądała na zadowoloną z siebie, jakby coś do niej właśnie dotarło. Cały się spiąłem, obawiając się tej nagłej zmiany.

– Myślę, że tak często nazywasz mnie dzieckiem, dlatego że samego siebie próbujesz o tym przekonać.

– Nie, to po prostu stwierdzenie faktu.

– Przedstawię ci kilka faktów, Peterze. Fakt numer jeden: jesteś nieszczęśliwy w swoim małżeństwie. Nie kochasz już żony i zrozumiałeś, że wybrałeś nieodpowiednią kobietę.

– Nie wiesz, o czym...

– Fakt numer dwa: poznaliśmy się przez internet i znalazłeś osobę, która podziela twoje zainteresowania, która cię ekscytuje, dzięki której myślisz i śmiejesz się. A teraz, kiedy już wiesz, kim jestem, boisz się, dlatego że przeze mnie mógłbyś wszystko stracić.

Wpatrywała się we mnie świdrującym wzrokiem, a kiedy się odezwała, jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu:

– Ale ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, Peterze. Ponieważ ja jestem odpowiednią kobietą.

Znajdowała się tak blisko mnie. Mogłem wyciągnąć rękę i znowu jej dotknąć, ale tym razem po to, żeby ją przyciągnąć i pocałować. Mogłem przechylić jej głowę i prześlizgnąć się ustami po szyi, kęsając ją, smakując skórę, która tak słodko pachniała w tej butwiejącej stodole. Pozwoliłaby mi. Pozwoliłaby mi na więcej.

Zrobiłem dwa kroki w tył, aż moje pięty dotknęły drzwi. Otworzyłem je i wyszedłem na dwór, głęboko oddychając. Wiatr przybrał na sile i na moje myśli ożywczo podziałał błotnisty zapach pól i jeziora. Hattie także wyszła ze stodoły i stanęła obok mnie, twarzą do tego samego horyzontu.

– Mogłabym się przenieść do innej klasy, jeśli to właśnie stanowi problem. Nie byłbyś moim nauczycielem.

– Drugą klasę, tę na poziomie podstawowym, także uczę. Nadal byłabyś moją uczennicą, tyle że otaczaliby cię idioci.

Roześmiała się.

– Nie, dziękuję.

– Jak mam sprawić, żebyś to zrozumiała?

Czekała i wyczułem w jej milczeniu zadowolenie, jakby wołała stać tu przy mnie i się kłócić, niż być gdziekolwiek indziej.

– Jesteś zbyt młoda. Jesteś zbyt niewinna.

Ponownie się zaśmiała, ale ten śmiech był inny, bardziej poirytowany.

– Nie jestem dziewicą.

– Nie o to mi chodziło. – Dokładnie o to, ale nie mogłem się przyznać.

Moje zdecydowanie słabło, im dłużej tu staliśmy, w miejscu, gdzie nawet cień rzucany przez dąb wydawał się współwinny. W myślach wyliczałem wszystkie powody, dla których nie mogłem jej pocałować, dla których nawet nie powinienem tego rozważyć.

– Jestem dobra w byciu osobą, którą inni chcą, abym była. Obserwuj mnie, Peterze. Przekonasz się. Stanę się ostatnią dziewczyną na świecie, która mogłaby mieć romans ze swoim nauczycielem angielskiego.

Przełknąłem ślinę, a kiedy się w końcu odezwałem, głos miałem zachrypnięty.

– To dlatego, że nie masz romansu ze swoim nauczycielem angielskiego.

Wyszła z cienia na skraj polany, kołysząc szczupłymi biodrami, i zatrzymała się na ścieżce, która wiodła wokół jeziora. W tym samym miejscu, w którym chłopcy zaczęli się szaleńczo ścigać. Obejrzała się na mnie, a w jej oczach błyszczała pewność siebie.

– Fakt numer trzy, Peterze: czwartego stycznia skończę osiemnaście lat. Do zobaczenia wtedy.

Po tych słowach zniknęła w ciemnościach. A ja stałem tam i stałem, wiedząc, że przegrałem kluczową bitwę. Puściłem się biegiem bez żadnej strategii i się potknąłem, tracąc szansę na zwycięstwo. Skręcało mnie ze strachu i obrzydzenia wobec samego siebie. To się musiało skończyć. Jeśli miałem w sobie choć odrobinę przyzwoitości, ten romans musiał dobiec końca.

Od tego momentu Hattie Hoffman równie dobrze mogła dla mnie nie istnieć. Innego wyjścia nie było.

DEL / Wtorek, 15 kwietnia 2008

NASTOLATKA ZADŻGANA W PINE VALLEY. SZKOLNI KOLEDZY OBWINIAJĄ KLĄTWĘ

Na obrzeżach Pine Valley zamordowano nastolatkę, która za kilka zaledwie tygodni miała ukończyć liceum. Biuro szeryfa hrabstwa Wabash potwierdziło tożsamość ofiary: jest nią Henrietta Sue Hoffman, przez przyjaciół i rodzinę nazywana Hattie. Jej ciało miało wiele ran kłutych. Zostało znalezione w sobotę wieczorem w opuszczonej stodole nad jeziorem Crosby. Na chwilę obecną biuro szeryfa nie zatrzymało żadnych osób podejrzanych, potwierdziło jednak, że analizuje „wszystkie możliwe tropy”. Jeden z nich może być dość zaskakujący: klątwa sprzed czterystu lat. Według słów Portii Nguyen, bliskiej przyjaciółki ofiary...

– Do diaska.

Nie doczytawszy artykułu do końca, cisnąłem wydawaną w Minneapolis gazetę na stół. Z kolei w „County Gazette” pod nagłówkiem zamieszczono zdjęcie Hattie, a dalej dwustronicową rozkładówkę pełną fotografii z czasów licealnych. Zabójstwo Hattie stało się głośną sprawą w lokalnych mediach – wszyscy żądali szczegółów, kiedy ginęła młoda, ładna dziewczyna – teraz jednak, po tym jak nagłośniono te makbetowskie bzdury, nękać nas będzie każdy świr i dziennikarz z całego stanu. Tego rodzaju presja może sprawić, że zabójca stanie się nerwowy, a kto, u licha, wie, jakie będzie jego następne posunięcie.

Była piąta trzydzieści, za wcześnie, żeby zejść na dół i zapukać do Nguyenów, przejrzałem więc listy podejrzanych i dowodów, zjadłem pomarańczę i próbowałem nie pamiętać o mediach.

Pomarańcze były urodzinowym prezentem od mieszkającej na Florydzie siostry. Co roku przysyłała mi wielką skrzynkę, przez co w ogóle nie kusiły mnie te blade i wodniste, jakie można dostać w tutejszych warzywniakach. Co rano zjadałem jeden owoc, obierając go nad koszem ze śmieciami i obserwując, jak przy każdym pociągnięciu za skórkę unoszą się miniaturowe kropelki. Ich zapach pozostawał na moich dłoniach przez cały dzień, bez względu na to, jak często je myłem. Przyjemny zapach, intensywny i cierpki, a w tym tygodniu potrzebowałem właśnie czegoś takiego. Im bardziej się zagłębiałem w życie Hattie, a jej zakrwawione zwłoki z napuchniętymi nogami czekały na mnie za każdym razem, kiedy zamknąłem oczy, tym bardziej słodko i intensywnie smakowała każda cząstka pomarańczy.

Zjadłem soczysty owoc i przeczytałem swoje listy. Obecnie mieliśmy dwóch podejrzanych: Tommy'ego i tego faceta, który podpisał się jako F.L., tak więc Jake na podstawie wiadomości zachowanych przez Hattie próbował ustalić jego tożsamość. Wywnioskowaliśmy z nich, że łączyły go z nią dwie rzeczy. Oboje lubili sztukę – aktorstwo, literaturę i tego typu rzeczy – i nie przepadali za życiem na prowincji. W ich korespondencji nie pojawiały się żadne imiona ani nazwy miejsc czy wydarzeń, niełatwo więc go było namierzyć. Chłopak był wykształcony, to pewne. Chętnie używał długich i skomplikowanych słów i to, co wypisywał, brzmiało cholernie pretensjonalnie, ale Hattie zdawała się wszystko łykać. Jak pewnie zresztą każda dziewczyna jej pokroju. Prawdopodobnie uważała go za wyrafinowanego. Wiedzieliśmy, że wymieniali się wiadomościami przez mniej więcej miesiąc – najpierw były to opinie na temat książek, później sprośne kawałki – dopóki nie poznali swoich tożsamości, co miało jakiś związek z *Jane Eyre*. Wtedy właśnie on to zakończył. A przynajmniej wtedy Hattie przestała archiwizować wiadomości. Nie byłem w stanie udowodnić, że ich relacja nie zakończyła się w październiku zeszłego roku, ale coś mi w tym wszystkim śmierdziało. Jak na razie ten facet to jedyna osoba, której zniknięcie Hattie byłoby bardzo na rękę, i już samo to wystarczało, aby trafił na listę podejrzanych.

Lista dowodów okazała się nieco bardziej obiecująca. Miałem spernę na

bieliźnie Hattie, a chłopcy z laboratorium wczoraj wieczorem przysłali mailowo raport, w którym pojawiła się informacja, że więcej nasienia znaleziono w jednej z zużytych prezerwatyw wyłowionych z dna bajora w stodole. Kazałem im to wysłać do analizy razem z bielizną i próbką uzyskaną od Tommy'ego. Na żadnych z pozostałych zabezpieczonych przedmiotów nie znaleziono tak zwanych ukrytych odcisków palców, co znaczyło, że leżały tam od co najmniej kilku dni i nie stanowiły części naszego miejsca zbrodni. Na listę dowodów wpisałem torebkę Hattie oraz znajdującą się w niej wizytówkę Geralda Jonesa. Rzeczywiście miał mocne alibi, ale jako reżysera teatralnego cechowała go pretensjonalność. Dobry kandydat na F.L. Nocnym lotem wrócił dziś do Rochester i zamierzałem złożyć mu wizytę.

Ciągle nie znalazłem cholernego narzędzia zbrodni. Minęły cztery dni, setki godzin, które zabójca mógł wykorzystać, aby je ukryć, zakopać albo wyczyścić. Wczoraj Shel skończył przeszukiwać jezioro i nic. Im więcej mijało czasu, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że w ogóle je znajdziemy.

Koło szóstej usłyszałem pierwsze odgłosy dobiegające z mieszkania Nguyenów. Dałem im czas do wpół do siódmej, po czym zszedłem na dół. Drzwi otworzyła pani Nguyen i gestem pokazała, abym wszedł, jednocześnie wołając coś do męża. Dołączył do nas uśmiechnięty pan Nguyen, uosobienie gościnności, dopóki nie powiedziałem, że chciałybyśmy zobaczyć się z Portią. Wtedy zmarszczył czoło, kiwnął głową i zawołał córkę. Kiedy czekałem, dostrzegłem wylegającego się na kanapie kota; ignorował mnie, jakbyśmy się w ogóle nie znali. Ja także odwróciłem się do niego plecami.

Portia miała wzrost ojca i okrągłe policzki matki, temperamentu i manier nie odziedziczyła jednak po żadnym z nich. Wparowała do pokoju boso, owinięta różowym szlafrokiem i z rozwianymi włosami, wołając:

– Dowiedzieliście się?!

Ojciec zbeształ ją w ich języku, a ona nieco się uspokoiła.

– Dowiedzieliśmy się wielu rzeczy, Portio. O którą ci chodzi?

– Kto ją zabił? Kto zabił Hattie?

– Gdybym to wiedział, miałbym dziś rano lepsze rzeczy do roboty. A właśnie... – Rozłożyłem zwiniętą w rulon gazetę i upuściłem ją na stolik. –

Okazałaś się gadatliwa, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Czekali wczoraj pod szkołą w czasie przerwy na lunch. Nie zamierzałam kłamać. Ta klątwa to prawda.

– Nie miałaś nic przeciwko uwadze dziennikarzy, co? I zdecydowanie nie miałaś nic przeciwko zagranju zamiast Hattie Lady Makbet.

– Co pan chce powiedzieć?

– Do miasta zjadą się teraz hordy dziennikarzy i jeśli doskoczysz do mikrofonów, tak jak w tym przypadku, możliwe, że twoja twarz pojawi się w gazetach i programach telewizyjnych w całym kraju. Super, no nie?

– Proszę przestać! – zawołała, a potem się rozplakała. Państwo Nguyen stanęli za nią w bezruchu. – Byłam jej najlepszą przyjaciółką. Nie mogę uwierzyć, że Hattie nie żyje.

– Skoro byłaś jej najlepszą przyjaciółką, to na pewno wiesz o niej różne rzeczy. Natury osobistej. Takie, których nie powiedziałyby nikomu innemu. – Czekałem, aż jej łzy nieco obeschną. – Muszę je poznać, Portio.

– Na przykład jakie?

– Z kim się spotykała przed Tommym?

– Z nikim.

– W nikim się nie podkochiwała?

– Nie, zawsze się śmiała z Maggie i tych wszystkich dziewczyn, które ostro randkowały. Nazywała je „inteligentnymi inaczej”.

Zaśmiała się cicho, a ja do niej dołączyłem. To było tak bardzo w stylu Hattie.

– No dobrze, więc w szkole nikt. No a co z kimś, kogo mogła poznać poza nią, na przykład podczas tamtego jesiennego przedstawienia w Rochester?

Portia pokręciła przecząco głową.

– Czy wiesz o Hattie coś jeszcze? Zwierzała ci się z czegoś? Nic nie budziło twoich podejrzeń?

Wzruszyła ramionami i podniosła głowę, ocierając oczy rękawem szlafroka.

– Nie wiem. No bo w sumie to myślałam, że o wszystkim sobie mówimy,

ale...

Ale wyglądało na to, że Hattie nie ufała przyjaciółce na tyle, aby jej opowiedzieć o F.L.

– Parę tygodni temu samochód Hattie popsuł się na jakimś zadupiu na południe od Zumbroty – rzekła z lekko naburmuszoną miną. – Rzuciłam wszystko, żeby po nią jechać, a zaledwie dzień wcześniej przyleciałam do domu z wyjazdu z chórem, ale ona w ogóle nie chciała mi powiedzieć, gdzie była ani czemu miała ze sobą walizkę. Kazała mi się zawieźć do centrum handlowego Apache w Rochester i oświadczyła, że ma coś do załatwienia. Nie powiedziała co i nie pozwoliła mi iść razem z nią. Wkurzyłam się. Przez godzinę czekałam w Gapie na esemesa od niej. Kiedy w końcu wróciła, nie miała już walizki i wyglądała, sama nie wiem, była spocona, ale zadowolona.

– Co zrobiła z walizką?

– Nie mam pojęcia. Kiedy zapytałam ją o to, powiedziała jedynie: „Ona czeka”.

– Jak wyglądała?

– Nieduża, rozmiar bagażu podręcznego. Była czarna i miała kółka.

– I nie wiesz, gdzie Hattie była wcześniej tego dnia ani dokąd się udała, kiedy czekałaś na nią w centrum handlowym?

– Nie, kiedy wróciła, była czerwona i zziębnięta, ale zmieniała temat za każdym razem, kiedy ją o to pytałam. Sobie kupiła sukienkę na ramiączkach, a mnie, jakby przypadkowo koszulę, a w drodze do domu odezwała się do mnie może ze dwa razy. Nie zapytała nawet o wycieczkę.

Ocierала oczy, a w jej głosie gniew walczył z bólem.

– Po tamtym dniu wydawała się normalna, tyle że było tak, jakby myślami błądziła gdzie indziej. Choć nadal się razem trzymałyśmy, dziwnie się zachowywała.

– To znaczy?

– Sama nie wiem. Na przykład w piątek po przedstawieniu powiedziałam jej, że super jej poszło, a ona się jedynie roześmiała i oświadczyła, że koniec z aktorstwem. Ja na to, że jak to, w wieku osiemnastu lat odchodzi na emeryturę? I czy nie może się zachowywać odrobinę mniej dramatycznie? No

ale to rzeczywiście był koniec. Koniec Hattie. Koniec.

Portia rozszlochała się na dobre. Jej rodzice stali w drzwiach, matka ze ścierką w ręku, ojciec z opuszczoną głową.

– No dobrze. – Pokazałem na sufit i poczekałam, aż zarejestrowała ten gest. – Jeśli przyjdzie ci do głowy coś jeszcze, wiesz, gdzie mnie szukać, tak?

Kiwnęła głową i wyszła z pokoju, prześlizgując się między rodzicami. Skłoniłem się obojgu, po czym opuściłem mieszkanie. Może nie miało to żadnego związku ze sprawą, ale chciałem się dowiedzieć, co Hattie zrobiła z walizką i po co ją w ogóle miała ze sobą. W czasie jazdy do Rochester zadzwoniłem do Jake'a i opowiedziałem mu o tym. Zajęty był przygotowywaniem wniosków o nakaz dostępu do kilku stron internetowych, które według niego Hattie często odwiedzała, ale obiecał, że zadzwoni na komendę w Rochester i sprawdzi, czy nikt nie zgłosił porzuconego bagażu.

Przez resztę drogi analizowałem to, czego się dowiedziałem od Portii. Hattie nie powiedziała przyjaciółce o F.L. ani o tym, gdzie była tego dnia, kiedy zepsuł jej się samochód, i nie pozwoliła jej zobaczyć, co zrobiła z walizką. Najczęściej bywało tak, że jeśli ktoś miał spakowaną walizkę, to szykował się do ucieczki, ale od czego ona musiała uciec? Lista sekretów Hattie coraz bardziej się wydłużała. Co zrobiłby Bud, gdybym mu o tym powiedział? Gdybym ponownie odebrał mu córkę?

Nic nie mogłem poradzić na to, że miałem nadzieję, iż wynik DNA potwierdzi winę Tommy'ego. Historia była prosta i na przestrzeni lat słyszałem ich mnóstwo; różne wariacje, lecz zawsze te same elementy kluczowe. Para się kłóci, sprawy wymykają się spod kontroli i on ją zabija. Nie była to zbrodnia, którą rozumiałem, ale stała się z czasem czymś potwornie znajomym. Cała reszta – klątwa, tajemniczy kochanek, możliwa próba ucieczki – pochodziła z zupełnie innego miejsca. Przed moimi oczami ponownie pojawiło się ciało Hattie, poranione i zakrwawione, nogi nabrzmiałe i unoszące się na wodzie i ja, klęczący obok niej, próbujący połączyć niepasujące do siebie elementy.

Zjechałem z autostrady w stronę centrum Rochester, szukając kolejnego elementu.

– Naturalnie była amatorką. Już pierwszego dnia prób stało się to aż nadto jasne.

Gerald Jones był chudy jak tyczka i nosił się na czarno. Ale nie w stylu Johnny’ego Casha, bardziej przypominał Freda Astaire’a udającego człowieka kota. Znajdowaliśmy się w biurze Teatru Miejskiego i od dziesięciu minut ocierał suche oczy i pokazywał mi „fototy” z *Jane Eyre*, sztuki reżyserowanej przez niego jesienią, w której Hattie grała jedną z głównych ról. Dla mnie wyglądały jak najzwyklejsze zdjęcia.

– Początkowo nie znała nawet poleceń scenicznych. Trochę musiałem ją podszkolić, ale po tygodniu przyzwyczała się do tempa i nie licząc technicznego aspektu tej pracy, stanowiła spełnienie marzeń reżysera.

– A to dlaczego?

– Była aktorką idealną. Nieuformowaną gliną. Wystarczyło, że powiedziałem: „bardziej bezradnie” albo „zaniepokojenie”, a ona dokonywała stosownej zmiany. Było to widoczne we wszystkim, co robiła: w gestach, twarzy, sylwetce, tonie głosu, jego natężeniu. Obsadziłem ją, bo dobrze jej poszło na castingu, no i miała warunki zewnętrzne dokładnie takie, o jakie mi chodziło. Widzi pan?

Pokazał mi zdjęcie, na którym Hattie otula się szalem i patrzy na mężczyznę w płaszczu i kapeluszu.

– Była bardzo szczupła, udało jej się więc wyglądać surowo i wymizerowanie, ale płonął w niej ogień, dzięki czemu na scenie prezentowała się wspaniale. Widzowie zakochali się w niej równie mocno, jak pan Rochester.

– Pan Rochester to ten facet?

– Tak.

– Za kulisami coś się działo między nimi?

To pytanie autentycznie go zaskoczyło.

– Nie. Boże mój, nie. Mack ma żonę i dwoje dzieci.

– Ale powiedział pan, że on się w niej zakochał.

– Postać grana przez niego zakochała się w postaci granej przez nią. – Rzekł to takim tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem.

Udało mi się wydostać zakleszczony między zębami ostatni kawałek pomarańczy. Przerzuciłem leżące na biurku zdjęcia.

– A pan? Żywił pan jakieś uczucia względem Holly?

– Jane. – Wypowiedział to imię tak powoli, jakbym nie był już dzieckiem, ale psem idiotą. – Grana przez nią postać miała na imię Jane. I nie, nie żywiłem względem niej żadnych uczuć. Co pan próbuje sugerować?

– Może zżył się pan ze swoją nową gwiazdą. Miał pan ochotę uformować nieco tej gliny.

Zaśmiał się krótko.

– Mojemu partnerowi Michaelowi raczej by się nie spodobała ta insynuacja.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „partner”, szybko wszystko wyjaśnił.

– Hmm. – Odwróciłem wzrok i odkaszlnąłem. – No tak.

Jones zdecydowanie nie był F.L. Nawet gdyby nie należał do kochających inaczej, nie zaobserwowałem u niego żadnej reakcji na internetowe imię Hattie. Westchnąłem.

– Czemu pan sądził, że łączyło mnie coś z Hattie?

– Z dna jeziora wyłowiliśmy jej torebkę. Wyrzucił ją tam morderca. Zechce mi pan wyjaśnić, dlaczego pańska wizytówka okazała się jedną z niewielu rzeczy, jakie się w niej znajdowały?

– Och. – Triumfująca wyniosłość zniknęła i w końcu chyba do niego dotarło, że Hattie nie żyje. Usiadł i wbił pusty wzrok w rozłożone na biurku zdjęcia. – Od miesięcy nie mieliśmy kontaktu. Kiedy sztuka zeszła z afisza, dałem Hattie swoją wizytówkę. Żeby jej pomóc. Szykowała się na wyjazd do Nowego Jorku, wie pan, a ja nadal mam tam trochę kontaktów. Powiedziałem jej, żeby zadzwoniła do mnie, kiedy się będzie przeprowadzać.

– Mówiła, kiedy to nastąpi?

– Uznałem, że po skończeniu szkoły.

– Kiedy rozmawiał z nią pan po raz ostatni?

– W Boże Narodzenie. Wysłałem jej jedną z moich starych kamer i zadzwoniła, aby mi podziękować.

– Kamer wideo? – W pokoju Hattie nie znaleziono niczego takiego. – Po

co?

– Niektórym aktorom pomaga to podczas prób. Nagranie, a potem przeanalizowanie występu. Hattie miała talent i chciałem pomóc w jego rozwijaniu. – Uśmiechnął się z żalem. – Poza tym dopiero co kupiłem wtedy nową kamerę, a Michael zabronił mi znosić do domu nowy sprzęt, dopóki nie pozbędę się choć części starego.

– No tak. Przychodzi panu do głowy ktoś jeszcze, z kim mogła być blisko w okresie występowania w tej sztuce? Z kimś, kogo może w tym czasie poznała?

– Ja nic takiego nie zaobserwowałem. Zawsze była taka zajęta, no bo i szkoła, i praca w sklepie. Zjawiała się na próbach, a zaraz po nich znikiała, nie wdając się z nikim w pogaduszki, a nawet odrabiała lekcje podczas tych scen, w których nie występowała.

– Czy dysponuje pan danymi potwierdzającymi, kto kupił bilety na tę sztukę?

Okazało się, że tak, i w końcu dał się przekonać, abym bez nakazu przejrzał paragony. To była żmudna robota, coś, co powinienem zlecić Shelowi, ale nie chciałem beczynie czekać. Siedzenie w biurze i składanie podpisów na listach płac albo branie udziału w konferencji prasowej, gdy tymczasem ktoś inny szukałby mordercy Hattie, doprowadziłoby mnie do szaleństwa. Usiadłem przy biurku Jonesa i wybierałem paragony z nazwiskami mężczyzn, aby przeskanować je Jake'owi. Sporo się tego nazbierało. Kto by pomyślał, że tyle osób chodzi do teatru?

Jones przyniósł nam obu kawę i obserwował, jak pracuję. Po jakimś czasie powiedział cicho:

– To nie było to przedstawienie, które zabiło Hattie?

– Proszę to sobie darować. – Nie przerwałem przeglądania paragonów.

– Pan nie wierzy w klątwę.

– Nie. Nie wierzę, że jakaś historia z dreszczykiem może kogoś zamordować.

– W takim razie nie słyszał pan o zamieszkach przy Astor Place.

Podszedł do szafki na dokumenty, pogrzebał w nich, po czym wyjął

z segregatora wycinki z gazety.

– William Macready był jednym z najlepszych brytyjskich aktorów na początku dziewiętnastego wieku. Oto on. – Zerknąłem na rysunek przedstawiający niewysokiego mężczyznę w peruce, uśmiechającego się i emanującego pewnością siebie. Wyglądał jak typek uchylający się przed płaceniem podatków.

– Super. – Wróciłem do pracy.

– W tym samym czasie w Stanach na deskach nowojorskich teatrów sławę zdobywał Edwin Forrest.

Pokazał mi drugi wycinek. Zobaczyłem korpulentnego, rumianego faceta ze sterczącymi czarnymi włosami. Awanturnika.

– Na początku swoich karier przyjaźnili się, do czasu, kiedy Forrest zagrał w Londynie w *Makbecie*. Publiczność go wygwizdała i Forrest ubzdurał sobie, że to Macready z zazdrości ukartował taką reakcję. Kilka tygodni później, kiedy Macready grał Hamleta, znajdujący się na widowni Forrest wstał i go zagłuszył. Natychmiast został wykluczony z londyńskiej socjety i musiał wrócić do Nowego Jorku.

– Do czego pan zmierza, Jones? – Zerknąłem na telefon: dwa nieodebrane połączenia, obydwu od Jake’a.

– W maju 1849 roku Forrest i Macready tego samego wieczoru wystawiali w Nowym Jorku dwie konkurujące ze sobą wersje *Makbeta*. Armia fanów Forresta ruszyła na budynek Astor Opera House, pełna determinacji, aby położyć kres produkcji Macready’ego. Uczestnicy zamieszek obrzucili budynek kamieniami i próbowali go podpalić, przez co do akcji wkroczyła policja.

– I to wszystko z powodu dwóch aktorów teatralnych?

– Ci mężczyźni byli gwiazdami filmowymi swoich czasów. Tamtego wieczoru życie straciło ponad dwadzieścia osób, a setki doznały obrażeń. Była to największa tragedia w historii teatru. I doszło do niej z powodu *Makbeta*.

– Doszło do niej z powodu bandy idiotów i policjantów, którzy nie znali się na swojej robocie.

– Ale co było katalizatorem? *Makbet*. Koszmarny występ Forresta w Londynie, który zapoczątkował tę całą rywalizację. W czym obaj grali tego wieczoru? W *Makbecie*. To historia mężczyzny, który po trupach dąży do tronu. Nie był człowiekiem niepoczytalnym. Nie był zmanipulowany. To zwykły człowiek, którego przyciągnęło do siebie niezwykle zło. O tym właśnie opowiada *Makbet* i od czterystu lat przemoc ciągnie do tej sztuki niczym ćma do ognia.

Odłożył wycinki i spojrział na jedno ze zdjęć przedstawiających Hattie. Kiedy ponownie się odezwał, głos miał cichszy, jakby wcześniejsza opowieść go wyczerpała.

– Szeryfie, znajdzie pan mordercę. Będzie pan dysponował narzędziem zbrodni i motywem, i wszystkim, czego trzeba w sądzie. To nie klątwy będzie pan szukał, to nie ją będzie pan w stanie udowodnić. Ona jest katalizatorem. To przez nią dzieje się cała reszta.

Znieruchomiałem. Coś w jego słowach przywołało wspomnienia. Na całe lata potrafiły zniknąć, a potem nagle, nie wiadomo czemu w oczach szczypał mnie wydobywający się z lufy dym, mokra dżungla przypuszczała atak na mój nos i po raz kolejny musiałem je wszystkie grzebać. Można było zostawić wojnę za sobą, ale ona nigdy nie zostawiała ciebie.

– Zwykli ludzie są zdolni do niezwykle złych uczynków. Proszę mi wierzyć.

Uśmiechnął się blado i skinął głową.

– Kto jak kto, ale pan o tym doskonale wie.

Wróciłem do pracy. Pokręciłem głową.

– Wie pan, czym jest tak naprawdę ta sztuka? Szaleńczą linią obrony prosto z nieba.

Jones zaśmiał się i w tej samej chwili ponownie zadzwonił Jake. Tym razem odebrałem.

– Co masz?

– Czemu wcześniej pan nie odbierał?

– Boże kochany, Jake. Lepiej, żebyś ożenił się z dziewczyną, która lubi nosić w związku spodnie.

– Mogliśmy znaleźć narzędzie zbrodni. Albo mogło dojść do wybuchu w fabryce.

– Dostałbym wtedy wezwanie przez radio.

– Nie wie pan tego, to właśnie chcę powiedzieć. To mogło być coś ważnego.

– No dobra, jest?

– I to jak. Dowiedziałem się, kim jest F.L.

W końcu jakaś dobra wiadomość. I byłem w odpowiednim nastroju, żeby przygwoździć tego zboka.

– Przyszedł nakaz?

– Tak, uzyskałem dostęp do jej konta i znalazłem setki wiadomości wysłanych do gościa o nicku FanLit.

– F.L. – mruknąłem.

– Otóż to. Wszedłem więc na jego konto i znalazłem adres mailowy. Prześledziłem...

Niezbyt uważnie go słuchałem, dlatego że w tej właśnie chwili przekręciłem kartkę i zobaczyłem nazwisko, dzięki któremu wszystko się wpasowało na swoje miejsce. Upuściłem pozostałe paragony i wbiłem wzrok w czarną czcionkę, cofając się myślami do kilku ostatnich dni.

– ...kiedy więc dotarłem do formularza rejestracyjnego na gmailu, okazało się, że facet nazywa się...

– Peter Lund – wszedłem mu w słowo.

– Skąd pan wiedział? – Nieźle się wkurzył.

Gerald Jones nie był na tyle dobrym aktorem, aby udawać, że nie podsłuchuje, a ostatnie, czego mi było trzeba, to kolejny przeciek do prasy. Jeśli Hattie miała romans ze swoim nauczycielem, media zrobią na Pine Valley istny najazd.

– Mniejsza z tym. Jadę tam teraz. Za trzydzieści minut przywiozę go do biura.

– Jadę z panem.

– Zostaniesz na miejscu i wydrukujesz wszystkie e-maile, jakie znajdziesz w komputerze Hattie. I wynieś z pokoju przesłuchań ten popsuty faks.

I dopilnuj, żeby w dzbanku była świeża kawa.

– Zabawi się pan w dobrego glinę?

– Nie, chce mi się pić. – Rozłączyłem się, po czym cisnąłem do kosza kubek z niedopitą kawą.

Jones uśmiechnął się szeroko.

– Pokrzepiająca jest świadomość, że legenda o zręczliwym szeryfie żyje i ma się całkiem dobrze.

– Do usług. – Wstałem i pożegnałem się z nim uściskiem dłoni.

Do Pine Valley jechałem z migającym kogutem, pędząc autostradą sto siedemdziesiąt na godzinę. Dzięki tej prędkości podniosło mi się ciśnienie i zniknął poranny marazm. Niecałe piętnaście minut później przekroczyłem próg liceum i natychmiast podszedł do mnie dyrektor.

– Szeryfie. Chodzi o Hattie?

– Nie wywoływałbym z klasy jednego z pańskich nauczycieli, gdyby było inaczej.

– O kogo chodzi?

– O Lunda.

Zrobił dziwną minę, tak jakby zasysając do środka policzki, po czym zawołał do sekretarki, aby wezwała kogoś na zastępstwo.

– Tędy.

Poprowadził mnie korytarzem aż na sam jego koniec.

– Powinienem coś wiedzieć o Peterze? – zapytał, kiedy dotarliśmy pod właściwą klasę.

Zapukałem w szybkę. Lund podniósł głowę znad komputera i zamarł. Wskazałem na niego, a potem na swoje stopy. „Wyłaź stamtąd”.

– Pewnie mnóstwo rzeczy. – Obaj patrzyliśmy, jak zbiera się i mówi coś do uczniów. – Mnie interesuje tylko jedna.

Peter wyszedł i spojrzał na nas.

– Szeryfie. Ma pan więcej informacji na temat Hattie?

– Tak się składa, że owszem. Musi pan jechać ze mną na posterunek.

– To naprawdę nie może zaczekać? Prowadzę lekcję. – Machnął ręką w stronę klasy, a dyrektor patrzył na niego takim wzrokiem, jakby próbował

sobie wyobrazić nóż w dłoni Lunda.

– Zajmiemy się dzieciakami – oświadczył dyrektor. – Proszę zabrać swoje rzeczy.

Tak zrobił i chwilę później wsiedliśmy do radiowozu. Pozwoliłem mu jechać z przodu.

– Jakie jest pańskie zdanie na temat tego całego gadania o klątwie? – zapytałem, kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu. Wyczułem, jak się rozluźnia.

– Stek bzdur.

Zaśmiałem się, a on jeszcze bardziej się odprężył.

– W każdym razie związana z nią legenda to paranoiczne zabobony. Prawdziwa klątwa dotyczy aktorów, czy też w moim przypadku dzieci, które wierzą w te bzdury i zmieniają życie reżysera w piekło. Widział pan, jak w niedzielę Portia Nguyen wszystkich wystraszyła?

Kiwnąłem głową.

– Zachowuje się tak od początku prac nad przedstawieniem, racząc tymi bredniami o klątwie każdego, kto zechce słuchać.

– A Hattie słuchała? Ona i Portia przyjaźniły się.

– Nie. – Głos miał cichszy. – Nie, Hattie należała do nielicznych osób, które tego nie kupowały. Ona... ona była inna niż większość nastolatków. Rozumiała, co oddziela rzeczywistość od iluzji.

Chciał dodać coś jeszcze, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Kiedy zaparkowałem pod posterunkiem, kazałem Jake'owi zabrać Lunda do pokoju przesłuchań, a ja tymczasem nalałem sobie kawy i czekałem, aż ostygnie. Ulicą przejechały dwa wany stacji informacyjnych i słyszałem, jak Brian męczy Nancy na chodniku o zwołanie kolejnej konferencji prasowej. Napilem się i ruszyłem w stronę pokoju przesłuchań.

Odgrywający rolę ochroniarza Jake podał mi teczkę. Lund czuł się zdecydowanie bardziej nieswojo niż przed kilkoma minutami. Usiadłem i otworzyłem teczkę. Czytałem e-maile i niespiesznie piłem kawę. Po chwili Lund nachylił się w moją stronę i zobaczył wystarczająco, żeby ukryć twarz w dłoniach.

– A więc FanLit, co? – Stuknąłem palcem w widniejący na jednej z kartek

nick.

- Boże. Ja... nie wiedziałem, kim ona jest. Wszystko było anonimowe.
- Anonimowe, to znaczy jakbyście się nie znali?
- Tak. – Uniósł głowę, a ja dalej przerzucałem kartki i piłem kawę. –

Właśnie tak.

Wziąłem do ręki jeden z arkuszy i odchyliłem się na tyle, aby widzieć wyraźnie wydrukowany tekst.

– „Przesuwam dłonią po twoim udzie, do góry, aż do pachwiny. Moje palce są na twojej skórze niczym szept, sugestie, której nie możesz zignorować”.

Jake parsknął. Czytałem te bzdety takim tonem, jakbym zamawiał śniadanie w Sally's. Zerknąłem na Lunda. Twarz miał czerwoną jak burak.

– Czyni się... takie sugestie... osobom nieznanym?

– Nie, ja ją znałem. To znaczy nie znałem jej tożsamości, ale sądziłem, że wiem, kim jest. Pisaliśmy ze sobą przez kilka tygodni. Zbliżyliśmy się.

– Mmm-hmm. Na to wygląda.

– Co ona wydrukowała? Boże, wyłącznie te nieprzyzwoite wiadomości? Gdy tylko się dowiedziałem, kim ona jest, zakończyłem to. Natychmiast. Tego nie wydrukowała?

Na czoło wystąpiły mu krople potu. Próbował zobaczyć, co czytam.

Spojrzałem na Jake'a, który po tym parsknięciu bardzo się starał wyglądać na surowego i niezainteresowanego.

– Tak się składa, że owszem.

Westchnął z ulgą i powietrze zeszło z niego jak z balonu.

– Widzicie więc. To się skończyło. Nic nie znaczyło.

– Podejrzewam, że pańska żona miałaby na ten temat inne zdanie.

Podejrzewam, że Hattie także. Z tych wiadomości można wywnioskować, że była nieźle zakręcona na pańskim punkcie. – Pokręciłem głową. – Z jakiegoś powodu.

– Hattie rzeczywiście próbowała ze mną porozmawiać po tym, jak zdaliśmy sobie sprawę z... zaistniałej sytuacji. Raz się z nią nawet spotkałem, aby zakończyć wszystko osobiście, dlatego że ona chciała... kontynuować tę relację.

– A pana ani trochę nie kusiło? Ładna, młoda dziewczyna. Inteligentna jak pan. Lubiła te wszystkie książki i wielkie miasta.

– Nie. Nie. – Pokręcił głową, patrząc to na mnie, to na Jake’a. – Była uczennicą... dzieckiem. Mógłbym trafić do więzienia, na litość boską. Nie wspominając o utracie pracy i rozpadzie małżeństwa.

– Nadal może do tego dojść, Lund. Możemy ci to załatwić.

– Ale do niczego nie doszło. Kazałem jej odpuścić, powiedziałem, że nigdy nie odwzajemnię jej uczuć, a ona się z tym pogodziła. Zaczęła się spotykać z Tommym Kinakisem. Wtedy w końcu poczułem, że cały ten koszmar mam za sobą. Byli ze sobą do samego końca, choć nie mam pojęcia dlaczego. To byczkowaty, niezdarny idiota. Rozmawialiście już z Tommym? Zachowywał się tak, jakby była jego własnością. Obejmował ją i prowadził przez szkolne korytarze tak, jakby sama nie była w stanie iść.

– Musiał ją pan bacznie obserwować, żeby to wszystko wiedzieć.

– Tak jak i pozostali uczniowie. Ale owszem, obserwowałem Hattie. – Przygarbił się lekko przy tych słowach, może zawstydzony, może czując ulgę, że może to w końcu z siebie wyrzucić. – Paranoicznie bałem się tego, że zdecyduje się na mnie donieść.

– No cóż, wszystko się dobrze dla pana skończyło. Teraz nie może już panu zaszkodzić, prawda?

– Nie! Jak pan może w ogóle tak mówić? – W jego głosie słychać było oburzenie. – Spieprzyłem sprawę, okej? Wiem o tym. Jestem dupkiem i beznadziejnym mężem.

– Nie będę z tym polemizował.

– Ale nie ma to nic wspólnego z faktem, że Hattie była najzdolniejszą i najbardziej obiecującą uczennicą w całej szkole. Ona... rozumiała ludzi, potrafiła przyprzeć do muru jednym spojrzeniem. Bywało to niepokojące, jakby umiała człowieka przejrzeć. Jesienią zamierzała się przeprowadzić do Nowego Jorku i wiedziałem, że idealnie się wpasuje w to miasto. Wiedziałem, że jej życie będzie niezwykle. Czuję także ulgę, okej? Że wyjedzie, a ja będę się mógł zająć własnym życiem.

– Może jesień okazała się dla pana zbyt odległą. A może Hattie uznała, że

przyda jej się trochę kasy na wyjazd do Nowego Jorku albo mała pomoc podczas egzaminów końcowych. – Drażniła mnie konieczność mówienia w taki sposób o Hattie, ale nie mogłem jej tego oszczędzić. Musiałem poznać wszystkie jej sekrety i mieć nadzieję, że choć część nie dotrze do uszu Buda i Mony.

– Podczas kilku ostatnich miesięcy rozmawiałem z Hattie wyłącznie podczas lekcji albo prób do przedstawienia. Nie szantażowała mnie. Nie zrobiłaby czegoś takiego. Musicie porozmawiać z Tommym. Hattie czekała świetlana przyszłość, jego niekoniecznie. Jeśli próbowała z nim zerwać... podczas tych kilku ostatnich dni... to jedyne, co mi przychodzi do głowy.

Kiwnąłem głową i schowałem wydruki do teczki, po czym ją zamknąłem. Niezłe się gimnastykował, starając się włożyć nóż w rękę Tommy'ego.

– Gdzie pan był w piątek wieczorem po przedstawieniu, Lund?

– Musiałem zaczekać, aż wszyscy sobie pójdą, a potem zamknąłem szkołę. Pomógł mi Carl. Następnie udaliśmy się do niego na drinka.

– Carl Jacobs?

Przytaknął.

– Okej, jedziemy. – Wstałem i podałem teczkę Jake'owi.

– Do Carla? Jest jeszcze w szkole.

Wyprowadziłem Lunda z pokoju, praktycznie ciągnąc za spocony kołnierz.

– Jedziemy do Mayo. Dam ci szansę zachować dobre imię, Lund.

Ponownie posadziłem go z przodu, na wypadek gdybyśmy znajdowali się pod obserwacją jednego z tych vanów, po czym odprowadziłem Jake'a do drzwi posterunku.

– Myśli pan, że to on uprawiał z nią seks? – zapytał mnie cicho.

– Pokażą to wyniki testu. Ale że miał ochotę, to pewne. Wszystko sprowadza się do tego, czy bardziej był napalony czy wystraszony.

– Głosowałbym na to drugie. Ten facet śmierdzi kurzym gównem. Mam wezwać Carla Jacobsa?

– Wystarczy, że do niego zadzwonisz. Im mniej osób zapraszamy na posterunek, tym lepiej. Potwierdź alibi. Chcę wiedzieć, kiedy wyszli ze szkoły, co pili, o czym rozmawiali i kiedy Lund opuścił dom Carla. O to samo

wypytam Lunda w drodze do Rochester. Zadzwoń, jak tylko się tego dowiesz.

– Tym razem odbierze pan? – Zbyt był podekscytowany, aby do swoich słów wlewać więcej sarkazmu.

– Niewykluczone. I Jake?

– Tak?

– Ani słowa nikomu, rozumiesz? Ani dyspozytorni, ani Nancy, ani żadnemu z chłopaków, ani nawet twojej matce. Prasa miałaby dopiero używanie. – Przejechałem ręką po twarzy. – I musiałbym aresztować Buda za zamordowanie tej żalosnej wywłoki.

– Co mam mówić, jeśli ktoś spyta o Lunda?

– Każ mu nie wtykać nosa w trwające śledztwo.

Jake’owi chyba spodobała się ta odpowiedź. Wróciłem do radiowozu. Lund siedział opuszczony nisko na fotelu i głowę miał odwróconą od szyby, jakby całe to cholerne miasteczko nie wiedziało, gdzie się znajduje. FanLit lubił się ukrywać. Pytanie brzmiało: jak wiele ukrywał?

HATTIE / Środa, 7 listopada 2007

– Hattie, daj spokój. Wiesz, że to zrobisz.

Portia ugryzła hamburgera, skrzywiła się, po czym go odłożyła.

– Nie mówiłam, że nie chcę korniszonów?

Maggie nachyliła się nad stolikiem w boksie w Dairy Queen, wydłubała z kanapki Portii korniszona i włożyła go do ust.

– Nie wiem. To teraz wielka gwiazda teatru. Pewnie za dobra dla naszego szkolnego przedstawienia.

– Przymknijcie się obie. Mówiłam, że jeszcze nie podjęłam decyzji. – Wycisnęłam nieco keczupu na tackę.

– I tak smakuje korniszonami – marudziła Portia.

– No to mi go oddaj. – Maggie wzięła od niej burgera.

– Jest dopiero listopad – oświadczyłam i poczęstowałam Portię krążkami cebuli. – Zdecyduję, kiedy ogłoszą, co to będzie za sztuka. Musical sobie odpuszczę. Nie potrafię śpiewać.

– Słyszałam, że reżyserem w tym roku będzie pan Lund. On na pewno nie wybierze musicalu.

Na dźwięk jego nazwiska poczułam ściskanie w żołądku, a cebula w moich ustach zmieniła się w beton. Na szczęście do restauracji wparowała grupa futbolistów, którzy zaczęli się wygłupiać przy kasach.

– Maggie, zaprosiłaś już Dereka na Sadie's? – zapytałam, zmieniając temat.

Obejrzała się wstydliwie przez ramię na tę wystawę testosteronu.

– Aha. Wybierzemy się tam razem z Molly i Trentonem.

Derek ćwiczył właśnie na kimś chwyt od tyłu za szyję, posłał jednak Maggie szeroki uśmiech, oblizując przy tym znacząco usta. Jakież to czarujące.

– No a ty, Porsche? Zaprosiłaś Matta albo Tommy’ego?

– Matt idzie ze Stephanie.

– No to masz tu Tommy’ego. Idź i go zaproś. – Machnęłam w jego stronę krążkiem cebuli, ale w tym momencie Tommy podskoczył, jakby mnie obserwował, i z rękami w kieszeniach sportowej kurtki podszedł do naszego boksu.

– Hej, Hattie.

– Hej, Portia chciała... – Kopnęła mnie mocno pod stołem.

– ...właśnie iść – dokończyła, uśmiechając się do Tommy’ego. – Możesz zająć moje miejsce.

– Moje też. Idę po deser lodowy.

Wymieniły spojrzenia i nagle obie zniknęły. Miałam nieprzyjemne uczucie, że ominęła mnie jakaś rozmowa.

– Eee... mogę? – Tommy rzucił kurtkę na puste siedzenie, a ja wzruszyłam ramionami.

Usiadł, odkaszlnął i zaczął się bawić serwetnikiem. Gerald zawsze mówił, że charakter można poznać po dłoniach. Ignoruj słowa, tak mi mówił. Zwracaj uwagę na to, co robią ręce. Tommy miał grube dłonie i brudne paznokcie, a serwetnikiem obracał jak pobudzony hokeista. Denerwował się jak diabli.

– No więc co słyhać? – zapytałam w końcu.

– Nic takiego. Byłem z tatą na polowaniu. Z sześćdziesięciu metrów trafiłem jelenia.

– Morderca – oświadczyłam z kamienną twarzą.

Wyglądało na to, że przygląda nam się większość klientów restauracji, a koledzy z drużyny szturchali się łokciami, opychając się przy tym frytkami.

– A co u ciebie? – zapytał Tommy.

– Przyszłam coś przekąsić przed pracą.

– Och. Fajnie. – Podrapał się po głowie. Jego włosy wyglądały tak, jakby dopiero co wstał z łóżka.

Napiłam się i moja słomka wydała ten siorbiący dźwięk, który słyhać,

kiedy się dochodzi do dna. Tommy spojrział z nadzieją na kubek.

– Masz... masz ochotę na dolewkę?

– Jasne. – Podałam mu go. – Połowa sok pomarańczowy, połowa sprite, trzy kostki lodu.

Patrzyłam, jak udaje się do stoiska z napojami i posłusznie spełnia moją absurdalną prośbę. Odał nawet nieco soku, żeby była go dokładnie połowa. Kiedy podszedł Derek i uszczypnął go w ramię, Tommy pchnął go mocno na stoisko z dodatkami i wrócił do boksu, nie uroniwszy ani kropli. Niesamowite. Było to niczym społeczny eksperyment. Pociągnęłam łyk i postanowiłam nieco więcej poeksperymentować.

– No więc co myślisz o Portii?

– Portii Nguyen? – zapytał, a ja powstrzymałam się przed przewróceniem oczami. To jedyna Portia w całym miasteczku.

– Aha.

– Nie wiem. Chyba fajna.

– Co byś powiedział, gdyby cię zaprosiła na Sadie's?

– Och. – Zrobił się czerwony jak burak i znowu zaczął się bawić serwetkami. – Ja, eee, nie sądziłem... że zamierza mnie zaprosić.

Następnie przełknął ślinę i spojrział mi w oczy. To zabawne, nigdy dotąd nie zauważyłam, że jego tęczęwki są idealnie błękitne, jak niebo, dzięki czemu zapomina się o istnieniu czegokolwiek poza nimi.

– Myślałem, że może ty mnie zaprosisz – wyrzucił z siebie.

Poczęstowałam go krążkiem cebuli, intensywnie przy tym myśląc.

– Czemu chcesz, żebym to ja cię zaprosiła, a nie Portia?

– Sam nie wiem. Ona jest taka jakaś głośna. Na okrągło o czymś gada. Wiem, że to twoja przyjaciółka i w ogóle, ale... – Urwał skrepowany i włożył cebulę do ust.

– Potrafi być głośna – przyznałam z uśmiechem. On także się uśmiechnął; był to półuśmiech, dzięki któremu jego dziecinna twarz zrobiła się całkiem przystojna. A więc chciał cichej dziewczyny.

– To co, zaprosisz mnie?

– Nie wiem. – Opuściłam głowę, pozwalając, aby włosy opadły mi na

twarz. – Chyba najpierw muszę zobaczyć, jak tańczysz.

– Co? Tutaj? – Wydawał się skonsternowany.

Okej – cicha, prosta dziewczyna. Poczęstowałam go kolejnym krążkiem i obserwowałam, jak jego twarz się rozpromienia. Lubił, kiedy się go karmi. Lista jego cech stawała się coraz dłuższa. I tak oto zaczęła się formować dziewczyna Tommy’ego Kinakisa.

W ramach pierwszej randki pojechaliśmy do kina na *To nie jest kraj dla starych ludzi*. Przyjechał po mnie wielkim pikapem i widać było, że darzy go uwielbieniem. Zwrócił moją uwagę na nowe pokrowce na siedzenia, głośniki, a nawet pokazał samodzielnie zrobioną skrytkę w drzwiach od strony kierowcy, w której trzymał flaszkę whiskey. Na parkingu przed kinem podał mi ją, ale podziękowałam. Na seans zaopatrzyliśmy się w monstrualnych rozmiarów karton z popcornem, który zniknął, nim zdążyłam się poczęstować więcej niż kilka razy; zbyt pochłonęła mnie fabuła.

– Uwielbiam braci Coenów – westchnęłam w drodze do domu.

– Jeden z nich grał tego zabójcę? – zapytał Tommy. – Był fantastyczny.

Milczeliśmy do czasu, kiedy zatrzymał się pod moim domem. Wtedy zaczął coś majstrować przy radiu i mruknął, żebym zaczekała.

– Po co? – zapytałam, ale on zdążył już wysiąść i przechodził właśnie na moją stronę.

Otworzył drzwi i z zakłopotaniem podał mi rękę. Ujęłam ją i zeskoczyłam. I puściłabym ją, gdyby nie zacisnął palców wokół mojej dłoni, a drugiej ręki nie położył mi delikatnie na ramieniu.

– Chciałaś... chciałaś zobaczyć, jak tańczę.

Wtedy załapałam, skąd ta muzyka country i widoczne na jego twarzy zawstydzenie.

– Och. – Zarumieniłam się i spuściłam wzrok, zaskoczona tym gestem.

Przyciągnął moją dłoń do swojego torsu, po czym poobracał się ze mną kilka razy, aż w końcu piosenka dobiegła końca, a ja zrobiłam krok w tył.

– Nadam się?

Uśmiechnęłam się.

– Chyba tak.

W następny weekend poszliśmy na Sadie Hawkins, a później na imprezę kończącą sezon piłkarski, gdzie Tommy pocałował mnie przy lodówce, w której tata Dereka trzymał piwo. Rozległy się głośne okrzyki i od tego czasu zaczęto nas traktować jak parę. Całkiem nieźle to brzmiało. Tommy i Hattie, licealna miłość.

Do czasu Święta Dziękczynienia wypracowaliśmy pewną rutynę. Wychodziliśmy gdzieś razem w sobotnie wieczory, a jako że nie mieliśmy żadnych wspólnych zajęć – ja ze wszystkich przedmiotów byłam w grupie zaawansowanej, a on na ogół chodził na zajęcia wyrównawcze – w szkole widywaliśmy się tylko podczas przerwy na lunch. Siadywałam razem z nim przy stole futbolistów i pozwalałam mu zjeść większość swojego jedzenia, a sama w tym czasie bawiłam się telefonem. Kiedy jednak serwowano ciasteczka z czekoladą, zawsze oddawał mi swoją porcję.

Tommy zdecydowanie mnie lubił – wystarczyło, że się uśmiechnęłam, a on się cały rozpromieniał – choć niekoniecznie to mnie tak bardzo lubił, a sam fakt posiadania dziewczyny. Przytulał mnie mocno, kiedy tylko jego kumple z drużyny obściskiwali się ze swoimi dziewczynami, a sobotnie wieczory spędzaliśmy na ogół na podwójnych, albo i potrójnych randkach. Chyba czuł, że mając dziewczynę, naprawdę należy do grupy, a choć nie zaliczał się do bystrzaków, potrafił być naprawdę kochany. Cieszyłam się, że dzięki mnie zyskał tego rodzaju akceptację u swoich kumpli.

Mama i tata także się cieszyli. Myślę, że mieli nadzieję, iż fakt posiadania chłopaka uziemi mnie tutaj, że może zmienię zdanie w kwestii Nowego Jorku. Zapraszali Tommy'ego na niedzielne obiady, a potem tato oglądał razem z nim mecz, tak jak to kiedyś robił z Gregiem.

Dla mnie było to nauką. Nigdy dotąd z nikim się nie spotykałam i nie miałam pojęcia, jak być czyjąś dziewczyną. Okazało się to proste. Bardziej chodziło o nachylanie się w jego stronę niż rzeczywiste słuchanie albo położenie ręki na jego ramieniu niż poproszenie, aby przestał. Podczas naszych podwójnych randek obserwowałam inne dziewczyny i rejestrowałam, w jaki sposób przekomarzają się i chichoczą. Wyglądały na takie szczęśliwe i zastanawiałam się, czy gdybym wyglądała wystarczająco radośnie, to ja też

czułabym, że znalazłam swoje miejsce.

Raz po lunchu odprowadziłam go na angielski. Szliśmy niespiesznie korytarzem, Tommy mnie obejmował, a moja torba z podręcznikami obijała się lekko o jego udo. Pozornie nie spieszyliśmy się, ale coś we mnie zaczęło buczeć. Futboliści tradycyjnie pokrzykiwali na siebie, a w chwili kiedy dotarliśmy do drzwi klasy Petera, rozległ się pierwszy dzwonek. Uniosłam głowę i uśmiechnęłam się znacząco do Tommy'ego, nachylając się w stronę jego wielkiej jak talerz twarzy. Połknął haczyk i jego usta wyładowały na moich. Objął mnie jeszcze mocniej.

– Baw się dobrze na angielskim – rzuciłam żartobliwie, kiedy mnie puścił. Przesunęłam paznokciem po jego bicepsie.

– Jasne. – Przewrócił oczami i wszedł do klasy.

Peter siedział za biurkiem i wpatrywał się we mnie, pozostając w kompletnym bezruchu. Patrzył to na mnie, to na Tommy'ego i widziałam, że doznał szoku. Miewał dyżury na stołówce razem z panem Jacobsem i już od kilku tygodni mógł obserwować mnie i Tommy'ego, jednak od tamtego wieczoru w stodole w ogóle nie patrzył w moją stronę. Zignorowałam go i posłałam Tommy'emu całusa, po czym tanecznym krokiem ruszyłam korytarzem. To było piękne.

Od tamtego czasu wyczuwałam, że Peter mnie obserwuje. Na angielskim pilnowałam się, aby wyjątkowo często podnosić rękę. Jeszcze bardziej się starałam podczas odrabiania prac domowych, żeby zawsze móc wygłosić jakąś celną uwagę na temat motywu przewodniego aktualnej lektury albo jakiś podtekst, którymi bym mu zaimponowała. Przez pewien czas próbował prześlizgiwać się po mnie wzrokiem, ale po tym, jak zobaczył, że się całuję z Tommym, nieco się rozluźnił. Zaczął przyznawać, że przedstawiam interesujące punkty widzenia, następnie omawiał moje pomysły, próbując nakłonić innych uczniów, aby podrzucali kontrargumenty. Kilka tygodni po Święcie Dziękczynienia zapoczątkował dyskusję słowami:

– Czy ktoś oprócz Hattie chce coś powiedzieć na temat zakończenia?

Cała klasa się roześmiała, łącznie ze mną, ale i tak podniosłam rękę.

– Ktoś jeszcze? – Peter rozejrzał się z nadzieją.

Po długiej chwili westchnął teatralnie i mnie wywołał.

– Według mnie zakończenie jest beznadziejne. Nic nie zostało wyjaśnione.

– Ktoś jeszcze ma takie wrażenie? Las rąk, bardzo proszę.

Przysiadł na skraju biurka i takiego go właśnie najbardziej lubiłam obserwować. To znaczyło, że szykuje się do wygłoszenia wykładu i spróbuje nas nakłonić do zastanowienia się nad poruszonymi w książce kwestiami. Rękawy miał podwinięte i moje spojrzenie prześlizgnęło się po włoskach porastających jego przedramiona. Następnie zamrugałam i zmusiłam się do słuchania tego, co mówi.

– To książka o wojnie. Wojna zawsze pozostawia społeczeństwu trudne pytania, na które nie zawsze da się udzielić odpowiedzi. Czy odpowiedzi powinien nam zapewnić O'Brien, czy też jego rolą jest jedynie zadanie pytań, tak by czytelnik sam dokonał konfrontacji?

Tym razem zgłosiła się Becca Price.

– Według mnie każdy inaczej odpowiedziałby na pytanie, czy wojna była czymś właściwym czy nie. No bo spójrzmy na to, co się teraz dzieje w Iraku i Afganistanie. Nikt nie potrafi przyznać, czy należy brać udział w tym konflikcie, czy też w ogóle nie powinno nas tam być. Ale każdy mówi, że to Wietnam naszego pokolenia.

– Tak, szczęściarze z was – rzekł Peter. Część uczniów się zaśmiała. Inni jedynie siedzieli ze wzrokiem wbitym w zeszyty. Nie ja jedna miałam tam kogoś z rodziny.

– Wracając jednak do skargi Hattie na to, że nic nie zostało wyjaśnione...

– Chwileczkę, nie chodziło mi o to, że chciałam, aby autor udzielił odpowiedzi na ważne, filozoficzne pytania na temat wojny. Ale nie dokończono historii żadnej z postaci.

– Może O'Brien chciał, aby jego postacie symbolizowały te ważne pytania. Gdyby fabuła miała zbyt zgrabne zakończenie, to czy nadal zastanawiałabyś się nad tym, jaki wpływ wojna wywiera na zwykłych ludzi?

Westchnęłam i zasznurowałam usta, wiedząc, że wytrącił mi z ręki argumenty. Ale wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Przez kilka kolejnych minut Peter prowadził jeszcze dyskusję z uczniami,

następnie rozdał nam nasze wypracowania i w tej chwili rozległ się dzwonek. Zerwałam się z miejsca i podczas gdy wszyscy pakowali swoje torby, podeszłam do biurka.

– Panie Lund, nadal dręczy mnie kilka kwestii związanych z tą książką. Czy mogłabym przyjść tu po lekcjach, aby o nich porozmawiać?

Moja twarz stanowiła uosobienie niewinności. Przygryzłam wargę i dla lepszego efektu przechyliłam głowę. Peter przełknął ślinę i rozejrzał się po klasie. Wszyscy śmiali się i rozmawiali, przepychając się w stronę drzwi.

– A może wykorzystasz te kwestie w swoim wypracowaniu?

– Ale nie mogę napisać streszczenia, jeśli nie mam pewności, czy dobrze rozumiem tę książkę. Zajmę panu tylko kilka minut.

Wyszłam, nim zdążył mi znowu odmówić, a na pozostałych lekcjach siedziałam jak na szpilkach. Zastanę go? Wiedziałam, że na ostatniej godzinie ma okienko – owszem, nauczyłam się na pamięć jego planu zajęć – mógł więc wyjść ze szkoły, zanim zdążę opuścić pracownię chemiczną. Kiedy rozległ się dzwonek, praktycznie z niej wybiegłam i przedzierając się przez tłum, popędziłam na pierwsze piętro. Kiedy mijałam kącik z szafkami, kilka osób coś do mnie wołało, ale machnęłam jedynie ręką i szłam dalej, przyciskając do piersi podręcznik do chemii.

Stałam w końcu pod jego klasą, wzięłam głęboki oddech i zajrzałam przez okienko. Peter siedział za biurkiem i czytał. Serce fiknęło mi koziółka. Otworzyłam drzwi, pragnąc zobaczyć wyraz jego twarzy. Okazało się jednak, że z tyłu klasy siedzi w ławkach dwóch uczniów. Coś pisali. Jednym z nich był Tommy.

Uśmiechnął się szeroko na mój widok, ja jednak odwróciłam wzrok, pozwoliłam, aby włosy opadły mi na policzek i podeszłam do biurka Petera.

– Och, Hattie. – Podniósł wzrok znad komputera. – Zapomniałem, że masz wpaść. Mam tutaj dwie osoby, które piszą test poprawkowy.

Tommy parsknął cicho. Peter go zignorował i obdarzył mnie bladym uśmiechem.

– Nadal chcesz porozmawiać o O'Brienie?

– Tak – wyrzuciłam z siebie po chwili milczenia.

– No więc?

Miałam ochotę zdrapać mu z twarzy tę udawaną nonszalancję. Zamiast tego zaczęłam szukać w torbie książki, zyskując na czasie, i uznałam, że każdy kij ma dwa końce.

– Proszę. – Położyłam na biurku swoją książkę, po czym przyciągnęłam stojące pod tablicą krzesło. – Nie pamiętam w tej chwili konkretnych fragmentów, ale je zaznaczyłam.

Wyprostował się, a ja z przesadnym skupieniem zaczęłam kartkować książkę. Tommy posyłał mi spojrzenia pełne konsternacji, aż w końcu uśmiechnęłam się i mrugnęłam do niego, żeby sądził, iż przyszłam tu z jego powodu. Zadziałało. Zasłonił usta dłonią, by ukryć uśmiech, i wrócił do pracy, najpewniej zamieniając wszystkie przecinki na kropki albo pisząc przypadkowe wyrazy wielkimi literami.

– Proszę. – Znalazłam stronę, na której marginesie napisałam, jak bardzo to wszystko jest przygnębiające. Często tak robię. Lubię dodawać do książki swoje słowa, jakbym prowadziła z autorem rozmowę.

– Wiesz, że to własność szkoły, Hattie. Nie możesz jej niszczyć.

– No to wystawcie mi rachunek.

Tommy i drugi uczeń zaśmiali się, po czym obaj udawali, że to kaszel.

– Na przykład tutaj. W ogóle nie rozumiem tego faceta. Wiesz się po powrocie do domu? Przeżył wojnę, a potem postanawia się zabić? Powinien był jechać do Wietkongu z wielką, białą flagą nad głową.

– Pomyśl o tych wszystkich wspomnieniach, które go dręczą, o poczuciu winy z powodu śmierci przyjaciela. Może gdyby naprawdę przeżył wojnę, byłby się z tym w stanie uporać. To, co O'Brien pragnie nam przekazać w tej historii, to fakt, że jakaś część tego mężczyzny rzeczywiście umarła w Wietnamie, tyle że on nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Ale proszę spojrzeć, jak długa jest ta historia. – Przekartkowałam książkę i przypadkowo musnęłam opuszkami palców jego dłoni.

Ten dotyk okazał się elektryzujący. Prąd przeszedł przez całą moją rękę i na chwilę zamarłam, zupełnie nieprzygotowana na coś takiego. Zerknęłam na Tommy'ego, ale nasze dłonie i książka ukrywały się za komputerem.

Znajdowaliśmy się w szkole, na widoku, w odległości sześciu metrów od mojego chłopaka, a mimo to nikt nas nie widział.

Serce zaczęło mi bić w szaleńczym tempie, oddech przyspieszył. Peter siedział znieruchomiał. On także sprawiał wrażenie zaszokowanego.

Ostrożnie, tak bardzo ostrożnie, przekartkowałam książkę do początku, nie odrywając wzroku od jego dłoni. A dłoń miał piękną, z długimi palcami, krótko obciętych paznokciami i małą włoskami na knykciach.

– To co najmniej dwadzieścia stron – powiedziałam głosem cichym i lekko zadyszonym. Nie sądziłam, aby Tommy mnie usłyszał. – I nic się w tym fragmencie nie dzieje.

– Bohater nie potrafi ruszyć do przodu. Dlatego właśnie raz za razem okrąża jezioro. Gdyby zrobił to tylko raz, czytelnik nie zdałby sobie w pełni sprawy z jego bezsilności.

Jego głos także stał się cichszy, choć w ogóle na siebie nie patrzyliśmy. Oboje wbijaliśmy wzrok w biurko i leżącą przed nami książkę.

– Skoro nie potrafi ruszyć do przodu... – przełknęłam ślinę i tym razem z rozmysłem położyłam rękę obok jego dłoni, ledwie ją tylko muskając – ...no to o co w tym wszystkim chodzi?

Skórę, w przeciwieństwie do Tommy'ego, miał szorstką i poczułam, jak z jego małego palca emanuje ciepło i przenika przez całe moje ciało. Miałam ochotę spleść nasze dłonie, nie ośmieliłam się jednak. W każdej chwili Tommy mógł wstać i nas zobaczyć. Ktoś mógł przechodzić korytarzem i zajrzeć przez okienko w drzwiach. Minęła sekunda, potem dwie, gdy tymczasem dłoń Petera leżała tuż przy mojej, a ja ekscytowałam się tym minimalnym, zakazanym kontaktem.

Peter wziął głęboki oddech, po czym rzekł ostrożnie, aczkolwiek dobitnie:

– Bohater dokonał już wyboru. O to chodzi w tej historii. Musiał stawić czoła konsekwencjom swoich decyzji. Przeczytaj raz jeszcze ten fragment.

Wziął do ręki książkę, przerywając nasz kontakt, a mnie zamarło serce. Znalazł odpowiedni ustęp i pokazał mi go, po czym odsunął się na bezpieczną odległość.

Słowa tańczyły po całej kartce. Nie miałam pojęcia, co znaczą.

Przypomniała mi się pierwsza randka z Tommym, to, jak wziął mnie za rękę i tak słodko ze mną tańczył, a ja niczego nie czułam, nawet ułamka tego, co mi zapewniało muśnięcie dłoni Petera. Gdybym była normalną dziewczyną z normalnymi marzeniami, pełen wahania dotyk Tommy'ego Kinakisa przyprawiałby mnie o zawrót głowy. Opowiadałabym o nim przyjaciółkom i chichotałabym razem z nimi, no i w ogóle bym się przed nim nie uchylała. Wszystko byłoby takie proste. Przez chwilę myślałam ze smutkiem o osobie, którą się nigdy nie stanę. Bez względu na to, jak dobrze będę grała swoją rolę, pozostanie ona tylko tym – rolą.

Pora więc opuścić kurtynę i się uklonić.

– Okej, chyba rozumiem, co chce pan powiedzieć. – Zamknęłam książkę.

– Mam nadzieję, że przed napisaniem wypracowania pomyślisz o tym, co ci powiedziałem.

– Oczywiście. – Ciszej dodałam: – Zawsze tak robię.

Nim zdążył coś powiedzieć, wydarłam z zeszytu kawałek kartki i coś na niej napisałam, po czym wstałam, złożyłam kurtkę i podniosłam torbę z podręcznikami. Stałam między chłopakami a Peterem, tak żeby go nie widzieli, i wręczyłam mu kartkę.

Co myślisz o nowym chłopaku Hattie?

HollyG

Peter uniósł gwałtownie głowę i spojrzał na mnie z wyraźną konsternacją. Pozwoliłam, aby moje tętno nieco się uspokoiło, i obdarzyłam go uśmiechem, takim, jaki wymieniają ze sobą konspiratorzy, który wyjawia wszystko bez potrzeby używania słów, uśmiechem, który rozjaśnia całą scenę i oświadcza każdej siedzącej na widowni osobie: „Jestem twoja i tylko twoja”.

Kiedy w jego oczach zaczynało się pojawiać zrozumienie, odwróciłam się i wyszłam z klasy, mrugając po drodze do Tommy'ego.

PETER / Czwartek, 6 grudnia 2007

Co sądziłem o chłopaku Hattie? Co sądziłem o Tommym Kinakisie?? Według mnie spotykał się z socjopatką, oto, co o nim sądziłem.

Biegłem szybko i z każdym krokiem z ponurą satysfakcją czułem chrząstki w kolanach. Musiałem coś zniszczyć, a jedyną dostępną opcją było moje ciało.

Odkąd skończyły się szkolne biegi przełajowe, wróciłem do wieczornego biegania. Śnieg, który spadł na Święto Dziękczynienia, zdążył już stopnieć, ustępując suchemu, ciemnemu grudniowi. Słońce chowało się już za horyzontem, kiedy po pracy przyjeżdżałem do domu Elsy, po czym nastawała połykająca wszystko ciemność. I cisza. Koniec z letnim cykaniem owadów. Nawet kury ucichły. Nie licząc fizycznego wysiłku, nic nie przerywało dręczącego mnie nieustannie poczucia winy.

Kupiłem latarkę czołową, żeby widzieć, gdzie biegnę, i smugi bladego światła prześlizgiwały się po kamieniach. Biegłem drogą szutrową, mijając domy, które wyglądały jak maleńkie, otoczone poświatą statki na skutym lodem morzu. Po obu stronach czaiły się drzewa, ich nagie gałęzie kołysały się upiornie w świetle księżyca, lecz w ogóle nie zwracałem na nie uwagi.

Spotykanie się z Tommym było tylko przykrywką.

Podczas tych trzech godzin, które minęły, odkąd wparowała do mojej klasy, nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. W stodole mi oświadczyła, że stanie się ostatnią dziewczyną na świecie, którą można posądzić o romans z nauczycielem angielskiego, i wyglądało na to, że wciela w życie swój plan. Tommy nie był dla niej niczym więcej jak rekwizytem. Przez resztę popołudnia i kolację próbowałem zrozumieć wagę tego, co zrobiła. Skrywała

w sobie wiele postaci. Była niebezpieczna, wyrachowana, diaboliczna i... znakomita. Znakomita do kwadratu.

Po tamtym wieczorze w stodole mocno ograniczyłem nasze kontakty. W klasie ani jej specjalnie nie angażowałem, ani nie ignorowałem. Jednak raz podczas przerwy na lunch zapomniałem się. Carl przyłapał mnie na stołówce na tym, że się w nią wpatruję.

– Kłopoty? – zapytał. Tylko tyle. Carl należał do osób konkretnych.

Zerknął na Hattie. Choć naszym zadaniem było pilnowanie, aby uczniowie zachowywali się odpowiednio, najczęściej po prostu jedliśmy i się nie wtrącaliśmy.

– Nie. – Odwróciłem szybko wzrok, odgryzając spory kęs kanapki.

– Tego typu sweterki powinno im być wolno nosić dopiero, kiedy skończą osiemnaście lat.

Nagle miałem problem z przełknięciem.

– Niektóre nie wyglądają nawet jak dzieci. W przeciwieństwie oczywiście do chłopców. Oni nie zmieniają się szybko w mężczyzn. Natomiast dziewczyny...

– Wiem. – Pilnowałem się, żeby nie spojrzeć na Hattie ponownie, ale odnosiłem wrażenie, że wszystko mam wypisane na twarzy. Wbiłem wzrok w kanapkę i udawałem, że całą moją uwagę pochłania sałatka z jajkiem.

– W naszych okolicach zdarza się jeszcze, że zaraz po szkole wychodzą za mąż – kontynuował Carl, wyjątkowo tego dnia rozmowny. Czasami używał w rozmowie ze mną określenia „w naszych okolicach”, jakby był moim przewodnikiem po wiejskim południu stanu Minnesota. – Musisz być ostrożny – dodał.

Nic nie powiedziałem ani nawet nie podniosłem wzroku i resztę przerwy na lunch spędziliśmy pogrążeni we własnych myślach. Jeśli coś podejrzewał co do mnie i Hattie, milczał, a ja nie popełniłem już tego samego błędu i od tamtej pory więcej na nią nie patrzyłem.

Jedyną naszą interakcją w minionym miesiącu były jej prace pisemne. Czytałem je na górze w pokoiku z komputerem, wstydząc się tego, jak reaguję na jej słowa. Niezależnie od wszystkiego, co się wydarzyło, pozostawała

jedną z najbardziej bystrych, najbardziej lotnych uczennic w szkole. Przedstawiała argument za argumentem, a potem zbijała je po kolei, by następnie zawrócić i zaprezentować jakąś zupełnie nową teorię, którą później kwestionowała, a na końcu wypracowania ukreślała jej łeb. Widać było, że nie pisze najpierw na brudno, ale mnie się to bardzo podobało. Było tak, jakbym się przyglądał jej myślom, jakby kartka papieru oddychała. Oceniałem jej prace zawsze na piątkę, nawet jeśli powinna nieco wygładzić styl, ponieważ wiedziałem, że w przeciwnym razie zakwestionowałyby ocenę, a nie mogłem ryzykować, że będę z nią musiał porozmawiać twarzą w twarz.

I po tym całym ostrożnym utrzymywaniu dystansu ona i tak urządziła na mnie zasadzkę. Wtedy, kiedy zacząłem się uspokajać i myśleć, że dała sobie spokój. Wręczyła mi tę kartkę i wrzuciła ponownie do cholernego ognia.

Wbiegłszy na parking nad jeziorem Crosby, minąłem pustego pikapa. Wokół nie było żywej duszy; samochód sprawiał wrażenie, jakby go porzucono na pastwę losu. Zwolniłem, kiedy dotarłem do nierównej ścieżki biegnącej wokół jeziora. Biegnijcie delikatniej, mówiłem tu chłopakom. Zepnijcie się.

Sobie nie musiałem o tym przypominać. Cały spięty przebiegałem w niedalekiej odległości od opuszczonej stodoły, i wtedy w oknie pod dębem dostrzegłem blade, migające światło.

Nie. To niemożliwe.

Zatrzymałem się, wcale nie taki wykończony. To wieczorne bieganie – które miało stanowić zarówno karę, jak i ucieczkę – tylko wzmacniało moją kondycję, ale najwyraźniej nie dało mi tyle siły, abym pobiegł teraz dalej.

To tylko jakieś dzieci, przekonywałem samego siebie, gasząc jednocześnie czołówkę. Dzieciaki, które tu przyszły na piwo albo palić trawkę. Podszedłem bliżej, uspokajając oddech, i przez cały czas nazywałem siebie cholernym idiotą, który powinien uciec stąd w te pędy.

Podszedłem na tyle blisko, żeby zajrzeć do środka, no i ją ujrzałem.

Na podłodze rozłożyła koc, a obok siebie ustawiła lampkę. Siedziała po turecku z książką na kolanach. Niedaleko stała butelka z wodą. Długie włosy schowała pod kapturem, a światło lampki barwiło jej policzki na

pomarańczowo. Pomimo niedawnego ocieplenia widziałem, jak z jej ust wydobywają się blade obłoczki pary. Coś w jej wyprostowanych plecach i kącie przechylenia głowy przypominało mi Alicję w Krainie Czarów i doznałem zawrotów głowy, jakbym to ja wpadł do króliczej nory.

Odwróciłem się i udałem cicho do miejsca, gdzie ścieżka znowu stawała się wyraźna. Zaraz mogłem się znaleźć za linią drzew, które znaczyły granicę ziemi Elsy. Wystarczyło, żebym włączył czołówkę i ruszył biegiem. Łydki zaczynały mi sztywnieć. Pora się było ruszyć, ale nie potrafiłem.

Obejrzałem się na stodołę i widniejący za nią pusty horyzont. Ona tam była sama, bezbronna, i nagle na powierzchnię ze zdumiewającą satysfakcją wypłynął mój nakierowany na nią gniew. W pięciu susach pokonałem odległość dzielącą mnie od stodoły, po czym otworzyłem skrzypiące drzwi. Zaskoczona, podniosła głowę.

– Co ty tu, u licha, robisz?

Kiedy dostrzegła, że to ja, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Uczę się.

– Gówno prawda.

– Poważnie, uczę się historii. Okres renesansu zdecydowanie nie był gówniany. – Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. Wtedy dostrzegła pasek na mojej głowie. – Co to?

– Czołówka. – Zdjąłem ją i wcisnąłem do kieszeni.

– Okej. – Moje przepocone ubranie i gniew zdawały się ją bawić.

– Odpowiedz mi na pytanie, Hattie. Co ty tu robisz?

– Już powiedziałam. Odrabiam pracę domową.

– Nie, pracę domową powinnaś odrabiać w domu albo w szkole, albo w bibliotece.

– Biblioteka jest zamknięta.

– W ciepłym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu. – Wypluwałem z siebie każde słowo, ignorując jej próby żartowania. – Nie w jakiejś przeznaczonych do rozbiórki, nieogrzewanej ruderze w samym środku zimy.

Odłożyła książkę na koc, wstała i stanęła przede mną w niebieskiej pikowanej kurtce, w której wyglądała na pięciolatkę.

– Daj spokój, jest pięć stopni. Moglibyśmy urządzić imprezę nad basenem. – Zaśmiała się, po czym dodała: – Czekałam na ciebie.
– Skąd wiedziałaś, że będę tu biegał?
– Nie wiedziałam, ale uznałam, że istnieje taka możliwość. Po tym, co ci powiedziałam.

– A gdybym się nie zjawił? Co wieczór byś tak siedziała i marzła, czekając, aż ktoś cię tu znajdzie?

Chwiejnym krokiem podszedłem do niej.

– Kto miałby tu przyjść?

– Ktokolwiek! Boże, Hattie. Czy ty w ogóle nie myślisz?

– Przesadzasz.

Zaczynała się irytować. To dobrze.

– Ktoś mógł cię zgwałcić albo obrabować.

– Coś jeszcze?

– Nikt by nie słyszał, jak krzyczysz. – Stałem na skraju absurdalnego pikniku, górując groźnie nad nią.

– To nie Minneapolis, Peterze. Na wypadek, gdybyś tego nie zauważył. Jesteśmy w Pine Valley, gdzie nie dzieje się nic złego, może z wyjątkiem suszy. A widzisz tę butelkę? Wody mi nie zabraknie.

Znowu próbowała rozluźnić atmosferę. Pieprzyć to.

– Czemu się z nim spotykasz?

– Z Tommym? – Rozpromieniła się, jakbym zadał pytanie, na które czekała. – I co myślisz? To dobry wybór?

– Powiedz mi, że podoba ci się ten dureń. Powiedz, że nie wykorzystujesz go po to, żeby się do mnie zbliżyć.

– Postrzegam to bardziej jako służbę publiczną. Wszyscy są zadowoleni. Nie masz nawet pojęcia jak.

Wyglądała na niesamowicie z siebie zadowoloną, doprowadzając mnie tym do szału.

– Dlaczego? – Chwyliłem ją za ramiona i potrząsnąłem nią nad lampką, przez co po ścianach i suficie zaczął tańczyć jej cień. Siła tego gestu zmyła z jej twarzy zadowolenie. Dotarło do niej, że nie bawię się w te jej gierki.

Ponownie nią potrząsnąłem, podciągając do góry i zostawiając sińce na ramionach.

– Czemu to robisz?

– Bo cię kocham. – Oczy miała wielkie i mroczne. Głos lekko jej się załamał i uświadomiłem sobie, jak niewielka odległość nas dzieli: jeden wściekły, bolesny oddech.

Natychmiast ją puściłem i odwróciłem się, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– To zadurzenie. Zauroczenie. – Otarłem pot z czoła.

– Nikt nie będzie nic podejrzewał, Peterze. – Znowu znalazła się obok mnie.

– Przestań.

– Nikt się nie dowie, że jestem twoja.

– Nie jesteś moja. – Odwróciłem się na pięcie, a ona się zawahała. Nie miała w sobie wystarczająco dużo pewności siebie, żeby zrobić ten ostatni krok. Nadal była dzieckiem. Wykorzystałem jej wahanie, to ostatnie mgnienie niewinności. – Nie widzisz, jak bardzo jest to niewłaściwe?

– Nie wiedziałam, że to ty. Nie wiedziałam, dopóki nie było za późno. Zdążyłam się w tobie zakochać. – Jej głos był teraz cichy, błagalny i zaczął burzyć we mnie to, co umacniałem w sobie przez kilka ostatnich tygodni. – Chcę tylko, żebyś patrzył na mnie tak, jakbyś żywił takie same uczucia. Wiem, że tak jest. Nie wyobraziłam sobie tego.

– Co miałaś w planach, Hattie? Sypiać i ze mną, i z nim?

– Nie. – Przełknęła ślinę. – Tylko z tobą.

W ustach mi zaschło, a puls niebezpiecznie przyspieszył.

– Ale pozwalasz mu się całować.

– Jesteś zazdrosny? – Przez jej twarz przemknął uśmiech i niemal natychmiast zniknął. – To tylko gra, Peterze. Bycie dziewczyną Tommy'ego to nic trudnego. Nawet dwunastolatka by sobie z tym poradziła.

Zrobiłem krok w jej stronę, zafascynowany tą dziewczyną, która zdejmowała kolejne maski niczym matrioszka, a każda była coraz bardziej zuchwała: psychologiczny striptiz, który wywoływał we mnie palące

pragnienie rozdarcia jej na strzępy i dowiedzenia się, kto naprawdę kryje się w środku.

– Czy całe twoje życie to gra?

Spuściła wzrok i na jej twarzy pojawiło się w końcu coś podobnego do wstydu.

– Tak – szepnęła.

– A jaką rolę mam odgrywać ja?

– Żadną! – Uniosła głowę.

– Zaplanowałaś sobie tę scenę.

– Nie! To wcale nie tak.

– Kim ja jestem, Hattie? Wielkomięjskim nauczycielem, który odrzuca dla ciebie całe swoje życie? Dla którego tracisz głowę?

W ułamku sekundy pokonałem dzielącą nas odległość i ponownie nią potrząsnąłem.

– Czy jest tam scena, w której deklaruję swoją miłość? W której ci mówię, że nie potrafię wybić sobie ciebie z cholernej głowy?

– Tak – wyrzuciła z siebie.

– I co dalej dzieje się w tej fantazji, Hattie?

W jej oczach błyszczały strach, gniew i podniecenie, wszystko to, co mnie dręczyło od czasu tamtego przedstawienia w Rochester. I już wiedziałem, co będzie dalej, przed czym nie byłem się już w stanie dłużej powstrzymać.

Poruszyliśmy się jednocześnie. Przypuściłem atak na jej usta i język i pociągnąłem ją za sobą na ziemię, prosto do tak bardzo upragnionego piekła.

HATTIE / Styczeń 2008

Dziewictwo straciłam jako piętnastolatka, choć może „straciłam” to dość zabawne określenie. Pozbyłam się go w piwnicy Mike’a Crestviera, na starej sofie obitej materiałem w liście kapusty, kiedy oglądaliśmy *Władcę pierścieni*. W sumie to był dość typowy pierwszy raz, z wyjątkiem może tego, że nie durzyłam się w Mike’u. Kierowała mną przede wszystkim ciekawość. Nie da się obejrzeć tylu sezonów *Seksu w wielkim mieście* bez uczucia zaciekawienia. A Mike był całkiem fajnym chłopakiem, uczniem ostatniej klasy liceum, podekscytowanym czekającym go wyjazdem na studia. Prawdopodobnie właśnie to podekscytowanie tak bardzo mi się w nim podobało.

Oglądaliśmy ten fragment, w którym Gandalf walczy z duchem ognia i wpada do piekła czy gdzieś tam, i wtedy zapytałam Mike’a, czy ma ochotę na seks.

Wyglądał na zaskoczonego. Właściwie to kumplował się raczej z Gregiem niż ze mną, ale mój brat wyjechał na weekend, więc przyszłam sama.

– Masz gumkę? – zapytałam go. – Jeśli nie, możemy zapomnieć o sprawie.

Dość komiczne było to, jak szybko znalazł prezerwatywę i upewnił się, że jego rodzice nie wrócili jeszcze z zakupów.

Sam seks okazał się taki jakiś niezdarny i dziwny, a ja nieszczególnie pomagałam. Mike twierdził, że już to robił, więc po prostu leżałam i pozwalałam, aby to się działo, prawdę mówiąc, bardziej jako obserwator niż uczestnik. Najlepiej zapamiętałam – nie licząc kłującego obicia sofy, które drapało mnie w tyłek – pulsującą na czole Mike’a żyłę, wyglądającą jak kręta

rzeka krwi. Uznałam, że już rozumiem, na czym polega seks, i później wcale mnie już do niego nie ciągnęło.

Zeszłej jesieni, kiedy zaczął się mój przedostatni rok w liceum, a Mike cieszył się w Minneapolis życiem studenta, w samym środku żniw zmarł mój dziadek i rodzice musieli jechać do Iowa, aby wszystkim się zająć.

Od kilku lat przebywał w domu opieki – od czasu, kiedy babcia zmarła, a on doznał udaru. Przed udarem był taki sam jak mój tato: twardy, konkretny facet. Tato miał jednak poczucie humoru, gdy tymczasem dziadek zawsze wydawał się spięty, jakby czekał na to, co nieuchronne. Po udarze wszystko się zmieniło. Ciągłe płakał. Płakał, kiedy go odwiedzaliśmy, kiedy wieczorem pielęgniarka kładła go spać, nawet z powodu takich rzeczy, które powinny sprawiać mu radość, jak na przykład zwycięstwo Twinsów. Było tak, jakby wylewało się z niego osiemdziesiąt lat tłumionych emocji.

Dom opieki mieścił się w robiącym przygnębiające wrażenie betonowym budynku pod Des Moines, gdzie wszystkie staruszki przesiadywały na spróchniałym tarasie i próbowały nas przywołać do swoich wózków. Ignorowaliśmy je i wbijaliśmy wzrok w buty idącej przed nami mamy. Dziadek zawsze miał zapas starych krówek, na których można sobie było połamać zęby, i musieliśmy siedzieć i je żuć, gdy tymczasem mama mówiła wesoło do ścian, on wpatrywał się w nas, a po jego starej, pooranej zmarszczkami twarzy spływały łzy.

Kiedy umarł, zastanawiałam się, czy mojego taty bardziej nie martwi fakt, że stało się to podczas żniw. W moich rodzinnych stronach nie mówiło się o uczuciach. Absorbowało się ból i poczucie straty i zdawkowo kiwało głową, jeśli ktoś poruszał ten temat. Akceptowano bycie zabawnym albo rzucanie dowcipami, jak robił mój tato, ale wszystkie inne emocje skrywano głęboko i czasem zastanawiałam się, czy one w ogóle istnieją. Myślę jednak, że tato rzeczywiście kochał swojego ojca, ponieważ wyjechał w samym środku żniw, zatrudniając imigranta, który pod jego nieobecność miał dopilnować zbiorów.

Ja zostałam, żeby dokończyć w tamtym tygodniu szkołę, a na pogrzeb miałam dojechać w sobotę. Pewnego popołudnia siedziałam na huśtawce

przed domem i czytałam, a podczas przekręcania stron z roztargnieniem muskałam zarys jednej piersi. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że jakieś pięć, sześć metrów dalej stoi Marco i mi się przygląda. Był wysoki i napakowany, tak jak ci mężczyźni, którzy pracują fizycznie i jedzą sporo fast foodów: warstwa mięśni, warstwa tłuszczu, warstwa mięśni. Tato mówił, że pochodzi z Gwatemali. Skórę i włosy miał ciemne, a błyszczące oczy wpatrywały się w moją dotykającą piersi dłoń.

Zerwałam się z huśtawki, coś tam burknęłam i pobiegłam do domu. Zamknęłam nawet drzwi na klucz, co wcześniej w ogóle się nie zdarzało, a przez resztę popołudnia obserwowałam Marca z okna mojego pokoju. Może to przez tę książkę, a może powodem było jego płomienne spojrzenie, ale tamtego wieczoru po raz pierwszy przeżyłam orgazm. Wcześniej próbowałam się już masturbować, ale wyglądało na to, że najważniejsza jest motywacja.

Odkąd zakochałam się w Peterze, nigdy nie miałam problemu z motywacją.

Niemniej jednak nic, co wyobrażałam sobie wieczorami w łóżku, nie przygotowało mnie na to, co się wydarzyło w stodole Ericksonów. Jego gniew mnie przeraził i niemal pozbawił nadziei, aż nagle Peter chwycił mnie i oboje upadliśmy na kolana. Zapamiętałam wszystko: to, jak jego ręce prześlizgiwały się po każdym dostępnym skrawku mego ciała, to, jak płonęłam wszędzie, gdzie mnie całował. Był spocony, podniecony i mało delikatny, a wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło.

– Nie możemy tego robić – oświadczył, odpychając mnie.

Ponownie dałam nura w jego stronę, całując szyję, przeczesując palcami włosy. Tak cudnie pachniał. Ciekawe, w którym momencie chłopcy przestają pachnieć jak chłopcy i zaczynają pachnieć tą mieszanką pizma, mydła i potu. A może Peter zawsze tak pachniał? Co bym zrobiła, gdyby jako szesnastolatek przeszedł obok mnie w centrum handlowym? Czy mój ośmioletni nos wyczułby to i czy udałabym się za nim przez alejkę z restauracjami? Uśmiechnęłam się i wymruczałam:

– Mam gumki.

Jęknął i musnął mi nosem skroń, po czym objął dłońmi moją twarz.

– Próbujesz mnie zabić, prawda?

– Nie, Peterze. – Pokręciłam głową, na tyle, na ile pozwalały mi jego dłonie. – Próbuję pomóc ci żyć.

– Skończ z tymi gierkami, Hattie. Powiedz mi, czego naprawdę chcesz.

– Chcę ciebie. Po prostu chcę ciebie. – Powtarzałam to raz za razem, zamykając oczy i pocierając policzkiem o jego dłoń. Jego kciuk przesunął się po moich ustach, a ja rozchyliłam je, licząc na to, że znowu mnie pocałuje. On jednak tego nie zrobił.

Wstał i odsunął się o krok.

– Nie masz jeszcze osiemnastu lat.

Moje serce fiknęło koziołka.

– Czym jest kilka tygodni?

– Zgodnie z prawem to różnica między byciem zwolnionym z pracy a byciem zwolnionym z pracy, aresztowanym i posłanym za kratki.

Zauważyłam, że nie powiedział nic o rozwodzie, ale nie chciałam poruszać teraz tego tematu i zaprzepaszczać swojej szansy.

– Co zatem szykujesz dla mnie na urodziny? Przyjęcie? Prezent?

– Klapsa w tyłek – powiedział, niemalże do siebie, a potem pokręcił głową i zaczął się śmiać. Ten śmiech pozbawiony był jednak wesołości.

– Hej, niedługo skończę osiemnaście lat. – Wstałam i skrzyżowałam ręce na piersi. – Wtedy nie będziesz już mógł mówić do mnie jak do dziecka.

Zakrył jedynie twarz dłonią. Podeszłam do niego i odciągnęłam jego rękę, żeby musiał na mnie spojrzeć.

– Jeśli ktoś ma dostać klapsa, to ty. To ty jesteś niegrzeczny, pożądam swojej nieletniej uczennicy.

Zbeształam go tonem seksownej nauczycielki, ale nie miał nastroju na zabawę. Omiótł spojrzeniem moją twarz, jakby czegoś desperacko szukał. Nie wiedziałam, jak mu to dać, skoro nie wierzył w nic, co mówiłam. W końcu ponownie jęknął i wziął mnie w ramiona, a nasze czoła się zetknęły. To był najśłodszy gest, jaki do tej pory wykonał w stosunku do mnie, i serce waliło mi jak młotem. Zalała mnie fala nadziei.

– Nie ma na świecie wystarczającej dla nas kary, ale dlatego tu jesteśmy, prawda?

Nie chciałam powiedzieć czegoś nieodpowiedniego, więc milczałam. Zamknęłam oczy i wtuliłam się w niego.

– Kiedy masz urodziny?

– Czwartego stycznia – szepnęłam.

Po długiej chwili wypowiedział słowa, dzięki którym niemal oszalałam ze szczęścia:

– Zabiorę cię do Minneapolis.

Ustaliliśmy, że stanie się to w weekend po moich urodzinach. Żonie powiedział, że zamierza odwiedzić dawnych znajomych, a ja oświadczyłam rodzicom, że wybieram się na dni otwarte uniwersytetu w Minneapolis. Tata upierał się wcześniej, żebym złożyła tam podanie, na wypadek gdybym zdecydowała się na studia bliżej domu, więc moje słowa bardzo ich ucieszyły. Kiedy mama zaproponowała, że ze mną pojedzie, wyjaśniłam, że zatrzymam się u dziewczyny, z którą chodziłam do pierwszej klasy i której rodzina przeprowadziła się później na przedmieścia Minneapolis.

– Z okazji urodzin chce mnie zabrać do kasyna – powiedziałam im pewnego wieczoru nad potrawką z wołowiny. Tato zachichotał, mama zmarszczyła brwi i zgodnie oświadczyli, że nie wolno mi przegrać więcej niż dwadzieścia dolarów. To jednak wystarczyło, aby moja historia nabrała prawdopodobieństwa. Tak to zazwyczaj działało w przypadku moich rodziców. Dzięki temu, że się przyznawałam do czegoś lekko niegrzecznego, pozostawali ślepi na inne ewentualności. A nawet jeśli podejrzewali, że dojdzie do czegoś więcej, prawdopodobnie mieli na myśli to, co w końcu wolno, kiedy się skończy osiemnaście lat: kupować papierosy albo zrobić tatuaż. Nigdy w życiu nie przyszedłby im do głowy seks z żonatym nauczycielem angielskiego.

Pozostałe dni grudnia niemiłosiernie się wlekły. W pracy kolejki klientów nie miały końca. Tommy zabrał mnie do kina samochodowego i próbował obmacywać pod swetrem. Portia zachorowała na grype, a od niej zaraziłam się ja – gardło, kaszel i te rzeczy. Jediną pociechą stanowiły lekcje z Peterem, podczas których jak zawsze siedziałam w pierwszym rzędzie i udawałam, że nie śledzę jego każdego ruchu. Szeptałam z Portią i Maggie i kwestionowałam

większość argumentów Petera, tak jak zawsze. Do jedyne go kontaktu fizycznego dochodziło wtedy, kiedy zbierał zadane prace domowe i nasze palce delikatnie się muskały.

Jednak pewnego dnia, tydzień przed świętami, kiedy właśnie kończyłam pisać esemesa, rozległ się dzwonek, a Peter w tym samym momencie powiedział głośno i dobitnie:

– Hattie!

Cała klasa ucichła, chcąc się dowiedzieć, o co chodzi.

– Tak? – Wysłałam wiadomość i dopiero wtedy podniosłam wzrok.

– Telefon na moje biurko. Natychmiast. Możesz go odebrać po lekcjach.

Zrobiłam, co mi kazał, uszczęśliwiona tym, że naruszyłam szkolne zasady niepozwalające na używanie telefonów podczas lekcji. Genialna wymówka, aby spotkać się ze mną na osobności. Jednak tego dnia po lekcjach wparowała do niego cała grupa uczniów drugiej klasy przygotowujących się do egzaminów testowych.

Kiedy weszłam, podniósł wzrok i rzekł jedynie:

– O, Hattie. Twój telefon leży na biurku. Następnym razem zostaw go w domu, dobrze?

Kiwnęłam przybita głową. Pół dnia marzyłam o muśnięciu jego skóry, wymruczanej obietnicy czy nawet skradzionym pocałunku za drzwiami.

Esesema zauważyłam dopiero, kiedy zabrałam z szafki podręczniki. Nowa wiadomość, wysłana ode mnie do mnie, jakieś pół godziny temu.

„Spomiędzy jej włosów wyglądały także głowy pięciorga ukrzyżowanych, niewyrażające więcej niż ona sama”.

To ty? A ja czekam i nic nie potrafię z tym zrobić. Czekanie na ciebie to moja jedyna strawa.

Sprawdź prawe przednie koło.

Praktycznie wybiegłam ze szkoły, przecięłam parking i na kole znalazłam dobrze ukryty prostokątny pakunek owinięty złotym papierem.

Wsiadłam do auta i rozerwałam papier, upewniwszy się wcześniej, że nikt mnie nie obserwuje. To była książka w twardej oprawie, V Thomasa Pynchona – pisarza, o którego autografie marzył Peter, kiedy po raz pierwszy

wypatrzyłam go na forum. Miałam wrażenie, że od tamtego czasu minęły lata świetlne. W środku nic nie napisał. Pilnował się, żeby pozornie nic nas ze sobą nie łączyło, ale w tej akurat chwili miałam to gdzieś. Dostałam od niego prezent pod choinkę.

Powąchałam złoty papier i szepnęłam:

– Strawa.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie kręciło mi się w głowie.

Dostałam jeszcze jeden niespodziewany prezent. Gerald przysłał mi kamerę z napisanymi tym jego pełnym zawijasów pismem słowami o ciężkiej pracy i dążeniu do perfekcji. Kilka ostatnich wieczorów przed feriami ja i Portia spędziłyśmy na nagrywaniu naszych ulubionych scen filmowych, dzięki czemu czas mijał choć trochę szybciej.

Tegoroczne święta były dziwne. Choć nieszczęśliwie mocno tęskniłam za Gregiem, to jednak brakowało mi tego, jak mój brat otwiera prezenty, wydając okrzyki pełne zaskoczenia i ekscytacji. Nikt nie odwracał uwagi rodziców ode mnie. Siedzieli na sofie, dmuchaniem studzili sobie kawę i udając, że wszystko jest normalne, przyglądali się z fałszywą radością, jak rozpakowuję duży, leżący pod choinką prezent.

Okazało się, że to walizka, fantastyczna walizka. Kompaktowa i prosta, ze sprytnie ukrytymi kieszonkami i przegródkami oraz kółkami, które wyglądały, jakby je zrobiono z tytanu. Kiedy ciągnęłam ją za sobą wokół kuchennego stołu, kółka elegancko szumiały.

– Jest wspaniała – oświadczyłam szczerze i uściskałam rodziców.

– Skoro w przyszłym roku masz stać się kobietą światową, musisz się odpowiednio prezentować – powiedział tata i zmierzwił mi włosy.

Mama pokazała mi, jak usuwać z czarnego materiału plamy i brud, a potem usmażyła omlet tak wielki, że nie udało mi się zjeść nawet połowy.

Gdy tylko grudzień zamienił się w styczeń, spakowałam walizkę i postawiłam ją w kącie pokoju, a w sobotni rano, 5 stycznia, umieściłam ją na fotelu pasażera mojego samochodu – wyglądało to dość nedorzecznie – i pojechałam do hotelu Crowne Plaza w Minneapolis.

Bez tchu zapukałam do drzwi wynajętego przez Petera pokoju. Kiedy je

otworzył, przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie.

– Hej.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, nie ufając swojemu głosowi.

– Proszę. – Odsunął się na bok i z wyraźnym zakłopotaniem pokazał mi, abym weszła.

Na stole stał wazon z liliami. Dotknęłam jednego białego, lekko postrzępionego płątka.

– Ładny hotel.

– Nie. To znaczy tak, nie jest zły, ale to ja je przywiozłam. Mówiłaś kiedyś, że to twoje ulubione kwiaty.

Choć wyglądał na lekko zdenerwowanego, podszedł do mnie. Puściłam rączkę walizki i wyjęłam z bukietu lilię. Powąchałam ją, zamykając oczy.

– Dziękuję.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Kiedy usłyszałam przy uchu jego głos, zrobiło mi się ciepło. Odczuwałam pełnię szczęścia, stojąc w milczeniu obok niego, podczas gdy czekał na nas cały wieczór i nie było takiej możliwości, aby ktoś nam przeszkodził. Odwróciłam się ku niemu i uśmiechnęłam zalotnie.

– To mój jedyny prezent?

Uniósł rękę i palcem przesunął po mojej zuchwie.

– Jeszcze nie wiem.

Zrobiłam kolejny krok w jego stronę i przechyliłam głowę.

– Jak mogę ci pomóc w podjęciu decyzji?

Nie rozczarował mnie. Powoli, bardzo powoli nachylił się i mnie pocałował. Zupełnie nie przypominało to innych znanych mi pocałunków, utkanych bardziej z powietrza niż obietnic czegoś konkretnego. Poczułam słabość w kolanach i wilgoć między udami. Sięgnęłam do guzików koszuli, ale on mnie powstrzymał.

– Nie.

– Nie? – zapytałam takim tonem, jakbym nie znała tego słowa.

Roześmiał się i owinął mi szyję szalikiem.

– Wychodzimy.

Panował przejmujący ziąb, skorzystaliśmy więc z krytego pasażu, przechodząc od wieżowca do wieżowca przez labirynt butików i biur. Większość sklepów była zamknięta, dlatego jedynie oglądaliśmy wystawy i pochodziliśmy po tych kilku, które pozostawały otwarte. Peter przeprowadził nas krętą drogą przez Nicolett Mall, następnie zrobiliśmy rundkę po zdecydowanie tłoczniejszej dzielnicy teatralnej. Rozpoznałam teatr ze staromodną markizą, w którym jako dziesięciolatka oglądałam *Dziadka do orzechów*.

– To znaczy przed rokiem? – zapytał żartobliwie.

– Nie wiem, staruszk. Może wyciąłbyś to w kamiennej tabliczce, żebyśmy mogła zrozumieć, jak bardzo jestem młoda?

– Dłuto zostawiłem w domu.

Swobodnie wziął mnie za rękę i szliśmy, jakbyśmy robili to codziennie, a nikt z przechodniów nie zwracał na nas najmniejszej uwagi.

Szliśmy tak i szliśmy – żartując, drocząc się ze sobą i zachowując, jakbyśmy byli wstawieni, choć żadne z nas nie wypilo ani kropli alkoholu – aż dotarliśmy do trzykondygnacyjnej restauracji z niebieskimi światłkami.

– Głodna? – zapytał, otwierając drzwi obłożone mozaikowymi płytkami.

Jako że było wczesne popołudnie, od razu dostaliśmy stół. Okazało się, że to restauracja serwująca tapas, jeden z ulubionych lokali Petera.

Powiedział, że mogę zamówić wszystko, na co tylko mam ochotę. Wkrótce na naszym stole pojawiły się niewielkie talerzyki z egzotycznym jedzeniem i wszystkiego próbowałam. Choć kilka potraw dziwnie smakowało, większość okazała się przepyszna. Najbardziej smakował mi ozór wołowy w liściu kapusty, do którego podano niesamowity sos. Kiedy chciałam poczęstować Petera, odmówił.

– Jestem wegetarianinem.

– Co takiego? – Zaskoczył mnie. Popatrzyłam na stojące przed nami talerze, jakbym mogła w ten sposób znaleźć dowód na to, że jadł mięso, ale po jego stronie ujrzałam tylko sery, warzywa i pieczywo. Moja pewność siebie zmaląła.

– Czego jeszcze nie wiem o tobie?

Uśmiechnął się i po chwili namysłu odpowiedział:

– Nie znoszę tofu. To pewnie wegański grzech, ale przypomina mi ono zawsze *Zieloną pożywkę*.

– Nigdy nie jadłam tofu.

– Szczęściara.

Zaśmiałam się.

– Czemu zostałeś wegetarianinem?

– Moja mama nie je mięsa i tak mnie wychowała.

– Uwielbiam pieczone kurczaka mojej mamy.

– Uwielbiam pieczone pieczarki portobello mojej mamy.

– Pieczarki są paskudne – oświadczyłam. – Kto powiedział, że powinno się jeść grzybnie?

– Grzyby.

– Dzięki, przyjemniaczku. Nie znoszę także, jak ktoś mnie poprawia.

Peter zamknął oczy i przepraszająco pokręcił głową.

– Uwierz mi, ja też nie. Powiedziałem to bez zastanowienia.

– Często tak robię. Bywa, że w trakcie rozmowy dociera do mnie, że tak naprawdę nie wierzę w to, co mówię.

Promieniałam, oddając się grze w ujawnianie informacji o sobie, ale gdy do stolika podszedł kelner, Peter zamilkł. Kiedy ponownie zostaliśmy sami, nachylił się ku mnie i patrząc mi w oczy, ujął moją dłoń. W tamtej chwili nie istniało na świecie nic oprócz nas dwojga otulonych ciasno kręgiem światła.

– Powiedz mi coś prawdziwego – rzekł.

– Właśnie to zrobiłam. Kurczak. Grzyby. – Mój uśmiech zbladł.

– Mam na myśli coś innego. To są ciekawostki. Fakty: pozbawione znaczenia, ulotne. Powiedz mi coś siedzącego w tobie głęboko, coś, co stanowi równie integralną część ciebie jak oddech czy zęby, coś, odnośnie do czego nie potrafisz nawet skłamać. Powiedz coś, dzięki czemu zostaniesz tutaj ze mną.

Przez chwilę wpatrywałam się w stojące na stoliku talerze i wtedy w mojej głowie pojawiło się wspomnienie, jakby czaiło się przez cały czas na skraju świadomości, czekając, aż je przywołam. Pogładziłam dłoń Petera

i zastanawiałam się, od czego zacząć i co on o mnie pomyśli, kiedy skończę. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić, starannie dobierając słowa:

– Kiedy byłam mała, zawsze włóczyłam się za moim bratem Gregiem i bliźniakami Beason z sąsiedniej farmy. Byli ode mnie sporo starsi i ledwie ich byłam w stanie dogonić na swoim rowerze. No i nie byli zbyt mili. Gdybym miała się z kim bawić, pewnie bym się za nimi nie włóczyła. Kiedy się jednak mieszka na wsi, towarzyszem zabaw stają się ci, których ma się najbliżej. Czasami goniliśmy mieszkające w stodole koty albo pływaliśmy w jeziorze. Czasami kazali mi coś ukraść w sklepie, no bo nikt mnie nigdy nie zatrzymał, pytano jedynie o to, co słyszać u mamy. Innym razem kazali mi wracać do domu. Pewnego dnia udali się rowerami do kamieniołomu, a ja pojechałam jak zawsze za nimi. Teren otaczało stare ogrodzenie z siatki, ale w kilku miejscach była ona porwana, no i od lat kamieniołom był nieczynny. Łatwo było się tam dostać. Rowery zostawiliśmy na górze i zeszliśmy po skalistym zboczu. Wyglądało ono jak gigantyczne, wyciosane w skale schody, jakbyśmy schodzili do innego świata. Byłam ogromnie podekscytowana i kiedy tylko zeszliśmy na dół, zabrałam się do eksploracji. Chłopcy poustawiali puszki i rzucali kamieniami, próbując je strącić. Nie zwracałam na to uwagi i w pewnej chwili znalazłam się przed nimi. Kamień uderzył mnie tutaj.

Musnęłam palcem bliznę tuż pod prawą brwią. Skóra w tym miejscu była zbyt gładka, błyszcząca i miałam tam nawet lekkie wgłębienie.

– Przewróciłam się i wszędzie tryskała krew. Dostałam w oko i nic nie widziałam. Chłopcy wrzeszczeli na siebie i na mnie. Podejrzewam, że nie wolno nam było bawić się w kamieniołomie. Kiedy oskarżyłam ich o to, że trafili we mnie celowo, jeden z nich – nie wiem który – powiedział mi prosto do ucha, że jeśli ich wsypię, to popamiętam. Nigdy więcej nie pozwolą mi się z nimi bawić, a jeśli spróbuję ich śledzić, będą we mnie rzucać kamieniami.

– Wtedy to rzeczywiście byłoby zachowanie celowe – powiedział Peter.

– Próbowali wciągnąć mnie na górę po skalnych stopniach, ale ja nadal nic nie widziałam i strasznie bolała mnie głowa. Parę razy upadłam i w końcu Greg kazał mi zostać i czekać, aż sprowadzą pomoc. Wydawało mi się, że leżę

na dnie kamieniołomu przez całą wieczność. Nie było tam żadnego cienia i od przebywania na słońcu miałam mdłości. Wiedziałam, że zjawi się mój tato i że muszę go okłamać. Byłam przekonana, że Bóg ześle na mnie śmierć. Czcił ojca swego i matkę swoją, tak się przecież powtarzało w szkółce niedzielnej. Oczami wyobraźni widziałam, jak Bóg schodzi po tych olbrzymich schodach, grożąc mi palcem i nie pozwalając wrócić do normalnego świata. Kiedy zjawił się tato, powiedziałam mu, że sama zesłam do kamieniołomu, chociaż chłopcy mówili, że bym tego nie robiła, i się przewróciłam. Płakałam i trzęsłam się, czekając na karę, która byłam pewna, że nastąpi, ale tato wziął mnie jedynie na ręce, zaniósł do swojego pikapa i zawiózł do domu. Nikt tamtego dnia nie został ukarany. Nawet ja.

Potarłam w zamyśleniu bliznę, a w tym czasie kelner sprzątał nasze talerze.

– Greg i Beasonowie byli mi wdzięczni i ukradli nawet ze sklepu moje ulubione cukierki, ale ja przez cały tydzień żyłam w ogromnym strachu. Ciągle czekałam i nie mogłam już tego znieść. Wiedziałam, że za to, co zrobiłam, powinno mi się przytrafić coś strasznego. Tamtej niedzieli w kościele modliłam się: „Dobry Boże, jeśli jesteś na mnie zły, natychmiast ześlij na mnie śmierć”. Ale nic się nie stało. Organista grał dalej. Moi rodzice śpiewali hymn. Zalała mnie fala ulgi, kiedy dotarło do mnie, że jestem bezpieczna. Bóg się na mnie nie gniewał. Zaczęłam częściej udawać, coraz bardziej mnie akceptowano, a w kolejnych tygodniach wypowiadałam słowa tej samej modlitwy. Robię to od czasu, kiedy skończyłam osiem lat. „Dobry Boże, jeśli jesteś na mnie zły, natychmiast ześlij na mnie śmierć. Tu i teraz”. I każdego tygodnia, kiedy tego nie robi, opuszczam kościół, czując się... rozgrzeszona. Jakbym nadal była pokryta brudem, ale czystym. Wiem, że nie jestem dobrym człowiekiem, Peterze. Chyba nie umiem nim być. I jest to coś, o czym nie wiem, jak kłamać. Nie potrafię wejść do kościoła i rzec: „Wybacz mi, Panie, bo zgrzeszyłam”. Wiem, że nie powinno mi się wybaczyć. Wchodzę i mówię: „Ześlij na mnie śmierć”. I choć wiem, że pewnego dnia Bóg przystanie na moje słowa, i tak nie jestem się w stanie zmienić, bo choć powinnam chcieć być dobra – uniosłam jego rękę, pocałowałam i przyłożyłam do swojego policzka – ciebie pragnę bardziej.

Wtulałam twarz w jego dłoń, ucząc się na pamięć dotyku jego skóry. Musnął kciukiem mój policzek i uważnie przyglądał się mojej twarzy, jakby on także próbował zapamiętać każdy szczegół.

– No i co? – zapytałam drżącym głosem. – To było wystarczająco prawdziwe dla ciebie?

– Myślę, że tak... – Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze, następnie ucałował moją dłoń. – Teraz będzie musiał ukarać nas oboje.

Wróciliśmy do hotelu i rozebraliśmy się powoli, rozkoszując się sobą nawzajem. Kiedy nasze ubrania leżały już na podłodze, Peter położył mnie na łóżku i całą obsypał pocałunkami. Wędrując ustami po moim ciele, mruzczał o tym, jak piękne mam piersi i jak słodko smakują. Odkrywał mój brzuch, biodra, wewnętrzną stronę ud, a jego słowa przywoływały coś we mnie, dzikie zwierzę, które wierzgało i wyrywało się, uwalniając tysiąc niewidzialnych, uwieczonych pod skórą emocji. Kiedy położył się na mnie, a potem wbił w moje ciało, nagle nie mogłam się już powstrzymać i szczęście wezbrało w moich oczach, spływając w dół po skroniach.

Wtedy przypomniała mi się milcząca, mokra od łez twarz dziadka w tamtym przygnębiającym pokoju w domu opieki. To prawdopodobnie ostatnia chwila, w której powinno się myśleć o nieżyjącym dziadku, ale w końcu zrozumiałam, że nasze ciało może nie być w stanie powstrzymać wzbierającej w nim miłości.

Na widok moich łez Peter przestał się poruszać i zrobił dziwną minę.

– O co chodzi? – szepnęłam.

– Zamierzałem wypowiedzieć twoje imię, ale nie wiem nawet, jak na ciebie mówić.

Przyciągnęłam jego głowę do swojej szyi i oplotłam go całym swoim jestestwem.

– Nazywaj mnie swoją.

DEL / Środa, 16 kwietnia 2008

Problem z badaniem DNA był taki, że cholernie długo czekało się na wyniki. Nie było tak, jak w filmach, gdzie należy się coś do próbki, zamieszka i otrzyma nazwisko zabójcy. Trzeba było wysłać próbki do laboratorium kryminalistycznego w Minneapolis, tam trafiały na koniec kolejki innych próbek. Badanie przeprowadzano, kiedy nadeszła kolej twoich próbek, co mogło potrwać nawet i rok, zależnie od rodzaju materiału dowodowego. Pracujący na etacie laboranci dzień w dzień stykali się z komórkami martwych dziewczyn i mieli gdzieś twoją martwą dziewczynę. A przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy Pine Valley, gdzie mieliśmy tylko jedną martwą dziewczynę, której śmierć zrobiła w miasteczku wielką, paskudną wyrwę.

Hattie była na ustach wszystkich i tylko ją widziałem w oczach napotykanym przechodniów. Krążyły pogłoski o badaniu DNA Tommy'ego Kinakisa, które pewnie rozgłaszał on sam, matoł jeden, i o tym, że Lunda zabrano ze szkoły na przesłuchanie. Telefon dzwonił niemal bez przerwy i Nancy większości osób kazała się wypchać, czuła się jednak w obowiązku, aby podczas donoszenia na biurko kanapek i świeżej kawy zaznajamiać mnie z najnowszymi plotkami. Brian Haeffner nadal bawił się w polityka, próbując zwoływać codziennie konferencje prasowe. Każdy miejscowy rodzic chciał wiedzieć, jaki system zabezpieczeń ma nasze liceum. Dzięki Portii historia o kłatwie rozprzestrzeniła się lotem błyskawicy i wczorajszej nocy na Main Street czekały dwa vany należące do stacji informacyjnych. Przestałem odbierać telefon, o ile nie był to Jake... albo Bud, który zadzwonił dziś rano koło szóstej.

– Del.

– Bud. – Siedziałem przy stole w kuchni i wpatrywałem się w zdjęcie z pierwszej strony dzisiejszego wydania miejscowej gazety, to znaczy w „fotos” z piątkowego przedstawienia, na którym Hattie jest ubrana w zakrwawioną suknię, na głowie ma koronę, wygląda na nawiedzoną i rękę unosi ku ciemności. Miałem gęsią skórkę. Podejrzewałem, że Bud widzi właśnie to samo co ja. Przez długą chwilę obaj milczeliśmy.

– Są już wyniki testu DNA? – Jego głos miał szorstką nutę.

– Nie. Nie, to trochę trwa. W międzyczasie sprawdzam inne rzeczy, ustaliam ramy czasowe.

– Wczoraj przywiozłeś na posterunek Petera Lunda.

Nie było to pytanie, ale wystarczająco dobrze usłyszałem kryjące się za tymi słowami żądanie. Dwadzieścia pięć lat przyjaźni robiło swoje.

– Rozmawiamy z wieloma osobami.

– Myślisz, że Lund ma z tym coś wspólnego?

– Był reżyserem przedstawienia, znał wszystkie dzieciaki. Słyszałeś te bzdury o kłątwie. Jeśli któreś z nich postanowiło ją uskutecznić, uznałem, że Lund może mi pomóc w ustaleniu kto. – Drażnił mnie fakt, że muszę kłamać, na dodatek zasłaniając się tą głupią kłątwą.

– A więc nie uważasz, że to Tommy?

– Nic nie uważam, Bud. Kiedy zaczynam myśleć, że coś wygląda w pewien sposób, wyskakuje mnóstwo innych opcji, które wydają się równie prawdopodobne. Skoro i tak czekamy na te wyniki, próbuję po prostu zgromadzić jak najwięcej informacji, dokonać jak najdokładniejszej rekonstrukcji tamtego wieczoru.

Znowu długa chwila milczenia, potem westchnienie na drugim końcu linii. Kiedy Bud się odezwał, w jego głosie słyhać było napięcie, jakby ta rozmowa kosztowała go nadludzki wysiłek.

– Del, Jezu. Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak o jej biednym ciele leżącym wczoraj na tym stole. Razem z Moną pojechaliśmy po nią i wyglądała jak kawał mięsa, cała rozdęta i... i... Moja dziewczynka, moja dziewczynka była leżącym na stole kawałem mięsa. – Kolejnym słowom towarzyszył

szloch, tak że ledwie zdołałem je zrozumieć. – I zamierzam wypatroszyć skurwysyna, który jej to zrobił. Będzie żałował, że w ogóle na nią spojrzął.

– Bud, posłuchaj mnie. Bud?

Jedyną odpowiedzią było szuranie i ciężki oddech.

– Znajdę go, Bud. Jestem to winien Hattie. W żadnym razie nie chciałaby, aby jej tato trafił za kratki. Mona także cię potrzebuje, wiesz, i Greg, kiedy wróci do domu. Musisz o nich pamiętać.

Nie wiedziałem, czy mnie słyszał, ale jego oddech w końcu się wyrównał. Słońce zaczęło wschodzić, zalewając kuchnię pomarańczową poświatą.

– Twierdzisz, że zamierzasz mnie aresztować?

– Bud...

– Moja dziewczynka nie żyje. Zaledwie wczoraj trzymałem ją w ramionach, dotykałem jej słodkiej, łysej główki i słuchałem pierwszego krzyku. Uczyłem ją jeździć traktorem, trzymając na kolanach i patrząc, jak podskakują jej warkoczyki. Patrzyłem, jak gra królową, tak nikczemną, jak tylko jest się w stanie wyobrazić. Cała scena należała do niej. To ona była gwiazdą. I uściskałem ją, i powiedziałem, jak fantastycznie jej poszło, a potem pozwoliłem jej odejść. Pozwoliłem jej wyjść z tej szkoły i zginąć. I choćby nie wiem co, nie będę siedział na tyłku i wybierał sukienkę na jej pogrzeb, podczas gdy jej zabójca przebywa na wolności.

– Dokładnie to będziesz robił.

– Do jasnej cholery, Del. Czego mi nie mówisz?

– Mówię ci, że prowadzimy śledztwo i jak tylko zakuję w kajdanki zabójcę Hattie, pierwszy się o tym dowiesz.

Po chwili połączenie zostało przerwane. Skryłem twarz w dłoniach.

W końcu wstałem, podszedłem do okna i patrzyłem, jak widoczne ponad domami niebo jaśnieje. Był to tego rodzaju świt, który w normalnych okolicznościach lubił obserwować, taki, podczas którego ja i Bud ignorowaliśmy ciągnięcie za wędkę i siedzieliśmy na łodzi, gapiąc się na pomarańczowy horyzont. Od ponad dwóch dekad jeździliśmy razem na ryby. Co roku zapraszał mnie do siebie na wielkanocny obiad i w minione święta siedzieliśmy wszyscy wokół stołu, jedząc glazurowaną w miodzie pieczeń

z szynki. Hattie próbowała wyciągnąć ze mnie, jak szybko może jechać samochodem, żeby nie została złapana, Bud, Mona i ja śmialiśmy się z niej, a teraz ona już nigdzie nie pojedzie. Bud, który kazał mi wtedy wlepić jej mandat za „spiskowanie przeciwko ograniczeniom prędkości”, groził teraz, że się zemści. A ja – jeśli nie uda mi się wystarczająco szybko znaleźć zabójcy Hattie – mogę stracić także i Buda.

Dziś rano odznaka szeryfa wyjątkowo mi ciążyła. Dopiłem kawę i wyszedłem z domu ogarnięty gorączkową potrzebą zrobienia czegoś, czegokolwiek, co pchnęłoby śledztwo do przodu.

*

Pojechałem do domu Carla Jacobsa. Kiedy Jake rozmawiał z nim wczoraj, potwierdził wersję Lunda i większość ich odpowiedzi idealnie się pokrywała. Obaj mówili, że po zamknięciu szkoły udali się do Carla, dwoma samochodami, najpierw Carl, za nim Lund. W domu wypili po piwie – budweiserze – i gadali o pierdołach, a potem Lund sobie pojechał. Carl oceniał, że była wtedy dziesiąta dwadzieścia pięć, dlatego że zaraz potem obejrzał ostatnie wydanie wiadomości.

Natomiast nie do końca jasny pozostawał temat ich rozmowy. Lund twierdził, że rozmawiali o przedstawieniu i pracy. Według słów Jake’a Carl początkowo nie pamiętał tematu, potem oświadczył, że rozmawiali o sporcie – o tym, jakie perspektywy miała w tym sezonie drużyna Twins. Nie sądził, aby poruszali jeszcze jakiś temat.

Pod jego dom zajechałem za kwadrans siódma, na tyle wcześnie, że Carl nie zdążył jeszcze wyjechać do pracy. Otworzył drzwi natychmiast, jakby czekał po ich drugiej stronie, ubrany i ogolony.

– Szeryfie, trochę wcześniej, co? – Zerknął na radiowóz.

– Wystarczająco, żebyś mógł mi poświęcić kilka minut.

Wpuścił mnie do domu. Na korytarzu stał jego syn, nadal w piżamie, ale już rozbudzony i sądząc po minie, ciut wystraszony.

– Dzień dobry panu. – Zasalutowałem mu, co na większość dzieci działało ośmielająco, ale nie na tego chłopca. On wbił jedynie wzrok w podłogę i nie ruszył się z miejsca.

– Może Lanie zajmie się nim przez ten czas, kiedy będziemy rozmawiać.
– Lanie! – zawołał Carl i po chwili pojawiła się jego żona, także w pizamie. Nie wyglądała na zadowoloną.
– Co? – Nie przywitała się ze mną.
– Muszę porozmawiać z szeryfem.
– Znowu?
– Wyszukuj Josha, dobrze?
Pokręciła głową i zabrała ze sobą chłopca, po czym trzasnęła drzwiami. Carl wprowadził mnie do kuchni.
– Nie należy do rannych ptaszków, co? – zapytałem uprzejmie.
– O co chodzi, szeryfie? Odpowiedziałem już na wszystkie zadane przez pańskiego zastępcę pytania, tracąc na to całą lekcję. Wie pan, jak ludzie na mnie patrzą?
– Jak?
– Jakbym był... – Pokręcił bezradnie głową. – Jakbym miał coś wspólnego z tym całym bagnem.
– A masz?
– O co mnie pan pyta?
– Co wiesz, Carl? – Położyłem kapelusz na stole.
– Wiem jedynie, że Hattie Hoffman nie żyje. Przez dwa lata uczyłem ją historii. W zeszłym roku historii Ameryki, w tym Europy. Woląla Europę.
– Nie o to mi chodzi. Czemu okłamałeś Jake'a?
– Słucham?
– Chcę wiedzieć, o czym rozmawialiście w piątek przy piwie i lepiej mi nie mów, że o Twinsach.
Patrzył na mnie przez chwilę, znieruchomiały, po czym podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. W końcu usiadł na jednym ze stojących przy stole krzesel.
– Lanie – powiedział cicho.
– To znaczy?
Westchnął.
– Rozmawialiśmy trochę o niej. Kiedy Peter przyjechał tu ze mną w piątek,

nie była zadowolona. Zaczęliśmy się kłócić. Ostatnio ciągle się kłócimy. A kiedy poszła obrażona na górę, Peter i ja pogadaliśmy o tym.

– O czym?

– O wzięciu ślubu w młodym wieku. O tym, że człowiek nie wie wtedy, w jakie piekło się pakuje. On też ożenił się zaraz po studiach.

– Miał problemy małżeńskie? Rozmawialiście o tym?

Przez chwilę milczał.

– Nie. Niezupełnie. Zapytał mnie jednak o coś i nie jestem dumny z odpowiedzi, jakiej mu udzieliłem. Dlatego nie powiedziałem o tym pańskiemu zastępcy.

Czekałem, aż w końcu dodał:

– Zapytał mnie, czy byłbym nadal z Lanie, gdyby nie urodził się Josh. Czy zrobiłbym to samo, gdyby nie trzeba było myśleć o dzieciach, czy zostałbym z Lanie? – Kolejne słowa wypowiedział jeszcze ciszej. – Odparłem, że nie. Odparłem, że nawet Josh czasami żałuje, iż nie jesteśmy rozwiedzeni. Głupoty, o które się kłócimy...

– Jakiego rodzaju głupoty? – Wietrzyłem małżeńskie kłopoty.

– Wszystko. Był pan żonaty, szeryfie?

– Aha.

– O, nie wiedziałem. Co się stało?

– Wietnam.

– Odeszła od pana, kiedy był pan na wojnie?

– Nie. Jakies dwie minuty po tym, jak wróciłem. Okazało się, że bardziej mnie lubiła, kiedy przebywałem na drugim końcu świata.

Nigdy nie rozmawiałem o Angie. Nie znaczy to, że nadal cierpiałem. Był czas, długi czas, kiedy jej odejście napełniało mnie goryczą, ale w końcu wszystko przybladło. Nie miała pojęcia, co począć z pełnym gniewu weteranem wojennym. Ja też nie miałem. Chciała wieść szczęśliwe, normalne życie. Zanim wysłano mnie na front, błagała, abym wyjechał razem z nią do Kanady. Ja jednak zachowałem się honorowo: dobro kraju postawiłem przed dobrem dziewczyny. Jedną z rzeczy, które pomogły mi tam przetrwać, były jej listy i teraz to głównie je pamiętałem. Kiedy kilka lat temu dowiedziałem się,

że zginęła w wypadku samochodowym pod Dubuque, ponownie wyciągnąłem te wszystkie listy. Dziwnie było czytać o tym, żebym był ostrożny i nie dał sobie zrobić krzywdy, dziwnie było wiedzieć, że cała ta troska pochodzi od nieżyjącej Angie. Schowałem je do kartonu razem z medalami i kartką od prezydenta i od tamtej pory do nich nie zaglądałem. Nie czułem potrzeby rozpamiętywania przeszłości, ale żal mi było Carla. Angie i ja też byliśmy młodzi, ale nie mieliśmy domu czy dzieci, które utrudniłyby rozwód. Podpisaliśmy jedynie kilka dokumentów i każde poszło w swoją stronę. Ale Carl i Lanie mieli wspólne życie – dom, syna.

– To okropne, szeryfie. – Wyglądał na zagniewanego. – Porzucić bohatera wojennego zaraz po jego powrocie do domu.

– Było, minęło.

Wziąłem ze stołu kapelusz i ruszyłem ku drzwiom.

– Lund nie skarżył się na swoją żonę?

– Bardziej na teściową. Chyba niezbyt za nim przepada.

– Rozmawialiście tamtego wieczoru o Hattie?

– Nie. – Otworzył drzwi i odprowadził mnie do radiowozu. – Nie, pamiętałbym o tym.

– Okej. Dziękuję za poświęcony mi czas.

Skinął głową i w drzwiach pojawiła się Lanie. Na jej twarzy malowało się napięcie. Bez względu na to, czy słyszała wcześniejsze słowa Carla, wyglądało na to, że nie ominie ich dzisiaj kłótnia.

Przylapałem się na tym, że jadę w stronę domu Buda, ale co miałem mu powiedzieć? Nie mogłem powiedzieć tego, czego chciał się dowiedzieć, a mianowicie w kogo powinien wycelować ze strzelby. Śledztwo było w toku, nie wspominając o medialnym koszmarze, i im mniej Bud wiedział, tym lepiej.

Minąwszy skręt na farmę przyjaciela, udałem się w kierunku jeziora. Po drodze zadzwoniłem do laboratorium, aby zapytać, co z próbkami. Usłyszałem, że czekają na swoją kolej i nie wiadomo, kiedy konkretnie trafią do badania. Osoba, która w końcu odebrała mój telefon, oświadczyła, że mają obecnie „wyjątkowo dużą liczbę zgłoszeń”.

Zajechałem na parking, na którym w piątkowy wieczór zatrzymali się

Hattie i Tommy. Popatrzyłem na widoczną po drugiej stronie jeziora stodołę Ericksonów i jej pochylający się nad wodą stary dach. Obok stodoły rosło kilka drzew, zapewniających wystarczającą kryjówkę, nawet jeśli wysoka trawa miała się pojawić dopiero za parę miesięcy. Według słów Tommy'ego Hattie wysiadła z jego auta i sama poszła do stodoły. Żeby się z kimś spotkać. W przeciwnym razie po co miałyby tam iść? Prawdopodobnie było koło dwudziestej drugiej. Lund spokojnie mógł się z nią tutaj spotkać po tym, jak wyjechał od Carla. Mógł też pójść za nią ktoś inny – Tommy, albo i nie Tommy, bez względu jednak na to, kto to był, musiał mieć powód, żeby znaleźć się tutaj w środku nocy. Przejechałem ręką po twarzy i w myślach przebiegłem po krótkiej liście podejrzanych. Zarówno Lund, jak i Tommy dysponowali motywem, obaj mogli mieć powód, aby życzyć sobie śmierci Hattie.

Wysiadłem z radiowozu i odtworzyłem jej ostatnie kroki – przez parking, a potem wzdłuż jeziora, od którego wiał dzisiaj ciepły, leniwy wiatr. W piątek było chłodniej, a niebo pozostawało częściowo zachmurzone. Po zmierzchu temperatura spadła jeszcze bardziej. Hattie prawdopodobnie marzła, szła szybko, po to żeby się rozgrzać, ale także aby zwiększyć dystans dzielący ją od Tommy'ego. Na horyzoncie nie widać było żadnych domów ani zabudowań. Na parkingu świeciła co prawda latarnia, ale jej zasięg to pewnie jakieś trzydzieści metrów, więc Hattie mogła liczyć jedynie na światło księżyca. Bała się? Nie wiedziałem. Na pewno nie tego, że szła sama. Samotny spacer w chłodzie i ciemności to dla wiejskiej dziewczyny pestka. Może i ciągnęło ją do wielkiego miasta, ale stanowiła część tej ziemi, tak samo jak każdy inny dzieciak z Pine Valley, a ziemia działała na tubylców krzepiąco. Rozległość i bezkres otaczającego terenu były niczym kojący balsam. Nie, jeśli Hattie udała się na spotkanie ze śmiercią w pojedynkę, nie czuła strachu. Przykucnąłem na ścieżce i po raz kolejny przyjrzałem się uważnie porastającej jej skraj trawie. Nic nie było podeptane, nie naniesiono żadnego błota. Brak śladów jakiegokolwiek walki. Już to badaliśmy: ja, ekipa z laboratorium, Jake, ale co mi szkodziło zrobić to raz jeszcze, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko od nowa układałem sobie w głowie, czekając, aż pracujący sto pięćdziesiąt

kilometrów stąd laboranci wstrzykną coś do próbówki.

W połowie drogi do stodoły zatrzymałem się i obejrzałem. Dzięki lekkiemu wzniesieniu terenu parking zniknął z pola widzenia. Nie widziałem już radiowozu. Czy Hattie także się obejrzała? Czy Tommy – niemający alibi Tommy, który nie wiedział, dlaczego jego dziewczyna z nim zerwała; napalony, rozgniewany, nabuzowany hormonami Tommy – ruszył w ślad za nią?

Ja nie poszedłem za Angie. Kiedy ponad trzydzieści lat temu odeszła ode mnie, pozwoliłem jej na to. Podczas kilku kolejnych mrocznych nocy byłem wściekły i zamroczony alkoholem na tyle, żeby kogoś zabić, ale nigdy za nią nie poszedłem. Dokonała wyboru, tak samo jak wcześniej ja. Wybrałem wojnę. Ona wybrała Iowa. Poczta przysłała dokumenty rozwodowe, a kolejnej wiosny wyszła za męża za przedstawiciela handlowego firmy farmaceutycznej. Poszedłem na studia dla weteranów, dostałem pracę w policyjnym patrolu w hrabstwie Wabash i nie miałem ochoty z nikim się bratać, dopóki nad jeziorem Crosby nie zaczął machać do mnie Bud.

Był tylko kilka lat ode mnie młodszy, ale dzięki temu nie załapał się na Wietnam. On i Mona byli świeżo po ślubie i zaczęli nowe życie na farmie. Tego pierwszego lata rozmawialiśmy wyłącznie o rybach. Machnięcie ręką i potwierdzenie, co tego dnia bierze. Z tym jakoś mogłem sobie poradzić. W kolejne lato kilka razy mnie do siebie zaprosił, a Mona upiekła wtedy to, co udało nam się złowić. Rok później wybraliśmy się po raz pierwszy nad jezioro Michigan. Był pierwszą osobą, która ustawiła przed swoim domem znak z hasłem *Goodman na szeryfa*, a kiedy dotarło do niego, że nikt go nie zobaczy, przełożył znak na pakę swojego pikapa.

Kiedy Angie przysłała mi list z gratulacjami, po tym jak wybrano mnie na szeryfa, nie żywiłem już do niej urazy, najpewniej dzięki Budowi. Odpisałem jej, a ona potem przysyłała mi co roku kartkę na Boże Narodzenie, aż do czasu, kiedy zginęła. Najczęściej dołączała zdjęcie przedstawiające ją razem z mężem i dość korpulentnymi dziećmi. Angie była ładną kobietą i taka pozostała do samego końca.

Odwróciłem się ponownie w stronę stodoły i ruszyłem z miejsca. Sporo

czasu minęło, odkąd po raz ostatni myślałem o Angie, ale uznałem, że ma to sens. Carl i Lanie. Hattie i Tommy. Związki, które znalazły się na krawędzi.

Stodoła pozostawała oklejona żółtą taśmą. Schyliłem się pod nią i wszedłem do środka. Powitał mnie zapach stojącej wody, stęchlizny i butwiejącego drewna. Taki sam zapach powitał z pewnością Hattie. Zostawiła Tommy'ego i poszła do stodoły. Następnie uprawiała w niej z kimś seks. Następnie ktoś ją tu zabił. Mogła mieć kontakt z trzema różnymi osobami. Albo z jedną.

Chodziłem tam i z powrotem, nie przejmując się trzeszczącymi pod butami deskami. Zawęzłem ramy czasowe, ustalałem kolejność wydarzeń, ale nic to nie wносиło do sprawy. Potrzebowałem wyników badań DNA, musiałem się dowiedzieć, kto kłamie, tak żeby przyprzeć tego kogoś do muru, aż wyciągnę z niego wszystko, co się wydarzyło, nie wspominając o zdobyciu nakazu pozwalającego przeczesać w poszukiwaniu narzędzia zbrodni każdy centymetr życia tej osoby.

Wyjąłem telefon i nim zdążyłem się głębiej zastanowić nad tym, co robię, wybrałem numer.

– Szeryfie Goodman – przywitała mnie po trzecim sygnale.

– Fran, muszę mieć te wyniki DNA. Kogo znasz w laboratorium w Minneapolis?

– U mnie wszystko dobrze, dziękuję. A u ciebie?

– Mówię poważnie.

Porzuciła sarkastyczny ton.

– A czemu twoje zabójstwo ma być ważniejsze od tysiąca zwłok, które przewijają się rocznie przez moje prosekorium? Dlatego, że jest twoje? Dlatego, że dzielny kowboj Goodman musi uratować sytuację?

– Nie ma czego ratować, Fran. Dziewczyna nie żyje. – Dalej chodziłem, starając się nie kłąć, gdyż wiedziałem, że to ją wkurza. – Nie chodzi o mnie. Możesz mnie atakować, ile chcesz, okej? Pewnie masz rację, w sumie zawsze ją masz, ale to dziecko mojego przyjaciela. Jego córka. Mam dwóch podejrzanych i muszę wiedzieć, do którego z nich należy sperma, i muszę to wiedzieć dzisiaj, dopóki zostały jakiekolwiek ślady.

Przez chwilę milczała. Chodziłem od ściany do ściany, gotowy zbijać jej kolejne argumenty, ale Fran westchnęła.

– W porządku, Del. Mam trochę znajomości. Zadzwońię.

– Dobrze. Dobrze. – Wyszedłem ze stodoły i zacząłem okrążyć budynek. Teren został już zbadany, ale bycie w ruchu działało na mnie uspokajająco. – Powiedz im, że potrzebuję tego na dziś.

– To, czego potrzebujesz, a to, co oni mogą zrobić, to dwie różne, niemające ze sobą związku rzeczy. Poproszę, aby przyspieszono procedurę badania próbek. To wszystko.

Przykucnąłem obok kępki suchej trawy pod oknem, odsunąłem ją na bok i zobaczyłem szkielet myszy.

– Dzięki, Fran. Jestem twoim dłużnikiem.

– I niby jak mi się odwdzięczysz?

– Zaproszę cię raz do radiowozu. Będziemy razem wypisywać mandaty.

Roześmiała się – naprawdę głośno się roześmiała, co samo w sobie stanowiło cud – ale po chwili spoważniała i pchnęła mnie w zupełnie innym kierunku.

– Jeśli naprawdę chcesz złapać tego zabójcę, Del – powiedziała – jest ktoś, z kim powinieneś porozmawiać.

PETER / Piątek, 15 lutego 2008

To niesamowite, jak życie zwyczajnie toczyło się dalej. Można było zrobić coś najbardziej nikczemnego i amoralnego, a potem po prostu jechać do domu. Udać się do pracy. Odebrać rzeczy z pralni. Wybrać wino w sklepie monopolowym i uciąć krótką pogawędkę z rodzicami najlepszej przyjaciółki dziewczyny, z którą się przespało za plecami swojej żony. Zapłacić za wino. Jechać do domu.

Mary nieszczególnie zainteresowała się moim styczniowym wyjazdem do Minneapolis. Pieniądze na hotel wypłaciłem z mojego prywatnego konta oszczędnościowego, do którego nie miała dostępu. Kiedy wróciłem, zapytała o kolegę, do którego rzekomo pojechałem z wizytą, a ja odparłem, że u niego wszystko dobrze i że świetnie się było z nim spotkać. Mary wróciła do mycia podłogi, a ja poszedłem na górę, położyłem się na łóżku i odtworzyłem każdy szczegół tego, co miało miejsce podczas weekendu: wyznanie Hattie w restauracji, jego następstwa w hotelowym łóżku. I na biurku. I pod prysznicem. „Dobry Boże, ukaz mnie śmiercią”. Nikt nie patrzył na mnie innym wzrokiem. Nikt niczego nie podejrzewał. Zacząłem się zastanawiać, co jeszcze mogłoby mi ujść na sucho, do jakiego stopnia mógłbym prowadzić podwójne życie – odpowiedzi na te pytania zależały wyłącznie od Hattie.

Podczas kolejnego miesiąca prawie w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie istniał bezpieczny środek komunikacji. Nie mogliśmy korzystać z e-maili, telefonów ani internetu, tak więc nasz związek stał się grą w milczące podglądactwo. Na stołówce obserwowałem, jak codziennie je lunch w towarzystwie Tommy'ego. Ona patrzyła, jak piszę na tablicy, jak prowadzę

wykłady. Kiedy się mijaliśmy na korytarzu, omiatała mnie niewidzącym spojrzeniem, nie przerywając rozmowy z koleżankami. Kiedy rozlegał się dzwonek, stawałem w drzwiach klasy po to tylko, aby poczuć jej zapach, kiedy będzie mnie mijać. Zawsze pachniała lekko, świeżo i dawało się wyczuć nutkę jakiegoś owocu, truskawki albo maliny, nigdy nie miałem co do tego pewności. Przebywanie tak blisko niej było nie do wytrzymania. Musiała czuć to samo, gdyż pewnego popołudnia zjawiała się u mnie pod pozorem zadania mi pytań dotyczących wiosennego przedstawienia, ja jednak nie ufałem samemu sobie. Szybko przeniósłem rozmowę na korytarz i ponad jej głową lustrowałem tłum uczniów, wyczuwając jej rosnącą frustrację. W końcu napisała ołówkiem kilka słów w jednym z wypracowań – jedynie miejsce i datę – które gorączkowo wymazałem, gdy tymczasem krew szybciej zaczęła krążyć mi w żyłach.

To był przydrożny parking nad brzegiem Missisipi, z którego rozciągał się malowniczy widok na Wisconsin, ale o tej porze roku nikt nie zapuszczał się nad urwiska. W ciągu pół godziny czekania na nią zobaczyłem tylko jeden samochód. Bez słowa zaciągnąłem ją na tylną kanapę i szybko pozbyliśmy się ubrań, dysząc głośno i czyniąc akrobacje, aż w końcu siadła na mnie okrakiem, a potem jej szczupłe, jędrne ciało doprowadziło mnie do szaleństwa.

Nigdy dotąd nie czułem takiego pożądania. Jednocześnie przerażała mnie myśl o tym, jak Hattie mogłaby wykorzystać władzę, jaką miała nade mną. Na razie sądziła, że to ja sprawuję nad wszystkim kontrolę, ale powoli zacznie do niej docierać, że moje życie jest niczym domek z kart u jej stóp i że zniszczyć mnie może jednym kopnięciem któregoś ze swoich niezliczonych wcieleń. Z każdym dniem coraz bardziej jej pragnąłem, coraz większą miałem obsesję na jej punkcie i coraz bardziej się jej bałem.

W piątek po tej schadzce wróciłem z pracy i zobaczyłem, że Mary oprowadza po obejściu nieznanego mi mężczyznę. Mógł być w naszym wieku, miał czapkę z daszkiem, zaśnieżone buty robocze i pas z narzędziami. Skinął mi głową, kiedy szedłem w stronę domu. Ostatnimi czasy każdemu się przyglądałem sekundę dłużej, żeby się przekonać, czy właśnie to jest osoba, która pogrozi mi palcem i mnie zdemaskuje. Nie ten człowiek, nie dzisiaj.

Wrócił do rozmowy z Mary, a ja wszedłem do domu. Elsa spała w stojącym w salonie bujanym fotelu. Otworzyłem colę i opróżniłem połowę puszki, wpatrując się jednocześnie w zawartość lodówki i zastanawiając, jak tu się znowu spotkać z Hattie. W czasie ferii wiosennych mogła „odwiedzić” kolejną uczelnię. Moglibyśmy wybrać się do Duluth albo do Chicago. Och, Hattie na pewno spodobałoby się w Chicago.

Mary otworzyła drzwi, a ja szybko zamknąłem lodówkę. Bez słowa podeszła do zlewu i zabrała się do zmywania naczyń.

Automatycznie wycofałem się w stronę drzwi. Nie licząc jedzenia i spania, praktycznie mieszkałem w pokoiku z komputerem. Nawet gdyby Mary nie zachowywała się przez większość zimy jak góra lodowa, próby dotarcia do niej wydawały mi się obecnie niedorzeczne. Dzisiaj jednak, zanim zniknąłem na piętrze, ciekawość wzięła nade mną górę.

– Kto to był?

– Harry Tomlin.

– Czego chciał?

– Poprosiłam, żeby tu podjechał. – Wzruszyła ramionami i postawiła dzbanek na suszarce. – Znamy się jeszcze z liceum. Wstawi nam nowe okna.

– Okna?

– Straszne są tu przeciągi. Nie ma sensu wymieniać pieca, dopóki nie wymienimy okien.

– Pieca? Co się dzieje, Mary? – Nie wiedziałem, czym zaskoczyła mnie bardziej: swoimi planami czy tym, że mi o nich opowiadała. Zajrzałem do salonu, żeby sprawdzić, czy Elsa nadal śpi. – To ty się wkurzasz za każdym razem, kiedy wydam chociaż centa. Czemu pakujesz pieniądze – moje pieniądze, mógłbym dodać – w tę starą rudere?

– Nie tknę nawet twojej cennej pensji, okej? Mama ma swój zasiłek, a ja także będę zarabiać.

– Niby jak? Sprzedając jajka po piętnaście centów za sztukę?

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to po trzydzieści pięć centów.

– Co takiego?

– Jajka organiczne, z wolnego wybiegu, z rodzinnej farmy.

– O czym ty, u licha, mówisz?

Początkowo nie odpowiedziała. Rozmowa z jej profilem była frustrująca. Nawet się do mnie nie odwróciła. Nie szkodzi, że miała prawo skopać mi jaja i wyrzucić z rudery swojej matki. Ona tego nie wiedziała.

– Pamiętasz, jak w Minneapolis chodziliśmy na targi farmerów? I te twoje przemowy na temat produktów organicznych i wolnych od okrucieństwa?

Rzeczywiście pamiętałem, ale moim wspomnieniom nie towarzyszył słyszalny w jej głosie sarkazm. Wtedy naprawdę – i wyglądało na to, że niemądrze – uważałem, że to nasze dobre czasy. Mieszkaliśmy w wiktoriańskiej klitce w budynku bez windy i latem w każdy niedzielny poranek czytaliśmy przy kawie gazety, wymieniając się komentarzami i poszczególnymi stronami, aż w końcu cały stół zakryty był artykułami, krzyżówkami i resztkami stron z kuponami, które Mary zdążyła już powycinać.

Później udawaliśmy się na targ i chodziliśmy niespiesznie między straganami. Czasami kupowaliśmy tylko bagietkę i zjadaliśmy ją w drodze do domu, odrywając chrupiące kawałki i popijając smoothie. Kilka razy pod wpływem impulsu postanowiliśmy coś upichcić i wracaliśmy do domu z czterdziestoma pomidorami i papryczkami, a potem paćkaliśmy całą kuchnię, próbując przygotować salsę. Zazwyczaj to były moje pomysły. Mary zawsze miała listę zakupów i plan i spokojnie odhaczała kolejne pozycje.

Kiedy zaczęliśmy bywać na tego typu targach, unosiła brwi, widząc sporo handlarzy z ludu Hmong, ale kupowała od nich produkty, o ile tylko były dobrej jakości i nie miały wygórowanych cen. Ucinała sobie pogawędki z farmerami o opadach i temperaturach. Nie przejmowała się herbicydami ani traktowaniem bydła. To ja upierałem się przy straganach z żywnością organiczną, a Mary ze śmiechem przewracała wtedy oczami. Kiedy próbowałem pokazywać jej artykuły poświęcone skutkom stosowania sztucznych nawozów i środków owadobójczych, rzucała drwiąco:

– Wiesz, że i tak na coś umrzesz, prawda?

Uprawy ani hodowle organiczne nigdy jej nie interesowały. Skąd więc ta nagle zmiana zdania?

– Rozmawiałam z facetem z okolic Rochester, który się tym zajmuje. Mobilne spółdzielnie i żywność dla wegetarian. Sprzedaje swoje produkty po wyższej cenie restauracjom w wielkich miastach, a wiosną zamierzamy zacząć jeździć po targach.

– My?

– Ja, on i kilku innych farmerów z okolicy. Jest zapotrzebowanie. Ci wszyscy miastowi ludzie twojego pokroju chcą jajek od szczęśliwych kur, chcą, aby ich mięso wcinało trawę i było zabijane w sposób humanitarny.

Przy wypowiedzianiu trzech ostatnich słów pokręciła głową. W tym przypadku zgadzaliśmy się, ale kierowały nami diametralnie inne powody.

– Skąd ten pomysł, Mary? Przecież wiesz, że Elsa nie przeżyje kolejnego roku.

Wzdrygnęła się na te słowa, a ja spuściłem nieco z tonu.

– Przepraszam. Nie chciałem, aby to tak zabrzmiało, ale to oczywiste, że lekarz miał rację. Z każdym dniem coraz bardziej słabnie. Coraz mniej pamięta z tego, co się do niej mówi. Raz nie wiedziała nawet, kim jestem.

Nie wspomniałem o tym, że była wtedy dla mnie o wiele miłsza niż normalnie. Klepała mnie po ręce, nazywała Hankiem i prosiła, abym przeczytał jej kilka nekrologów. Hank chętnie przystał na jej prośbę. Po raz pierwszy od miesiący czułem się w tym domu mile widziany.

Coraz trudniej było ignorować jej problemy z pamięcią. Przez dwa tygodnie codziennie pytała Mary, dlaczego kupiła „ten pieprz za pięć dolarów”, aż w końcu wbiła sobie do głowy, że to „specjalny pieprz Petera”. Co najmniej dwa razy w ciągu wieczora oglądała w wiadomościach prognozę pogody, a i tak okazywała zdziwienie, jeśli nazajutrz padał śnieg. Skoro tlen nie docierał już należycie do jej mózgu, jak długo wytrzyma reszta ciała?

Kolejne pytanie zadałem, ostrożnie dobierając słowa:

– Czemu miałabyś inwestować w zupełnie nowy biznes, skoro mieszkamy tu tylko tymczasowo?

Nic nie powiedziała i prawdę mówiąc, nie musiała. Znałem już odpowiedź.

– Nie przyjechałaś tu tylko dla Elsy. – Opadłem na jedno z kuchennych

krzesel i wbiłem wzrok w profil Mary. Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. – Podoba ci się tutaj. Po jej śmierci nie zamierzasz wrócić do Minneapolis, prawda?

Nadal milczała. Nie przerwała zmywania naczyń i w zamyśleniu wykręciła ścierkę, wyglądając przez okno na połacie bieli.

– Do diabła, Mary, odpowiedz mi. Chyba zasługuję na odpowiedź. Zaplanowałaś to jeszcze przed naszą przeprowadzką?

Oplukała talerz i odstawiła go na suszarkę, po czym powoli wyjęła z wody kubek.

– Nie zrozumiałbyś tego.

– Rzeczywiście. Jak miałbym zrozumieć coś, o czym mi nie powiedziałaś? – Skrzyżowałem ręce na piersi, zdecydowany nie wyjść z kuchni, dopóki mi wszystkiego nie powie.

– Ja... – Urwała, pokręciła głową i zaczęła raz jeszcze, dalej patrząc w zamyśleniu przez okno otoczone wyblakłymi zasłonkami z kraciastej bawełny. – Nie wiem, jak to powiedzieć. Weźmy na przykład drzewa.

– To znaczy?

– W mieście ich nie widać. – Zawahała się. – Wszystkie są razem ściśnięte, wymieszane ze sobą, aż nie da się stwierdzić, w którym miejscu kończy się jedno drzewo, a zaczyna drugie. Obcina im się konary, żeby nie dotykały linii wysokiego napięcia ani dachów. Na pniach niektórych widnieją wymalowane czerwonym sprayem znaki śmierci i są ścinane, kiedy ich korzenie zbytnio się rozrastają pod chodnikami. Smutno jest na nie patrzeć, takie powykręcane i oszpecone. Tutaj jednak można oglądać prawdziwe drzewa. Przez całe życie patrzyłam, jak rosną na skraju pola. – Spojrzenie Mary skupiło się na stojących za garażem sosnach, a jej głos stracił tę twardość, jaka się pojawiała podczas rozmów ze mną. – Rosną bez przeszkód i naprawdę je widać. Można przyglądać się ich sylwetkom, obserwować, jak konary zginają się i zakręcają. Niektóre są pobrużdżone. Niektóre grube i silne. Niektóre przygarbione jak starzy ludzie na wietrze. Tutaj można rozumieć ich prawdziwą naturę. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie przeprowadziliśmy się tutaj i nie poczułam, że znowu oddycham. Pewnego

dnia wracałam do domu od Winifred i po prostu zatrzymałam się i obserwowałam rysujące się na horyzoncie sylwetki drzew. Każda z nich była niczym portret i nigdy dotąd nie widziałam niczego równie pięknego. Zrozumiałam wtedy, że nie mogę wrócić. W mieście nie byłam w stanie oddychać, z każdym dniem coraz bardziej się dusiłam.

– Ale my przecież mieszkamy w mieście. – Czułam się w obowiązku przedstawić jakiś argument. – Tam mamy przyjaciół, ty masz pracę. Twój szef mówił, że w każdej chwili możesz wrócić.

Miałem po swojej stronie logikę. Wiedziałem to, czułem ją w swoich słowach, a jednak w porównaniu z wywodem Mary wydawały się puste.

– I przez dziesięć godzin dziennie pracować w boksie półtora metra na półtora? Bez dziennego światła? W otoczeniu zastałego powietrza i zastraszonych, pełnych gniewu ludzi? Nie, Peterze. Nie mogę żyć w taki sposób. W tym roku zamierzam wypowiedzieć umowę dzierżawy ziemi, a kolejnej wiosny dokupić więcej kur. Zamierzam być farmerem, tak jak mój ojciec i jego ojciec. Zamierzam zasiać w tej ziemi swoje przeznaczenie.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Kuchnię przygniatał ciężar decyzji mojej żony, zmuszając nas do konfrontacji z tym, o czym i tak oboje wiedzieliśmy. W końcu Mary skończyła zmywać naczynia, powiesiła ścierkę na kranie i usiadła naprzeciwko mnie.

Po raz pierwszy od miesiący na nią spojrzałem, ale tak naprawdę. Transformacja, jaką wcześniej w niej wyczuwałem i o którą miałem do niej żal, teraz dobiegła końca. Dziewczyna, z którą się ożeniłem, miała długie, błyszczące, jasne loki, wypływające kaskadami spod welonu. Kiedy szliśmy w stronę ołtarza, policzki miała zarumienione, a w jej oczach błyszczały łzy i proste, nietłamszone emocje. Kobieta przede mną siedziała praktycznie w bezruchu i emanowała z niej spokojna pewność siebie. Cały romantyzm dawno z niej uleciał, czyniąc ją silną, czyniąc ją spełnioną. W powietrzu rozlegało się echo jej opisu drzew, czysta poezja, która mogła zdobić kartki sielskich powieści, i uświadomiłem sobie, jak bardzo jest piękna i jak mało się stałem dla niej znaczący.

– A więc to by było na tyle? Moje pragnienia nie są ważne?

– Będziesz musiał dokonać wyboru. Czy chcesz zostać ze mną czy nie.
– A teraz niby jestem z tobą? Nie rozmawiamy ze sobą. Od jesieni nie uprawialiśmy seksu. Chryste, co się z nami stało, Mary?

Przez chwilę nic nie mówiła i już myślałem, że znowu się wycofała za mur milczenia, ale wtedy wzięła głęboki oddech i wyznała cicho:

– Łatwiej mi chyba było złościć się na ciebie za to, że nie znosisz życia tutaj, niż złościć się na siebie za to, że nie znoszę powodu, dla którego się tu znaleźliśmy.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, do kuchni, powłócząc nogami, weszła Elsa. Zakasłała słabo i zapytała o kolację. Oddaliśmy się znajomym czynnościom. Pomogłem Elsie sięść, a Mary nałożyła na talerze coś z glinianego garnka, co zjadłem bez apetytu. Kiedy udałem się na górę i z okna naszej sypialni przyglądałem się kurnikowi, zniknął mój wcześniejszy gniew w stosunku do Mary. Jej szczerość okazała się zaraźliwa. Zawsze zakładałem, że jestem dobrym człowiekiem – nie jem innych stworzeń, biegam, żyję świadomie, cokolwiek to, kurwa, znaczyło – gdy tymczasem prawda wyglądała zupełnie inaczej. To ja byłem facetem, który zdradza żonę, podczas gdy ona opiekuje się umierającą matką. Byłem prawdziwą gnidą.

Rozebrałem się i szukałem właśnie piżamy, kiedy do pokoju weszła Mary.

– W koszu pod pościelą – mruknęła i przebrała się w swoją piżamę.

W łóżku długą chwilę leżeliśmy w bezruchu. Mary przekreśliła się na bok i poczułem na sobie jej spojrzenie. Jezu, lepiej by jej było z kimś innym. Może ten facet od okien durzył się w niej w liceum. Do teraz mogli mieć już trójkę dzieci i kurzą fermę. Zamiast tego miała ojca w grobie, umierającą matkę, a za męża egoistycznego dupka. Zasługiwała na więcej, o wiele więcej.

– Masz rację co do okien – odezwałem się.

– Wiem.

Minęła kolejna minuta, podczas której wpatrywałem się w sufit i żadne z nas nie udawało, że śpi. W końcu Mary uniosła się na łokciu.

– Zostaniesz? – zapytała. – Wiem, że nie układa się między nami, ale to da się zmienić, prawda?

Zmieniło się to, że jej dłoń wsunęła się pod kołdrę i zaczęła się przesuwać

po moim torsie.

– Mary. – W tych dwóch sylabach kryło się wszystko, czego nie potrafiłem powiedzieć. Nie, Mary. Jest za późno, Mary. Kiedy się ode mnie odsunęłaś, nie czekałem na ciebie, Mary.

Jej usta dotknęły mojej szyi i zamknąłem oczy. Odetchnąłem. Jej dłoń prześlizgiwała się w dół mojego brzucha. Przytrzymałem ją.

– To nie jest dobry pomysł.

– Peter – zamruczała. – Pozwól mi spróbować.

Nie miałem do tego prawa. W moich żyłach krążyła nienawiść do samego siebie, kiedy dłoń mojej żony uwolniła się i odnalazła swój rytm. A potem ja także próbowałem; położyłem ją na plecach i próbowałem zrewanżować się za ten nieoczekiwany gest, próbowałem zachowywać się tak, jak przystało na męża, próbowałem wynagrodzić jej fakt, że nawet teraz na skraju mojej świadomości czała się Hattie.

HATTIE / Marzec 2008

Ferie wiosenne w Minnesocie były do bani. Zawsze leżał wtedy jeszcze śnieg i tylko chór gdzieś wyjeżdżał, bo akurat odbywał się konkurs w Nashville. Nie znosiłam muzyki country i Nashville było prawdopodobnie ostatnim miejscem, które miałabym ochotę odwiedzić, ale i tak było lepsze od Pine Valley. Portia śpiewała w altach i odkąd Peter ogłosił listę z obsadą przedstawienia, nieustannie nawijała o tej wycieczce.

Przydzielił mi główną rolę kobiecą, czyli rolę Lady Makbet. Portia została moją dublerką.

No i proszę bardzo, wtedy także zaczęła wydziwiać o tej całej klątwie. Początkowo, kiedy Peter ogłosił casting do przedstawienia, Portia wspomniała o klątwie *Makbeta*, ale tonem plotkarskim w stylu „wiem więcej od ciebie”. Kiedy się dowiedziała, że nie wystąpi na scenie, nagle klątwa stała się prawdziwa. Na każdej próbie opowiadała nam o słynnych wypadkach związanych z *Makbetem* i nie minęło wiele czasu, a wszyscy odprawiali ten jej bezsensowny rytuał oczyszczający.

Sprawa wyglądała tak: jeśli na sali gimnastycznej ktoś powiedział słowo „Makbet”, nie wypowiadając przy tym tekstu sztuki, „przywoływało się” w ten sposób klątwę. Aby ułagodzić odpowiedzialnych za klątwę bogów, ta osoba musiała natychmiast wybiec z sali, obiec ją, splunąć przez lewe ramię i wyrecytować: „Aniołowie i łaskawe duchy, miejcie nas w swojej opiece”. Następnie inna osoba musiała oficjalnie wpuścić tego kogoś z powrotem na salę i dopiero wtedy mogliśmy kontynuować próbę.

Kiedy Peter po raz pierwszy powiedział „Makbet”, Portia próbowała

nakłonić go do odprawienia rytuału, ale on ostro na nią wsiadł. Zagroził, że odsunie ją od przedstawienia, jeśli wspomni o tym choćby raz jeszcze. Od tamtej pory zadowalała się szeptem, aż wszyscy używali określeń „szkocka sztuka” albo „pan i pani McBee”. Portia zaczęła nawet biegać w imieniu Petera, kiedy wypowiadał to słowo, a w ślad za nią ruszali wszyscy uczniowie pierwszych i drugich klas, tak więc za każdym razem, kiedy wołał na scenę Makbeta, połowa obsady rzucała scenariusze i jak lemingi wybiegała na korytarz. To było komiczne. Czasami, kiedy na nich czekaliśmy, zegnałam się „w imię ojca Makbeta, syna Makbeta i ducha świętego Makbeta amen”. Kiedy to robiłam, Peter nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Po ostatniej próbie przed feriami pojechałam razem z Portią do jej domu. Zamiast oglądać filmy, tak jak zawsze, zaczęła mierzyć całe mnóstwo strojów naszykowanych na wyjazd do Nashville, udając, że chce poznać moje zdanie.

– Co powiesz na to? – Obróciła się w bliźniaku z krótkimi rękawami i spódnicy do kolan. Ten strój stanowił kopię tego, który włożyłam na rozpoczęcie roku szkolnego.

– Wyglądasz trochę jak uczennica prywatnej szkoły. Nie powinnaś pójść raczej w kierunku piękności z Południa?

– To nie jest kostium, Hatts. Chcę po prostu wyglądać jak ja na wakacjach. Jak ja bez rodziców.

Założyła okulary przeciwsłoneczne. Pozerskie. Położyłam się na jej łóżku i zwiesiłam głowę ponad krawędź, oglądając Portię do góry nogami.

– Co będziesz robić przez cały tydzień?

– Pracować. Uczyć się roli. – Ja też potrafiłam wbić szpilę. Początkowo uważałam, że to niefajne ze strony Petera, iż nie przydzielił jej żadnej roli, ale im dłużej nawijała o tym swoim „bajecznym” wyjeździe, tym mniej mi się to wydawało niefajne. I rzeczywiście zamierzałam uczyć się tekstu. Do przedstawienia zostały tylko trzy tygodnie, a ja nie znałam jeszcze na pamięć tych dłuższych kwestii.

– Możesz zadzwonić do mnie w czwartek, gdybyś potrzebowała pomocy. Mamy wtedy dzień wolny i najpewniej wybiorę się na zakupy do Opry Mills, ale powinno mi się udać wykroić godzinę na próbę.

– Zobaczymy. Może namówię Tommy’ego, żeby mi pomógł.

Portia parsknęła i ja także nie mogłam się nie uśmiechnąć. Tommy Kinakis czytający Szekspira to mniej więcej to samo, co Carrie Bradshaw orząca pole. Męczył mnie jednak, żebyśmy spotkali się podczas ferii, i Portia wiedziała dlaczego.

– Zamierzasz w końcu zrobić to z Tommym?

Wzrok miałam wbity w róg sufitu, gdzie mały pajak zajęty był tkaniem pajęczyny. Minęły dwa miesiące, odkąd Peter i ja wybraliśmy się do Minneapolis i stwierdzenie, że „to zrobiliśmy”, stanowiłoby niedopowiedzenie roku. Miałam wrażenie, że mnie i Portię dzieli cały ocean i że już nigdy nie znajdę się po jej stronie.

Od tamtego wieczoru w lutym na malowniczym parkingu nie widziałam się z Peterem sam na sam. Było tak, jakbym całymi tygodniami pościła, by w końcu oddać się nagłej uczcie, podczas której musiałam zjeść tyle, ile tylko dam radę, żeby przetrzymać kolejny post. Nim pożegnaliśmy się tamtego wieczoru, powiedział mi to samo, co przed wyjazdem z Minneapolis, że nie jesteśmy w związku. „Nie mogę być z tobą, nie tak, jakbyś tego chciała”. A ja ponownie go zignorowałam. Do końca szkoły zostało tylko kilka miesięcy, a wtedy zniknie nasza największa przeszkoda. Peter nie wiedział, że poczyniłam plany; oczami wyobraźni widziałam, jak wszystko będzie wyglądać.

A w międzyczasie nadal musiałam wieść to drugie życie. Część mnie miała ochotę zerwać z Tommym po tamtym wieczorze, kiedy Peter po raz pierwszy mnie pocałował, ale przedstawienie musiało trwać. Wszyscy uważali nas za parę. Nie było dnia, żeby ktoś nie zapytał, czy ja i Tommy chcemy zrobić to lub tamto, a ja zawsze odpowiadałam:

– Nie wiem, co chce zrobić Tommy. Zapytam go.

A potem podczas lunchu pytałam Tommy’ego o nasze plany tak długo, aż w końcu mówił to, co chciałam usłyszeć. Zawsze się starałam, aby nasze spotkania odbywały się w większym gronie, zwłaszcza od czasu, kiedy zaczął się do mnie dobieierać.

– Powiedziałam mu, że tylko od pasa w górę.

Portia wsunęła do leżącej na łóżku walizki saszetkę z biżuterią.

– Mówiłaś, że chciał czegoś więcej.

– To nie mój problem, jeśli nie słucha.

– To może być twój problem. – Włożyła marynarkę, po czym szybko ją zdjęła. – Co ja robię? Po co mi w Tennessee marynarka? Tam będzie blisko trzydzieści stopni.

Następnie usiadła obok mnie i spoważniała.

– Słuchaj, Hattie, wiem, że wydaje ci się, iż owinęłaś sobie Tommy’ego wokół małego palca, ale popatrz tylko na niego. To olbrzym.

Urwała i zasznurowała usta, co nie było w jej stylu.

– Co chcesz powiedzieć, Portia?

– Jedynie to, żebyś była ostrożna.

Zostawiłam ją na łóżku i stanęłam przed dużym lustrem. Lepiej się czułam, prowadząc tę rozmowę poprzez odbicie w lustrze.

– Kazesz mi zachować ostrożność na wypadek, gdyby mój chłopak miał się okazać gwałcicielem?

– Coś w tym rodzaju.

– I nie ma to nic wspólnego z faktem, że to ty chciałaś go zaprosić na Sadie’s?

– Żartujesz? To była tylko jedna z opcji. Wcale mi się jakoś szczególnie nie podobał.

– Najwyraźniej nie, skoro uważasz, że może próbować wziąć mnie siłą. – Zaczęłam chichotać. – Daj spokój, Porsche. Tommy? Naprawdę?

Wydawała się dotknięta moim śmiechem; pociągnęła nosem i wróciła do wybierania ubrań i opowiadania o tych wszystkich bajecznych rzeczach, jakie zamierzała robić w Nashville. Więcej nie rozmawiałyśmy przed jej wyjazdem, ale kiedy tylko samolot wylądował, zaczęła mi wysyłać całe mnóstwo esemesów. Typowe dla Portii. Ja wysyłałam jej odpowiedzi w stylu: „Super!” i „Brzmi ekstra!”, co było typowe dla Hattie.

We wtorek przyjechał Tommy. Mama była w domu, szykując w kuchni paczkę dla Grega. Mój brat nie odzywał się od kilku tygodni, gdyż przebywał akurat na aktywnej misji. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co to oznacza,

z wyjątkiem tego, że mama musiała przygotować dla niego paczkę. Kupiła gazety, które uznała, że go zainteresują, upiekła ciasteczka i owinęła je w folię bąbelkową, i powkładała różności z przyklejonymi karteczkami, na których napisała, dlaczego je dała. Kupiła także papierosy – choć sama nie znosiła palenia – dlatego że według Grega były tam lepszym środkiem płatniczym niż pieniądze. Dla mnie brzmiało to jak więzienie. Do domu miał wrócić w lipcu i czasem przyłapywałam mamę na kartkowaniu kalendarza, jakby odliczała dni do czasu, kiedy znowu będzie mogła spokojnie oddychać. Nie zauważało się tego, kiedy przebywała w ruchu, to znaczy prawie zawsze, kiedy jednak siadała przy stole albo wieczorami czytała książki, trzęsły jej się ręce. Nie przypominałam sobie, żeby działo się tak przed wyjazdem Grega.

Kiedy przyjechał Tommy, zapytał o Grega. Zawsze zapomniałam, że grali w jednej drużynie, gdy mój brat chodził do ostatniej klasy, a my do drugiej.

– Tommy, a może napiszesz do niego kilka zdań? Na pewno się ucieszy – rzekła mama.

Wydawał się zakłopotany, ale usiadł przy stole i zrobił to, o co go poprosiła.

Zanim poszliśmy na górę, wyjęłam z lodówki parę puszek z napojami, a kiedy przechodziłam obok stołu, zerknęłam na to, co napisał (wszystko dużymi literami): CZEŚĆ GREG. ZABIŁEŚ JUŻ OSAMĘ? SPARTANIE DO BOJU! TOMMY.

– Masz się ochotę przejechać? – zapytał, kiedy weszliśmy do mojego pokoju.

Na moim małym łóżku wyglądał jak olbrzym i przypomniały mi się słowa Portii. To była tego rodzaju myśl, która pojawiała się nieproszona i zaczynała szeptać: „gwałciciel, gwałciciel”. Zastanawiałam się, do czego naprawdę zdolny był Tommy z tymi swoimi silnymi dłońmi i mało lotnym umysłem. Choć za każdym razem, kiedy całowaliśmy się w jego pikapie, dzieliła nas skrzynia biegów, on i tak próbował opuszczać dłoń na moje dzinsy. A ja za każdym razem odsuwałam się i mówiłam:

– Nie, Tommy.

Jak do psa, jakbym tresowała nadpobudliwego labradora. On mnie wtedy

nieszczercze przeproszał i w końcu odwoził do domu. Jednak w moim pokoju nie rozdzielała nas skrzynia biegów. Stało tu łóżko. Drzwi były zamknięte, a mama znajdowała się na dole, nucąc coś razem z radiem.

– Może później. – Wyjęłam z plecaka scenariusz. – Najpierw muszę nauczyć się na pamięć reszty moich kwestii, pamiętasz? Pomożesz mi?

– Poważnie?

Kiwnęłam głową, a on jęknął.

– Daj spokój, Hattie. Nie potrafię czytać czegoś takiego.

– Dobrze ci to zrobi. – Uśmiechnęłam się do niego zalotnie, po czym usiadłam obok niego i otworzyłam książkę. – Widzisz, musisz jedynie czytać to, co pojawia się tuż przed kwestiami Lady MacBeth, a potem sprawdzić, czy dobrze wszystko mówię.

Pokazałam na zaznaczony tekst, ale Tommy koncentrował się na czymś innym. Przyciągnął mnie do siebie i pocałował niezdarnie za uchem.

– Nie teraz.

Kiedy próbowałam się odsunąć, wzmocnił uścisk, nie puszczając mnie.

– Tylko troszkę – mruknął, po czym sięgnął ustami do moich warg.

Drugą ręką przytrzymał mi głowę i zaczął mnie całować. Czułam, że się duszę, i nawet nie byłam sobie w stanie wyobrazić Petera, co zawsze robiłam w takiej sytuacji.

– Tommy – udało mi się wykrztusić, kiedy oderwał się od moich ust, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Tak? – Jego dłoń ścisnęła mi pierś. Jak to możliwe, że miał tyle rąk?

– Nie teraz – powtórzyłam i jakoś się wyplątałam z jego objęć.

Burknął coś i oparł się plecami o ścianę, nie próbując nawet ukryć wybrzuszenia w dzinsach.

– Z tobą zawsze jest nie teraz.

– Jest tu moja mama. I naprawdę muszę uczyć się tekstu.

– Nie rozumiem, po co grasz w tym przedstawieniu.

– Nie rozumiem, po co grasz w futbol – oświadczyłam takim samym tonem, włączając jednocześnie stojącą na komodzie kamerę.

– Okej, okej. – Westchnął i wziął do ręki scenariusz, następnie zmrużył

oczy, jakby napisano go po chińsku. – Ta część?

– Jesteś kochany. – Cmoknęłam go w policzek i stanęłam pośrodku pokoju.

Podczas gdy on zbierał się w sobie, aby odczytać głośno tekst Szekspira, ja stałam się Lady MacBeth. Patrzyłam na Tommy’ego tak długo, aż zniknął napalony nastolatek i zamiast niego pojawił się mój instrument. Patrzyłam na jego palce i widziałam dłoń, którą mogłam się posłużyć, którą mogłam nakłonić do zamordowania króla. Patrzyłam na malującą się na jego twarzy konsternację i widziałam szaleństwo, które wkrótce się stanie naszym udziałem. Stałam się zimna, zbyt zimna, żeby cokolwiek czuć. Kiedy odkaslnął, aby wypowiedzieć swoją pierwszą kwestię, czułam w ustach smak własnej śmierci.

Piątek w czasie ferii jakimś cudem okazał się dniem idealnym, takim, jaki się ogląda w reklamach. Niebo było bezchmurne, a słońce grzało przyjemnie i roztopiało resztki pozimowego śniegu. Tato natychmiast zniknął w stodole, przygotowując swój sprzęt do obsiewania, a mama zajęła się przeglądaniem katalogów z nasionami do ogrodu i wywiesiła na dwór pranie. Mnie kręciło się w głowie, dlatego że podczas mojej środowej zmiany w CVS Peter przyniósł pendrive’a z jednym tylko zdjęciem. Widać było na nim stodołę.

– Przyjemnie spędzasz ferie? – zapytał nonszalancko, kiedy się zjawił po odbiór zdjęcia.

– Tak sobie.

– Może w piątek rano coś się wydarzy.

– Mmm, mam nadzieję. – Staralam się wyglądać na znudzoną, kiedy go obsługiwałam, ale wzbierało we mnie coraz większe podekscytowanie.

Rankiem wyszłam z domu, jakbym się wybierała do pracy, a potem zadzwoniłam do CVS i poinformowałam, że źle się czuję. Kiedy dotarłam do stodoły, Peter już na mnie czekał. Jego żona i teściowa pojechały na cały dzień do szpitala na jakieś badania, więc przeszliśmy na należący do nich teren, z dala od dróg, domów i zabudowań, gdzie olbrzymi dąb znaczył miejsce łączenia się czterech pól. Tym razem oboje się przygotowaliśmy. Ja zabrałam koc i książkę, którą mi podarował na święta, on zaś przyniósł kosz piknikowy i butelkę wina. Przekartkował książkę i przeczytał na głos kilka wersów,

podczas gdy raczyliśmy się serem i krakersami i z plastikowych kubków sączyliśmy pinot noir. Poza kościołem nigdy dotąd nie piłam wina i choć według mnie smakowało cierpko i gliniaście, w ogóle mi to nie przeszkadzało. Wolałam pić wino z Peterem niż całe piwo świata z Tommym.

Po jakimś czasie położyłam Peterowi głowę na kolanach, a on siedział oparty o drzewo, czytał i gładził moje włosy. Bardziej wsłuchiwałam się w ton jego głosu niż w to, co czyta. Zaczęłam czuć się jak kot, jakbym miała ochotę ocierać się twarzą o jego udo, przeciągać się i tarzać w ciepłym słońcu. Może to wino uderzało mi do głowy.

– Tak więc całe nic niewarte życie spędza na poszukiwaniu V. – Peter zamknął książkę i ją odłożył.

Zazwyczaj uwielbiałam słuchać, jak opowiada o książkach, ale im dłużej czytał V, tym bardziej wydawał się przygnębiony, zwłaszcza kiedy mowa była o tym dziwnym prześladowcy. Zapytałam go, kim była V, i nieco się ożywił.

– To jest właśnie nierozwiązywalna zagadka, pytanie pozostające bez odpowiedzi. Pynchon nigdy nie okazałby się na tyle prozaiczny, żeby próbować na nie odpowiedzieć.

Potarłam policzkiem o nogawkę jego spodni.

– Cóż, nie zapytałam o to Pynchona, ale ciebie.

Przez chwilę milczał, bawiąc się moimi włosami. To było hipnotyzujące, uzależniające. Pragnęłam już zawsze tak leżeć w słońcu i czuć, jak palce Petera gładzą moje włosy. Zamknęłam oczy.

– Powinienem powiedzieć, że ja także nie jestem prozaiczny, ale nie sposób się temu oprzeć. V prześladowuje cię podczas czytania, jak wyglądający z każdej strony duch. – Zawahał się. – Kiedy dałem ci tę książkę, uważałem, że V to ty za jakieś pięćdziesiąt lat.

Zaśmiałam się.

– A ty jesteś tym szukającym mnie mężczyzną?

– Nie wiem. Pewnie tak. Nieważne, kim ja jestem. Chodzi o ciebie, kim ty jesteś. Nadal nie wiem, jak mam cię nazywać. Tyle masz imion. Tyle tożsamości.

– To tylko gra, Peterze.

– Wcale nie. To, kim się jest, dyktują czyny. Nie można być demokratą, jeśli się głosuje na republikanów. Nie można nazywać się wegetarianinem, jeśli je się stek. A twoje czyny nie stanowią jednej, spójnej osoby. Obserwuję cię, Hattie. Przed lekcjami plotkujesz z Portią, przyklaskując jej niedorzecznym pomysłom, racząc jedną bzdurną kwestią za drugą. Pozwalasz, aby Tommy obściskiwał cię w stołówce, gdy tymczasem rumienisz się i chichoczesz. Odgrywasz pupilkę każdego nauczyciela, z którym rozmawiałem, i wszyscy uważają, że będziesz studiować właśnie ich przedmiot. I nie widzę, żebyś się choć trochę tym przejmowała. Twierdzisz, że tylko grasz, ale ty rozbijasz się na tysiąc kawałków i za każdym razem, kiedy widzę kolejny kawałek, znowu znikasz. Przemieniasz się w kogoś innego, całe mnóstwo innych osób, a ja zaczynam się zastanawiać, czy istnieje ktoś taki jak Hattie Hoffman. Możliwe, że ten cały romans to były tylko halucynacje.

Zaśmiała się gorzko. Nie otwierając oczu, uniosłam rękę i przesunęłam palcem po szwie jego spodni, aż dotarłam do kroku.

– Myślisz, że to także są halucynacje? – Pocierałam palcami, aż jego ciało zaczęło reagować.

– Hattie... – Głos miał zduszony.

– Masz ochotę na nieco więcej halucynacji? – Sięgnęłam do guzików spodni, ale chwycił moją dłoń.

– Przestań.

Usiadłam zirytowana. Gdybym coś takiego zrobiła Tommy'emu, zapomniałby, jak ma na imię, nie mówiąc o kwestionowaniu mojego.

– O co ci chodzi, Peterze? Czemu w ogóle chciałeś się dzisiaj ze mną spotkać? – zapytałam ostro.

– Lubisz to, prawda? Lubisz manipulować ludźmi. Uszczęśliwia cię to, że Tommy ma na ciebie chrapkę? Że Portia cię naśladuje jak jakiś pozbawiony rozumu klon?

– Nie. Wcale tak nie jest.

– Kiedy cię poznałem, powiedziałaś, że porzucasz daną tożsamość, kiedy przestaje cię to bawić. Bawi cię świadomość, w co mnie wciągnęłaś? Nienawidzę się za każdym razem, kiedy o nas myślę.

– Nie chcę, żebyś tak się czuł.

– Powiedziała aktorka.

– Nie podoba mi się to, okej?! – zawołałam, po czym spuściłam głowę i przez chwilę głęboko oddychałam. – Kiedyś mi się podobało. Nawet bardzo, ale teraz czuję się jak w pułapce. Kiedy nie jestem z tobą, czuję się pusta i nie pomaga założenie żadnej maski. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, że nie jestem w stanie uciec. I każdego kolejnego dnia jestem nieszczęśliwa, bo jedyne, czego naprawdę pragnę, to...

Urwałam. To jeszcze nie pora, aby mu powiedzieć.

– To co? Czego pragniesz?

– Niczego.

– Przestań mnie okłamywać.

– Boże, zachowujesz się jak nauczyciel.

Odwróciłam się od niego niewiarygodnie sfrustrowana. To spotkanie w żadnym razie nie przebiegało tak, jak je sobie wcześniej wyobrażałam. Powinniśmy leżeć spleceni na tym kocu, śmiejąc się, całując i rozkoszując każdą kradzioną chwilą. Psychoanaliza to ostatnie, o czym powinien myśleć.

– Chcesz wszystko nazywać, analizować i upychać do małego pudełka w swojej głowie, znajdującego się obok miliona innych pudełek. Na każdym widnieje data i krótki opis. W porządku. Mam dla ciebie opis. Chcesz wiedzieć, kim jestem? Chcesz, abym powiedziała ci coś jeszcze, co jest prawdą?

Nagle serce waliło mi jak młotem. Nie taki był plan, ale czułam, jak w gardle wzbierają mi słowa. Nie byłam ich w stanie dłużej kryć. Odwróciłam się i chwyciłam go za rękę, pełna nadziei i jednocześnie przerażona tym, co się stanie.

– Jestem Hattie Hoffman, aktorką, pracownicą CVS i uczennicą ostatniej klasy liceum w Pine Valley. Jestem zakochana w Peterze Lundzie i chcę, żeby przeprowadził się ze mną do Nowego Jorku.

Znieruchomiał. Wpatrywał się we mnie przez całą wieczność i nie wiedziałam, czy zamierza mnie przytulić czy zacząć krzyczeć. Nigdy nie poruszaliśmy tematu przyszłości. To znaczy mojej przyszłości tak, ale nie jego.

Nie naszej. Ten związek istniał poza naszymi życiami; nie było w nim miejsca na coś takiego jak poczucie czasu czy progres.

Nagle Peter wyszarpnął mi swoją dłoń, wstał i podszedł do wiszących wokół nas gałęzi.

– Peter, powiedz coś.

– Co chcesz, abym powiedział?

Poszłam za nim.

– Zgódź się.

Ponownie się zaśmiał, ale to nie był przyjemny dźwięk. Poczułam ściskanie w żołądku.

– Och, okej. Pojadę z tobą do Nowego Jorku. Wydaje się to takie proste.

– Bo jest. Może być.

– Gdzie będziemy mieszkać?

– Możemy wynająć gdzieś pokój. Na Pulse jest cały milion ogłoszeń.

– A w jaki sposób opłacimy ten pokój?

– Udało mi się zaoszczędzić dwa tysiące. I dostanę przeniesienie do jednej z tamtejszych drogerii. – Wyrecytowałam kilka nowojorskich lokalizacji CVS, jakie zapamiętałam z ich strony internetowej. Dotknęłam jego ramienia, ale on się odsunął. – A ty możesz uczyć – dodałam.

– Wiesz w ogóle, jakie w Nowym Jorku są wymagania związane z licencją?

– Licencją?

Znowu zaśmiał się w ten paskudny sposób. Ta rozmowa nie powinna się dzisiaj toczyć. Gdybym miała więcej czasu i zrobiła odpowiednie rozeznanie, udzieliłabym mu właściwych odpowiedzi. Zbiłabym jego każdy argument. Ale nie – on zażądał ode mnie uczciwości, a ja, jak idiotka, na to przystałam. Teraz nie był nawet w stanie na mnie spojrzeć. Poczułam, jak wzbiera we mnie rozpacz, zaciskając mi gardło niczym sceniczna trema. Podskoczyłam kilka razy na palcach, żeby ją z siebie zrzucić.

– Coś wymyślimy. Mamy na to całe lato.

– Całe lato? – Przeciągnął słowo „całe”, używając tego sarkastycznego tonu, jak wtedy, kiedy chciał, żebym poczuła się jak czterolatka.

– Ile czasu potrzebujesz? Ludzie nieustannie przeprowadzają się do Nowego Jorku.

– Nasza sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana niż w przypadku większości osób.

– Nie chcesz jechać ze mną?

Nic nie powiedział, a ja niemal się rozplakałam. Wtedy zakrył dłońmi twarz.

– Chcę.

Nadzieja i miłość przepływały przeze mnie z taką siłą, że niemal nie byłam w stanie oddychać.

– No to jedź ze mną.

– To nie takie proste. – W końcu się odwrócił. W jego oczach malowała się rozpacz.

– Ależ tak.

– Jestem żonaty, Hattie.

– A więc się rozwiedź.

– To nie takie łatwe.

– Łatwe, Peterze. Mówi się: „Nie chcę już być twoim mężem. Oto dokumenty rozwodowe. Żegnaj”.

– Jej matka umiera.

– Jej matka umierała dwa miesiące temu, kiedy pojechałeś do Minneapolis, żeby się ze mną przespać. Umierała godzinę temu, kiedy całowałeś mnie pod tym drzewem.

– Mary nie może się o tym dowiedzieć. Ostatnie, czego teraz potrzebuje, to...

– Nie obchodzi mnie, czego nie potrzebuje Mary. Sama jej powiem. Raz w tygodniu przychodzi do apteki po leki dla mamy.

– Nie ośmieliłabyś się. – W jego głosie pojawił się strach.

Chwytał mnie za ramię. Nachyliłam się ku niemu, na tyle blisko, żeby poczuć jego gorący oddech, żeby zobaczyć, jak rozszerzają mu się źrenice, a krew pulsuje w żyłę na szyi.

– Nie masz pojęcia, co bym zrobiła, a czego nie, Peterze. Pamiętasz?

Wszystkie moje imiona, wszystkie tożsamości, które tak cię wkurzają? – Uśmiechnęłam się do niego gniewnie, mimo że serce mi pękało. – Kto wie, którą z nich spotka twoja żona, kiedy następnym razem zajrzy po lekarstwa?

Wyszarpnęłam mu ramię, na tyle mocno, że poczułam ból, i szybkim krokiem ruszyłam w dół wzgórza w stronę stodoły. Pragnęłam się obejrzeć, przekonać się, czy idzie za mną, żeby przeprosić, nie zrobiłam tego jednak. Chciałam także biec, szybciej niż ktokolwiek inny na świecie, tego jednak też nie zrobiłam. Szłam po twardych śladach, jakie jesienią zostawił kombajn, pozwalając płynąć łzom, czując ból w ramieniu w miejscu, gdzie mnie wcześniej chwycił Peter. Kiedy dotarłam do pikapa, pociągałam nosem i próbowałam się nie rozkleić. Pojechałam do domu, a kiedy przekroczyłam próg, zobaczyłam, że mama siedzi przy stole w kuchni, a przed nią stoi mój otwarty laptop. Podniosła głowę i popatrzyła na mnie wzrokiem pełnym rozczarowania.

– Musimy porozmawiać.

DEL / Środa, 16 kwietnia 2008

Po rozmowie z Fran pojechałem na posterunek, częściowo licząc na to, że wyniki testu DNA czekać będą na moim biurku. Zamiast tego czekała na mnie Mona. Siedziała w moim gabinecie ze spuszczonego wzrokiem i splecionymi dłońmi. Towarzyszyła jej Winifred Erickson. Patrząc na nie przez szybę, pomyślałem o porannym telefonie od Buda, o tym, jak się rozłączył bez pożegnania.

Zjawił się Jake z kilkoma nakazami: dwa za niezapłacone mandaty i jeden za niestawienie się w sądzie. Życie w hrabstwie toczyło się swoim torem.

– Długo tu siedzą? – zapytałem, składając swój podpis.

– Może ze dwadzieścia minut. – Ściszył głos. – Próbowałem je przekonać, żeby zaczekały w sali konferencyjnej, ale one po prostu weszły i usiadły. Nie odezwały się ani słowem.

Kiwnąłem głową.

– Co jeszcze masz?

– Pozostała zawartość komputera Hattie okazała się raczej czysta.

Mnóstwo plików tymczasowych i ciasteczek ze stron o Nowym Jorku.

Wyglądało to tak, jakby szukała tam mieszkania, wysłała nawet kilka maili z zapytaniami. Nic jednak nie zostało potwierdzone. Nie odniosłem wrażenia, że była już gotowa na pryśnięcie z domu; według mnie jedynie badała grunt.

Jake obejrzał się, aby się upewnić, że nikt go nie słyszy, po czym dodał:

– Z tego, co udało mi się zorientować, brak dalszej komunikacji z FanemLit.

– A telefon?

– Nic. Mnóstwo esemesów, wszystkie do koleżanek, no i kilka tygodniowo do Tommy’ego.

– W tych do Tommy’ego coś zwróciło twoją uwagę?

– To krótkie wiadomości w rodzaju: „Do zobaczenia o 7.00” albo „Spóźnię się”. Głównie wysyłali sobie zabawne obrazki. Śmiejące się koty i tym podobne. – Jake zobaczył moją minę i próbował wyjaśnić: – Eee, obrazki z internetu. Z kotami. Które mają ochotę na cheeseburgera.

– Aha. – Podpisałem nakazy i oddałem mu je. – Chcę, żebyś cały plik tej sprawy, łącznie ze zdjęciami, przesłał do FBI.

– Co takiego? – W głosie Jake’a pojawiło się zaskoczenie. – Przekazujemy sprawę?

– Nie, ale skorzystamy z pomocy.

Dałem mu namiary na znajomego Fran, psychologa sądowego, który zajmował się dokonywaniem oceny miejsc zbrodni. Generalnie nie korzystałem z pomocy takich osób, ale Fran oświadczyła, że jest „niezrównany” w całym stanie, a ja nie zamierzałem odwracać się plecami do kogoś, kto swoim niezrównanym palcem mógłby nam wskazać zabójcę.

– Chcę z nim porozmawiać dzisiaj, najpóźniej jutro. I jutro przyprowadzimy tu znowu obu podejrzanych, zaraz po pogrzebie Hattie, żeby jeszcze raz przemaglować ich w kwestii piątkowego wieczoru. Przekonamy się, czy ich wersje zaczną się zmieniać, po tym jak cały dzień spędzą przy jej trumnie.

Jake zabrał się do pracy, a ja zostawiłem za sobą sprawy służbowe i panujący na posterunku hałas i otworzyłem drzwi do gabinetu. Kiedy wszedłem, Winifred odwróciła głowę, ale Mona nawet nie podniosła wzroku. Nogi miała złączone, dłonie splecione na dużej, wyblakłej torbie i wyglądała jak wykuta z kamienia.

Znałem ją niemal równie długo jak Buda, widziałem ją w ciąży zarówno z Gregiem, jak i Hattie. Gdyby nie duży brzuch, nikt by wtedy nie pomyślał, że spodziewa się dziecka. Kiedy maluch dawał jej solidnego kopniaka, oświadczała: „Poczekaj, aż stamtąd wyjdiesz, a już ja ci pokażę”, głąskała brzuch, a potem wracała do tego, co akurat robiła. Obecnie pracowała na pół

etatu u jedynego prawnika w miasteczku, zajmując się pisaniem i segregowaniem dokumentów, a oprócz tego pomagała Budowi w polu, zajmowała się domem, a na dodatek dbała o to, by rodzina miała gorący obiad na stole. Robiła świetne mięso z jarzynami w cieście, z całymi grzybami i kawałkami kurczaka w sosie z białego wina, i zawsze podawała je prosto z piekarnika. Jeśli się ją pochwalilo, wzruszała jedynie ramionami i odpowiadała, że to nic szczególnego.

Szczerze mówiąc, większe podobieństwo łączyło mnie z Moną niż z Budem. Żadne z nas nie miało czasu na gadki-szmatki. Wiedziałem więc, że zjawiała się tu dzisiaj z jakiegoś powodu.

– Mona.

Usiadłem po drugiej stronie biurka. Winifred stanęła za Moną i położyła dłoń na jej ramieniu, zapewniając jej milczące wsparcie, jak to powinien robić przyjaciel, mnie z kolei musiało dzielić od niej biurko. Musiałem widzieć w niej najbliższą krewną ofiary, a nie kobietę, którą znałem przez większą część jej życia.

– Ani razu nie przyszło mi to do głowy.

Miałem wrażenie, jakby nie zwracała się do żadnego z nas. Spojrzeliśmy na siebie z Winifred i czekaliśmy na ciąg dalszy.

– Podczas tych wszystkich miesięcy, jakie minęły od wyjazdu Grega, ani razu nie przyszło mi do głowy, że mogłabym stracić Hattie. Był tylko Greg, Greg, Greg. W środku nocy myślałam o Gregu, który trafia na minę lądową. O ataku na oddział Grega. O twarzy Grega, nieruchomej i bladej w trumnie. To on był powodem moich nocnych lęków i sądziłam, że niedługo to się zmieni. W lipcu Greg wraca z misji, a Hattie ubzdurzyła sobie, że wyprowadzi się do Nowego Jorku. Odzyskam jedno dziecko i zacznę się martwić o drugie. Coś takiego wydawało się... sprawiedliwe.

Jej spojrzenie w końcu nabrało wyrazistości i popatrzyła na mnie; w jej oczach krył się cały ból świata.

– W życiu nie przyszło mi do głowy, że mogłabym stracić Hattie, mając ją tak blisko. Nie tutaj, nie w Pine Valley.

Winifred kościstymi palcami ścisnęła mocno ramię Mony, jakby dzięki

temu pomagała jej zachować pozycję siedzącą. Spojrzała na mnie, tak jak to robią kobiety, kiedy chcą, żebyś coś zrobił, albo uważają, że niepotrzebnie coś komplikujesz.

– Mona, co tu robisz? To ostatnie miejsce, w którym powinnaś teraz być.

– Muszę ci coś powiedzieć. O Hattie.

Uniosła rękę i poklepała dłoń Winifred.

– Zaczekaj na mnie na korytarzu, dobrze?

– Na pewno, skarbie?

– Zaraz do ciebie przyjdę.

Winifred posłała mi ostrzegawcze spojrzenie, po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Mona milczała przez chwilę, jakby zbierała siły.

– Tyłu ludzi pyta o mnie. Stara się mi pomagać. Nie mogę tego znieść. Nie chodzi o mnie, Del. Mogłabym czuć się tak przez resztę życia, gdyby tylko ona żyła. Mogłabym już nigdy więcej jej nie zobaczyć, nigdy nie przytulić.

Odcięłabym sobie dłonie i stopy, gdyby dzięki temu jej serce mogło znowu bić. Gdyby gdzieś tam żyła, oddychała i uśmiechała się. Jak mam żyć ze świadomością, że jej już nie ma? Nie potrafię znieść tej myśli, Del, nie potrafię.

Zacisnęła usta, walcząc o odzyskanie kontroli nad sobą.

– Musisz żyć dzień po dniu, Mona. Skupiać się na kolejnym zadaniu.

Kiwnęła głową.

– Winifred mówi, że można nauczyć się z tym żyć, że rozpacz staje się twoim nowym dzieckiem.

– No tak, ona to wie, bo przecież straciła dwoje dzieci.

Mona kiwnęła głową i wzięła głęboki oddech, po czym zmieniła temat.

– Bud mówi, że nie znacie jeszcze wyników testu DNA.

– Jeszcze nie. I wiem, że Bud jest zdenerwowany.

– Wszyscy jesteśmy, Del.

– Nie, nie chodziło mi o... chodziło mi... – Chryste, nie wiedziałem, jak radzić sobie z kobietami. Może gdybym miał żonę dłużej niż dwie sekundy, byłbym w tym lepszy.

Mona dostrzegła, że się plątam, i choć kontrolę nad nią przejęła rozpacz,

miała na tyle przyzwoitości, żeby mi przerwać.

– Bud powiedział mi o waszej porannej rozmowie. Był zły. Spodziewał się czegoś więcej.

– Mona...

– Wiem, Del. Musisz wykonywać swoją pracę. Wiem o poufności informacji i o tym, co wolno ci mówić, a czego nie. Swego czasu czytałam sporo kryminałów. – Spuściła wzrok. – Dla przyjemności.

– Nie próbuję utrzymywać Buda w niewiedzy. – Dopiero kiedy wypowiedziałem te słowa, dotarło do mnie, że to kłamstwo. Mówiłem dalej, tak jak to robią kłamiący przestępcy, starając się usprawiedliwić, jakoś wszystko załagodzić. – Gdy tylko dostaniemy wyniki tych badań, wszystko się zmieni. Zabójcy Hattie nie uda się dłużej ukrywać. Uwierz mi.

Ponownie podniosła wzrok i przekonałem się, że mi ufa. Ufała, że człowiek, z którym się przyjaźniła od dwudziestu pięciu lat, znajdzie zabójcę jej córki, a ja czułem się rozdarty, choć wiedziałem, że dobrze robię, nie mówiąc im nic o Lundzie.

– Bud to w końcu zrozumie. Uspokoi się.

Wiedziałem, że jeśli pozna całą prawdę, to może i zrozumie, ale nie wiedziałem, czy mi wybaczy, że mu o tym nie powiedziałem. Pokręciłem głową. Musiałem przejść do innych kwestii.

– Co mi chciałaś powiedzieć o Hattie?

– Coś mi przyszło do głowy. – Wzięła głęboki oddech. – Nie pamiętałam o tym, kiedy do nas przyjechałaś. Zbyt wiele było... – Pokręciła głową, powstrzymując łzy. – To było trzy tygodnie temu, podczas ferii wiosennych. Hattie w piątek miała być w pracy, kiedy jednak zaszłam do apteki, nie zastałam jej. Z domu wyszła w stroju roboczym i z plakietką z imieniem. Obsługująca mnie dziewczyna powiedziała, że ma nadzieję, iż Hattie czuje się już lepiej. Nic nie odparłam. Kiwnęłam jedynie głową. Wróciłam do domu, ale Hattie nadal nie było i nie odbierała telefonu. Nie było jej u Tommy'ego ani u Portii. Kiedy minęła kolejna godzina, weszłam do jej pokoju. Rzadko to robię. Nastolatki lubią mieć spokój, a Hattie nigdy nie przysparzała mi zmartwień, więc pozwalałam jej na własną przestrzeń. Skoro jednak nie

wiedziałam, co się z nią dzieje, weszłam do jej pokoju i zaczęłam się rozglądać. – Wzięła głęboki oddech. – To było w jej laptopie.

– Ale co? – zapytałam, zastanawiając się, czy przypadkiem nie znam już odpowiedzi. Nie znałam.

Wyjęła z torby kilka kartek i położyła na biurku.

– Wydrukowałam to, nim wróciła do domu. Nie do końca jestem pewna dlaczego. Wiedziałam, że nie pokażę tego Budowi. Hattie była jego małą córeczką, jego aniołkiem. Kochał to dziecko do szaleństwa od dnia, w którym przywieźliśmy je ze szpitala.

Na kartce widniało coś w rodzaju tabelki. Po lewej stronie znajdowała się kolumna z hasłem „Postać”, a poniżej kilka imion. Przebiegłem je wzrokiem, aż natrafiłem na imię „Tommy”. Kolejne kolumny miały różne nagłówki. Pod „Zadanie główne” napisała „Seks i akceptacja”; pod „Potrzeby” napisała „Podejmowanie za niego decyzji, poczucie przynależności do grupy, ślinienie się na mój widok”, a w ostatniej kolumnie zatytułowanej „Wskazówki” Hattie umieściła: „Mówić mu, że jest taki jak Derek. Przebywać z nim w gronie innych osób. Żadnych imprez we dwoje”.

– Co to jest, Mona?

Zerknąłem na kilka innych wpisów. Zadaniem głównym Buda były „Farma i rodzina”. Wskazówki dla Portii to „Mówić o Portii tyle, ile się tylko da, nie puszczając przy tym pawia”. Nie mogłem się nie uśmiechnąć. Ostatnio sam sporo rozmawiałem z Portią.

– O to ją właśnie zapytałam, kiedy wróciła do domu. Była smutna, miała czerwone oczy i nos. Musiała być gdzieś na świeżym powietrzu. Zapytałam ostro, gdzie była i dlaczego okłamała swoją przełożoną. Odparła, że to nie moja sprawa, że jest pełnoletnia i może robić to, na co ma ochotę.

– Zachowanie typowe dla nastolatków.

– Dla nastolatków, ale nie dla Hattie. Zawsze odnosiłam wrażenie, że Hattie mówi ludziom to, co chcą usłyszeć. Wcześniej nie byłam w stanie tego udowodnić, ale matka wie, kiedy jej dziecko gra. Potrafię zajrzeć do ich dusz, Grega i Hattie, czy tego chcą czy nie. Hattie zawsze zadowalała innych, choć nigdy nie udało mi się ustalić, czy robiła to dlatego, że nie chciała nikogo

rozczarować, czy też po prostu sama nie wiedziała, czego chce. W każdym razie zabrała mi laptop z rąk i oświadczyła, że to jej własność, że kupiła go za własne pieniądze i że nie mam prawa go dotykać. Następnie uciekła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami. Poszłam tam za nią i powiedziałam, że to moje drzwi, że ojciec i ja kupiliśmy je za własne pieniądze i że nie ma prawa ich przede mną zamykać. Potem ją zapytałam o te tabelki. Zapytałam: po co ci one? Ludzie nie są postaciami w jednej z twoich sztuk. Twierdziła, że to tylko takie ćwiczenie. Coś, co pomaga jej w byciu lepszą aktorką, tak jak kamera. – Mona pokręciła głową. – Odpowiedziałam jej coś w rodzaju: kogo ty myślisz, że oszukujesz? I wtedy Hattie się rozplakała. Podeszłam do łóżka i przez chwilę ją tuliłam, gładząc po włosach, jak wtedy, kiedy była mała.

Mona wytarła oczy chusteczką.

– Już długi czas nie dopuszczała mnie do siebie tak blisko. Była córeczką tatusia. Zawsze trzymała mnie na dystans. Nigdy nie wiedziałam, dlaczego... dlaczego tak robiła. Ale tamtego dnia byłam jej potrzebna. Płakała, a ja ją tuliłam. Powiedziała mi, że jedyną osobą, którą oszukuje, jest ona sama. Kazałam jej przestać myśleć o tym, jaka może być dla innych, przestać grać, a w przyszłości ludzie ją zaczną za to szanować. Odparła, że trudno jest myśleć o przyszłości, powiedziałam jej więc to samo co ty mi teraz. Żyj dzień po dniu. Musiała zrozumieć, czego pragnie i na tym się skoncentrować. Mówiłam do niej przez jakiś czas, tuląc ją, kołysząc i próbując do niej dotrzeć. Przez chwilę czułam się tak, jakbym odzyskała moją małą dziewczynkę. Nie powiedziała mi, gdzie była tamtego dnia, a ja nie naciskałam. Nie chciałam niszczyć tej kruchej więzi, nie chciałam, aby znowu się przede mną zamknęła. Teraz jednak... teraz się zastanawiam, czy nie wplątała się w coś, przez co zginęła. Gdybym tylko zmusiła ją wtedy do wyznania prawdy albo gdybym dała jej szlaban...

Ponownie urwała i wytarła oczy.

– Nie możesz tak myśleć, Mona. Nie możesz obwiniać siebie.

– Nie obwiniam siebie. Obwiniam drania, który to zrobił. Ale niewykluczone, że mogłam temu zapobiec. Może gdybym była w stosunku do niej bardziej surowa...

– Natychmiast uciekłyby w przeciwnym kierunku – wszedłem jej w słowo. – Tak właśnie robią dzieci. Tak robią dzieci w jej wieku.

Kiwnęła głową.

– Wiem, Del. Tyle że nie potrafię przestać o tym myśleć. Nie potrafię się uwolnić od tych myśli.

– I na razie nie wiemy, czy się w coś wplątała. Młodzież na okrągło chodzi nad to jezioro i uprawia seks.

– No i jeszcze kwestia koperty.

– Jakiej koperty? – Wyprostowałem się.

– Pojawiła się później tego dnia. Biała koperta w skrzynce na listy. Bez znaczka, bez nadawcy, widniało na niej jedynie imię Hattie. Wyrwała ją Budowi i zamknęła się w swoim pokoju.

– Udało ci się dowiedzieć, co w niej było?

– Nie.

– Widziałaś ją od tamtego czasu? – Kiedy przeszukiwałem pokój Hattie, nie zwracałem uwagi na tak zwyczajne rzeczy.

– Nie.

– A następnego dnia Hattie znowu zniknęła.

Mona wyglądała na zaskoczoną.

– Skąd wiedziałeś?

– Od Portii.

Kiwnęła głową.

– Portia przywiozła ją do domu, bo samochód Hattie zepsuł się na ekspresówce niedaleko Rochester.

– Co tam robiła?

– Twierdziła, że pojechała na zakupy.

– Jakie zakupy?

– Nie wiem, ale także nie naciskałam, bo wydawała się szczęśliwsza. Uznałam, że uporała się z tym, co ją gryzło. Kiedy podczas kolacji Bud burczał coś o zepsutym pikapie, żartowała i się z nim przekomarzała. Powiedziała mu, że to znak, aby Bud kupił jej nowy samochód, kabriolet, żeby do Nowego Jorku mogła jechać z opuszczonym dachem. I tak droczyli się przez cały

wieczór. Wydawała się szczęśliwa i w niczym nie przypominała dziewczyny, która dzień wcześniej wypłakiwała mi się w ramię. Uznałam, że to pewnie te charakterystyczne dla nastolatek huśtawki nastrojów. Jednego dnia są królami świata, a następnego ich życie jest skończone.

Urwała, kiedy dotarł do niej sens jej słów, i nagle zgięła się wzdłuż ramionami wstrząsał bezgłośny szloch.

Winifred, która stała na straży obok szafek z dokumentami, weszła szybko do gabinetu i objęła Monę. Wyciągnąłem z szuflady jakieś serwetki i przesunąłem je po biurku, ale Winifred przewróciła oczami i wyjęła z torebki chusteczkę. Mona otarła twarz, próbując wziąć się w garść, a ja poczułem się kompletnie bezużyteczny.

– Mona, musisz coś dla mnie zrobić.

Jakoś się uspokoiła i nawet się wyprostowała. Rozpacz nie odebrała jej siły. Kobiecie takiej jak Mona Hoffman – prawdziwej farmerce, każdą porę roku i każdą burzę przyjmującej ze spokojem, którego mógł jej pozazdrościć sam Bóg – służyła praca, konkretne zadanie do wykonania. Nawet teraz, w tym najmroczniejszym okresie jej życia, wiedziałem, że zrobi to, o co ją poproszę.

– Proszę, żebyś raz jeszcze przeszukała pokój Hattie oraz jej samochód, wszystkie miejsca, w których mogła zostawić tamtą kopertę.

– Dobrze, Del.

– Jest jeszcze kilka rzeczy, które trzeba znaleźć – dodałem. – Walizkę i kamerę.

– Co takiego? – Zdziwienie przebiło się przez inne uczucia.

Opisałem je krótko.

– Uważamy, że zaginęły.

– Tę walizkę daliśmy jej pod choinkę. Bud kupił ją w Brookstone. Hattie ją uwielbiała.

Powiedziała, że musi jechać po kwiaty na pogrzeb, ale że potem zajmie się poszukiwaniami.

– Wieczorem odbędzie się w domu czuwanie. Tylko dla rodziny. – Mona odwróciła wzrok, po czym wstała.

Odprowadziłem je do wyjścia, ale cofnąłem się, kiedy starsza kobieta

pomagała młodszej wejść do samochodu. Po drugiej stronie ulicy czaił się przysłany przez stację telewizyjną van, czekający na przełom w śledztwie. Jutro dziennikarze przypuszczą atak na osoby biorące udział w pogrzebie, próbując przeprowadzić wywiad z kim się da na temat „zabójczej klątwy”. Przynajmniej tym mogłem się zająć dla Buda i Mony. Kiedy patrzyłem, jak samochód Mony odjeżdża, miałem wrażenie, że nie jestem w stanie zrobić niczego więcej.

Dopiero po dłuższej chwili wróciłem do swojego gabinetu.

PETER / Piątek, 21 marca 2008

Stałem pod drzewem, jednym z tych rozłożystych dębów Mary, które jej pokazały, czego pragnie od życia, i patrzyłem, jak Hattie się ode mnie oddala. W powietrzu unosiło się echo jej ultimatum. „Jedź ze mną do Nowego Jorku, inaczej powiem Mary o nas”. Nie ubrała tego w takie akurat słowa – na pewno? – ale w jej nieustraszonych oczach niezaprzeczalnie kryła się groźba.

Patrzyłem, jak jej sylwetka staje się coraz mniejsza, jak jej krokom towarzyszy bezwzględna pewność siebie nastolatki, która kazałaby się odpiardolić samemu słońcu. Moja desperacja rosła wprost proporcjonalnie do dzielącej nas odległości. Wszystko we mnie krzyczało, abym pobiegł za nią, zaciągnął tu z powrotem, przywiązał do drzewa i zrobił użytek z jej ust, tak żeby nie była w stanie nic mówić, ani prawdy, ani kłamstw. Abym dał jej dokładnie to, czego pragnie, a potem żebyśmy wsiedli do samochodu i wyjechali. Abym pokazał jej wszystko. Abyśmy oboje zapomnieli o tym miasteczku i o sobie, i każdej potwornej decyzji, która zaprowadziła nas do tego miejsca.

Ale Nowy Jork? Spodziewała się, że co powiem? Tak, wyjadę z tobą do Nowego Jorku? Zrezygnuję z szansy odzyskania życia w Minneapolis i zamieszkać z tobą na ulicach Nowego Jorku? No bo tam właśnie byśmy wylądowali – na ulicy. Nawet gdyby jakimś cudem udało mi się znaleźć pracę w szkole, pierwszą pensję otrzymałbym dopiero w październiku. Na koncie zostało mi tysiąc dolarów, czyli tyle co nic, a Hattie sądziła, że dzięki swoim dwóm tysiącom utrzyma nas oboje w tym najdroższym mieście w kraju?

Nie miała pojęcia, na co się porywa. Nie miała tam przyjaciół,

znajomości, nie miała planu. Potrzebowała mnie. Boże, potrzebowała mnie niemal równie mocno, jak ja jej pragnąłem i walczyłem z pokusą spełnienia jej niedorzecznej zachcianki.

Tyle że nie potrafiłem zapomnieć o Mary.

To przez nią stałem jak wrośnięty w ziemię, obserwując Hattie, dopóki nie zniknęła za drzewami. Całą resztę miałem gdzieś: pracę, reputację – w tym życiu w Pine Valley nie liczyło się dla mnie już nic oprócz Mary. Minął miesiąc, odkąd opowiedziała mi o planach pozostania na farmie, i od tamtej pory znajdowaliśmy się w sytuacji patowej. Nie udzieliłem jej odpowiedzi, czy tu zostanę, a ona więcej nie poruszyła tego tematu. Żyliśmy w światach równoległych, wymieniając zdawkowe uwagi niczym dobrze wychowani, aczkolwiek zachowujący dystans sąsiedzi. Wiedziałem, że czeka, aż podejmę decyzję, ale naprawdę nie miałem pojęcia, czy rzeczywiście ma ona dla niej znaczenie.

Czy należy się więc dziwić, że zaaranżowałem to spotkanie z Hattie? Z Hattie, która leżała z głową na moich kolanach, jakbym t j a był j e j schronieniem przed światem, i która błagała mnie, a potem zagroziła, że mnie zniszczy.

Dopiłem wino i rzuciłem resztę jedzenia kołującą nad drzewem wronie, następnie położyłem się i przyglądałem widocznemu między nagimi gałęziami niebu.

Czy rzeczywiście to zrobi? Czy Hattie porozmawia z Mary, kiedy ta zjawi się w aptece? Wielokrotnie mi powtarzała, że zrobiłaby dla mnie wszystko, że jest odpowiednią kobietą dla mnie, ale której wersji jej to dotyczyło? Nawet gdyby nie była urodzoną aktorką, nadal miała osiemnaście lat, do kurwy nędzy. Do czego jest zdolna wzgardzona osiemnastolatka?

Kiedy nie byłem już w stanie dłużej o tym myśleć, zebrałem wszystko i wróciłem do stodoły. Hattie zdążyła zniknąć. Może siedziała już w domu i planowała, jak mnie zniszczyć. Niewiele by trzeba. Szybki telefon do Mary albo wyznanie wszystkiego rodzicom, i moje życie dobiegłoby końca.

Cisnąłem pustą butelką o ścianę stodoły, ale się nie rozbiła, kopnąłem ją więc do stawu, który się tworzył na końcu pomieszczenia. Kusilo mnie, żeby

w ślad za nią rzucić koc Hattie. Zamiast tego owinałem nim książkę i położyłem w suchym kącie.

Kiedy wróciłem do domu, na podjeździe stał już samochód Mary. Mówiła, że po wizycie u lekarza wybiorą się na zakupy do Rochester, ale nie było nawet południa. Wcześniej wrócili.

Kosz piknikowy zostawiłem na tylnym siedzeniu, po czym cicho otworzyłem drzwi wejściowe. Jeśli miałem nadzieję, że uda mi się przemknąć na górę, porzuciłem ją, gdy zobaczyłem, jak Mary siedzi na sofie w salonie i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby odliczała minuty do mojego powrotu. Telewizor był wyłączony. Nie towarzyszyła jej Elsa. Mijały kolejne sekundy, a Mary pozostawała w bezruchu. W trakcie minionego roku praktycznie ciągle coś robiła. Czy mogłem mieć wątpliwości co do powodu, dla którego jej życie znieruchomiło?

Choć zaatakowały mnie mdłości i szybko waliło mi serce, ciekawiło mnie, w jaki sposób się dowiedziała. Zacząłem kartkować strony swojego życia, szukając podtekstów, które musiały mnie zdradzić. A może nic nie zrobiłem. Może Hattie zdążyła już spełnić swoją groźbę.

– Gdzie byłeś? – zapytała w końcu Mary.

– Na spacerze. – Na razie do niczego się nie przyznałem.

– Na spacerze gdzie?

– Na polach. Tam. – Wykonałem ręką gest w nieokreślonym kierunku. – Miałem ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza, a nie chciało mi się biegać.

Mary zaśmiała się, ale w tym śmiechu nie słychać było radości.

– Mieszkasz na farmie i musiałeś się przejść, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. To by było na tyle, prawda?

– O czym ty mówisz?

– O niczym.

– Gdzie Elsa? Sądziłem, że macie jechać na zakupy.

– Nie chciała, żebyśmy pchała jej wózek. Podrzuciłam ją do Winifred.

– Okej. – Czekałem na oskarżenia, łyzy i wściekłość, nic się jednak nie działo. Siedziała na sofie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Coś jeszcze? – Zrobiłem krok w stronę schodów, instynktownie się

wycofując.

– Usiądź, Peterze.

Natychmiast siadłem na krześle. Częściowo nie mogłem doczekać się tego, co dalej nastąpi. To był koniec mojego małżeństwa – nowe dokumenty do wypełnienia w miejsce starych – ale także koniec kłamstw, koniec udawania, że jestem dobrym człowiekiem.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Dziwnie się zachowujesz.

Wzięła głęboki oddech i wbiła wzrok w swoje dłonie.

– U lekarza zemdlałam.

– Słucham? – W moich żyłach, niczym jakiś cudowny narkotyk, rozlało się zdumienie. – Co się stało?

– To było niemądre. W poczekalni musiałyśmy siedzieć dłużej, niż zakładałam, i było tam strasznie gorąco. Kiedy lekarz nas wywołał, za szybko wstałam i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Kiedy się ocknęłam, stały nade mną recepcjonistka i pielęgniarka. Pomogły mi się podnieść i dały wody.

– Zjadłaś rano śniadanie? Zajmujesz się wszystkim dookoła oprócz siebie. Dlatego zemdlałaś.

– Wiem. To się będzie musiało zmienić.

– Nadal kręci ci się w głowie?

– Trochę. Lekarz zadał mi kilka pytań, a potem dał mi test do zrobienia.

Myśl o tym, że Mary jest chora, wydawała się niemożliwa. Stała się strażnikiem Elsy, sama jedna zajmowała się farmą, opłacała rachunki, gotowała i sprzątała dom, a wszystko to czyniła z charakterystycznym Reeveów stoicyzmem. Była cholerną kobietą bioniczną.

– Jaki test?

– Wyszedł pozytywny. – Głos miała cichy. Nagle zapragnąłem, aby na mnie spojrzała; musiałem zobaczyć jej oczy.

– Jaki test, Mary?

Wstałem i przeszedłem przez pokój, po czym przykucnąłem przed nią, żeby w końcu na mnie spojrzała. Kiedy to zrobiła, w jej oczach dostrzegłem konsternację i wahanie. Widziałem, że zbiera się na odwagę, aby odpowiedzieć na moje pytanie. Bez względu na to, o co chodziło –

i najwyraźniej nie miało to żadnego związku z faktem, że mąż okłamuje ją i zdradza – mocno ją to gryzło.

– Jestem w ciąży.

– Co takiego? – Zerwałem się na równe nogi i zrobiłem chwiejny krok w tył. – Co?

Mózg przestał mi pracować. Na krawędziach pokoju zrobiło się ciemno, jak w tych książkowych scenach, które zawsze uważałem za sentymentalne i hiperboliczne. Jak Mary mogła być w ciąży? Ze mną? Przecież od miesiący nie uprawialiśmy seksu, my nie...

Wtedy salon ponownie zrobił się wyraźny.

– Tego dnia, kiedy przyjechał facet od okien?

– Na to wygląda. Lekarz zapytał, kiedy miałam ostatnią miesiączkę, i odparłam, że sześć tygodni temu. Wszystko się zgadza. – Splotła dłonie na brzuchu.

Przeczesałem palcami włosy, wytarłem usta, próbując pojąć to, co się właśnie dzieje.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zacząć jeść śniadania. – Zaśmiała się nerwowo. Kiedy nic nie powiedziałem, kontynuowała: – Kupiłam witaminy dla kobiet w ciąży i trochę krakersów. Mama mówiła, że krakersy to konieczność.

Nadal milczałem.

– Wiem, że ostatnio nie najlepiej się między nami układało. – Moje prychnięcie sprawiło, że tylko na chwilę się zawahała. Wyraźnie się rozkręcała. – Ale przecież tego właśnie pragnęliśmy.

– Zamierzasz urodzić.

– Nie waż się sugerować tego, co mi się wydaje, że zamierzasz zasugerować. – Jej głos, choć nadal cichy, był teraz niczym stal.

– Co ja zamierzam zasugerować? Skąd wiesz, co myślę, skoro nawet ja tego nie wiem?

– Znam cię i wiem, że nie jesteśmy szczęśliwi, ale to jest moje dziecko. – Rozplotła dłonie i położyła je na płaskim brzuchu. – To jest nasze dziecko, nasza rodzina.

– Wychowasz je tutaj. – Jedyne, co mogłem zrobić, to stwierdzić fakt, choć czułem przy tym bolesne ściskanie w żołądku.

– Już o tym rozmawialiśmy. Będzie mi potrzebna pomoc przy kurach. Nie mogę już dźwigać tych worków z paszą. Z taczka dam sobie radę. Nie jestem pewna co do amoniaku w odchodach, ale w najgorszym razie zabierze ci to godzinę z twojego dnia. Umówiłam się już na wizytę do ginekologa.

Siedziała na wyblakłej sofie i opowiadała o czymś, czego nie byłem w stanie pojąć. Wszystko wydawało się tak potwornie niewłaściwe: kontrolowany pragmatyzm Mary, moja panika. Parodia tego, jak powinna wyglądać ta chwila, jak wyglądałaby, gdyby nastąpiła rok wcześniej. Zamiast wspólnego świętowania otrzymałem ultimatum. Drugie w ciągu dwóch godzin.

– Nie wydajesz się uradowana tą nowiną – udało mi się wydusić.

– Zaskoczyło mnie to.

Wydałem zduszony dźwięk, który miał oznaczać przytaknięcie.

– Ostatnio jest jednak lepiej, prawda? – zapytała z nadzieją. – Sporo czasu spędzasz z mamą. Dyrektor szkoły mówi, że doskonale ci idzie reżyserowanie tego przedstawienia, że pracujesz z naprawdę utalentowaną młodzieżą.

– Jezu. – Nie byłem w stanie znieść więcej, nie teraz, kiedy na skraju rozmowy czaiła się Hattie, grożąc, że włączy się do tego koszmaru. – Muszę pomyśleć.

– Peter...

– Potrzebuję po prostu trochę czasu. – Chwyciłem kluczyki i wyszedłem z domu, po czym ruszyłem z piskiem opon. Jechałem szutrową drogą, dodając gazu, aż osiągnąłem prędkość stu, a potem stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Odbijające się od podwozia kamyczki brzmiały niczym rodeo, sto zdesperowanych, kopytnych stworzeń, pędzących co sił w nogach.

Trzydzieści minut temu snułem fantazje o – powiedzmy to otwarcie – seksualnym torturowaniu i uprowadzeniu Hattie, i jednoczesnym porzuceniu Mary. Czemu tego nie zrobiłem? Czemu nie wepchnąłem Hattie do samochodu, nim zdążyła zmienić zdanie? Teraz byłibyśmy już w Wisconsin. Z Madison mógłbym Mary wysłać e-mail, pozostając w błogiej nieświadomości w kwestii dziecka. Udałoby mi się uciec.

Teraz nie było już ucieczki. Była? Jezu, czy mogłem porzucić ciężarną żonę, już na zawsze naznaczając ją piętnem kobiety, którą mąż zostawił dla Hattie Hoffman, tej dziewczyny, która występowała w przedstawieniach i nie skończyła nawet liceum? Był jej nauczycielem, wiecie? Już słyszałem te szept, widziałem współczujące spojrzenia.

Pognałem w kierunku Rochester. Mijałem brązowe pola poprzecinane topniejącym śniegiem, a niedługo potem ustąpiły one miejsca salonom samochodowym i centrom handlowym, usytuowanym tradycyjnie wzdłuż dróg ekspresowych na obrzeżach miasta. Skręciłem w stronę centrum i kliniki Mayo, zwalniając, gdyż była pora lunchu i ludzie wylegli na ulice, unosili twarze ku słońcu i rozkoszowali się tym wyjątkowo ciepłym dniem.

W dniu, w którym oświadczyłem się Mary, także było ciepło. Boże, miałem wrażenie, że od tego czasu minęły całe wieki, ale stało się to niecałe sześć lat temu.

Krążyłem po dzielnicy biznesowej i w końcu zaparkowałem pod jedną z kafejek. Zacząłem iść, myśląc o dziewczynie, której się oświadczyłem, o tym, co tak bardzo w niej ceniłem. Uwielbiałem jej słodycz i niezawodność. Kochałem w niej to, jak bardzo lojalna była wobec amerykańskich klasyków: Steinbecka i Cathera, i Thoreau. Kochałem w niej to, że dwa razy w roku zanosila torby pełne starych ciuchów do sklepu z używanymi rzeczami, gdzie sprzedawała je za pół ceny. Zawsze rozsądnie gospodarowała pieniędzmi, nie tak jak ja. Przez cały tydzień mogłem żywić się tofu i zupą ramen, ale w sobotę ruszałem w miasto i potrafiłem wydać sto dolarów na drinki i taksówki. Wiedziałem, że potrzebna mi żona taka jak Mary. Było to tak sensowne, że nigdy się nie zastanawiałem – w przeciwieństwie do wielu moich kumpli – czy mógłbym znaleźć kogoś lepszego. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że pewnego dnia zapragnę ją zostawić dla kłamliwej, znakomitej aktorki, zaśmiałybym mu się w twarz.

Planowałem oświadczyć się w tej samej restauracji w Minneapolis, do której zabrałem Hattie, kiedy jednak powiedziałem Mary o rezerwacji, wzdrygnęła się.

– Tam jest za drogo – oświadczyła. – Trzydzieści dolarów za butelkę

wina? To niedorzeczne.

Zamiast tego zaproponowała piknik, więc w sobotę, dzień po ukończeniu studiów, pojechaliśmy autobusem nad most Stone Arch i przeszliśmy się do parku, usytuowanego na północnym brzegu rzeki. Mary naszykowała prawdziwą ucztę: talerz z serami i owocami, chrupiącą bagietkę i wino przelane do butelek po soku winogronowym, żeby straż miejsca nie mogła się do nas przyczepić. Leżeliśmy w słońcu i patrzyliśmy, jak po moście śmigają rowerzyści i rolnicze. Jedliśmy i rzucaliśmy okruszki kaczkom, które z czasem zaczęły się robić coraz śmielsze. Jeśli chodzi o scenografię do oświadczeń, było idealnie.

Ja miałem zorganizować deser. Przywiozłem czekoladowe ciasto z ulubionej cukierni Mary, kiedy je jednak wyjąłem – podczas gdy pudełeczko od jubilera odznaczało się podejrzenie w mojej kieszeni – nie byłem w stanie tego zrobić. Nie potrafiłem wypowiedzieć tych słów. Mary po kilku kęsach zwróciła uwagę na mój niepokój i zapytała, czy dobrze się czuję. Skłamałem i rzekłem, że pewnie zbyt długo siedziałem na słońcu. Spakowaliśmy się, a ja w tym czasie kombinowałem, jak się teraz oświadczyć, skoro przegapiłem idealny moment. Kiedy wracaliśmy przez most, Mary nieświadomie dała mi drugą szansę. Zatrzymała się, oparła o barierkę i uśmiechnęła, patrząc na wodę opływającą wyspę Nicolle.

– Czyż nie jest idealnie? – zapytała i choć było to pytanie retoryczne, uczepliłem się go.

– Niezupełnie. – Postawiłem na ziemi kosz piknikowy, wyjąłem pierścionek i przyklęknąłem na jedno kolano. – Ty jednak możesz sprawić, że będzie idealnie.

– O rety.

Zasłoniła dłońmi usta, tak jak to sobie wcześniej wyobrażałem. Minęło nas kilka osób na rolkach, gwizdząc i wznosząc radosne okrzyki.

Mary zarumieniła się, opuściła rękę, a potem spojrzała mi w oczy.

– Prosisz mnie o coś?

– Tak – wydukałem i w końcu to z siebie wyrzuciłem. – Mary Beth Reeve, czy zostaniesz moją żoną?

– To zależy.

Jej odpowiedź zbiła mnie z tropu. Aż się zachwiałem. Wstałem niezdarnie, nadal trzymając w ręce pierścionek.

– Zależy od czego?

Nadal wszystko dokładnie pamiętałem: jej poważny ton, jej twarz na tle perfekcyjnego błękitu nieba, urok Starego Miasta i widoczny na horyzoncie zarys mostu Hennepin Avenue. Każdy element tego pejzażu miejskiego zdawał się uświęcać to, co nas łączy bardziej nawet niż pastor podczas późniejszego ślubu. On kazał nam wypowiadać słowa ułożone przez kogoś innego; tutaj wymieniliśmy się własnymi przysięgami.

– Chcesz mieć dzieci? – zapytała. – Nie mogę poślubić mężczyzny, który nie chce prawdziwej rodziny.

– Tak, chcę – odparłem natychmiast. No bo naprawdę chciałem mieć z Mary dzieci. Wiedziałem, że będzie wyjątkową matką.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, a po okrągłych policzkach spłynęły łzy.

– Tak. Tak, Peterze Martinie Lundzie, zostanę twoją żoną.

Sześć lat później była w ciąży. Tej Mary, stanowiącej jedynie echo tamtej rozpromienionej dziewczyny, z którą w objęciach wirowałem po moście Stone Arch, udało się począć dziecko.

Zrobiło mi się niedobrze. Wypite z Hattie wino przyczyniło się do pulsującego bólu głowy, który dręczył mnie, kiedy szedłem przez centrum Rochester. Po tym, jak przerwa na lunch dobiegła końca, chodniki opustoszały. Krążyłem bez celu i nie byłem w stanie odpowiadać uśmiechem, kiedy na czerwonym świetle nieznajomi próbowali wymieniać ze mną uprzejmości. Po jakimś czasie zwolniłem kroku. A potem uznałem, że nie mam po co iść dalej. Zatrzymałem się na środku chodnika i wbiłem wzrok w brudne kałuże.

Nie miałem żadnego wyboru, prawda? Nie dało się uciec od odpowiedzialności.

W chwili kiedy to do mnie dotarło – że już na zawsze utknę w Pine Valley – ze sklepu wyszła rozmawiająca przez telefon kobieta, wpadła na mnie i przeprosiła. Zerknąłem na wyeksponowane w oknie wystawowym ubrania i przestałem oddychać. Ból głowy przyćmił wszystko inne. Nie będąc

w stanie myśleć o niczym innym, wszedłem do sklepu i kupiłem strój z wystawy.

Udałem się do banku, podjąłem z konta ostatni tysiąc dolarów i pojechałem prosto na farmę Hoffmanów, miejsce, które do tej pory widywałem wyłącznie na mapie Google. Wokół domu rosły świerki, a w oddali widać było turbiny wietrzne. Okna zasłaniały drzewa i miałem nadzieję, że nikt nie widzi, jak wrzucam do skrzynki białą kopertę zaadresowaną do Hattie. Schowałem do niej dziesięć banknotów studolarowych i kartkę: „Mary jest w ciąży. Jedź do Nowego Jorku. Wiedz, że Cię kochałem”.

Następnie pojechałem do domu, do Mary, a na siedzeniu dla pasażera leżało ubranko ze sklepu – mała koszulka i spodnie z wyhaftowanymi zwierzętami farmerskimi.

DEL / Czwartek, 17 kwietnia 2008

Dwie godziny przed pogrzebem Hattie w najlepszym niedzielnym garniturze i ubłoconych kaloszach obszedłem teren liceum, sprawdzając zabezpieczenia przy wejściach.

W szkole odwołano dzisiaj lekcje, co pewnie i tak by zrobiono, ale jako że kościół metodystów pomieściłby maksymalnie trzysta osób, uroczystości pogrzebowe miały się odbyć o jedenastej na sali gimnastycznej. Spodziewaliśmy się, że weźmie w nich udział większość uczniów, rodziców i nauczycieli, wszyscy wierni, nie wspominając o znajomych Hattie z teatru w Rochester, bliższej i dalszej rodzinie Buda i Mony oraz pozostałych mieszkańcach Pine Valley. Razem co najmniej tysiąc osób.

Gruba warstwa chmur spowiła miasteczko niespokojną szarością, ale na szczęście nie zapowiadano deszczu. Chłopcy mieli przydzielone zadania. Shel stanął przy wjeździe na parking, żeby kierować ruchem i mieć na wszystko baczenie. Jake był odpowiedzialny za media i donosił, że dwa wany telewizyjne już weszły na Main Street. Reszta zespołu sprawdzała inne lokalizacje i pilnowała pozamykanych sklepów i zakładów. Po nabożeństwie musieliśmy pokierować procesją na cmentarz, zablokować ruch uliczny, eskortować samochody rodziny, które udadzą się do remizy strażackiej, gdzie panie z komitetu kościelnego będą serwować poczęstunek, a przez resztę popołudnia kierować ruchem i generalnie mieć oczy dookoła głowy. Gdyby któryś z podejrzanych się nie pojawił, wyślę jednego z moich ludzi, żeby go zlokalizował. Nie zamierzałem dopuścić do tego, aby zniknęli dzisiaj z mojego radaru. Modliłem się, żeby na ekspresówce nie doszło do żadnego wypadku,

bo nie miałem wolnych ludzi. Nancy musiałaby wezwać policjantów stanowych.

Wstałem dziś o czwartej i długo nie mogłem się zdecydować, czy włożyć mundur czy ubranie cywilne, a kot Nguyenów przyglądał mi się ze znużeniem. Zdecydowałem się na garnitur, a odznakę i broń schowałem pod marynarką. Jake na szczęście nie skomentował tego, kiedy rankiem zadzwoniliśmy do doktora Terrance'a B. Standlera, psychologa sądowego poleconego przez Fran. Co prawda facet natychmiast odebrał, ale grzecznie próbował się wymigać.

– Doktor Okada mówiła, że macie doskonałą próbkę DNA sprawcy i dwóch solidnych kandydatów.

– No i?

– Czas rezerwuję zazwyczaj dla spraw, które stanowią nieco większe wyzwanie dla organów ochrony porządku publicznego.

Jake zerknął na mnie i udał, że strzela do słuchawki.

– Widział pan w ogóle akta sprawy czy nie? – zapytałem.

– Tak, mam je teraz przed sobą.

– Okej, wobec tego proszę mi powiedzieć, czy ma pan dla mnie jakieś użyteczne informacje, a kąśliwe uwagi proszę zachować na później.

Westchnął.

– Jak panu wiadomo, czynnikiem sprawczym większości zabójstw są gniew i siła. Tutaj mamy dowody na jedno i drugie. Otarcia po stosunku seksualnym zdecydowanie świadczą o sile i władzy, ale z pewnością nie jest to przypadek erotofonofilii.

– Może pan powtórzyć?

– Tak zwane zabójstwo z lubieżności, takie, podczas którego aktem seksualnym jest same zabójstwo. Tutaj mamy dwa oddzielne działania. Stosunek seksualny, choć agresywny, odbyto za obopólną zgodą. Nieco go komplikuje obecność prezerwatywy. Jeśli użyto jej podczas tego właśnie stosunku, prezerwatywa może świadczyć albo o szacunku wobec ofiary, albo o próbie niepozostawienia na ofierze śladów DNA. Tak czy inaczej, po akcie seksualnym ofiara ponownie się ubrała. Możemy mówić o antrakcie.

– Przerwie – mruknął Jake.

– Słucham? – zapytał Standler.

– Nie, nic. – Posłałem Jake’owi ostrzegawcze spojrzenie i zdecydowałem, że po zamknięciu tej sprawy przyda mu się kilka dodatkowych zmian spędzonych na niańczeniu nietrzeźwych kierowców. – Prawdopodobne jest więc, że doszło do kłótni w czasie między seksem a zabójstwem?

– Tak, musiał nastąpić wyraźny punkt zwrotny. Sam atak nosi wiele znamion osoby, która zabija po raz pierwszy, a pierwsze zabójstwa rzadko są planowane. Statystycznie najczęściej jest to eskalacja kłótni. No dobrze, przyjrzyjmy się obrażeniom. Pierwsza, śmiertelna rana zadana prosto w serce wskazuje na dużą siłę i precyzję. Choć atak prawdopodobnie nie został zaplanowany, widać w nim zdecydowanie. Zadane pośmiertnie rany na twarzy też mogą o czymś świadczyć. Po pierwsze, chodzi o mściwość.

– Mściwość? – wtrącił Jake. – On już ją przecież zabił. To za mało?

– Okaleczenie twarzy często służy odebraniu ofierze tożsamości, co dla niektórych zabójców jest ważniejsze niż jej życie. To akt demonstrujący władzę zabójcy nad ofiarą, podkreślający fakt, że ta osoba nie jest już dla niego zagrożeniem. Przed rokiem analizowałem sprawę, gdzie królowa piękności zabiła swoją rywalkę i oblała jej twarz kwasem. Odebrała ofierze to, co zagrażało zabójcy, czyli nieskazitelną twarz. Mściwość to silny czynnik motywujący, ale druga możliwość jest chyba jeszcze potężniejsza: strach.

– Strach przed czym? Byciem schwytanym?

– Nie na tym etapie. Strach przed byciem schwytanym widać później, kiedy zabójca zabrał torebkę ofiary i wrzucił ją do jeziora. Nie, to jest strach pierwotny, często dokumentowany jako pierwsze uczucie, jakiego zabójca doświadcza po dokonaniu swego czynu. Może przyjąć formę okaleczenia twarzy, jej zasłonięcia czy nawet pozbycia się całego ciała. Zabójca próbuje wymazać tożsamość ofiary, aby wymazać samą zbrodnię. Zasadniczo to działanie napędzane wyrzutami sumienia.

– Zabił ją, a potem tego żałował?

– Tak mi się wydaje. Seks i dźgnięcie nożem wskazują na silne huśtawki uczuć. To możliwe, że zabójca równie szybko zaczął odczuwać wyrzuty

sumienia i strach. Szukajcie raczej młodego, pobudliwego mężczyzny, kogoś, kto może mieć problemy z dopasowaniem się do społeczeństwa albo doświadczył w przeszłości burzliwych relacji, niekoniecznie z ofiarą.

Jake i ja popatrzyliśmy na siebie, po czym on stuknął palcem w widniejące w aktach nazwisko. Kiwnąłem głową.

Bez względu na to, czy Standler powiedział nam coś nowego, czy tylko potwierdził nasze domysły, jego słowa w sądzie brzmiałyby wiarygodnie. Podziękowałem mu i upewniłem się, że w odpowiednim czasie będzie skłonny zeznawać, następnie razem z Jakiem udaliśmy się do liceum.

Szkolni woźni i pracownicy domu pogrzebowego przygotowali wszystko już wczoraj, ale przez cały rano dostarczano kwiaty. Kiedy skończyłem obchód, odprowadziłem dwie kwiaciarki do sali gimnastycznej i dokonałem inspekcji.

Zniknęła scena, zdemontowano trybuny i większą część podłogi zapełniono krzesłami. Naprzeciwko znajdowała się ambona, góry kwiatów i kilkanaście zdjęć oraz książek pamiątkowych. Przeszedłem się wzdłuż ściany na końcu sali, gdzie uczniowie rozwiesili papierowy transparent i pokryli go wspomnieniami o Hattie.

Zawsze się uśmiechała.

Pomagała mi na angielskim. Mnóstwo razy.

Dostaliśmy od siostry ostatni sezon Seksu w wielkim mieście. Hattie została u mnie na noc i obejrzałyśmy wszystkie odcinki, oceniając sukienki. Jej podobały się one zdecydowanie bardziej niż mnie.

Kupowałyśmy na spółę deser bananowy w DQ. TYLKO BEZ SOSU TRUSKAWKOWEGO! Lol

Świetna była z niej słuchaczka. Wysłuchiwała opowieści o wszystkich moich problemach i starała się pomóc.

Hattie naprawdę umiała słuchać.

Na dole transparentu narysowano linię horyzontu wielkiego miasta, a z jednego okna machała wykonana z zapalek postać dziewczyny.

Dopiero kiedy doszedłem do końca transparentu, dostrzegłem, że ktoś powiesił sceniczny strój Hattie, wypraną suknię Lady Makbet, białą

i nieskazitelną. Wisiała na ścianie niczym duch. Niecały tydzień temu Hattie miała ją na sobie w tym samym pomieszczeniu. Pracowałem tamtego wieczoru, użerając się z papierkową robotą, która nie miała końca, odkąd cięcia budżetowe ograniczyły liczbę pracowników, ale powinienem był pozwolić, aby zaczekała. Powinienem tu wtedy przyjść i okłaskiwać Hattie.

Zjawił się karawan, a razem z nim Bud, Mona i Greg. Wprowadzono ich wraz z trumną do przyległego do sali gimnastycznej pomieszczenia, gdzie rodzina miała czekać do rozpoczęcia nabożeństwa. Greg skinął mi głową. Był wyraźnie zmęczony po długiej podróży samolotem i wyglądał jakoś tak szorstko. Ani Mona, ani Bud nie podnieśli wzroku, kiedy mnie mijali.

A potem zaczęło się schodzić całe miasteczko, po dwie, po trzy osoby. Nikt nie przyszedł sam. Winifred Erickson poklepała mnie po ramieniu. Nguyenowie otwarcie płakali. Korytarze i salę gimnastyczną wypełniały ściszone, gniewne głosy. Zjawił się Brian Heaffner w krawacie bolo ze spinką z macicy perłowej, który nosił przez cały czas podczas kampanii wyborczej.

- Del, co się dzieje? Z twoich komunikatów dla prasy głównie wynika.
- Śledztwo jest w toku.
- Ludzie cierpią. Muszą się dowiedzieć, co się przytrafiło Hattie.

Otoczający nas żałobnicy nastawili uszu, a czerwone od płaczu oczy przyglądały nam się badawczo, wyczekująco.

- Na razie nie chcemy nikogo straszyć – powiedziałem cicho.

On też ściszył głos i się rozejrzał.

– Del, to tego rodzaju sprawa, którą musisz szybko zamknąć, inaczej ludzie przy urnach będą o tym pamiętać. Ostatnim razem z powodu swojego wieku wygrałeś z niedużą przewagą głosów.

- Jeszcze nie idę na emeryturę.

– Ale może ci to grozić, jeśli śledztwo będzie się ciągnąć zbyt długo. – Zobaczył mój wzrok i zaczął się bronić: – Mówię ci to jako przyjaciel. Coś takiego potrafi złamać karierę.

Ostatnie, o czym miałem w tej chwili ochotę rozmawiać, to moja kariera. Skinąłem mu oschle głową, po czym się oddaliłem. Mankiety koszuli ocierały się o marynarkę za każdym razem, kiedy poruszałem rękami.

Kupiłem ten garnitur kilka lat temu na pogrzeb mojej mamy i od tamtej pory wisiał w szafie. Mama przez całe życie aktywnie działała w społeczności kościelnej i w ostatniej podróży do bram niebios towarzyszyli jej wszyscy, łącznie z Budem i Moną. Nastrój panował poważny, ale jednocześnie wyczuwało się spokojną satysfakcję, jakby ludzie wiedzieli, że przeżyła swoje życie w sposób najlepszy z możliwych. Wymienialiśmy się zabawnymi historyjkami na jej temat, a potem zasiedliśmy do stołu i obserwowaliśmy, jak wnuki mojej siostry bawią się kwiatami. Śmierć stanowiła nieuchronny koniec cyklu, jaki farmerzy mieli okazję oglądać każdego dnia. Żartowali sobie niemal na każdy temat, kiedy jednak los wystawiał ich na ciężką próbę albo doświadczał stratą, znosili to dzielnie, nie robiąc wokół siebie zamieszania. Nie byłem w stanie zliczyć tych wszystkich pogrzebów, w których dane mi było brać udział, i zjadłem tyle kanapek z masłem i szynką, że kiedy tylko na Main Street widziałem kondukt żałobny, w ustach czułem smak pszennej bułki. Pogrzeb Hattie był jednak czymś zupełnie innym.

Z jego uczestników emanowała rozpacz i wściekłość, uczucia tak silne, że niemal namacalne. Chodziłem między rzędami, kiedy ludzie zajmowali miejsca, i czułem na sobie ich spojrzenia. Garnitur nie zamydlił nikomu oczu. Wiedzieli, co siedzi mi w głowie, tak samo jak ja wiedziałem, o czym oni myślą – o zabójstwie.

Udałem się na tył sali gimnastycznej, przeczesując wzrokiem tłum w poszukiwaniu moich podejrzanych. Ukłonił mi się Gerald Jones z Rochester. Choć zaczynało się robić coraz głośniejsze, słyszałem, o czym rozmawiają dwie idące przede mną matki.

– Przyjechał po niego do szkoły i zabrał na posterunek.
– Słyszałam, że reżyserował przedstawienie, w którym wystąpiła Hattie.
– Zgadza się. Byłam tu w piątek wieczorem, widziałam Hattie na kilka godzin przed tym, jak to się stało. Kiedy na nią patrzyłam, przechodziły mnie ciarki. A teraz w gazetach piszą o kławie.

– Słyszałaś o tym, co się działo na próbie?

– Nie, co...?

Kobiety dostrzegły mnie, zamilkły i znalazły sobie wolne krzesła.

Kawałek dalej udało mi się zlokalizować Tommy'ego. Siedział pośrodku pierwszego rzędu trybun, które jęczały pod ciężarem drużyny futbolowej. Żaden z chłopców się nie odzywał; wzrok mieli wbity w ambonę, a ich nieprzyzwyczajone do bezruchu mięśnie czekały, aż będą mogły się napiąć. Tommy miał na sobie za mały garnitur i odnosiło się wrażenie, że gdyby tuż przy jego uchu dmuchnięto w gwizdek, on by go nie usłyszał. Zaraz za nim siedzieli jego rodzice i zgodnie obserwowali mój każdy krok.

Petera Lunda znalazłem na samym końcu trybun. Siedziało tam wielu nauczycieli i pracowników szkoły, ale wyraźnie trzymali dystans. Najbliżej Lunda usiadł Carl Jacobs, ale ci dwaj nie zachowywali się jak dobrzy kumple. Carl otwierał i zamykał program nabożeństwa, gdy tymczasem Lund miał wzrok wbity w tłum i wydawał się nieświadomy tych pustych miejsc między nim a resztą. On także włożył garnitur i może wyglądał w nim lepiej niż Tommy, ale miał przekrwione oczy i co najmniej dwudniowy zarost. Nigdzie nie dostrzegłem Mary Beth.

Strach, tak powiedział Standler. Strach i wyrzuty sumienia kierowały ostrzem, które pokieroszowało twarz Hattie, nie pozostawiając jej nic, co mogła pokazać światu. Którego z nich ogarnęła taka wściekłość, że ją zabił, a zaraz potem miał czelność tego żałować?

Wróciłem na koniec sali i przekazałem swoim ludziom, że zlokalizowałem obu podejrzanych. Następnie odetchnąłem głęboko, przejechałem dłonią po sztywnym garniturze i wślizgnąłem się do sąsiadującego z salą pomieszczenia, w którym czekała Hattie wraz z rodziną.

Na wieku trumny, ukrywającej w sobie prawdziwy horror, leżały lilie. Przed nią stał pastor, a jego dłonie spoczywały na ramionach Buda i Mony. Z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą ku górze modlił się.

– Ojcze niebieski, wiemy, że nie taki miałeś plan względem Hattie. Przytłaczają nas smutek i gniew. Duszą nas. Potrzebujemy Twojej siły, Panie. Pomóż nam zrozumieć, jak mogło dojść do tak okrutnej zbrodni. Choć wiemy, że zmarła jest już z Tobą, nie potrafimy przestać się smucić i modlimy się o sprawiedliwość. Pomóż nam przetrwać ten dzień, Panie. Pomóż nam odprowadzić Hattie na wieczny spoczynek, nawet jeśli płonie w nas grzech

chęci odwetu.

I tak kontynuował, aż rozległy się ciche szlochy. Mężczyźni starali się jakoś trzymać, ale kobiety poddawały się jedna po drugiej, chusteczkami ocierając łzy wymieszane z tuszem do rzęs. Jediną osobą z podniesioną głową był Greg. On nie płakał, jak pozostali. Patrzył mi prosto w oczy i rozpoznałem sylwetkę żołnierza szykującego się do walki. Był synem swojego ojca, gotowym, aby zemścić się na zabójcy siostry, dokładnie tak, jak w modlitwie pastora.

Kiedy pastor skończył się modlić, kiwnięciem głowy przekazałem pracownikowi domu pogrzebowego, że już czas. Przytrzymałem drzwi, a żałobnicy niosący trumnę, z Gregiem na czele, zajęli swoje miejsca i wynieśli Hattie. Zaraz za trumną szli Bud z Moną i tym razem Bud dostrzegł mnie i stanął, wstrzymując całą procesję.

– Del? – zapytał i wiedziałem, o co mu chodzi. Twarz miał mokrą od łez. Mona uścisnęła mocniej jego dłoń.

– Tak bardzo mi przykro, Bud.

Położyłem rękę na jego ramieniu, ale on nawet tego nie zarejestrował. Odetchnął powoli, jakby ze wszystkich sił starał się zachować kontrolę nad czymś, co groziło, że się z niego wydostanie, i ruszył z miejsca, pozwalając, aby moja dłoń zawisała w powietrzu.

Kiedy z pomieszczenia wychodziła reszta rodziny, zjawił się Jake. Zaczekał, aż wszyscy znajdą się na sali gimnastycznej, i dopiero potem zdał mi raport.

– Vany telewizyjne czekają w pogotowiu. Dziennikarze próbowali zadawać mi kilka pytań, takie ogólne węszenie, ani słowa o naszych podejrzanych. Shel pilnuje teraz, jak nagrywają materiał do wieczornych wiadomości.

Na korytarzu słyhać było dobiegające z sali dźwięki pianina, a zaraz potem od krokwi odbiło się echem tysiąc głosów. Zerknąłem do programu: *Hymn nadziei*.

– Dobrze. – Odkasznąłem. – Wszyscy wiedzą, co mają robić po nabożeństwie. Ja wchodzę na salę i trzymam się z tyłu. Będę... – Zadzwoił

mój telefon. Wyjąłem go z kieszeni i zobaczyłem numer kierunkowy Minneapolis. Jake i ja cali się spięliśmy, po czym odebrałem. – Goodman.

– Szeryfie Goodman, z tej strony Amanda z laboratorium kryminalistycznego z Minneapolis. Mam wyniki ekspertyzy genetycznej dla sprawy numer 094627.

Jakbym prowadził sto spraw czekających na wyniki badań DNA. Puls mi przyspieszył.

– Zachowana próbka jest w stu procentach zgodna z drugą próbką DNA dostarczoną przez dawcę o nazwisku Lund. Za chwilę mailem prześlę panu kompletny raport.

Sukinsyn. Żonaty nauczyciel.

– Bardzo pani dziękuję. – Rozłączyłem się, nim zdążyła dodać coś jeszcze, i rzuciłem do Jake'a: – To Lund.

W jego oczach pojawiła się stal i drgnął mu mięsień w policzku.

– Zgarniemy go teraz, co?

– I narazimy na lincz? Nie na oczach tego całego tłumu i koczujących przed szkołą ekip telewizyjnych. – Sprawdziłem, czy w kaburze pod pachą mam broń. – Pokażę ci, gdzie siedzi. Po nabożeństwie pójdiesz za nim do samochodu i tam go zgarniesz. Ja dołączę po tym, jak odprowadzę procesję z cmentarza. Za bardzo rzucałoby się w oczy, gdybym wcześniej próbował się oddalić.

Weszliśmy na salę i precyzyjnie się na koniec trybun. Tommy nadal zajmował miejsce w pierwszym rzędzie, ale teraz, kiedy wszyscy wstali do hymnu, nie widać było tylnych rzędów. Choć Jake był ode mnie wyższy, on także niczego nie widział. Śpiewanie zdawało się nie mieć końca, wierni wers za wersem odprowadzali Hattie do Pana, a ich grzmiące głosy działały paralizująco. W końcu pieśń dobiegła końca i uczestnicy nabożeństwa zajęli swoje miejsca. Wyciągnąłem szyję i zlokalizowałem Carla Jacobsa, który w tym morzu ludzi siedział sam.

Lund zniknął.

Poczułem przyływ adrenaliny, dającej kopa moim starym kościom. Emanujące z Jake'a napięcie powiedziało mi, że z nim dzieje się to samo.

Wszystko stało się teraz jedynie tłem. Nie słyszeliśmy już głosu pastora.

– Upewnijmy się – mruknąłem, kiedy przeczesywaliśmy wzrokiem tłum, raz, a potem drugi, Lunda nigdzie jednak nie było. Wyszliśmy z sali i wysłałem esemesa do chłopaków:

Lund zniknął. Wyjścia i teren wokół szkoły. Znaleźć go i dać mi znać. Nie zatrzymywać w miejscu publicznym.

Odpisał Shel:

Nikt nie wyszedł głównymi drzwiami w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Mam widok na wejście główne i drzwi od strony wschodniej.

Przeczesaliśmy korytarz, toalety i pokój nauczycielski, następnie zabraliśmy się do klas. Jake'owi kazałem zająć się piętrem, ja natomiast zostałem na parterze, zaglądając do wszystkich pomieszczeń. Klasa Lunda, do której dwa dni temu zaprowadził mnie dyrektor, znajdowała się na samym końcu korytarza, po prawej stronie. Gdy zbliżyłem się do drzwi, usłyszałem coś – głośny, urywany oddech. Wyjąłem z kabury broń i szedłem z plecami przyklejonymi do ściany, po czym wkroczyłem szybko do klasy i zobaczyłem, że przy oknie, tyłem do drzwi, stoi Lund. Nie widziałem jego rąk.

– Nie ruszać się.

O tym, że mnie usłyszał, świadczył dreszcz, jaki przebiegł przez jego ciało. Tchórzliwy kutas.

– Peterze Lund, jesteś aresztowany pod zarzutem matactwa w sprawie o zabójstwo Henrietty Sue Hoffman. – Zrobiłem ostrożny krok w przód, celując w jego plecy. – Chcę widzieć ręce.

Powoli uniósł ręce i odwrócił się. Cerę miał ziemistą i niezdrową. Wyglądał, jakby od piątku nie spał.

– Nie pozwalala mi tego zakończyć. Wciąż naciskała i naciskała. – Jego następne słowa były niewiele głośniejsze od szeptu, ale przecięły klasę niczym wystrzał. – Żyłaby, gdyby po prostu pozwoliła mi odejść.

PETER / Czwartek, 17 kwietnia 2008

Szeryf nie przestawał celować do mnie ze swojej broni. Kazał mi stanąć twarzą do ściany i dać ręce za plecy, a wtedy podszedł młodszy policjant i zakuł mnie w kajdanki. Nigdy dotąd nie miałem na rękach kajdanek. Były zimne.

– Nie powinniście odczytać mi moich praw?

– W tej chwili zastanawiam się, jak najlepiej przetransportować cię na posterunek, żeby któryś z obecnych tu dobrych ludzi nie odstrzelił ci głowy.

O tym nie pomyślałem. Przez dwa dni wyobrażałem sobie wszystkie możliwe scenariusze tego, co się stanie, kiedy znane już będą wyniki badania DNA. Mogli przyjść po mnie do szkoły albo do domu. Wiedziałem, że nie pozwolą mi przyjechać samemu, pomimo oczywistego faktu, że nie uciekłem z miasta ani nie porzuciłem dotychczasowego życia. Wczoraj pojechałem do szkoły i zająłem się swoją pracą, podczas gdy całe grono pedagogiczne i połowa uczniów przyglądała mi się tak, jakbym był najgorszym typem drapieżnika. Wieczorem w trakcie kolacji siedziałem naprzeciwko Mary, a nieświadoma niczego Elsa paplała na temat rodzinnych imion i potencjalnych kłopotów, jakie mogą narobić naszemu nienarodzonemu dziecku. Marcy. Etheline. Albus. Ze wzrokiem wbitym w talerz nasłuchiwałem chrzęstu żwiru na podjeździe, czekałem na światła omiatające okna w salonie. Oczami wyobraźni widziałem nawet, jak szeryf Goodman odciąga mnie na bok po pogrzebie i przy wtórce trzasku migawek głodnych sensacji aparatów wsadza mnie na tylne siedzenie radiowozu, ale nie przyszło mi do głowy, że mógłby mnie zastrzelić jeden z uczestników pogrzebu Hattie. Z drugiej strony czemu

nie. Miało to sens. Winifred Erickson zabiła męża, kiedy miała go już dość, i nie spędziła w więzieniu ani jednego dnia. Oczywiście, że by mnie zastrzelono.

Postanowili, że wyprowadzą mnie drzwiami za stołówką, zaraz obok kontenerów na śmieci. Ogrodzone były wysokim murkiem i unosił się tam smród skwaśniałego mleka i pleśni. Zastępca wyszedł, aby podjechać tu radiowozem, zostawiając mnie sam na sam z szeryfem. Pomimo kajdanek, smrodu i wyzierającej z oczu starszego mężczyzny wściekłości, i tak było to lepsze niż siedzenie na tamtej sali i patrzenie na trumnę, która skrywała martwą Hattie. W poniedziałkowy poranek szczegóły zbrodni rozchodziły się po szkole lotem błyskawicy: cios nożem w serce, pocięta twarz, ciało częściowo zanurzone w wodzie. Nie dało się siedzieć spokojnie na sali gimnastycznej, wyobrażając sobie przerażenie i ból Hattie. Wyszędłem stamtąd chwiejnym krokiem, nim kompletnie się rozkleiłem.

– Nie zabiłem jej. – Gdy z moich ust wydostały się te słowa, zastanawiałem się, czemu wcześniej ich nie wypowiedziałem.

Szeryf spojrział na mnie takim wzrokiem, jakbym był gnijącym w kontenerze jedzeniem. Następnie odczytał mi moje prawa.

Przyjechał jego zastępca i razem wsadzili mnie do radiowozu.

– Przymknij go i niech się poci. – Szeryf trzasnął drzwiami. – Przyjadę, jak tylko procesja wróci z cmentarza.

Zastępca kiwnął głową i powoli wyjechał z zaułku. Wyglądało to tak, jakby sprawdzał zabezpieczenia wokół budynku. Na ulicy stały trzy wozy transmisyjne, a przed nimi tłoczyli się dziennikarze i kamerzyści.

Gdy wyjechaliśmy z parkingu, dziennikarze mnie wypatrzyli i nagle rozbłysły lampy błyskowe, i wszyscy rzuci się w stronę radiowozu. Siedziałem sztywno, pozostając obojętny wobec tego, jaki to wszystko może mieć wpływ na moje życie.

– Hmm, a więc tajemnica wyszła na jaw. Uśmiechnij się ładnie. – Wyjechał na ulicę.

– Nie zabiłem Hattie.

– Aha, a za chwilę mi powiesz, że nie bzykałeś się także ze swoimi

niepełnoletnimi uczennicami.

Nie była niepełnoletnia – ugryzłem się w język, zanim zdążyłem to powiedzieć. Moje milczenie policjant skwitował nieprzyjemnym śmiechem.

– Tego się nie wypierasz, co? A teraz się przymknij i lepiej mnie nie prowokuj.

Na posterunku zrobił mi zdjęcia, zdjął odciski palców i zamknął w jednej z trzech pustych celi na tyłach budynku. A potem zapanowała cisza.

W celach znajdowały się kraty. Wydawało się to takie banalne. Chodziłem od ściany do ściany i w mojej głowie zaczęła się formować lista nazwisk – William Sydney Porter, Ken Kesey, Paul Verlaine, każdy w zasadzie pisarz rosyjski – i pytań. Jak czas spędzony w więzieniu wpłynął na ich twórczość? Przedstaw podobieństwa i różnice społecznej presji dotyczącej Oscara Wilde’a i Sołżenicyna. Oczami wyobraźni widziałem nawet materiały, jakie wydrukowałbym dla uczniów i wręczył tym, którzy siedzą w pierwszym rzędzie, rejestrując zaciekawienie na twarzy Hattie. Do następnej lekcji przeczytałaby wszystkie fragmenty, a potem upierałaby się...

Wybuchnąłem histerycznym śmiechem i opadłem na pryczę. Chwilę później śmiech przeszedł w wycie. Zakryłem dłońmi twarz i dusiłem w sobie ten dźwięk, żeby nie zjawił się zastępca szeryfa i nie zagroził, że spuści mi manto za coś, czego nie zrobiłem.

Nie zabiłem Hattie Hoffman.

Ona zabiła mnie, na wiele sposobów, przez tych kilka miesięcy wyrzutów sumienia, obsesji i pożądania. Odebrała mi wszystko, a potem zniszczyła, mrugając przy tym wstydliwie. Kiedy w tamten piątkowy wieczór spotkałem się z nią w stodole, dałem jej się zniszczyć. Uległem przemożnej pokusie i zatrałem się w tej dziewczynie; odsunąłem od siebie odpowiedzialność, zdeptałem przyzwoitość w zamian za szansę pofrunięcia razem z nią, przyczepienia się jak rzep do jej spadającej gwiazdy. Kochałem się z nią. Pocałowałem ją na pożegnanie i pojechałem do domu. Nie zabiłem jej.

Ale kto to zrobił?

Przez pięć minionych dni wyniszczało mnie wyobrażanie sobie jej końca, tego, jak ostrze noża przebija jej bezwstydną serce, a ona upada na te

chropowate, zimne deski. Tommy. Tommy, tylko on mi przychodził do głowy. I jego ciężkie ramię, które zawsze obejmowało ją tak, jakby Hattie była jakimś cennym sportowym trofeum. Jego nagłe krzyki na stołówce, widniejący na twarzy fanatyzm podczas zbiórek drużyny przed zawodami. Miałem go pod nieustanną obserwacją, sekretny kochanek śledzący tego jawnego. Hattie chciała mnie nim dręczyć, i Boże mój, osiągnęła swój cel. To on musiał tam za nią przyjść. To musiał być Tommy.

Dlatego właśnie nadal chodziłem do pracy – żeby go obserwować, żeby się przekonać, czy jego wina przybierze jakąś formę fizyczną – ale on od tygodnia nie zjawiał się w szkole, a dzisiaj, w tym obecnym na sali gimnastycznej tłumie, nie udało mi się doprowadzić do konfrontacji. Musiałem spojrzeć mu w oczy. Jeśli widział nas razem, jeśli zabił ją za to, wiedziałem, że to się nie ukryje w tych jego wielkich, durnych oczach.

Znowu zacząłem przemierzać tę trzymetrową celę, czekając, aż szeryf skończy chować Hattie.

Minęły co najmniej dwie godziny, nim wrócił w końcu jego zastępca. Zaprowadził mnie do tego samego pokoju przesłuchań, co dwa dni temu, choć tym razem przyniesiono także sprzęt do nagrywania.

– Chcę zadzwonić.

Zignorował mnie, więc powtórzyłem.

– Zadzwonisz – odpowiedział mi szeryf, wchodząc do pokoju. Garnitur z pogrzebu został zastąpiony mundurem. – Mary Beth już do nas dzwoniła, jeśli to telefon do niej miałeś na myśli. Wszyscy mieszkańcy tej planety także wydzwaniają. Na ulicy czekają wozy transmisyjne.

– Nie zamordowałem Hattie.

– Nie o tym będziemy rozmawiać. – Usiadł po drugiej stronie stołu i wbił we mnie świdrujące spojrzenie.

– Tak, okej, a więc miałem z nią romans. Zachowałem się głupio i niestosownie. Uwierzcie mi, wiem, jak bardzo to było niewłaściwe, ale naprawdę ją kochałem. W życiu bym jej nie skrzywdził, nie mówiąc o zabiciu jej z zimną krwią.

– Do tego jeszcze dojdziemy, kochasiu. – Szeryf odchylił się i skrzyżował

ręce na piersi. – Kiedy to się zaczęło?

Opowiedziałem mu o wszystkim; o tym, jak Hattie nie dawała mi spokoju, kiedy się dowiedziała, kim jestem, jak w ramach przykrywki zaczęła się spotykać z Tommym, o jej notatkach w wypracowaniach, wyjeździe do Minneapolis i każdym kolejnym spotkaniu. Poczułem ulgę, wyznając wszystko, mogąc się w końcu uwolnić od tajemnicy, która przez ostatnie pół roku wisiała nad moim życiem. Opowiedziałem mu o tym, jak się dowiedziałem, że Mary zaszła w ciążę podczas naszego jedyne go zbliżenia od miesiący, jak zakończyłem romans i wypłaciłem z konta resztę oszczędności w nadziei, że Hattie wykorzysta te pieniądze na wyjazd do Nowego Jorku.

– Chciałem, aby wyjechała. Nie byłbym w stanie na nią patrzeć i nie chciałem, aby ona musiała oglądać ciężarną Mary.

– To znaczy nie chciałeś, żeby ucięła sobie pogawędkę z Mary. – Dopiero teraz się odezwał.

– Nie. To znaczy tak, ale chodziło mi przede wszystkim o Hattie. Nie chciałem przysparzać jej więcej bólu. – Spuściłem głowę. – Odebrałem jej niewinność. Wiem, że tak się stało. Uznałem, że mogę jej chociaż pomóc spełnić marzenie. Wiedziałem, że w Nowym Jorku pozna kogoś, kto da jej szczęście, i że zapomni o mnie.

– Całkiem zgrabna historyjka. Jestem pewny, że twój prawnik będzie zachwycony. – Zerknął na wpiętą do akt kartkę. – No dobrze, mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Tamta koperta wylądowała w skrzynce na listy 21 marca, trzy tygodnie przed śmiercią Hattie, kiedy życzyłeś jej powodzenia i dałeś krzyżyk na drogę, jak więc doszło do tego, że w dniu swojej śmierci miała w sobie twoją spermę?

– W piątek... – zacząłem i wziąłem głęboki oddech.

Szeryf nachylił się w moją stronę.

– Po przedstawieniu, co się stało?

– Pojechałem do Carla, tak jak mówiłem. Wypiliśmy po piwie, ale potem pojechałem do stodoły Ericksonów, żeby spotkać się z Hattie.

– Mówiłeś, że zakończyłeś ten związek.

– Bo zakończyłem. To znaczy próbowałem...

– Jeszcze raz mnie okłamiesz, a skopię ci jaja. Wyrażam się jasno?

W jego policzku drgnął mięsień, a głos miał niczym ostre kawałki żwiru. Kiwnąłem głową.

– Dobrze. O której godzinie dotarłeś do stodoły?

– Po dziesiątej. Zostawiłem samochód na farmie i dalej udałem się pieszo. Może było bliżej dziesiątej trzydzieści.

– A potem?

Położyłem dłonie na stole i próbowałem zebrać myśli.

– Twierdziła, że chce mi zwrócić pieniądze. Jednak kiedy przyszedłem, okazało się, że już je wydała. Dowiedziałem się o tym dopiero po...

– Po tym, jak uprawiałeś z nią seks?

Nagle rozjaśniło mi się w głowie i już wiedziałem, w jakim kierunku pójdzie ta rozmowa i w jakim postawi mnie światło. Hattie powiedziała mi o pieniądzach. A potem zaczęła mi grozić.

– Chcę prawnika.

Szeryf nie wydawał się zaskoczony powołaniem się przeze mnie na moje prawa. Wyłączył sprzęt nagrywający i bez słowa zaprowadził mnie z powrotem do celi. Kiedy czekałem na przysługującego mi obrońcę z urzędu, zastępca szeryfa wprowadził Mary.

– Macie dziesięć minut. Nie dotykajcie krat. Nie próbuj mu niczego podać. Będę patrzył. – Ruchem głowy wskazał kamerę przemysłową i postawił krzesło dla Mary, po czym wyszedł. Mary położyła dłoń na brzuchu. Najwyraźniej wykorzystała ciężę jako kartę przetargową.

Usiadła i rozejrzała się, a jej spojrzenie prześlizgiwało się po wszystkim, tylko nie po mnie. W końcu zatrzymało się na kamerze i Mary przyglądała się uważnie czerwonemu punkcikowi.

– Powiedziałam mamie, że jadę do sklepu – rzuciła do kamery.

– Mary.

– Prosiła, żebym kupiła jej brzoskwinie. Ma na nie ochotę od tygodnia, a sezon na brzoskwinie będzie dopiero za osiem miesięcy. No ale nie szkodzi. – Opuściła głowę. – Kiedy wrócę, nie będzie już pamiętać, o co prosiła.

Przełknąłem ślinę. Ciężar życia Mary sprawił, że to pomieszczenie wydało się jeszcze bardziej przytłaczające.

– Nie zapytasz mnie, czemu się tu znalazłem?

– Powiedzieli mi. – Rzekła to do swoich kolan. Jej dłoń zataczała małe, powolne kółka po brzuchu. – Powiedzieli, że trafiłeś tu za to, że kłamałeś. Dobrze wiedzieć, że kłamstwo jest przestępstwem, przynajmniej czasami.

– Uważają, że ją zabiłem. – Starłem się mówić cicho i zerknąłem na drzwi, a potem do kamery. Pewnie słuchali każdego mojego słowa.

– Dlatego, że z nią sypiałeś.

Wyprostowałem się zaszokowany. Ton głosu ani wyraz jej twarzy nie zmieniły się, nic nie wskazywało na to, że ją to obchodzi, z wyjątkiem faktu, że w końcu uniosła głowę i wbiła we mnie wzrok.

– Na pewno już to wiesz – dodała, czekając na moją odpowiedź.

Nie miałem pojęcia, jak zareagować. Przyszło mi do głowy słowo „przepraszam”, ale to było niedorzeczne, nie do pomyślenia. Przepraszało się za rozlany sok i wpadnięcie na siebie na korytarzu; robiły tak osoby, których życie składało się z czynności przewidywalnych i nieskomplikowanych. „Przepraszam” nie miało już między nami prawa bytu.

– Jak się dowiedziałaś? – zapytałem.

Nie od razu odpowiedziała. Zamiast tego wstała, podeszła do drzwi i wyjrzała przez okienko. Po chwili wróciła do krat i stanęła naprzeciwko mnie.

– W życiu nie przyszło mi do głowy, że będę wychowywała dziecko mordercy.

– Nie jestem mordercą. Nie zabiłem Hattie. Chryste, nie mógłbym zabić nawet kury.

Zignorowała mnie i powiedziała tym swoim upiornie spokojnym głosem:

– Nie wiem, po co wzięłam ze sobą nóż.

Jej słowa były niewiele głośniejsze od szeptu. Byłem pewny, że źle ją usłyszałem. W mojej głowie zaczęła pulsować krew i zachwiałem się.

Automatycznie zrobiła krok w tył i odwróciła się.

– Co powiedziałaś? Mary, spójrz na mnie.

Nie posłuchała mnie. Na jej twarzy, którą widziałem teraz z profilu, malowała się koncentracja.

– Usłyszałam w piątek twój samochód. Byłam w stodole, czyściłam noże. Trzeba dbać o narzędzia, tak mawiał tato. Czyścić je i odkładać na miejsce. Wyjrzałam i zobaczyłam, jak gdzieś idziesz. Poszłam za tobą. Dopiero kiedy szliśmy przez las Ericksonów, dotarło do mnie, że nadal mam w ręce nóż. Do tego czasu zdążyłam się już domyślić, dokąd idziesz. A kiedy tam dotarłam, poznałam powód.

Zalała mnie fala strachu zbyt potwornego, żeby go nazwać. Poczułem się gorzej, niż kiedy się dowiedziałem, że w stodole znaleziono zwłoki, gorzej niż kiedy Hattie nie pojawiła się na niedzielnym przedstawieniu, a ja zrozumiałem, że to ona zginęła, gorzej niż kiedy uznałem, że to Tommy ją zamordował. Dobry Boże, to była Mary? Przerazenie wywracało mi żołądek na drugą stronę i pokryło skórę warstwą lepkiego potu.

– Mary... – wydusiłem. – Co ty zrobiłaś?

Spojrzała na mnie i w jej oczach widać było teraz łyzy gniewu. Żadna jednak nie spłynęła po policzku.

– Widziałam cię z nią, Peterze. Widziałam, że patrzy na ciebie, jakbyś należał do niej. – Gniew nadal się w niej tlił. Przycisnęła dłoń do brzucha. – Jak mogłeś to zrobić? Po tym, jak ja tak ciężko pracowałam, żeby coś tu stworzyć. Myślałeś, że uda ci się to ukryć? Że nie dowiem się o niczym w swoim rodzinnym mieście?

Wzrok miałem wbity w jej palce, z których odpłynęła cała krew. Wyglądało to tak, jakby chroniła swoje długo wyczekiwane dziecko przed tą rozmową i wszystkimi przyszłymi konsekwencjami. Do czego byłaby zdolna, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo? Żeby ochronić swoją rodzinę? Widziałem, jak ta dłoń robi rzeczy, które wcześniej uważałem za niemożliwe; widziałem, jak Mary podcina gardła kurom i spokojnie przytrzymuje je głową w dół, żeby wyciekła z nich krew. Była w ciąży, buzowały w niej emocje, których nigdy dotąd u niej nie widziałem. Emanowała z niej płonąca wściekłość. O Boże.

– Mary, co ty zrobiłaś? Odpowiedz mi. – Z desperacją zacisnąłem dłonie na kratkach.

– Wiesz dokładnie, co zrobiłam. Jak możesz mnie o to pytać? – Łzy w końcu popłynęły z jej oczu. – I wszystko opowiem szeryfowi.

– Wszystko?

– Wyjdę stąd i powiem mu o tym, że zobaczyłam was razem tamtego wieczoru. Następnie upuściłam nóż pod stodołą, pobiegłam zszokowana do domu i od tamtej pory nie widziałam tego noża.

– Co takiego? – Nie rozumiałem. Zamierzała kłamać?

Przez okienko w drzwiach widać było zastępcę szeryfa. Oglądał się przez ramię i coś do kogoś mówił. Zaraz tu wejdzie. To mogła być moja jedyna szansa na poznanie prawdy, ale Mary zdawała się w ogóle mnie nie słyszeć. Wszystko się w niej gotowało, tłumiona miesiącami wściekłość w końcu znalazła ujście pośród tych betonowych ścian.

– Bez względu na to, co się wydarzy, bez względu na to, co tu powiesz, urodzę to dziecko. A ty nigdy, przenigdy go nie zobaczysz. Na akcie urodzenia nie wpiszę nawet twojego nazwiska.

– Jezu Chryste, jak zamierzasz wychowywać dziecko w więzieniu?

– Ja? – wypluła z siebie i w tej samej chwili zastępca otworzył drzwi i stanął między nami.

– Czas minął.

Przez chwilę żadne z nas się nie poruszyło i patrzyliśmy na siebie, możliwe, że po raz ostatni.

– Proszę pani? – Zastępca uniósł rękę.

– Bez względu na to, co się stanie – powtórzyła.

Mężczyzna ją odciągnął, a potem zamknął drzwi, pozostawiając mnie samego i roztrzęsionego.^[P]^[SEP]Dużo czasu minęło, nim zjawił się po mnie szeryf, wystarczająco dużo, żeby skończyło się jedno życie, a zaczęło coś innego, znacznie mniej przypominającego życie. Siedziałem na pryczy z twarzą w dłoniach, nie potrafiąc wymazać z pamięci obrazu wykrzywionej nienawiścią twarzy Mary i jej słów. Zamierzała powiedzieć szeryfowi, że upuściła nóż i uciekła – oczywiste kłamstwo w ustach osoby, która dysponowała motywem, sposobnością, narzędziem zbrodni, za to nie miała alibi – i przyznawała się do tego wszystkiego w jakim celu?

Aby włożyć nóż w moją dłoń.

To jedyne możliwe wytłumaczenie i nawet nie potrafiłem się o to na nią złościć. Może jakaś część niej nawet wierzyła w to, że w gruncie rzeczy to ja ponoszę odpowiedzialność za cały ten koszmar.

Wyobraziłem sobie, jak nasze dziecko wychowuje się w rodzinie zastępczej, podczas gdy ja próbuję udowodnić w sądzie swoje ojcostwo, i jakim gównianym bez wątpienia byłbym ojcem, gdyby udało mi się uzyskać prawo do opieki. Płakałem. Płakałem nad tym niechcianym dzieckiem zniszczonego małżeństwa; nad życiem, które wyrzuciłem jak worek ze śmieciami, i nad tym, którego czułem już smak, a które zostało wyrwane z moich rąk; nawet nad światem, o którego stworzenie Mary tak zawzięcie walczyła. I płakałem nad Hattie, wiedząc już teraz, że to ja sprowadziłem na nią śmierć. Przez mnie, przez to, że byłem zbyt słaby, żeby się oprzeć, ona nigdy nie stanie się żadną z tych tysiąca postaci, które się w niej kłębiły.

W końcu łzy przestały płynąć i w ich miejsce pojawił się oziębiający spokój. Do moich myśli powróciła klarowność i w duchu dokonałem ostatniego wyboru. Dzięki Pine Valley dysponowałem wszystkimi niezbędnymi szczegółami: w szkole dowiedziałem się, jak wyglądało miejsce zbrodni, Winifred opowiedziała Elsie o torebce, którą wyłowiono z jeziora, a gdyby to ich nie przekonało, chowałem w zanadrzu jeszcze jeden dowód, taki, o którego istnieniu nie mieli pojęcia.

Po miesiącach braku przyzwoitości, wstydu i wyrzutów sumienia poczułem niemal ogłuszającą radość, kiedy dotarło do mnie, że otrzymałem ostatnią szansę, aby uczynić coś dobrego. Dziecku nic nie będzie. To miasteczko weźmie pod swoje skrzydła zarówno je, jak i Mary. Nikt nigdy nie wypowie przy nich mojego imienia. Chodziłem powoli po celi i oddychałem głęboko, wypełniając płuca powietrzem aż do granic ich wytrzymałości, czując ich elastyczność i niezwykłą pojemność.

Później, kiedy szeryf otworzył drzwi, stałem spokojnie pośrodku celi, z rękami wzdłuż tułowia, czekając. Towarzyszył mu gruby, niepewny młody mężczyzna, którego Hattie w dwie sekundy owinęłaby sobie wokół palca.

Szeryf kiwnął głową.

- Twój prawnik.
- Dobrze. – Popatrzyłem mu w oczy. – Chciałbym się przyznać do winy.

HATTIE / Sobota, 22 marca 2008

Kiedy dojechałyśmy do mnie, Portia była nieźle wkurzona. Miałam to gdzieś. Po ostatnim dniu nie byłam w stanie wysłuchiwać każdego głupiego szczegółu związanego z wyjazdem chóru do Nashville. Groziłam Peterowi, wypłakiwałam się na ramieniu mamy, dostałam od Petera pieniądze i list pożegnalny, uciekłam do Minneapolis, niemal zostałam aresztowana na lotnisku, zepsuł mi się samochód i wymiotowałam w polu. Jej n i e w i a r y g o d n a sałatka Cezar niedaleko Country Music Hall of Fame? Sorry, Porsche. Obecnie nie znajdowało się to na liście moich priorytetów.

Zawiozła mnie jednak do Rochester i zaczęła w centrum handlowym, podczas gdy ja kupiłam, co trzeba, i ukryłam swoją nową walizkę. Wykorzystałam jeden ze studolarowych banknotów Petera, żeby w ramach podziękowania kupić Portii koszulę, no i znalazłam także sukienkę, idealną sukienkę, sukienkę, na której widok miałam ochotę tańczyć i wirować, i rozpocząć nowe życie. Koniec z noszeniem kostiumów.

Kiedy Portia zajechała pod mój dom, na podjeździe zobaczyłam samochód Tommy'ego. A to niespodzianka. Z rękami w kieszeniach opierał się o maskę pikapa i rozmawiał z moim tatą. Wyskoczyłam z samochodu, a oni obaj się obejrzeli.

– Dzięki, Porsche!

Przewróciła oczami i zaczęła cofać, zanim jeszcze zdążyłam zamknąć drzwi. Dziwna była świadomość, że Portia jest zła, a ja nie próbuję jej udobruchać, jak to miałam w zwyczaju, ale właśnie się narodziła prawdziwa Hattie Hoffman i nie zamierzałam wracać do tego, co było.

Wzięłam głęboki oddech i podeszłam do taty i Tommy'ego.

– Gdzie twój samochód? – Brzmiało pierwsze pytanie taty.

– Zepsuł się – odparłam, uśmiechając się szeroko.

Opowiedziałam im, co się stało, i możliwe, że przemyciłam kilka niewinnych kłamstw na temat biegu wydarzeń, ale to akurat nie było ważne. Obaj wypytywali mnie o to, jakie konkretnie dźwięki wydawało auto i jak się zachowywało przed awarią, po czym doszli do wniosku, że to mógł być alternator.

– Swój właśnie wymieniłem, razem z oponami. – Tommy z uczuciem kopnął koło swojego pikapa. – Mógłbym pomóc w holowaniu, a potem zajrzeć pod maskę.

– Dobry pomysł – zaczął tato, ale ja mu przerwałam.

– Nie, nie zwracaj tym sobie głowy, Tommy. Jestem pewna, że masz już plany na wieczór.

Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym zwariowała.

– Myślałem, że idziemy do Dereka, oglądać walkę UFC. Wszyscy idą, nie pamiętasz?

– No tak. – Zupełnie zapomniałam. Rozmawialiśmy o tym we wtorek, czyli całe lata świetlne temu. – Ja chyba nie dam rady. Nie nauczyłam się jeszcze roli i strasznie się tym denerwuję. Pojedziemy z tatą po samochód, a potem siądę do tekstu.

Tommy zrobił niezadowoloną minę, więc niezgrabnie go przytuliłam.

– Ale ty powinieneś iść. Przekaż Derekowi, że żałuję, iż nie mogę być z wami.

Trochę pomarudził, ale w końcu wsiadł do pikapa i odjechał. Tato popatrzył na mnie dziwnie, na co ja wzruszyłam ramionami i stwierdziłam:

– UFC jest do bani. – Co wcale nie było kłamstwem.

Wybuchnął tym swoim tubalnym śmiechem, który tak uwielbiałam, a potem pojechaliśmy po moje zepsute auto.

– Mało się ostatnio widzujemy, dzieciaku – rzucił tato, kiedy znaleźliśmy się na ekspresówce.

– Za dużo obecnie się dzieje. – Znowu nie skłamałam.

– Tommy nie daje ci spokoju?

Wzruszyłam ramionami.

– To chłopak w wieku licealnym. Nie sądzę, aby mógł coś na to poradzić.

Znowu się zaśmiał i przez chwilę przekomarzaliśmy się o to, którą stację radiową włączyć, co stanowiło naszą głośną tradycję. Wytłumaczyłam mu, gdzie został samochód, a kiedy dotarliśmy na miejsce, wzięliśmy go na hol. Gdybym się urodziła w wielkim mieście jak Peter, nie wiedziałabym pewnie, jak się przypina linę holowniczą, jak się wbija gwoździe czy jak wyjechać traktorem z błota. Nie były to umiejętności, którymi zamierzałam się chwalić w Nowym Jorku, ale teraz cieszyłam się, wiedząc, że mogę się przydać, że tato nie potrzebuje do pomocy Grega ani Tommy'ego. To ja narobiłam tego bałaganu i to ja pomagałam go uprzątnąć.

Po powrocie do domu siedziałam w garażu razem z tatą, podając mu narzędzia i trzymając latarkę. Kochałam swojego ojca. Kochałam to, że w jego słowach zawsze czai się wesołość, że lubi się przekomarzać, że wydaje się taki rzetelny i porządny. Zupełnie by nie pasował do Nowego Jorku, ale może udałoby mi się zabrać ze sobą jakąś część niego.

Gdy marzec zamienił się w kwiecień, w szkole nie było mi łatwo. Uczucie niezwykłości po kilku dniach nieco przygasło i musiałam się bardzo starać, żeby nie wrócić do dawnych nawyków. Portia z czasem znowu zaczęła ze mną rozmawiać, choć nadal robiła urażoną minę zawsze, kiedy nie od razu przyklaskiwałam jej słowom. Nauczycielom przyznawałam się do nieodrobienia pracy domowej, a raz nawet musiałam zostać za karę po lekcjach, kiedy otwarcie powiedziałam, że poszłam na wagary, gdyż według mnie nie warto tracić czasu na matematykę.

Kiedy trafiłam do gabinetu doradcy zawodowego, oświadczyłam, że nie mam pojęcia, co chcę zrobić ze swoim życiem, że przeprowadzka do Nowego Jorku na równi ekscytuje mnie i przeraża, i że zamierzam dać sobie rok, aby dowiedzieć się tego albo zacząć myśleć o uczelniach na Wschodnim Wybrzeżu. Doradca spojrzał na mnie, westchnął i rzekł:

– To najbardziej rozsądne słowa, jakie usłyszałem od ciebie do tej pory.

Wieczorami nagrywałam wszystko kamerą Geralda. Opowiedziałam

historię swojego życia, nie ukrywając żadnej żalosnej, głupiej, szalonej, okropnej rzeczy, którą zrobiłam, i poczułam się z tym dobrze. Z tym, że w końcu jestem szczerą, choćby tylko wobec samej siebie.

Ale najgorszą częścią mojego nowego życia było zmuszanie się do codziennego siedzenia na lekcjach Petera i niewybuchanie płaczem za każdym razem, kiedy patrzył w moją stronę. Nie mogłam jednak nie dostrzec tego, że wygląda strasznie. Był blady. Do tej pory gładkie zazwyczaj policzki teraz prawie zawsze pokrywał kilkudniowy zarost. Ubrania miał wygniecione, a wykłady chaotyczne i przygnębiające.

Portia zauważyła moje ponure spojrzenie i błędnie odebrała je jako wyraz znudzenia.

– Stracił swój pazur – stwierdziła, kiedy w dniu próby kostiumowej wyszliśmy z klasy. – To ta klątwa. W końcu go dopadła.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że Peter wygląda z przygnębieniem przez okno.

– Wiesz co, Porsche? Pewnie masz rację.

Siedziałyśmy razem na fizyce i żadnej z nas nie chciało się sporządzać notatek. Portia rysowała w notesie stado pijanych krów – dowcipny ukłon w stronę klientów sklepu monopolowego jej rodziców. Ja przez pół godziny wpatrywałam się w pustą kartkę i myślałam o takich głupotach, jak na przykład dlaczego w notesie są trzy dziurki, a nie cztery, jakie będzie dziecko Petera i czy nadal się będzie używać zeszytów, kiedy zaczną chodzić do szkoły.

Za każdym razem, kiedy Peter spojrzy na to dziecko, będzie widział więzienie, coś, przez co musiał się wyrzec szansy na szczęście ze mną. Boże, czy tacy właśnie byli ludzie? Czy cała planeta pełna była oszustów i dupków produkujących nowych oszustów i dupków? Wcześniej byłam jednym z nich, najgorszym. Mama ostrzegła mnie, że wiele się muszę nauczyć o świecie. Szkoda, że nie wspomniała o tym, jak bardzo ta nauka okaże się bolesna.

– Mam nadzieję, że dziś wieczorem potraktujesz klątwę z szacunkiem – rzekła Portia, kiedy szliśmy do stołówki. – To nasza ostatnia próba. Nie może być żadnych potknięć.

– Skoro tak twierdzisz.

Udałam się prosto do stolika futbolistów, nie zwracając sobie nawet głowy jedzeniem. Część chłopaków dyskutowała o czymś, co miało związek z mlekiem i grą w rugby, ale Tommy oderwał się od dyskusji na tyle długo, żeby poklepać mnie po nodze i uśmiechnąć się, kiedy zajęłam miejsce obok niego. Przestałam spotykać się z nim poza szkołą, starając się stopniowo wprowadzać coraz większy dystans, aż w końcu rozstanie stanie się czymś naturalnym. Nie chciałam ranić go bardziej niż to konieczne.

Patrzyłam, jak Portia bierze lunch, a potem zatrzymuje się przy stoliku, żeby pogadać z jednym z chłopaków od oświetlenia. Przez kilka ostatnich tygodni Peter nie przykładał się do prób. Wszyscy zauważali jego przygnębienie. Portia przejęła sporą część należących do niego obowiązków, na przykład kwestię kostiumów i scenografii. Stała się nieoficjalnym reżyserem tego przedstawienia i wiedzieliśmy o tym wszyscy, nawet Peter, dlatego że w czasie ostatnich prób zaczął pytać ją o zdanie.

Kiedy w końcu usiadła przy stole, od razu zaczęła nawijać o znanych reżyserkach, które lubiła, i o tym, jak mało kobiet pracuje w tym zawodzie.

– Nie jest do końca tak, że to wyłącznie męski klub – rzuciła między kęsami paluszków chlebowych. – Jest całe mnóstwo wybitnych reżyserek. Królową oglądalności jest Penny Marshall, ale według mnie to Sofia Coppola ustala rytm dla kolejnego pokolenia kobiet filmowców.

Choć korciło mnie, żeby przewrócić oczami, to wiedziałam, że w gruncie rzeczy nadaje się do tego zawodu. Portia od lat z powodzeniem zarządzała szkolną fabryką plotek. Może dlatego łączyła nas przyjaźń: ona była moją reżyserką, a ja jej aktorką.

– Będiesz kręcić filmy, Portia? – zapytał Tommy.

– Aha. Na uniwerku nie ma jakiegoś szczególnie dobrego programu w tym kierunku, ale od czegoś trzeba zacząć. – Mówiła do stołu obok dłoni Tommy'ego. Nigdy nie patrzyła prosto na niego.

– Powinnaś zatrudnić do swoich filmów Hattie. Może być twoją gwiazdą. – Objął mnie w talii i przyciągnął.

Portia uśmiechnęła się do mnie z wyższością.

– Zapraszam na przesłuchania.

– Hej, wyjdźmy gdzieś dzisiaj razem, skoro w weekend będziesz zajęta tym przedstawieniem. – Palce Tommy’ego wbijały się w moje żebra, jakby się bał, że mu się wyslizgnę. Nie mógł nie zauważyć, że zaczęłam go unikać poza szkołą.

– Wieczorem także jestem zajęta.

– Mamy próbę kostiumową – wyjaśniła Portia.

– No ale nie zajmie ona całego wieczoru, co? Po próbie przyjadę po ciebie. Spotykamy się dzisiaj u Dereka. Mamy pogadać o tym domku na wakacje.

Ostatnio często o tym mówił – coroczny wypad do domku letniskowego gdzieś na północy, gdzie normę stanowiły beczki z piwem, pijackie imprezy i rozpasane dziewczyny.

– Mówiłam ci już, że nie wiem, czy uda mi się załatwić wolne w pracy.

Próbowałam się nieco odsunąć, odruchowo zerkając na stolik w kącie, przy którym siedział Peter w towarzystwie pana Jacobsa. Przed nim, na miejscu tacy z jedzeniem, leżała otwarta książka, a on podpierał głowę ręką, ale nie czytał. Patrzył na mnie. Gdy tylko nasze spojrzenia się skrzyżowały, spuścił wzrok i przewrócił kartkę.

O Boże, nadal go kochałam. Pomimo wszystko, pomimo jego ciężarnej żony, pomimo faktu, że za kilka tygodni mogę stąd wyjechać i nie zobaczyć go nigdy więcej, nadal kochałam go całą sobą. Nawet ból mieszał się we mnie z miłością.

Po raz pierwszy nie chciałam wykorzystywać Tommy’ego do wzbudzenia w Peterze zazdrości. I nie sądziłam, abym sama dzięki Tommy’emu mogła poczuć się lepiej, choć przez tych kilka ostatnich miesięcy nawet go polubiłam. Był słodki i nieskomplikowany, planował dla nas różne wycieczki i bez przerwy nawijał o studiach w Minneapolis i o tym, jak bardzo mi się tam spodoba. Zdążył już nam zaplanować całą przyszłość. Zawsze wiedziałam, o czym myśli i co zaraz powie, a on uwielbiał we mnie dosłownie wszystko. Przypominał mi psa, który bez względu na to, co zrobię, chodzi za mną i macha ogonem. Ale nie dało się być w związku z psem.

– No ale dziś po próbie już nie pracujesz? – zapytał Tommy, nadal pełen

nadziei. – Przyjedź do Dereka i zobaczysz, jak super będzie w tym domku letniskowym.

– Nie wiem, jak długo potrwa próba.

Na jego twarzy malowało się tak wielkie rozczarowanie, że nie mogłam nie dodać:

– Jutro możesz przyjechać i zobaczyć mnie na scenie.

– Nuda – jęknął.

– Spodoba ci się. Będą wiedźmy, walki na miecze i ścięte głowy. Całe mnóstwo krwi. – Mówiłam szczerą prawdę. A Tommy uwielbiał horrory.

– Ty grasz tę niewinną, krzyczącą dziewczynę? – zaśmiał się, zupełnie nie pamiętając, że zaledwie kilka tygodni temu ćwiczył ze mną moje kwestie.

– Nie. – Poklepałam jego dłoń i odkleiłam od swojej talii. – To przeze mnie leje się krew.

Po szkole ubrałam się w kostium, którym była prosta, biała suknia. Według mnie wyglądała zbyt grecko, ale za kostiumy odpowiadała Christy Sorenson i w ogóle nie chciała mnie słuchać. Przygotowywano je na zajęciach z gospodarstwa domowego i trzeba było uszyć cztery zestawy, po jednym na każde przedstawienie i jeden dodatkowy na próbę kostiumową, dlatego że podczas każdego wieczoru praktycznie ulegną zniszczeniu. Kiedy już Makbet zamordował króla, on i ja nakładaliśmy korony, ale potem przed każdą sceną musieliśmy polewać sobie ramiona czerwonym syropem z kukurydzy, żeby wyglądało to tak, jakby wiedźmy kazały koronom krwawić. To Peter wpadł na taki pomysł. Kiedy zastanawialiśmy się nad scenografią i interpretacją, oświadczył nam, że Szekspir potrzebuje efektów wizualnych. Większość widzów z trudem nadążała za pentametrem jambicznym, ale wszyscy wiedzieli, co symbolizuje nóż. Tak więc na scenie było sporo wymachiwania mieczami, co chłopcom bardzo się podobało. Jakżeby inaczej.

Kiedy się przebraliśmy, Portia zebrała nas wszystkich pod sceną, a potem wzięła Petera za łokieć i zaciągnęła do nas. Postawiła go, rozdrażnionego, obok mnie.

– No dobrze. – Omiótł wzrokiem wszystkich oprócz mnie. Miałam nadzieję, że nie jestem czerwona na twarzy.

– Złapcie się za ręce, wszyscy – zarządziła Portia, stojąca z drugiej strony Petera. Chwyciła dłonie sąsiadów. – Musimy utworzyć krąg mocy.

Wszyscy stanęli w dużym kole i wzięli się za ręce, aż zostaliśmy tylko Peter i ja. Nim zdążyło się zrobić niezręcznie, ujął moją dłoń i trzymał ją ostrożnie.

– Wszyscy tak ciężko pracowaliście – zaczął powoli i odkaszlnął. – Popatrzcie tylko na scenografię – dodał. Odwróciliśmy się w stronę sceny. – To dorównuje mniejszym profesjonalnym teatrom z dużych miast. Świetna robota. No i kostiumy. Christy, dokładnie tak je sobie wyobrażałem. Proste linie, ponadczasowy krój. Doskonale sobie poradziłaś. Oświetlenie i dźwięk są także idealne, głównie dzięki temu, że Portia zarządzała zespołem niczym Peter Jackson. Dzięki, Porsche.

Wzdrygnęłam się, słysząc, jak używa mojego określenia. Zrobił to tak swobodnie, że przypomniały mi się te wszystkie okazje, kiedy opowiadałam mu o swojej najlepszej przyjaciółce, i to, co o niej wiedział, choć nie miał do tego prawa. To, że uwielbiała dramatyzm. Że w szufladzie nocnego stolika ukrywała zdjęcia półnagiego Ryana Goslinga. Że nie znosiła tego, iż rodzice podczas niedzielnych obiadów każą jej mówić w języku ludu Hmong. Że pragnęła jednocześnie dopasowywać się do grupy i wyróżniać.

Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy się śmiali, a ja uśmiechnęłam się do Portii, która odpowiedziała w taki sam sposób.

– To nie jest radosne przedstawienie, ale jest ono bardzo ważne – kontynuował Peter tym swoim belferskim tonem. – Oto widzimy, jak Szekspir zagłębia w głąb duszy mężczyzny po tym, jak zabija on króla. To nie jest zły człowiek. Zło jest proste. Tak się tłumaczy dzieciom, dlaczego ludzie robią złe rzeczy. Prawda jest zawsze bardziej złożona i warto do niej dążyć. W tej sztuce Szekspir dążył do prawdy. Oczywiście, aby zwiększyć oglądalność, dorzucił do tego wiedźmy i krwawą łaźnię. – Zaśmiali się wszyscy oprócz mnie. – Ale tak naprawdę to studium psychologiczne. Dlaczego człowiek popełnia potworną zbrodnię, choć wie, że to złe i niegodziwe?

Dłoń zaczęła mi się pocić. Stopniowo, tak powoli, że początkowo tego nie zauważyłam, Peter coraz mocniej ścisnął moje palce.

– Ambicja – odezwała się Portia.
– Wiedźmy mu powiedziały, że zostanie królem – dodała Emily, która grała Drugą Czarownicę.
– Żona go do tego namówiła – powiedział Adam, grający Makbeta. Pokazałam mu język, a on puścił do mnie oko.
– Wszyscy macie rację – rzekł Peter – ale ukrytym motywem jest tutaj pożądanie. Co się z nim dzieje, co by się mogło stać z każdym z nas, kiedy podążamy za naszymi najmroczniejszymi pragnieniami? Co tracimy z samych siebie, kiedy przekraczamy tę linię? Jak wiele kosztuje to naszych bliskich? – Jego palce zacisnęły się na mojej dłoni. – Makb... MacBee – poprawił się, na co Portia uśmiechnęła się triumfująco – mimo wszystko przekroczył tę linię. Zrobił to, na co miał ochotę, nie zważając na konsekwencje, nie zważając na społeczne konwencje, duchową udrękę czy nawet własne życie. I właśnie to czyni tę sztukę ponadczasową. To po prostu zwykły człowiek, który rozumie, przynajmniej częściowo, ile go będzie kosztować ulegnięcie własnej pokusie, a mimo to jej ulega. To właśnie w weekend pokażecie naszym widzom: konsekwencje najmroczniejszych i najsilniejszych ludzkich pragnień. W przygotowanie przedstawienia włożyliście tyle pracy, że wiem, iż spiszecie się na medal. Nie okażecie litości duszy tego nieszczęśnika.

Wszyscy puścili ręce sąsiadów i zaczęli bić brawo. Ja się nie poruszyłam. Nie wiedziałam, co zrobić. Stałam, nie patrząc na Petera, gdy tymczasem reszta grupy wydawała wesołe okrzyki. Po raz ostatni uściśnął mi dłoń i odszedł. Odwróciłam się i wślizgnęłam za kulisy, w odrętwieniu czekając na scenę piątą aktu pierwszego, podczas której wyjdę na scenę.

Próba kostiumowa może nie była idealna, ale się udała. Jeden z opryszków upuścił miecz w chwili, kiedy miał zabić Banquo. Banquo zaśmiał się, ale wtedy opryszek udał, że skręca mu kark, a Banquo posłusznie padł na ziemię.

Adam wyuczył się swojej roli i podczas monologów udało mu się wykrzesać z siebie sporo emocji. Niektórym nie podobał się fakt, że ma tak chłopięcy wygląd, ale mnie owszem, ponieważ dzięki temu łatwiej było mnie postrzegać jako manipulatorkę, nakłaniającą go do popełnienia zbrodni. W butach na obcasie byłam od niego prawie trzydzieści centymetrów wyższa

i podczas pierwszej wspólnej sceny, kiedy planujemy zabójstwo, pokazałam, kto rządzi. Ostry, wysoki głos. Surowy wyraz twarzy.

Jednak moją popisową sceną była ta ostatnia, kiedy lunatykowałam. Korona przekrzywiła mi się na głowie, a niemal cały przód mojej sukni był czerwony. Wyglądałam bardziej jak ofiara niż morderca, i o to właśnie chodziło. Zdrada nas zabijała. Chodziłam po scenie w udreće, z rękami uniesionymi przed sobą, jakbym nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób łączą się z resztą ciała. Niewidzącym wzrokiem wpatrywałam się w ściany sali gimnastycznej i miejsce, gdzie siedzieć będą widzowie, a gdzie teraz znajdował się Peter. Nie wiedziałam nawet, że płacząc, dopóki obraz zupełnie mi się nie zamazał. Wlałam w tę scenę całe swoje serce. Podczas prób byłam w tej scenie równie silna jak w pozostałych aktach, wykrzykując polecenia:

– Umyj ręce; wdziej nocną odzież, a nie bądź tak blady!

Ale teraz w moich słowach pobrzmiwała nutka desperacji, jakbym wiedziała, że zbliżam się do krawędzi szaleństwa, i nie byłam w stanie tego pojąć. Głos mi drżał.

– Powtarzam ci raz jeszcze: Banquo pogrzebany nie może wstać z grobu.

Jeśli wcześniej, w swoich chłodnych, morderczych kalkulacjach Lady Makbet była przerażająca, to teraz jej nieświadome wyzwanie okazało się szokujące. Od pierwszego czytania postrzegałam ją jako czarny charakter, Cruellę de Mon, bez serca i sumienia. Uważałam, że scena lunatykowania jest jedynie dodatkiem do reszty. Teraz jednak zobaczyłam, jak wszystko odsłania. Ta kobieta zadręczała się w takim samym stopniu jak Makbet: zgubiły ją jej pragnienia. Kiedy zesłam ze sceny, udałam się prosto do pomieszczenia dla aktorów i tam siedziałam oszołomiona do końca przedstawienia.

Musiałam zatrzymać Petera w swoim życiu. Musiałam. Nowe życie czy stare – bez niego pozbawione było sensu. Pragnienie mnie gubiło – wiedziałam o tym, a mimo to nie byłam się w stanie odwrócić. Pożądaliśmy siebie, nie zważając na rozsądek, nie zważając na konsekwencje, dokładnie tak, jak to powiedział w kręgu mocy. Musiałam znaleźć sposób na to, żeby z nim porozmawiać.

Po ostatniej scenie usłyszałam, jak wszyscy biją brawo, i powoli

wróciłam na salę.

– Gdzie byłaś? Wszędzie cię szukałam. – Podbiegła do mnie Portia.

Spojrzałam na nią i nagle uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– MacBeth!

Zawołałam to jeszcze raz i jeszcze, śmiejąc się z przerażonego spojrzenia Portii i wszystkich, którzy rzucili się do drzwi. Po chwili słychać było dudnienie na korytarzu, kiedy cały zespół biegł wokół sali. Scenę oświetlał jeden reflektor, a Peter stał naprzeciwko mnie. Mrużyliśmy oczy w świetle i zrobiliśmy krok do przodu, żeby usunąć się w cień.

– Nadal mam twoje pieniądze. – Powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy, choć było to kłamstwem.

– Hattie, proszę – szepnął.

– Chcę ci je oddać.

– Nie chcę ich.

Dudnienie dziesiątek par nóg stało się głośniejsze. Przebiegli już połowę dystansu.

– Jutro wieczorem. Po przedstawieniu. Spotkajmy się w stodole.

Przez światło ledwo widziałam jego twarz. Przesunął się lekko, odsłaniając tylko kontury głowy, unosząc się klatkę piersiową i malującą się w sylwetce niepewność. Ja także zrobiłam krok w przód, czując na ustach pocałunek światła. Ono nas łączyło, rozgrzewało.

– Nie mogę – powiedział.

– Musisz. Musimy się pożegnać.

– To niemożliwe. Nie prosź mnie o to.

Nogi zatrzymały się przed podwójnymi drzwiami i rozległo się wspólne recytowanie zaklęć odpędzających wywołanego przeze mnie złego ducha.

– Będę czekać przez całą noc, Peterze. Całą noc na ciebie. – Nie potrafiłam ukryć pragnienia w głosie. – Przyjdź po pieniądze i po to, żeby się ze mną pożegnać.

Drzwi otworzyły się w momencie, gdy Peter się odwrócił, a dudniący hałas niemal zagłuszył jego smutne pożegnanie.

DEL / Czwartek, 17 kwietnia 2008

Oskarżyłem Petera Lunda o zabójstwo Henrietty Sue Hoffman o 15.02 w dniu jej pogrzebu.

Coś mi nie pasowało w tym, że przyznał się do wszystkiego zaraz po wizycie Mary Beth. Przyszła zobaczyć się z mężem, a potem spokojnie zeznała pod przysięgą, że tamtego wieczoru udała się za Peterem na miejsce jego schadzki, zobaczyła go i Hattie, upuściła nóż i oddaliła się. Podane przez nią wymiary noża idealnie pasowały do narzędzia zbrodni.

– Dlaczego przez sześć dni zachowywała to pani dla siebie? – zapytałem. – Dlaczego nic pani nie powiedziała, kiedy przyjechałem na waszą farmę?

Mary Beth położyła dłoń na brzuchu.

– Sporo musiałam przemyśleć, szeryfie. Dopiero co dowiedziałam się, że mąż zdradza mnie i nasze nienarodzone dziecko. Wcześniej nie sądziłam, że byłby zdolny do czegoś takiego, nie mówiąc o morderstwie.

– Rozmawialiście tamtego dnia z Winifred o morderstwie. I proszę mi nie mówić, że chodziło o kury.

Kiwnęła głową i spuściła wzrok.

– Ma pan rację. Przepraszam, że skłamałam. Rozmawialiśmy o aborcji.

– Czemu nie powiedziała pani prawdy?

– Chyba się po prostu wstydziłam. Nie wiedziałam, czy powinnam urodzić to dziecko, zważywszy na sytuację.

Jake i ja wymieniliśmy spojrzenia, następnie się nachyliłem, czekając, aż Mary Beth uniesie głowę i spojrzy mi w oczy. Kiedy to zrobiła, rzuciłem:

– Może przemyślała to sobie pani w piątek wieczorem, kiedy zobaczyła ich razem. Może zemściła się pani na niewiernym mężu.

– Nie. – Nie wydawała się przejęta moim oskarżeniem. Ani zaskoczona. – Gdybym miała tamtego wieczoru kogoś zabić, to jego, nie ją.

Jake otworzył szerzej oczy.

– A więc twierdzi pani, że w ciągu minionego tygodnia myślała o zabiciu swojego męża i dziecka, ale nie ma pani nic wspólnego ze śmiercią Hattie.

– Zgadza się.

Patrzyłem na nią, a ona na mnie. W końcu skinęła lekko głową, jakby powiedziała sobie w myślach coś ważnego, i rzekła:

– Gdyby pański tydzień wyglądał tak jak mój, miałby pan takie same myśli.

– Co pani zrobiła po tym, jak upuściła nóż?

– Pobiełam na farmę. Pamiętam, że było zimno, ale nic więcej. Kiedy wróciłam, pogasiłam światła w stodole i weszłam do domu. Myślałam o tym, żeby poczekać na Petera i doprowadzić do konfrontacji, ale ostatecznie nie chciałam na niego nawet patrzeć. Przespałam się na łóżku polowym w pokoju mamy.

– Udała się pani do domu i od razu zasnęła? Zobaczywszy to, co pani zobaczyła?

– Nie od razu. Trochę płakałam, cicho, żeby mama nie usłyszała. Sądziłam, że w ogóle nie uda mi się zasnąć, ale kiedy się ocknęłam, już świtało. To pewnie przez ciężę, bo ostatnio przysypiam nawet popołudniami. W sobotę zastanawiałam się, jak to załatwić, czy wyrzucić go z domu od razu, czy poczekać, i wtedy przyjechała Winifred i powiedziała nam o zwłokach.

– Jak zareagował Peter na tę wiadomość?

Wzruszyła ramionami.

– Był wtedy w szkole na sobotnim przedstawieniu.

Ponownie przerobiłem z nią wydarzenia piątkowego wieczoru i jej wersja nie uległa najmniejszej zmianie. Mary Beth nie płakała, była poważna, blada, odpowiadała na pytania konkretnie i zwięźle. Po kolejnej półgodzinie Jake i ja odpuściliśmy.

– Nie wiem, szeryfie. – Otarł dłonią usta, unikając wzroku reszty

pracowników, którzy po pogrzebie wrócili na posterunek. Telefony nadal się urywały.

Westchnąłem.

– Na chwilę obecną nie mamy nic, na podstawie czego moglibyśmy ją zatrzymać. Jedyne, co możemy udowodnić, to że do niej należało narzędzie zbrodni, którym nie dysponujemy. Będziemy musieli poczekać, aż przyjedzie adwokat Lunda, aby poznać jego wersję, i wtedy się zobaczy.

Osobiście odprowadziłem Mary Beth do samochodu, żeby nie dopadli jej dziennikarze. Po drugiej stronie parkingu widać było błyski lamp, ale nikt się do nas nie zbliżył. Pewnie nie wiedzieli, że to żona podejrzanego.

– Jaką podjęła pani decyzję w kwestii dziecka? – zapytałem, otworzywszy drzwi jej pikapa.

Wzdrygnęła się, po czym wsiadła do zakurzonego samochodu.

– Kobiety na okrągło korzystają z banków nasienia.

– Wie pani, Mary Beth, kiedy się pani urodziła, dla rodziców było to tak, jakby otrzymali drugie życie.

Zamarła, czekając na ciąg dalszy. Zerknąłem na jej brzuch.

– Może tak samo będzie z panią.

Po raz pierwszy, odkąd weszła do sali przesłuchań, wyglądała, jakby się miała rozplakać. Zamknęła oczy, kiwnęła głową i rzekła, że taką ma nadzieję, a potem zamknęła drzwi i odjechała.

Prawnik zjawił się nieco ponad godzinę później. Wcześniej Jake przyniósł dla wszystkich coś do jedzenia z Dairy Queen, ale ja nie miałem apetytu. Wypiłem z litr kawy i zająłem się wypełnianiem dokumentów, przykazując Nancy, aby do przybycia adwokata dano mi spokój. Kiedy przyjechał – wyglądał jak zdenerwowany dwunastolatek – razem z Jakiem zabraliśmy go do celi, żeby przedstawić mu klienta. Wtedy Lund zaskoczył nas wszystkich, oświadczając, że chce się przyznać do dokonania zabójstwa.

Widziałem, że Jake jest cały podekscytowany, ale nie podzielałem jego radości. Kiedy aresztowaliśmy Lunda, zapierał się rękami i nogami, że nie zabił Hattie, a raptem dwie godziny później spokojnie oznajmiał, że to zrobił. Zabrałem podejrzanego i jego adwokata do pokoju przesłuchań i wziąłem go

w obroty.

– Skąd miałeś nóż?

– Leżał za drzwiami. – Mówił cicho do stołu, na nikogo nie patrząc. – Po tym, jak uprawialiśmy seks, próbowałem odejść. Sądziłem, że to będzie ostatni raz, a potem ona zgodnie z obietnicą odda mi pieniądze, powiedziała jednak, że już je wydała. Potem zaczęła mi grozić. Oświadczyła, że jeśli nie zgodzę się z nią wyjechać, to opowie o nas szkolnemu psychologowi.

Zobaczyłem nóż i go podniosłem.

– A potem co?

Zamknął oczy. Wszystkie obecne w pokoju osoby milczały, nawet prawnik.

– Chciałem ją tylko nastraszyć. Nie planowałem zrobić jej krzywdy, ale ona wciąż mnie męczyła, żebym odszedł od Mary i wyjechał z nią do Nowego Jorku. Ja chciałem jedynie, żeby zniknęła. Chciałem odzyskać swoje dawne życie. To, które wiodłem, zanim pojawiła się w nim ona. Zanim przeprowadziłem się do tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziury. Zapędziłem ją do rogu, postraszyłem nożem i kazałem zostawić w spokoju mnie i moją rodzinę. Ona... ona zaczęła się śmiać i wtedy coś we mnie pękło. Zadałem jej cios.

– Gdzie?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, kiedy to jednak zrobił, głos miał taki sam jak do tej pory. Cichy. Pozbawiony emocji.

– W klatkę piersiową. Upadła.

– A potem co zrobiłeś?

– Pociąłem jej twarz. Nie chciałem, aby patrzyła na mnie jej martwa twarz. Chciałem, żeby zniknęła.

To pasowało do wyrzutów sumienia, o których mówił psycholog sądowy.

– Co zrobiłeś z nożem?

– Wyrzuciłem do jeziora razem z torebką. Następnie wróciłem do domu, spaliłem ubranie i wziąłem prysznic.

– Gdzie spaliłeś ubranie?

– W wykopanym w ziemi dole za garażem. Polałem rzeczy płynem do zapalniczek, a potem rozrzuciłem popiół.

– Czy żona albo teściowa widziały, jak wróciłeś do domu?

– Nie. – Przełknął ślinę. – Nikogo nie widziałem. Udałem się prosto do swojego pokoju, to znaczy do gabinetu, i tam spędziłem resztę nocy. Nie byłem w stanie zasnąć. Myślałem o... przyszłości.

Potarłem brodę i odchyliłem się na krześle. Głowa Lunda zwisała, jakby to było coś bezużytecznego, dołączonego do jego ciała, a on siedział w zupełnym bezruchu.

– Dlaczego torebka?

Unióśł wtedy głowę, po raz pierwszy, odkąd usiadł przy stole, ale natychmiast uciekł spojrzeniem.

– Dlaczego zabrałeś jej torebkę? – zapytałem.

– Potrzebny był mi klucz.

W oczach Jake'a pojawił się błysk, a ja ponownie nachyliłem się ku Peterowi.

– Jaki klucz?

– Miała klucz do szafki na stacji autobusowej w Rochester. Powiedziała, że jest w niej wszystko, czego potrzebujemy do wyjazdu. Ukryła tam walizkę i dwa bilety do Nowego Jorku. Na nasze nazwiska. Pokazała mi ten klucz, kiedy ją zapytałem, co zrobiła z pieniędzmi. Potem go znowu schowała i zaczęła mi grozić. Później, po wszystkim, dotarło do mnie, że muszę zabrać ten klucz, w przeciwnym razie nasz romans wyjdzie na jaw. Nie wiedziałem wtedy o prezerwatywie, że da się zidentyfikować moje DNA. Zabrałem więc torebkę, wyjąłem klucz, a potem ją także wyrzuciłem do jeziora.

– Gdzie jest teraz ten klucz?

Przesunął knykciami po krawędzi stołu, po czym rzekł spokojnie:

– W moim biurku w szkole.

– Nie pojechałeś do skrytki?

– Nie. Zamierzałem poczekać, aż sprawa przycichnie, a potem zniszczyć... dowody.

Popatrzyłem na niego: spuszczone głowa, ręce na stole, zgarbione plecy. Wszystko do siebie pasowało i całe moje doświadczenie zawodowe mówiło mi, że siedzę naprzeciwko zabójcy Hattie, coś mi jednak nie dawało spokoju.

– Sporo sobie zadałeś trudu, prawda, Lund? Planując to wszystko.

Wzruszył ramionami.

– Tak mi się wydawało.

– Powiedz więc jedno: jak to się stało, że jeszcze dwie godziny temu zarzekałeś się, że nie masz nic wspólnego ze śmiercią Hattie, a teraz podpisujesz na siebie wyrok?

– Mary – odpowiedział natychmiast.

– Chronisz Mary?

– To właśnie próbowałem robić: chronić swoją rodzinę. Zanim Mary tutaj przyszła, nie wiedziałem, że widziała mnie razem z Hattie. Ona... powiedziała, że zezna przeciwko mnie, że powie, co widziała. I już wiedziałem, że nie ma sensu dłużej kłamać. Wiedziałem, że mi się to nie upiecze.

Lund ponownie uniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały.

– Jeśli mam być szczery, to czuję ulgę. Chciałbym to wszystko załatwić i zacząć odsiadywać karę. Może tak być?

Zerknął na adwokata, który chyba sobie przypomniał, w jakim celu się tu znalazł, i w imieniu swoim i klienta poprosił o chwilę na osobności, żeby mogli omówić dostępne opcje.

Zamknęliśmy Lunda w celi razem z prawnikiem, a potem pojechaliśmy do szkoły, znaleźliśmy klucz i udaliśmy się na stację autobusową w Rochester. W skrytce odkryliśmy zaginioną walizkę Hattie, nadal pachnącą nowością, i kopertę z trzema banknotami studolarowymi, karteczką od Lunda, informującą ją o tym, że kończy romans, oraz dwoma biletami do Nowego Jorku, dokładnie tak, jak to opisał.

Kiedy wszystko obfotografowaliśmy i zapakowaliśmy do worków, spojrzałem na Jake'a, a ten kiwnął głową.

– Zabójstwo drugiego stopnia.

Prosto z dworca pojechałem do Buda i Mony. Dzień chylił się ku końcowi i choć uroczystości pogrzebowe i stypa trwały długo, wyglądało na to, że połowa procesji przyjechała z nimi do domu. Kilkanaście samochodów stało na podjeździe, trawie i wzdłuż drogi.

Drzwi otworzyła jedna z sióstr Mony i zaprosiła mnie do salonu. Wszędzie porozkładano albumy ze zdjęciami, a o ściany opierały się kartoniki z przyklejonymi zdjęciami Hattie. Mona i Bud siedzieli na sofie, a wokół nich, na krzesłach i podłodze, kłębił się tłum ludzi. Niektórzy ze śmiechem oglądali zdjęcia, inni płakali, jeszcze inni płakali i śmiali się na zmianę. Kiedy jednak wszedłem do pokoju, wszyscy umilkli.

Gdy Bud zobaczył, że jestem w mundurze, wziął Monę za rękę i razem wstali.

– Wyjdźmy na dwór – powiedział.

We trójkę przeszliśmy się w kierunku silosu. Towarzyszył nam Bear, retriever. Niebo zasnuwane było chmurami, niepozwalającymi słońcu się przebić.

Kiedy oddaliliśmy się od domu, Bud i Mona odwrócili się w moją stronę. Nie owijałem w bawełnę.

– Są wyniki badania DNA.

Choć żadne z nich nic nie powiedziało, w ich oczach zapłonął ogień pełnego udręki wyczekiwania.

– To był Peter Lund, uczył Hattie angielskiego.

– Co takiego? – Mona zachwiała się.

Chwilę trwało, nim Bud odzyskał głos, ale kiedy tak się stało, zaryczał:

– Cholerny nauczyciel? Zgwałcił ją?

– Nie. – Spojrzałem mu prosto w oczy. Zasługiwali na coś lepszego niż prawda, ale prawda to jedyne, co mogłem im dać. – Od stycznia mieli romans.

Zarejestrowałem pięść zbliżającą się do mojej twarzy i pozwoliłem zadać sobie cios. Upadłem, a w uszach dzwonił mi krzyk Mony. Bear szczekał i wszystkich obskakiwał. Bud stanął nade mną z zaciśniętymi pięściami, ignorując Monę, która próbowała go odciągnąć.

– To wierutne kłamstwo, Del. Wierutne kłamstwo! Nie mów mi, że Hattie sypiała z jakimś chorym, zboczonym nauczycielem. Nie zrobiłaby czegoś takiego.

Potarłem zuchwę i zwracając się do Mony, opowiedziałem o wszystkim, począwszy od maili z jesieni, a skończywszy na piątkowej schadzce w stodole.

Kiedy skończyłem, Mona szlochała, tuląc się do ramienia Buda. Bear ucichł i stał przy nodze pana.

– Zabiję go.

Ostrożnie wstałem.

– Nikogo nie zabijesz, Bud.

– Gdzie on teraz jest? – wyjąkała Mona.

– No właśnie, gdzie? – powtórzył za nią Bud, ale innym głosem, jakby czynił już plany.

– W areszcie. Zamknięty. To koniec.

Wyraz twarzy Buda nie uległ zmianie, spróbowałem więc raz jeszcze:

– Dziś po południu przyznał się do wszystkiego i nieprędko będzie oglądał świat z drugiej strony krat.

Mona oparła się o ścianę silosu i zakryła twarz, gdy tymczasem dłonie Buda pozostawały zaciśnięte w pięści. Na czole pulsowały mu żyły. Zakrakała wrona. Nie wiedziałem, co jeszcze miałbym powiedzieć. Brak tu było spokoju, brak poczucia sprawiedliwości. Zrobiłem to, co im obiecałem pięć dni temu, siedząc na ich sofie; zidentyfikowałem mordercę, ale w międzyczasie skradłem im ostatnie fragmenty ich córki.

Za stodoły wyszedł Greg i ruszył w naszą stronę. Wyglądał równie poważnie i zdecydowanie jak ojciec. W geście pożegnania dotknąłem ramienia Mony, a potem udałem się do radiowozu, zostawiając ich sam na sam z rozpaczą.

Nie znaleźliśmy noża. Przez trzy dni ekipa pletwonurków przeszukiwała dno jeziora Crosby i jedyne, co znaleźli, to kilka zardzewiałych silników do łodzi. Chciałem mieć ten nóż. Śnił mi się każdej nocy, odkąd Lund przyznał się do winy, aż do dnia, w którym oficjalnie postawiono go w stan oskarżenia. Czasami w tych snach pojawiała się także Hattie, obserwująca, jak przeszukuję stodołę, pola, jezioro. Nie byłem w stanie znaleźć tego cholernego noża nawet we własnej głowie.

Na szczęście w stanie Minnesota nie trzeba dysponować narzędziem zbrodni, żeby dowieść zabójstwa drugiego stopnia, nie w przypadku, kiedy się miało przyznanie do winy, ciało i mnóstwo innych dowodów.

Posiedzenie sądu, na którym Peter Lund został postawiony w stan oskarżenia, transmitowały wszystkie stacje telewizyjne od nas aż do Florydy. Zadzwoniła do mnie siostra i powiedziała, że oglądała je na dwóch kanałach w Tallahassee. Ekipy telewizyjne skupiały się głównie na budynku sądu, ale niektórym nadal zdarzało się przyjechać do Pine Valley i filmować Main Street albo wejście do szkoły.

Stałem na końcu sali rozpraw obok jednego z urzędników sądowych. Bud, Mona i Greg siedzieli w pierwszym rzędzie po stronie oskarżyciela, za nimi zaś tłoczyli się przyjaciele i rodzina. Nikt nic nie mówił. Nigdzie nie widziałem Mary Beth Lund, ale tuż przed sędzią do sali weszła Winifred Erickson i zajęła miejsce w tym samym rzędzie co Carl Jacobs, za obrońcą.

Kiedy sędzia wezwał oskarżonego, wszystkie pary oczu przyglądały się, jak Lund zjawia się na sali, a potem powoli, ze wzrokiem wbitym w podłogę idzie na swoje miejsce i siada potulny jak baranek. Od tamtej chwili widziałem jedynie tył jego głowy. W ogóle się nie poruszył, dopóki sędzia nie zapytał go o to, czy przyznaje się do winy.

– Tak, Wysoki Sądzie. – Kiedy wypowiadał te słowa, uniósł głowę i spojrzał prosto na sędziego, a w jego głosie nie pojawił się choćby cień emocji. Równie dobrze mógł w tej chwili składać zamówienie w sklepie papierniczym.

Na sali rozległy się szepty. Sędzia je zignorował, oświadczył, że wyrok zostanie ogłoszony za trzy tygodnie, i na tym się skończyło.

Wychodząc z sali, Winifred zatrzymała się, aby zamienić ze mną słowo.

– Wysadzam w powietrze tamtą stodołę. W przyszłym tygodniu.

– Musisz mieć zgodę.

– Wniosek leży na twoim biurku. Nie mogę już na nią patrzeć.

Obejrzała się i kiwnęła głową, pokazując na zgromadzonych wokół prokuratora Hoffmanów, którzy dowiadywali się teraz pewnie, że Lund zostanie skazany na dwadzieścia do trzydziestu lat więzienia.

– Już to mówiłam Budowi i Monie. Nieważne, podpiszesz mi tę zgodę czy nie, ja i tak wysadzę to cholerstwo.

HATTIE / Piątek, 11 kwietnia 2008

Stodoła wznosiła się nad jeziorem niczym wodny potwór, mroczna i ponura, jak odstrasząca ludzi scenografia z horroru, ale ja czułam na jej widok podniecenie. Tommy zajechał na parking obok plaży.

Mego ciała nie opuściła jeszcze adrenalina, kiedy stałam na scenie w świetle reflektorów i wyczuwałam niemą fascynację widzów. Wszystko poszło idealnie. Nie przewrócił się żaden element scenografii, nikt nie doznał obrażeń, nikt nie zemdlał. Wszyscy pamiętali swoje kwestie, a Matt i ja przyćmiliśmy resztę obsady. I co ty na to, Portia? Po próbie kostiumowej miałam pewność, że w duchu liczy na to, że się przewrócę i złamię rękę, a wtedy ona będzie mogła zagrać Lady Makbet, upajając się faktem, że klątwa okazała się prawdziwa. Może jutro coś się wydarzy. Jeśli chodzi o mnie, to cała sala mogła się jutro zawalić. Dla mnie ważny był tylko dzisiejszy wieczór.

Długo czekałam, aż niemal wszyscy wyszli, próbując przyciągnąć uwagę Petera. Liczyłam, że da mi jakiś znak, iż później przyjdzie, więc w szatni nie spieszyłam się. Rzuciłam zakrwawioną suknię na krzesło, odwiesiłam koronę i przebrałam się w nową, jasnożółtą, rozkloszowaną sukienkę na ramiączkach. Kiedy wyszłam, nadal nigdzie nie mogłam dostrzec Petera, ale czekał na mnie Tommy. Na widok sukienki jego spojrzenie rozbłysło i już wiedziałam, co muszę zrobić. Jeszcze bardziej się ucieszył, kiedy mu powiedziałam, żeby zawiózł nas nad jezioro. Chociaż nie czułam się z tym dobrze, obdarzyłam go bladym uśmiechem. Całą drogę milczałam.

Po tym jak dojechaliśmy na miejsce, Tommy ze skrytki na drzwiach wyjął

butelkę. Pociągnął z niej spory łyk i podał mi ją.

– Co to? – Powąchałam i skrzywiłam się.

– Jim Beam mojego taty. Łyknij sobie.

Ledwie zamoczyłam usta, a zaczęłam się krztusić. Tommy zaśmiał się.

– Nie pije. Nie uprawia seksu. Jesteś tatusinym aniołkiem, co? –

Uśmiechał się, kiedy to mówił, ale jednocześnie nachylał w moją stronę.

Próbował mnie objąć, ale cofnęłam się i oparłam plecami o drzwi.

– Tommy, musimy porozmawiać.

– O czym?

– Nie mogę się z tobą dłużej spotykać.

– Co?

Powtórzyłam, nie patrząc na niego, czując na sobie jego skonsternowane spojrzenie. Tak bardzo mnie kusilo, aby wejść z powrotem w dawną rolę i nie sprawiać mu bólu. Skupiłam się na stodole, odetchnęłam głęboko i przypominałam sobie to, co powiedziałam Portii niecałą godzinę temu – koniec z aktorstwem.

– O czym ty mówisz? Zmieniły ci się godziny pracy czy co?

– Nie. – Staralam się, aby mój głos brzmiał spokojnie. – Chcę się rozstać.

Zobaczyłam, jak wycofuje się na swoją stronę. Przez chwilę milczał, by w końcu zapytać o powód.

– Po liceum się rozjedziemy. To się na pewno nie uda.

– Chodzi ci o seks, prawda? Hattie, przepraszam. Nie będę więcej naciskać. Obiecuję.

Skoro chciał to rozegrać w taki sposób, proszę bardzo. To, co powiem, nie będzie wcale kłamstwem.

– Wiesz, jakie mam do tego nastawienie. Ostatnio praktycznie cały czas czułam się niezręcznie. Byłam na pozycji obronnej, wiesz?

– Okej, w porządku? Więcej tego nie zrobię, nawet na balu maturalnym.

– Balu maturalnym? – Kompletnie mnie zaskoczył. Tak bardzo byłam pochłonięta przedstawieniem i Peterem, że w ogóle nie myślałam o balu.

Połykujące sukienki, wolne tańce, pozowanie przed domem, gdy tymczasem mama z tatą robią zdjęcia. To się wydawało takie... licealne.

– Pojedziemy całą grupą. Chłopaki chcą wynająć limuzynę i w ogóle.
– Nie pójdę na ten bal.
– Ale przecież wszyscy idą. – Powiedział to takim tonem, jakby to był jedyny, wystarczający argument. Gdyby tylko wiedział, jakie uczucia żywię względem wszystkich.

– Ja nie. – Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jaki ten bal byłby okropny. Tańczyłabym na sali gimnastycznej z Tommym i nie dopuszczałabym do tego, aby mnie obmacywał, gdy tymczasem Peter stałby w kącie razem z przyzwoitkami. Przez cały wieczór kombinowałabym, jak z nim porozmawiać, a on by się denerwował, bojąc się, że jedno z nas powie zbyt wiele albo będzie patrzeć zbyt długo.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Niektórym dziewczynom bal maturalny nie jest pisany, Tommy.

Ponownie przechylił się w moją stronę. Kiedy tylko poczułam, jak jego grube palce dotykają moich pleców, wyprostowałam się. Na jego twarzy dostrzegłam wahanie i ból.

– Zabierz rękę, Tommy.

– Co ja zrobiłem, Hattie? Co ja takiego złego zrobiłem?

Załamał mu się głos i w świetle parkingowej latarni widziałam, jak porusza mu się jabłko Adama. Nie mogłam dłużej tego znieść, nie mogłam tu siedzieć i słuchać, jak płacze z powodu dziewczyny, która nawet nie istnieje.

Otworzyłam drzwi, wzięłam torebkę i wyskoczyłam.

– Dokąd idziesz?

– Dokąd będzie mi się chciało.

W jego następnych słowach pojawiła się gorycz.

– Wszyscy mi mówili, żebym się z tobą nie umawiał, że jesteś dziwaczką i nic z tego nie będzie. No i chyba mieli rację.

– W takim razie poszukaj sobie kogoś innego, kogo zabierzesz na bal maturalny, Tommy. Jestem pewna, że znajdzie się jakaś miła trzecioklasistka, która chętnie pozwoli ci się bzykać.

Trzasnęłam drzwiami i udałam się w stronę ciemnego skraju parkingu, gdzie drzewa czekały, aby mnie połknąć i zabrać z widoku. Usłyszałam, jak

opuszcza się szyba.

– Gdzie idziesz, do cholery?

– Do Nowego Jorku! – odkrzyknęłam, nie odwracając się. – Spadaj, Tommy!

Pobiegłam w krzaki i odnalazłam ścieżkę, a potem zaczekałam, aż Tommy dodał gazu i wystrzelił z parkingu. Ścisnęło mnie w żołądku z powodu tego, że na niego nakrzyczałam i że zachowałam się tak jędzowato, ale tak było lepiej. Przynajmniej w poniedziałek nie będzie się próbował ze mną godzić. Opowie Derekowi i pozostałym kumplom z drużyny, jaka to ze mnie suka, a oni zmieszają mnie z błotem, postawią mu parę piw i na tym sprawa się zakończy.

Kiedy ryk silnika ucichł w oddali, zaczęłam wyłapywać inne dźwięki. W jeziorze kumkały pierwsze wiosenne żaby. Wiatr szeleścił w suchej, zeszłorocznej trawie i gdzieś, całkiem niedaleko, pohukiwała sowa. Możliwe, że siedziała na drzewie przy stodole. W końcu zniknęły nieprzyjemne uczucia i dotarło do mnie, że jestem wolna, że skończyłam z tą okropną rolą, którą sama dla siebie stworzyłam.

Szłam, niemal unosząc się nad ścieżką, gdy tymczasem światło księżycy odbijało się od wody i oświetlało mi drogę. Niebo było rozgwieżdżone. Będzie mi tego brakowało. W Nowym Jorku najpewniej nie widać gwiazd, nawet w Central Parku, ale tutaj – gdzie ciemność zakłócała jedynie latarnia na parkingu – miałam wrażenie, że znajduję się na krawędzi Układu Słonecznego. Migotały tysiące światełek, pulsując na nocnym niebie. Widziałam satelity i planety – spektakularny teatr światła. Otwierał się przede mną cały wszechświat i patrząc na niego, czułam się jednocześnie ogromna i mała. Tak, na pewno będę tęsknić za gwiazdami.

W stodole zapaliłam lampkę, którą zostawiłam w kącie, i sprawdziłam godzinę.

22.17. Jeszcze wcześniej. Możliwe, że Peter dopiero zamyka szkołę.

Nie przeszkadzało mi, że muszę czekać; dzięki temu mogłam przećwiczyć to, co zamierzałam powiedzieć. Nie odgrywałam już żadnej roli – koniec z tym – ale nie zaszkodzi się przygotować, aby mieć pewność, że z moich ust wydobędą się dokładnie takie słowa, jakie chcę. Ostatnim razem, gdy

próbowałam otworzyć się przed Peterem, wszystko się schrzaniło i nie zamierzałam po raz drugi popełnić tego samego błędu. Nie w sytuacji, kiedy to nasza ostatnia szansa.

Przećwiczyłam swoją przemowę i zaczęłam tańczyć, częściowo po to, żeby się rozgrzać, gdyż nie zabrałam ze sobą żadnego swetra, a częściowo dlatego, że Tommy przypomniał mi o balu maturalnym. Jakby to było wybrać się na prawdziwy bal – nie bal maturalny na sali gimnastycznej liceum w Pine Valley – taki prawdziwy, w sali balowej, w pięknej sukni, w towarzystwie mężczyzny w smokingu? Zaczęłam tańczyć walca, obejmując niewidzialnego partnera, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, tak jak nauczył mnie tato, kiedy miałam dziesięć lat i zobaczyłam w teatrze *Dziadka do orzechów*.

Tak bardzo oddałam się tańcowi, tak bardzo zajęło mnie obserwowanie, jak mój cień wiruje po ścianach, że niemal krzyknęłam, kiedy się odwróciłam i w tym, co zostało z okna, dostrzegłam zarys jakiejś sylwetki.

Z mocno bijącym sercem opuściłam ręce i potknęłam się na obluzowanej desce. Postać przez chwilę się nie ruszała, ale kiedy powoli zaczęła iść w stronę stodoły, przekonałam się, że to Peter. Dziwną miał minę. Można by sądzić, że rozśmieszy go moje niemądre zachowanie, on jednak wpatrywał się we mnie jak porażony. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

Milczałam, nie chcąc, aby czar prysł. Podeszłam do niego, jedną jego dłoń położyłam na swojej talii, a drugą uniosłam, pozwalając, aby zawisła w powietrzu między nami. Wolną ręką objęłam jego ramię, zachowując między naszymi ciałami stosowną odległość. Byliśmy niemal tego samego wzrostu. W jego oczach widziałam rosnący sprzeciw, poczułam, jak opuszcza go magia, więc przyciągnęłam go delikatnie ku sobie i zrobiłam pierwszy krok. Raz-dwa-trzy. Raz-dwa-trzy. I nagle zaczął tańczyć.

Tempo okazało się wolniejsze, niż kiedy tańczyłam sama. Wirował ze mną po całej stodole, zbliżając się do krawędzi wody i ani na chwilę nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Żadne z nas się nie uśmiechało. Krew krążyła mi szybciej w żyłach, a w podbrzuszu rodziło się to, co czułam zawsze, kiedy Peter mnie dotykał. Wiedziałam, że on także to czuje.

Tańczyliśmy całą wieczność, tak mi się przynajmniej wydawało. W końcu zatrzymaliśmy się na środku stodoły. Peter puścił moją talię i obrócił mnie powoli, dwa albo trzy razy, a potem cofnął się, aż już tylko opuszki naszych palców stykały się ze sobą. Opuścił rękę i staliśmy naprzeciwko siebie, ciężko oddychając.

– Nie wiem, co ja tutaj robię.

– Tańczysz ze mną – odparłam z prostotą, ale z Peterem nigdy nic nie było proste. Westchnął i wiedziałam, że nadciągają komplikacje. Zrobiłam krok w jego stronę i uniosłam rękę. – Zaczekaj, proszę. Zaczekaj. – Wzięłam głęboki oddech, pamiętając, co chcę powiedzieć. – Będiesz beznadziejnym ojcem.

Peter otworzył usta. I je zamknął. Następnie rzucił:

– Dzięki.

– Wszystko przemyślałam. Znam cię, Peterze. Wiem, że uważasz, iż musisz zrobić to, co dobre dla dziecka, i zostać z Mary, ale ona nigdy nie wyjedzie z Pine Valley. Albo więc utkniesz tu na zawsze, nie znosząc każdej chwili spędzonej w tej dziurze, albo i tak się w końcu rozwiedziecie, tocząc w sądzie batalię o prawo do opieki nad dzieckiem, każąc mu wierzyć, że to przez nie mamusia i tatuś się nienawidzą, raniąc mu psychikę już na całe życie. Potem co? Wrócisz do Minneapolis, aby zacząć od nowa, sam, i tak nie widując swojego dziecka, no bo mieszkasz za daleko, żeby wypełniać warunki wydanego przez sąd pozwolenia na spędzanie z nim co drugiego weekendu. Ja wtedy skończę już może trzydzieści lat, wyjdę pewnie za jakiegoś finansistę z Wall Street, który spodoba mi się tylko dlatego, że z wyglądu przypomina cię, będę go nienawidzić za to, że w ogóle mnie nie rozumie, i urodzę mu dzieci, których mam niemal pewność, że nie chcę mieć.

Peter uśmiechnął się niechętnie.

– Jak ma na imię?

– Barry. – Pokręciłam głową, jakbym wypowiadała to imię milion razy i jakby przykleiło się do mnie niczym guma do żucia do podeszwy buta. – Ma na imię Barry. Możesz w to uwierzyć?

– Mogę. Nie zapominaj, że Barry ma dobrą posadę. Prawdopodobnie

część wakacji spędzacie w Hamptons. Barry może zapewnić ci życie, na jakie zasługujesz.

– Barry to dupek.

Peter wybuchnął śmiechem, a ja ciągnęłam, zachowując się jak wkurzona żona:

– W ogóle mi nie pomaga przy dzieciach, a wieczory spędza w towarzystwie kolegów. Jak ci się wydaje, kiedy po raz ostatni zabrał mnie na jakieś przedstawienie, nie mówiąc o wyrażeniu zgody na wzięcie przeze mnie udziału w przesłuchaniach?

Peter przestał się śmiać i pokręcił głową.

– Boże, nie sądzę, aby istniał na tym świecie Barry, który cię utemperuje. Z torebki wyjęłam mały kluczyk do skrytki. Włożyłam go Peterowi w dłoń.

– Oto twoje pieniądze. Tak jakby.

Wpatrywał się w niego ze zmarszczonym czołem.

– Co to?

– Nasza przyszłość.

– My – podkreślił to słowo, a z jego twarzy zdążyły zniknąć resztki rozbawienia – nie mamy przyszłości, więc co to, u diabła, jest?

– Stacja autobusowa w Rochester, skrytka numer dwadzieścia cztery.

W niej są nasze bilety.

Wydał zduszony dźwięk i odwrócił się ode mnie, zaciskając dłoń na kluczu. Podłoga zatrzeszczała, kiedy podszedł zbyt blisko wody. Mówiłam dalej, starając się, aby mój głos brzmiał neutralnie.

– Wyjedziemy tydzień po zakończeniu roku szkolnego i zarezerwowałam nam miejsca w hostelu na dwa tygodnie, dopóki nie znajdziemy jakiegoś pokoju do wynajęcia. Reszty twoich pieniędzy i moich oszczędności wystarczy na kaucję i dwumiesięczny czynsz. Mogę się przenieść do jednego z trzech punktów CVS, które mają akurat wakaty, a ty zrobisz rozeznanie w kwestii tej twojej licencji. Ale myślę, że w międzyczasie powinieneś popracować w którymś z wydawnictw.

Odwrócił się w moją stronę. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego.

– Jesteś szalona.

– Wolę określenie „przebojowa”.

– Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że chcesz mi zwrócić pieniądze i się pożegnać.

– Bo chcę. – Zrobiłam krok w jego stronę. – Chcę, żebyśmy się razem pożegnali, z tą stodołą, z tym miastem, z tą beznadziejną sytuacją. Nie musi kończyć się to tak, że oboje jesteśmy nieszczęśliwi. Możemy uciec. Możemy zacząć wspólne życie.

– Chcesz zacząć nowe życie z kimś, kto porzuci żonę i nienarodzone dziecko?

– Chcę ciebie, Peterze. Po prostu ciebie. Nie etykietek, które próbujesz nam przyczepiać. Od tygodnia nie myślę o niczym z wyjątkiem nas. Oto, co wiem. – Położyłam rękę na jego ramieniu i choć cały był spięty, nie odsunął się. – Wiem, że kiedy cię poznałam, byłam nietykalna. Nic mnie nie ruszało. Nikt nie sprawiał, że miałam ochotę śmiać się albo płakać. Byłam niczym pusta skorupa. A ty stałeś się tym światłem, które dało mi odwagę, żebym po raz pierwszy zajrzała w głąb siebie. Ale nie wiedziałam, że ty także jesteś pusty. Dokonałeś złych wyborów, takich, których możliwe, że ja także bym dokonała, gdybym siebie nie odnalazła. Tobie także potrzebny był ktoś, kto cię uratuje. A teraz, kiedy odnaleźliśmy się nawzajem, nie możemy się od tego odwrócić. Nie mogę spędzić reszty życia ze świadomością, że miałam ciebie i pozwoliłam ci odejść.

Po twarzy płynęły mi łzy. Oczy Petera także błyszczały. Przełknął ślinę.

– Ale Mary. Jak mogę ją teraz zostawić?

– Jak możesz z nią zostać, skoro kochasz mnie?

– Jeśli wyjadę, znienawidzę samego siebie. – Kiedy próbował się odsunąć, złapałam go obiema dłońmi za koszulę.

– Bardziej się będziesz nienawidził, jeśli zostaniesz. – Zapędziłam go w suchy kąt stodoły; nasze cienie stawały się coraz mniejsze. – I ona także cię znienawidzi, dlatego że będzie wiedziała. Kobiety zawsze wiedzą takie rzeczy. Będzie wiedziała, że za każdym razem, kiedy się z nią kochasz, myślisz o kimś innym.

– Hattie...

– A twoje dziecko znenawidzi cię za to, że unieszczęśliwiasz jego matkę. – Pchałam go, aż plecami uderzył w ścianę.

Chwycił moje nadgarstki i próbował mnie od siebie odsunąć. Ale ja mówiłam dalej, a mój głos stawał się coraz głośniejszy i silniejszy.

– I w szkole także będą cię nienawidzić, no bo tam nie pasujesz. Bo jesteś lepszy i mądrzejszy od nich i ty to wiesz. I mieszkańcy tego miasteczka będą cię nienawidzić, dlatego że nigdy nie staniesz się jednym z nich. Wyszniiesz tutaj na wiór. Staniesz się starym, zgorzkniałym, bezużytecznym...

Rzucił się na mnie, zatykając moje usta swoimi, całując brutalnie, unieruchamiając głowę swoimi dłońmi. Zabrakło mi tchu, a on odwrócił nas i pchnął mnie na ścianę. Krzyknęłam, ale on nie przerwał. Dzięki ci, Boże.

– Peter. – Powtarzałam jego imię, kiedy złapał mnie za włosy, wbił kolano między uda i podciągnął mnie do góry.

– Tego właśnie chcesz?

– Tak. – Rozpięłam jego pasek. – Tak, zawsze.

Wyjęczał moje imię, a potem nie było już miejsca na słowa. Upadliśmy na podłogę, nawet się nie rozbierając, rozpaczliwie pragnąc swoich ciał. Było ostro i szybko, a po wszystkim on położył się na plecach i przyciągnął mnie do siebie, mocno przytulając.

Przez jakiś czas nic nie mówiliśmy, pozwalając, aby nasze oddechy się uspokoiły. A potem podparłam się na łokciu i uśmiechnęłam do Petera.

– Już dawno temu powinnam cię była znieważyć.

– Jestem zdumiony, że w ogóle znalazłaś we mnie coś sympatycznego.

– Mam bogatą wyobraźnię.

Uśmiechnął się, ale przez jego twarz przebiegł cień. Położyłam delikatnie dłoń na jego żuchwie i spojrzałam mu w oczy.

– Jedź ze mną do Nowego Jorku.

Naśladując mój gest, uniósł rękę i pogładził mnie po twarzy.

– Nie mogę. – Zamknął oczy i zasłonił je dłonią. – Ale, Boże, nie sądzę... – serce mi zamarło – abym mógł cię zostawić.

– C-co?

Nagle usiadł, pociągając mnie za sobą, następnie złapał mnie za ramiona i spojrzał mi w oczy. Przełknął ślinę.

– Kocham cię, Hattie Hoffman.

– Ja ciebie też kocham. – Serce waliło mi jak młotem, mocniej niż przez cały wieczór. Odsłoniłam wszystkie swoje karty. Nie zostało nic do powiedzenia, nic do zrobienia. Decyzja należała do niego.

– Mam mało pieniędzy – powiedział.

– Ja też.

– A będę miał jeszcze mniej, płacąc alimenty.

– W porządku.

– Nie wiem, gdzie znajdę pracę, zanim uzyskam licencję w Nowym Jorku.

– Będiesz pracował w branży wydawniczej, FanLit.

– Przed wyjazdem będziemy musieli powiedzieć o wszystkim twoim rodzicom.

To mnie przystopowało.

– Mówię poważnie, Hattie. Nie mogę dłużej żyć na pół gwizdka. Zrobimy to otwarcie albo w ogóle.

Tym razem to ja przełknęłam ślinę.

– Mój ojciec cię zabije.

– W takim razie umrę z czystym sumieniem.

Wzięłam głęboki oddech.

– Okej. Powiemy im razem. A wcześniej zamknę szafkę ze strzelbą.

– Mary powiem sam. Kiedy skończy się rok szkolny.

Wpatrywaliśmy się w siebie, a na naszych twarzach powoli wykwiwały uśmiechy. Oddychałam szybko i płytko i wzbierało we mnie podekscytowanie.

– Jedziesz ze mną do Nowego Jorku?

Wydawał się rozradowany i nagle zobaczyłam, jak musiał wyglądać jako dziecko. Twarz pełna nadziei, nienaznaczona smutkiem.

– Jadę z tobą do Nowego Jorku.

Krzyknęłam i rzuciłam się na niego i ze śmiechem turlaliśmy się po podłodze. Obsypywałam pocałunkami jego głowę, aż w końcu odnalazł moje ruchliwe usta i pocałował mnie, mocno i głęboko. Chyba jeszcze nikt nigdy nie

był tak szczęśliwy, jak ja w tamtej chwili. Czułam, że nie jestem tego szczęścia w stanie utrzymać w sobie, że wypływa z moich oczu i klatki piersiowej i wlewa światło do najciemniejszych zakątków tej nędznej stodoły.

– Kocham cię, kocham cię – powtarzałam, aż jakiś dźwięk na zewnątrz sprawił, że odskoczyliśmy od siebie i odwróciliśmy się w stronę okna, ale nie było tam nic z wyjątkiem wiatru, przez który zadrzałam. Peter potarł moje zmarznięte ramię i westchnął.

– Robi się późno.

– Nie, jest wcześniej. – Uśmiechnęłam się, ciesząc się, że będę mu tak mogła zaprzeczać do końca życia.

– I jest ci zimno. Czemu nie masz kurtki?

– Wiejskie dziewczyny są twarde.

– Lepiej, żeby tak było, bo czeka nas trudne zadanie. Powiedzenie wszystkim o nas. Zerwanie więzów.

Zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Wobec tego poćwiczmy jeszcze trochę całowanie, tak żeby się przygotować.

Po kilku minutach ponownie się odsunął.

– Naprawdę powinniśmy już iść. Jesteś pewna, że wrócisz sama do samochodu?

Prawie zapomniałam, że nie mam tu samochodu, ale nic nie powiedziałam.

Nie zamierzałam zaczynać naszego nowego życia jako bezradna sierotka.

Zadzwonię po prostu do Portii i przyjedzie po mnie na parking.

Prawdopodobnie siedzi jeszcze w Dairy Queen z resztą ekipy.

– Idź. Ja muszę coś jeszcze zrobić. – Wzięłam torebkę.

– Co z tym? – Podniósł klucz, który w pewnym momencie musiał upaść na podłogę.

– Zatrzymaj go. Mówiłam, że oddam ci dzisiaj twoje pieniądze.

– A ty akurat jesteś uosobieniem prawdy i uczciwości. – Podeszedł do mnie i z szerokim uśmiechem objął mnie w talii.

– Tak samo jak ty. Idealna z nas para.

Pocałował mnie po raz ostatni, a potem wyszedł. Zaczęłam wyjmować

z torebki telefon, ale ogarnęła mnie euforia. Przed oczami przemykała mi każda chwila i decyzja z minionego roku, które doprowadziły mnie do takiego, a nie innego miejsca w moim życiu. Obróciłam się kilka razy, obejmując się ramionami, następnie wyjęłam z torebki kamerę, by opisać każdą sekundę tego cudu, który się właśnie wydarzył.

DEL / Sobota, 10 maja 2008

Winifred wysadziła stodołę rankiem, w dniu otwierającym sezon wędkarski. Zazwyczaj Bud i ja spędzaliśmy ten dzień na łodzi patrolowej, krążąc po jeziorze Crosby i łowiąc drobnicę, która nie nadawała się do niczego poza ponownym wrzuceniem do wody. W lipcu jeździliśmy nad jezioro Michigan, w czasie pomiędzy obsiewaniem pól, kiedy Bud mógł sobie pozwolić na tydzień wolnego, i po tym, jak natarłem już uszu idiotom świętującym czwarty lipca. To była nasza poważna wyprawa wędkarska. Dzisiejszy dzień był po to tylko, żebyśmy znowu poczuli, jak to jest, gdy zanurza się wędkę w wodzie.

Podczas sezonu praktycznie tylko chłopcy patrolowali jezioro. Konfiskowali alkohol i wypisywali mandaty za brak kapoków, ale przede wszystkim pracowali nad opalenizną. Wszyscy lubili te patrole i pozwalałem, aby odbywali je zawsze z wyjątkiem dnia otwierającego sezon. Ten dzień należał do mnie i Buda.

Nie rozmawialiśmy od dnia, w którym aresztowałem Lunda, a Bud powalił mnie na ziemię. Chciałem zadzwonić, ale nie wiedziałem, co powiedzieć, poza tym miałem sporo zwykłej, codziennej pracy. Tommy zrobił się krnąbrny i zatrzymano go za jazdę po pijaku. Jego rodzice przekonali sędziego, aby potraktował go łagodnie, składając jego zachowanie na karb niedawnej straty. Otrzymaliśmy zgłoszenie, że traktor jedzie pod prąd autostradą, że doszło do kradzieży inwentarza żywego, poza tym pewien dziewięćdziesięciolatek wjechał w słup, gdyż pomyliły mu się biegi. Zajmowałem się papierkową robotą i wyznaczałem objazdy, niezmiennie czując, że powinienem przeprosić

Buda, tyle że nie wiedziałem za co. Raz czy dwa minąłem się z nim w miasteczku. Obaj w geście powitania unieśliśmy dłonie znad kierownicy i kontynuowaliśmy jazdę w przeciwnych kierunkach. W końcu, kiedy Lund został już postawiony w stan oskarżenia, podpisałem zgodę Winifred i zadzwoniłem do Buda. Powiedziałem mu, że podczas detonacji będę zabezpieczał teren od strony jeziora.

– Płynę z tobą – powiedział i rozłączył się.

Tego ranka zaparkowałem radiowóz przed wjazdem na parking już przed piątą, zanim nastał świt. Obok bramy wbiłem pal z tabliczką „Wstęp wzbroniony”.

– Już jest ciepło – rzekłem, kiedy odbiliśmy od brzegu.

Bud siedział na miejscu dla pasażera, patrząc przed siebie na czarną wodę. Kiwnął głową, a z jego twarzy nie dało się nic wyczytać.

– Niezła będzie w tym roku spiekota.

Potem żaden z nas się nie odzywał. Do wyburzenia miało dojść za godzinę, więc uruchomiłem silnik i wpłynąłem do jednej z zatoczek. Podałem Budowi przynętę. W milczeniu zarzuciliśmy wędki i czekaliśmy. Co jakiś czas odwracałem się, żeby sprawdzić, jak radzą sobie ludzie od detonacji. Uwijali się wokół stodoły, kilka ciemnych postaci na tle rozjaśniającej horyzont pomarańczowej łuny. Parę dni temu rozciągnęli sieć, żeby złapać w nią te fragmenty, które poszybują ku wodzie, przez co stodoła wyglądała, jakby ją przyklejono do gigantycznej packi na muchy.

Bud nie odwracał się. Kiedy coś pociągnęło za żyłkę, nawet jej nie wyciągnął. Miałem ochotę kazać mu to zrobić, ale słowa nie chciały wydostać się z moich ust. Obaj patrzyliśmy, jak żyłka porusza się to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu ryba uwolniła się z haczyka i odpłynęła.

Po jakimś czasie wzeszło słońce, ozłacając bladym światłem porastające brzeg zarośla. Zwinąłem żyłkę.

– Już pora.

Bud zrobił to samo co ja i bez słowa odłożył wędkę.

– Opłyniemy jeszcze raz teren, a potem się ustawimy na środku jeziora. Znajdziemy się poza zasięgiem ewentualnych odłamków.

Kiwnął głową.

Zwolniłem, kiedy podpłynęliśmy do brzegu, aby się upewnić, że nikt nie próbuje precyzyjnie się między radiowozem a znakiem zakazującym wstępu. Na ulicy stał sznur samochodów, ale zaopatrzeni w lornetki kierowcy opierali się o maski. Przyjechali tu na przedstawienie. Sporo trąbiono w mieście o tym, kiedy nastąpi wyburzenie, dzięki czemu na jeziorze nie zjawił się żaden rybak.

Dopłynąłem do wschodniej ściany stodoły, ekipie detonacyjnej kiwnąłem głową, dając im znać, że droga wolna.

– Piętnaście minut! – zawołał z brzegu jeden z nich. Machnąłem ręką i skierowałem łódź ku środkowi jeziora.

Kiedy zatrzymaliśmy się niedaleko stodoły, spojrzenie Buda stwardniało, ale nadal się nie odzywał. Choć przez te wszystkie lata połączyło nas wiele chwil milczenia, to głównie ja byłem jego inicjatorem. Bud pozostawał tym, który zawsze pierwszy zagaduje, mając na podorędziu jakiś dowcip albo historyjkę o dzieciach. Zżyłem się z moim milczeniem tak, że było dla mnie niczym żona, i nie poświęcałem mu wielu myśli. Milczenie Buda było czymś nienaturalnym. Nie wiedziałem, jak się przez nie przebić.

Ustawiłem odpowiednio łódź i zgasilem silnik. Było bezwietrznie. To dobrze. Gdy mijały kolejne sekundy, zacząłem się spinać, czując falę znajomych mdłości.

– Do diaska, nigdy nie przyzwyczaję się do eksplozji – rzuciłem, po to żeby coś powiedzieć.

Patrzyliśmy, jak ostatni członkowie ekipy wyburzającej wychodzą ze stodoły. Wsiadli do samochodów z napędem na cztery koła i ruszyli w kierunku domu Winifred, gdzie znajdował się sprzęt sterujący.

Otarłem chustką czoło, zimne i spocone. Bud wziął długi, głośny oddech.

– Pewnie nie masz przy sobie tej gorzały, którą konfiskujecie.

Zdziwiłem się – Bud był niepijący.

– Nie mam. W tym roku nikt jeszcze nie odbył wodnego patrolu.

A ewentualne łupy chłopaki dzielą między siebie.

– Tak pewnie lepiej. Tyle że... ja nie mogę...

– Wiem.

– Nie wiesz. – Pokręcił głową i wbił wzrok w stodołę. – Nic nie wiesz o tym, jak to jest, kiedy odbiera ci się życie twojej córki, a ty czujesz się kompletnie bezsilny. A potem dowiadujesz się, że sypiała ze swoim nauczycielem, żonatym nauczycielem. Mam wrażenie, że w ogóle jej nie znałem. Nie znałem własnego dziecka.

– Bzdura. Oczywiście, że ją znałeś. Była nastolatką, Bud. A im się wydaje, że są zakochane, i robią wtedy głupoty. Wszystkie w końcu z tego wyrastają. Z Hattie też tak by się stało.

– No i jeszcze on. – Ponownie ogarnęła go wściekłość. – Dwa miesiące temu siedziałem naprzeciwko niego na wywiadówce Hattie i słuchałem, jaka z niej bystra, utalentowana dziewczyna. A w tym samym czasie wkładał jej swoje brudne łapska pod spódnicę. Boże, za samo to powinien zgnić w więzieniu. Ale odebrać jej życie... zadać cios prosto w serce...

Bud cały się trząsł; gotował się w nim czysty gniew, który nie mógł znaleźć ujścia.

– To za mało, Del. Więzienie to za mało. Muszę mu coś zrobić. Mam ochotę wrzucić go teraz do tej stodoły. Chcę, aby za to, co zrobił, ten sukinsyn zmienił się w pokarm dla ryb.

– Bud... – Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie wiedziałem, czy w takiej sytuacji w ogóle da się znaleźć odpowiednie słowa, ale to już nie miało znaczenia, gdyż spokój poranka przerwał wybuch.

Stodoła eksplodowała tysiącem błysków i odłamków drewna, a potem wszystko zakrył dym. Odruchowo sięgnąłem ręką do kabury i przykucnąłem za szybą łodzi. Bud nie zwrócił na to uwagi. Kiedy dym się rozproszył i w powietrzu rozniósł się zapach dynamitu, trochę się rozluźniłem i podpłynąłem bliżej brzegu. Ci faceci od wyburzeń znali się na swojej robocie. Stodoła była teraz kupą gruzu i drewna, znajdującą się częściowo na lądzie, a częściowo w gigantycznej sieci.

Po kilku minutach wróciły terenówki i otrzymaliśmy sygnał, że droga wolna.

– No i już po wszystkim. – Zacząłem zawracać łódź, kiedy Bud wychylił się za burtę.

– Czekaj.

Pokazał na wodę. Tuż pod powierzchnią unosiły się dwa martwe okonki. Chwilę później wypłynął trzeci. I kolejny.

– Popatrz tylko na niego. Półtora kilo jak nic.

Otoczały nas unoszące się na grzbietach ryby, a ich srebrne brzuchy migotały w porannym słońcu niczym setki promieni światła. Nie byliśmy ich w stanie wszystkich zliczyć. Były wszędzie.

– To pewnie fala uderzeniowa. – Rzeczywiście ją wyczułem, ale uznałem, że to tylko moja wyobraźnia. Kiedy jednak zobaczyłem te wszystkie martwe ryby, cóż, od razu poczułem się lepiej.

Staliśmy ramię w ramię, wpatrując się w wodę.

– Chodźmy się czegoś napić, co?

– Mmm.

Zostawiliśmy za sobą pływające brzuchami do góry ryby i krzątającą się wokół gruzowiska ekipę i wróciliśmy na plażę. Kiedy chowaliśmy łódź do hangaru, dostałem przez radio zgłoszenie.

– Mamy dziesięć-pięćdziesiąt-dwa, dwa pojazdy na drodze ekspresowej numer dwanaście, na odcinku wzdłuż jeziora. Del, jesteś jeszcze na wodzie?

– Właśnie zszedłem na ląd, Nance. Zaraz tam jadę. – Byłem już w połowie drogi do radiowozu. – Sorki, Bud. Będziesz musiał jechać ze mną i poczekać w radiowozie, chyba że chcesz zostać tutaj. Mona na pewno by po ciebie przyjechała.

Ale on zapinał już pasy. Włączyłem koguta i szybko minąłem sznur samochodów. Kilka osób obejrzało się za nami.

– Co to jest dziesięć-pięćdziesiąt-dwa?

– Wypadek z ofiarami.

Szybko go znaleźliśmy. Ciężarówkę z naczepą złożyło jak scyzoryk, a niedaleko niej stał kierowca i gorączkowo do nas machał. Gdy się zatrzymaliśmy, naszym oczom ukazał się widoczny pod ciężarówką pikap, a przynajmniej to, co z niego zostało. Był to jeden z monster trucków, zmodyfikowana wersja F150.

Zaparkowałem pośrodku drogi, żeby ruch odbywał się tylko lewym pasem.

– Wjechał prosto na mnie – wyrzucił z siebie kierowca, gdy tylko otworzyłem drzwi. – Rozległ się wielki huk, a potem jego auto wjechało w moje. Nie dałem rady zjechać z drogi.

– Co pan tu wiezie? – Zerknąłem na przewody paliwowe, żeby sprawdzić, czy nie są uszkodzone.

– Produkty rolne. Truskawki z Kalifornii.

Zajrzałem pod ciężarówkę.

– Halo! Tu szeryf Goodman. Słyszysz mnie?

Cisza.

Po drugiej stronie ciężarówki zobaczyłem parę ciężkich butów.

– Del! – To był Bud.

Zanurkowałem między kołami i wyszedłem obok niego.

– To auto Tommy’ego – powiedział Bud. – Tommy’ego Kinakisa.

– Pomóż mi otworzyć drzwi.

Szarпалиśmy je, aż w końcu udało się je otworzyć na tyle, bym mógł się wślizgnąć do środka.

Tommy wyglądał tak, jakby połknęła go kierownica. Cała deska rozdzielcza dojechała aż do oparcia, a chłopaka zakleszczyło pomiędzy kierownicą a fotelem. Z kierownicy kapłała krew, a na podłodze leżało kilka pustych butelek. Bez wielkiej nadziei sprawdziłem puls. Oczy Tommy’ego były otwarte i niewidzące.

Wyczołgałem się z wraku i pokręciłem do Buda głową, następnie wezwałem karetkę.

– Jezu, on nie żyje? – Kierowca ciężarówki trzymał się za głowę, jakby miała mu odpaść.

– Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, co się stało. Tym razem spokojniej.

– Połowę towaru miałem wyładować w Rochester, a połowę w Red Wing. Wyjechałem z Rochester i tak sobie myślałem, że powinienem zatankować, kiedy nagle rozległ się głośny wybuch, nie wiadomo gdzie i czemu.

– Wyburzono stodołę za tamtym wzgórzem. Nieco ponad kilometr stąd.

– Och. Och, rozumiem. – Otarł czoło.

– Więc po wybuchu...

– I w tym momencie, od razu po wybuchu, wjechało we mnie to auto. Jechało z naprzeciwka, co najmniej sto dwadzieścia na godzinę, i wyglądało tak, jakby wpadło w poślizg. Zarzuciło tyłem i dałem po hamulcach, próbując zjechać na drugi pas. Nim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, on już był pode mną. Kiedy się zatrzymałem, wyskoczyłem, żeby sprawdzić, czy jest ranny, ale udało mi się dostrzec jedynie głowę, a on się nie ruszał i nie odpowiedział, kiedy go wołałem, więc zadzwoniłem po pomoc.

– Nie przejeżdżał w tym czasie żaden inny samochód? Nikt więcej tego nie widział?

– Nie, nikt. W tej okolicy jest raczej spokojnie. Może potem coś jechało, nie pamiętam.

– Del! – zawołał Bud. Obejrzałem się i zobaczyłem, że zagłąda do auta Tommy’ego.

– Proszę pilnować, czy nie jedzie karetka – rzuciłem do kierowcy i biegiem wróciłem do zakleszczonego samochodu. Czy to możliwe, że Tommy żyje? Nie wyczułem tętna. – O co chodzi?

Bud cofnął się, wpatrując się w pikapa takim wzrokiem, jakby ktoś go ogłuszył ciosem w tył głowy. Uniósł rękę i pokazał mi coś palcem.

Zajrzałem do środka, ale nic się nie zmieniło. Tommy nadal nie żył. Nie wyczułem benzyny.

– Drzwi – wyrzucił z siebie Bud i wtedy to zobaczyłem.

Wewnętrzny panel drzwi od strony pasażera był pęknięty, a pod nim, poplamiony zaschniętą krwią, znajdował się nóż Mary Beth Lund. Nóż, który mi się śnił, nóż, którego nie udało nam się wyłowić z jeziora. Nachyliłem się i zobaczyłem, że pod nożem leży coś prostokątnego z przyciskami. Gotów się byłem założyć o tysiąc dolarów, że to zaginiona kamera Hattie.

– Sukinsyn – szepnąłem.

Bud podszedł do mnie i staliśmy tak razem, wpatrując się w pokiereszowane ciało Tommy’ego.

– Lund – powiedział cicho Bud i wiedziałem, że myśli o tym samym, co ja.

Peter Lund przyznał się do zbrodni, której nie popełnił. Może sądził, że tym sposobem chroni kogoś innego, a może chciał ponieść karę za inne

grzechy. Tak czy inaczej, zanosilo się na to, że kolejnych dwadzieścia do trzydziestu lat spędzi w więzieniu, a jedyna rzecz na świecie, która mogła go przed tym uchronić, znajdowała się teraz metr od nas.

Zerknąłem na Buda. Z oddali dobiegło wycie karetki i syrena policyjna. Nie było czasu, aby to wszystko przemyśleć. Nie było czasu na zastanawianie się nad moralnym aspektem ludzkich czynów, nad tym, czy bardziej lojalnym powinno się być względem przyjaciela czy względem prawa i państwa, które to prawo ustalało, nie było czasu, aby przeanalizować te całe mnóstwo pytań, które przez kolejne lata będą mnie prześladować w środku nocy, gdy będę siedział w ciemnym salonie, wpatrywał się w kota sąsiadów i czuł, że nie mam prawa nosić odznaki, że zawiodłem instytucję, której poświęciłem całe życie. Dźwięk syren stawał się coraz głośniejszy. Odwróciłem się do Buda, mojego najstarszego, doświadczonego przez los przyjaciela, i oddałem mu okruch tego, co stracił.

– Decyzja należy do ciebie.

Po jego pokrytych zarostem policzkach popłynęły łzy.

– Nie wiem, Del.

– W takim razie zdecyduj za Hattie. Wybierz za nią.

Patrzyłem, jak ręka Buda powoli się unosi, aby albo otworzyć do końca skrytkę w drzwiach, albo ukryć ją na zawsze. Aby ujawnić, kto zamordował jego córkę, albo skazać jej kochanka na życie za kratkami.

Trzęsła mu się ręka, gdy podejmował decyzję.

DEL / Niedziela, 11 maja 2008

Razem z Jakiem obejrzelismy nagranie od samego początku. W pokoju przesłuchań pojawiła się Hattie, w jednej chwili rozpromieniona i ożywiona, w następnej poważna i wielkooka, opowiadając nam wszystko, co zrobiła w ciągu ostatniego roku swojego krótkiego życia. To właśnie tego rodzaju pamiętnik spodziewałem się znaleźć, gdy kilka tygodni temu przeszukiwałem jej pokój.

Kiedy z jej sypialni akcja przeniosła się do ciemnego wnętrza stodoły, obaj się wyprostowaliśmy. Wszystko we mnie stężało i zrobiło mi się zimno. Hattie nie była świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, i radośnie opowiadała o swojej schadzce z Lundem i planach wspólnej ucieczki. Promieniała, emanowały z niej życie i nadzieja. Jakieś skrzyknięcie sprawiło, że z uśmiechem odwróciła wzrok od kamery.

– Zapomniałeś...

Jej uśmiech zbladł. Zrobiła krok w tył, odsuwając się od kamery i od osoby, która właśnie weszła do stodoły.

– Tommy.

– Ty kłamliwa dziwko.

Hattie cofała się, aż widać było tylko górną połowę jej ciała.

– Co tu robisz?

– Szukałem cię. – Tommy pojawił się na ekranie, w jednej ręce trzymając nóż Mary Beth. – Pojechałem do domu, a potem wróciłem. Jeździłem po bocznych drogach i szukałem cię, żeby cię odwieźć, bo źle się czułem z tym, co ci powiedziałem.

– To słodkie. – Głos jej zadrżał.

– A potem zajrzałem do stodoły.

Szedł w jej stronę, powoli, aż znalazł się w rogu kadru razem z Hattie. Stał tyłem do kamery.

– I zobaczyłem, jak siedzisz na kolanach pana Lunda, obściskując się z nim tak, jakbyście właśnie skończyli się pieprzyć.

– Tommy, mogę to wyjaśnić.

– Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień, Hattie! Wszystko zrozumiałem! Ze mną nie chcesz uprawiać seksu, ale dajesz dupy jednemu z nauczycieli. Stawia ci dobre stopnie? Robisz mu laskę za każdą piątkę?

– Ja go kocham, Tommy. – Spojrzenie Hattie co i rusz zatrzymywało się na nożu.

– A więc zdradzasz mnie z nauczycielem. Pozwalasz mu robić wszystko to, czego mi odmawiasz. Śmiałaś się ze mnie za moimi plecami? Śmiałaś się ze mnie, kiedy się z nim gziłaś?

– Nie. Nie, nigdy się z ciebie nie śmiałam. W ogóle... o tobie nie myślałam. – Zrobiła kolejny krok w tył i deski zatrzeszczały. Musiała znajdować się już blisko krawędzi wody. – Byłeś naprawdę dobrym chłopakiem, Tommy. Naprawdę. Tak bardzo cię przepraszam. Nie chciałam przysparzać ci bólu. – Nagle pokazała na nóż w jego dłoni. – Po co ci on?

– Mam zamiar uzyskać od ciebie odpowiedzi na kilka pytań. Widziałem, jak Lund wychodzi, i czekałem na ciebie. Wtedy znalazłem to. – Po raz pierwszy uniósł nóż, kierując ostrze ku klatce piersiowej Hattie.

– Możesz go odłożyć? Pojedziemy, gdzie będziesz chciał, i tam porozmawiamy. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, całą prawdę. Obiecuję.

– Pieprzyłaś się z nim tutaj? – zapytał ostro, podnosząc głos.

Zawahała się.

– Tak.

– W takim razie chcę rozmawiać tutaj.

Dzielił ich już tylko nieco ponad metr.

– Od kiedy dajesz dupy naszemu nauczycielowi angielskiego?

– Od stycznia.

Usłyszawszy to, zachwiał się i zrobił krok w tył, zwiększając nieco dzielącą ich odległość. Spojrzenie Hattie zarejestrowało ten dystans, a potem powróciło do jego twarzy. Mina Hattie wyrażała kontrolowaną panikę, ale także koncentrację.

– Od stycznia? Sypiasz z nim niemal od samego początku naszego związku?

– Tommy, zaczęłam się z tobą spotykać po to, żeby móc z nim sypiać. – Zrobił kolejny krok w tył, a głos Hattie stał się głośniejszy i pewniejszy siebie. – Nie chciał, żeby ktokolwiek się o nas dowiedział, więc znalazłam sobie chłopaka. Prawdziwego amerykańskiego bohatera drużyny futbolowej. To była idealna przykrywka.

– O mój Boże. O mój Boże. – Tommy złapał się za głowę i zaczął się kołysać.

– Nie chodziło mi o to, żeby cię skrzywdzić, ale tak naprawdę miałam cię gdzieś, Tommy. W tym wszystkim w ogóle nie chodziło o ciebie.

Siedzący obok mnie Jake poruszył się i szepnął:

– Co ona robi?

– Próbuje sprawić, żeby się cofnął. Za każdym razem, kiedy mówi coś okropnego, on robi krok w tył. Widzisz?

Pokazałem na dzielący ich dystans, drogę ucieczki, którą szykowała dla siebie w jedyny znany jej sposób.

– Ty. – Tommy wziął się jakoś w garść i ponownie wycelował w nią nożem. – Uważałem, że jesteś dobra, że mnie lubisz. Przez tyle nocy myślałem, że to ja jestem tym niedobrym, no bo chciałem... ale ty jesteś taka jak dziś wieczorem. Prawda? Jesteś taka, jak na scenie.

– Co? – Koncentrację zastąpił szok. Oczy Hattie były białymi punktami na ekranie.

– Ty jesteś tą królową. Tą złą suką, która zmusza mężczyzn do robienia strasznych rzeczy. To ty, prawda? Ty... manipulujesz ludźmi – wypluł z siebie. – Wykorzystujesz ich, żeby dostać to, czego chcesz.

Kątem oka zobaczyłem, jak dłoń Jake'a biegnie ku jego twarzy, a potem

wszystko potoczyło się szybko.

Tommy zrobił krok do przodu, a Hattie próbowała go ominąć i uciec. Kiedy zniknęła z ekranu, Tommy rzucił się za nią i jego ręka wykonała zamach. To było silne, głębokie pchnięcie. Jeden ruch, krzyk i tyle. Hattie zatoczyła się i przez ułamek sekundy znowu się pojawiła na ekranie, usta otwarte, oczy wielkie, a potem upadła ciężko na deski.

Tommy przez chwilę był jak sparaliżowany, następnie także zniknął z pola widzenia.

– Hattie? Hattie? Hattie! – wołał błagalnie. Wstał i zaczął się kołysać. – Nie, nie, nie, nie, nie, nie. – Kołysanie przybrało na sile. Głowa zaczęła mu się trząść. – Nie Hattie. To nie Hattie.

Długo powtarzał śpiewnie te słowa, kołysząc się jak małe dziecko i zakrywając dłońmi twarz. Potem klęknął, nadal zaprzeczając temu, co się stało, głosem, który stał się zduszony i dziwnie urywany.

Doprowadzał do tego, aby jej twarz zniknęła.

Kiedy znowu pojawił się na ekranie, w rękach trzymał jej torebkę.

– Bal maturalny. Domek letniskowy. Ona chce jechać. Wszyscy jadą – powiedział, przechodząc obok kamery. Twarz miał zarumienioną, oczy mu płonęły i niczego nie dostrzegał. Minęła cała minuta, nim wrócił, mamrocząc coś i płacząc. Nie dało się zrozumieć jego słów.

Schylił się, podniósł nóż i znalazł się na samym środku ekranu. Przez chwilę stał nieruchomo, zanosząc się płaczem, po czym odwrócił się na pięcie, jakby chciał stąd uciec. I wtedy zobaczył kamerę.

Przestał płakać i patrzył w kamerę tak, jakby mógł nas teraz widzieć: żywych, jakby zahipnotyzowanych, wpatrujących się w tych, których już nie ma. Spojrzał na trzymany w ręce nóż, a potem z nagłym zdecydowaniem ruszył w stronę kamery. Na chwilę wszystko zaczęło się obracać, a potem ekran stał się czarny.

Dużo czasu minęło, nim któryś z nas się poruszył. Pokój zrobił się zamazany i nie powstrzymałem łez, pozwalając, aby smutek i żal, które tłumiłem w sobie przez ostatni miesiąc, w końcu znalazły ujście. Kiedy Jake wstał, żeby wyłączyć telewizor, miał na tyle przyzwoitości, żeby odwrócić

wzrok.

PETER / 9 czerwca 2008

Przed więzienną bramą czekał na mnie radiowóz szeryfa. Nikt mnie nie uprzedził, tak samo jak nikt nie wspomniał o tym, że zostanę wypuszczony w środku nocy, obudzony z głębokiego snu, gdy tymczasem moi współwięźniowie mrugają oszołomieni w świetle latarki strażnika.

Dziwne, ale w ogóle mnie to nie zdziwiło. Po tym, jak zadzwonił do mnie adwokat, nie sądziłem, aby cokolwiek w życiu mogło mnie jeszcze zdziwić.

Znaleziono nagrany przez Hattie filmik, na którym widać, jak ginie. Zabił ją Tommy Kinakis. On także już nie żył. Po kilku tygodniach wypełniania stosownych dokumentów wyrok skazujący został uchylony.

Przeszedłem obok okna w bramie, gdzie uzbrojony strażnik zmierzył mnie pogardliwym spojrzeniem. Garnitur, który miałem na sobie w drodze z sądu do więzienia, wisiał na mnie luźno. Nie miałem niczego, nie licząc schowanego do kieszeni spodni portfela.

Cicho wślizgnąłem się na tylną kanapę radiowozu. Szeryf nie odwrócił się, a na to, że zauważył moją obecność, wskazywał jedynie fakt, że wrzucił bieg i wyjechał z parkingu. Pobliskie wzgórza spowijała ciemność, a kiedy jechaliśmy w kierunku południowym w stronę Minneapolis, minęło nas tylko kilka innych samochodów. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 1.07.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem po jakichś piętnastu kilometrach.

Miałem wrażenie, że minęło kolejnych piętnaście, nim odpowiedział:

– Zobaczysz.

Wyrzuci mnie pewnie na jakiejś szemranej ulicy w północnej części miasta, może na terenie rządzonej przez gangi. Nie miało to znaczenia.

Nie miałem pojęcia, co teraz zrobię. Przez kilka ostatnich tygodni to pytanie bzycało wokół mojej głowy niczym mucha. Ignorowałem je i jadłem śmierdzący plastikiem lunch albo biegałem wokół dziedzińca, albo zasypiałem przy dźwiękach metalu uderzającego o metal i roznoszącego się po bloku śmiechu. Tak było łatwiej egzystować, w tej stanowiącej nicość przyszłości, którą dla siebie zaplanowałem. Ale nagle pojawiła się inna przyszłość, alternatywna rzeczywistość, na którą byłem zupełnie nieprzygotowany.

Nie miałem już zawodu. Licencję nauczyciela cofnięto mi, kiedy siedziałem w areszcie w Pine Valley, a nawet gdyby tak się nie stało, nie zatrudniłaby mnie żadna szkoła w kraju.

Żony także już nie miałem. Dokumenty rozwodowe otrzymałem zaraz po tym, jak mnie przeniesiono do St. Cloud. Złożyłem podpis obok podpisu Mary, odesłałem dokumenty w dołączonej do nich kopercie ze znaczkiem i uznałem, że to nasz ostatni kontakt. Potem odebrałem zmieniający wszystko telefon od adwokata, a w kolejną niedzielę w porze odwiedzin pojawiła się niespodziewanie Mary.

Dobrze wyglądała – policzki znowu miała okrągłejsze, a usta nieco czerwieńsze. Włożyła sukienkę w zielone listki, którą widziałem po raz pierwszy. Może nie była to typowa sukienka ciążowa, ale w niczym nie przypominała tych dopasowanych w talii ubrań w stylu *vintage*, które tak lubiła. Kiedy usiadła, materiał podkreślił nieznacznie zaokrąglony brzuch. Nie pozwoliłem sobie zbyt długo na niego patrzeć.

Żadne z nas nie chciało odezwać się jako pierwsze. Siedzieliśmy ze wzrokiem wbitym w blat rozdzielającego nas stołu i minęła cała minuta, nim Mary w końcu przerwała milczenie.

– Słyszałeś?

– Tak.

Kolejna pauza, a potem moja była żona przeszła do sedna sprawy.

– Myślałam, że to ty. Uznałam, że będziesz kłamał, tak jak kłamałeś we wszystkich innych kwestiach. Dlatego odwiedziłam cię w areszcie: chciałam mieć pewność, że się przyznasz.

Mówiła do swoich splecionych dłoni i spostrzegłem, że nie nosi już

obrączki.

– Ale ty myślałeś, że to ja, prawda? – kontynuowała. – Kiedy dowiedzieliśmy się o Tommym, jeszcze raz przeanalizowałam naszą rozmowę i dotarło do mnie, jak musiałeś odebrać moje słowa. Przyznałeś się do winy, ponieważ sądziłeś, że to ja zabiłam tę dziewczynę.

– Tak. Przepraszam.

Kiwnęła głową i odetchnęła głęboko, jakby pozbyła się czegoś, co długo w niej siedziało. Zmieniłem temat, wypytując o Elbę, farmę, i przez chwilę prowadziliśmy wymuszoną rozmowę, a potem Mary wstała.

– Kiedy cię wypuszczą? – Omiotła spojrzeniem pomieszczenie.

– Nie wiem. Pewnie niedługo.

– Co zamierzasz zrobić?

Pytanie za milion dolarów. Ze wzrokiem wbitym w dziurawy asfalt, uciekający spod kół samochodu szeryfa, przypominałem sobie profil Mary, kiedy odwróciła ode mnie głowę. Pachniała wiatrem i słońcem.

Odpowiedziałem, że coś wymyślę, żeby móc płacić alimenty.

Zażenowana, skinęła głową, a potem wyszła.

W mieście miałem kilkoro przyjaciół, którzy być może pozwoliliby mi u siebie mieszkać w czasie, gdy szukałbym jakiejś pracy. Gdy zastanawiałem się nad dostępnymi opcjami, minęliśmy przedmieścia i wjechaliśmy do centrum. Linia nieba i złota poświata, na tle której wybijała się iglica Foshay Tower, była niczym dawno niewidziany przyjaciel. Po tak długiej jeździe w ciemnościach teraz łzawiły mi oczy. Dopiero kiedy przejechaliśmy przez Missisipi i minęliśmy St. Paul, dotarło do mnie, że większość podejrzanych okolic została już za nami i że szeryf nie wyrzucił mnie jeszcze z radiowozu. Kilka kilometrów dalej, kiedy wjechał na autostradę prowadzącą do Rochester, zaprezentowała mi się kolejna potencjalna przyszłość.

A może zabierał mnie z powrotem do Pine Valley. W środku nocy. Bez żadnych świadków.

Puls mi przyspieszył, a serce podeszło do gardła, kiedy wszystko stało się jasne. Szeryf przyjaźnił się z Hoffmanami.

– Czy może mi pan powiedzieć, dokąd jedziemy? – zapytałem raz jeszcze,

tym razem nachylając się ku przednim fotelom.

Zaśmiał się, ale był to śmiech pozbawiony wesołości.

– Widzę, że trochę się denerwujesz. Martwisz się powrotem do domu?

– Mary i ja nie jesteśmy już małżeństwem. Nie chce, żebym wracał. –

Staralem się, aby mój głos brzmiał spokojnie.

– Wyobrażam sobie.

Zerknął na mnie w lusterku wstecznym, a potem znowu skupił się na drodze. Miasto zniknęło za nami niczym nocny miraż. Uderzyła mnie myśl, że ten człowiek poznał najintymniejsze szczegóły mojego życia, a ja nie wiedziałem o nim zupełnie nic. Mógł być żonaty, mógł być gejem, Żydem, ateistą albo wszystkim naraz, ale tak naprawdę wszystko to nie miało znaczenia. Nie mówiło nic o tym, jakim jest człowiekiem.

Był bez kapelusza i po raz pierwszy zwróciłem uwagę na jego wiek. Siwe włosy miał starannie przycięte nad kołnierzykiem, a opaloną szyję przecinały zmarszczki. Choć ręce spoczywały na kierownicy w prawidłowej pozycji za dziesięć drugą i siedział wyprostowany, nie wyczuwało się w nim przesadnej oficjalności. Wyglądał jak ktoś, kto ma jasno wytyczony cel i wspierają go całe dekady czynienia tego, co należy.

– Czy coś by zmieniło, gdybym powiedział panu, jak bardzo jest mi przykro?

Jego widoczne w lusterku oczy pociemniały.

– A niby w jaki sposób?

Pokręciłem głową, nie mogąc nie przyznać mu racji. Żał niczego nie zmieniał.

Z każdym kolejnym kilometrem moja rezygnacja rosła. Nie zastąpiła paniki i nic nie mogłem z tym zrobić. Moje ciało nie chciało umierać. Serce obijało mi się boleśnie o żebra i miałem problem z oddychaniem. Odchyliłem się na fotelu i dłonie położyłem na siedzeniu. Jeśli to była moja ostatnia jazda samochodem, nie zamierzałem jej spędzić na poddawaniu się strachowi. Minęliśmy kolejne wzgórze, przejechaliśmy przez zagajnik, następnie zjechaliśmy do doliny, której pola srebrzył księżyc. Nawet po ciemku potrafiłem odróżnić soję od kukurydzy, a kawałek dalej wypatrzyłem stado

bydła mlecznego. Dziwne, że to wiedziałem, nie przypominając sobie, kiedy zdobyłem tę wiedzę. Wtedy coś mi przyszło do głowy.

– Hattie była przerażona?

Szeryf na pewno widział nagranie. Był świadkiem ostatnich chwil życia Hattie, które wyobrażałem sobie tysiące razy, a moje przerażenie potęgował fakt, iż nie wiedziałem, co wtedy czuła ona.

Westchnął, a ja się spałem, czekając na cios. Wstrzymałem oddech.

– Tak – powiedział w końcu.

– Co się stało? – wydusiłem z siebie.

Długo milczał i nagle miałem ochotę rzucić się na niego i siłą wyciągnąć tę informację. Dłonie zacisnąłem w pięści. Trząśłem się.

– Proszę – dodałem, zaciskając powieki. – Proszę mi powiedzieć.

– Zaskoczył ją, zjawiając się tam z nożem. – Głos miał cichy. – Przyparł ją do muru. Była przerażona, ale powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć. Powiedziała prawdę. Potem próbowała uciec i zginęła, nim zdążyła upaść na ziemię.

Westchnął, a ja milczałem, nie będąc w stanie wydobyć z siebie głosu.

Oparłem się o szybę i wytarłem oczy, a w mojej głowie rozgrywała się scena zabójstwa. Widziałem, jak Hattie upada. Upadała i upadała, ani razu nie dotykając drewnianej podłogi, już na wieczność zawieszona w tym ostatnim momencie. Mój umysł nie potrafił jej ożywić i nie chciał pozwolić jej umrzeć.

– Coś mi w tym wszystkim nie grało. – Odezwał się szeryf po kilku kolejnych kilometrach. – Większość fragmentów układanki się zgadzała. DNA. Przyznanie się do winy. Rzeczy w skrytce na dworcu.

Ton jego głosu uległ zmianie. Miałem wrażenie, że nie jestem już adresatem jego słów, ale i tak odpowiedziałem.

– Myślałem, że robię to, co należy. Chociaż raz.

Pokiwał powoli głową, nie odrywając wzroku od drogi.

– No tak. I niemal kosztowało nas to prawdę.

– A więc to moja wina, że Tommy ją zabił?

– Tommy Kinakis nie był mordercą. To przez was ten chłopak poczuł się rozdarty. Kiedy uderzył w tamtą ciężarówkę, we krwi miał 1,25 promila. Jego

rodzice wystawili dom na sprzedaż i w ogóle nie pojawiają się w mieście. I według mnie...

Nagle urwał. Choć widziałem tylko fragment jego twarzy, wyraźnie próbował tłumić w sobie targające nim emocje. Kiedy się znowu odezwał, głos miał zduszony.

– ...według mnie to wina Hattie.

Oddychał głęboko, starając się uspokoić.

– Kochałem tę dziewczynę, kochałem każdy bezczelny, wyszczekany włos na jej głowie, ale prawda jest taka, że tak jak on zabił ją, ona zabiła jego. I żadne z nich wcale tego nie chciało. Para głupich dzieciaków.

Światła jadącego z naprzeciwka samochodu oświetliły jego profil, kiedy potrząsnął głową.

– Głupie dzieciaki, które nigdy nie dorosną i nie przekonają się, że może być inaczej. Nigdy nie zobaczą świata i nie rozumieją, co to znaczy wracać do domu. Że najważniejsza w życiu jest przyjaźń.

Mijała minuta za minutą i jedynym słyszonym dźwiękiem był szum sunących po asfalcie opon. Nie było na co patrzeć z wyjątkiem ciemnych pól, nic nie odwracało uwagi od wyborów, jakich dokonaliśmy ja, Hattie, Mary i Tommy, a które zaprowadziły nas do tego miejsca i czasu. Ja się przyznałem do czegoś, czego nie zrobiłem, sądząc, że dzięki temu odkupię inne winy. Teraz nie było już ucieczki przed przeszłością. Zmierzałem ku niej z mocno bijącym sercem, czekając na to, na co wiedziałem, że zasłużyłem.

Było już po trzeciej i na horyzoncie pojawiły się światła Rochester. Kiedy wjechaliśmy do dzielnicy przemysłowej, drogi były puste.

Gdy minęliśmy zjazd do Pine Valley, wyprostowałem się. Odwróciłem się z konsternacją, żeby sprawdzić, czy dobrze przeczytałem znak, a potem spojrzałem na szeryfa, który jechał spokojnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości. Skręcił dopiero, kiedy w oddali pojawił się budynek kliniki Mayo. Wjechaliśmy do dzielnicy mieszkalnej i w końcu zatrzymał się na nijakiej stacji benzynowej. Zaparkował daleko od dystrybutorów, nie gasząc silnika.

Czekałem, a po chwili szeryf westchnął i opuścił dzielącą nas szybę.

– Pewnie nie pamiętasz, jaki dziś dzień?

Nie pamiętałem. Nie sądziłem, że daty będą miały dla mnie jeszcze znaczenie.

Sięgnął do schowka i wyjął z nich jakieś kartki. Podał mi je nad szybą. Rozłożyłem je, przebiegłem po nich wzrokiem i otworzyłem usta.

To były bilety autobusowe do Nowego Jorku, które kupiła nam Hattie. Odjazd o 3.38 w dniu 9 czerwca 2008 roku. Odkąd przyznałem się do zabójstwa, w ogóle nie myślałem o tych biletach. Te krótkie, kradzione chwile radości, jakie przeżyłem razem z Hattie w tamtej stodole, teraz wydawały się snem, halucynacją, która nie mogła być prawdą. A jednak trzymałem w ręce bilety, na których czarną czcionką wydrukowano nasze nazwiska. Nim zdążyło do mnie dotrzeć, co się dzieje, szeryf podał mi także kopertę. Widniało na niej imię Hattie, napisane moją ręką, w środku zaś znajdował się liścik i trzysta dolarów.

– Nie jest to już dowodem – powiedział, odwracając się ode mnie.

– Nie rozumiem. Myślałem... – Zanim zdołałem wydusić, co myślałem, na stację wjechał autobus dalekobieżny. Wsiadło z niego kilka mrugających, zaspanych osób, i weszło do budynku stacji.

– Lepiej się zbieraj.

Raz jeszcze spojrzałem na bilety i pieniądze, a potem przeniosłem wzrok na tył głowy szeryfa.

– Czemu pan to robi?

Westchnął i już myślałem, że mi nie odpowie, ale wtedy zamknął schowek i odkaszlnął.

– Przyjaźnię się z Budem Hoffmanem niemal tak długo, jak ty żyjesz na tym świecie. Nie pozwolę mu zrobić niczego, czego później mógłby żałować. Lepiej, żebyś wyjechał.

Odwrócił się i po raz pierwszy tej nocy na mnie spojrzał, nie jak policjant na kryminalistę albo człowiek prawy na grzesznika, ale jak ktoś połączony ze mną dziwną, zrodzoną z poczucia straty więzią. Jak ktoś, kogo mija się na cmentarzu.

Po dłuższej chwili przełknąłem ślinę i kiwnąłem głową. Złożyłem trzymane w dłoni bilety.

Gdy wysiadłem z radiowozu, dotarło do mnie, że właśnie dowiedziałem się o szeryfie hrabstwa Wabash wszystkiego, co musiałem wiedzieć.

Szedłem przez parking i oddychałem głęboko, po raz ostatni wdychając powietrze Minnesoty. Wręczyłem kierowcy bilet i wsiadłem do autobusu. Popatrzyłem na stojący po drugiej stronie radiowóz. Nie okazując emocji, szeryf włożył kapelusz, nasunął go na czoło, po czym ruszył. Gdy przejeżdżał obok autobusu, jego dłoń oderwała się na chwilę od kierownicy. Nim w odpowiedzi uniosłem rękę, zdążył już odjechać.

Autobus wyjechał z miasta. Lekko zatęchła tapicerka i zapach potu, wydzielany przez śpiących pasażerów, potwierdziły, że rzeczywiście tu jestem – że to się dzieje naprawdę. Oparłem głowę o zimną szybę i tak siedziałem, ze wzrokiem wbitym w mijane krajobrazy. Po jakimś czasie niebo pojaśniało. Wzgórza wznosiły się i opadały, i dopiero teraz, kiedy mnie stąd wygnano, potrafiłem w pełni docenić ich piękno. Rósł tu cały ocean roślin, korzenie bezpieczne, a liście skąpane w blasku nowego dnia. Na tej ziemi widziałem Mary, ale i Hattie, mimo tego, co twierdziła; widziałem jej odwagę i determinację.

Gdy słońce rozpalilo horyzont intensywnym pomarańczem i czerwienią, otworzyłem kopertę, którą dał mi szeryf, i wyjąłem list.

Jedź do Nowego Jorku...

Choć napisała je moja dłoń, słowa te należały do niej, szeptało je otaczające mnie powietrze, przemykające za szybą pola. Wypełniły mi serce niemającym końca bólem, pamiątka po ukochanej, którą będę nosił w sobie do końca życia, która mnie zaprowadzi ku niemożliwej do odbycia pokucie.

...Wiedz, że Cię kochałem.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim muszę podziękować Emily Bestler, nie tylko za jej fantastyczne wyczucie redaktorskie, ale także za oddanie i entuzjazm towarzyszące mi podczas całego procesu wydawniczego. Bycie autorką Emily Bestler Books to prawdziwy zaszczyt. Dziękuję bardzo Claire Miller za to, że stała się moją pierwszą czytelniczką, kiedy powieść ta była jedynie zlepkiem luźnych pomysłów, i Brandonowi Holscherowi za wiedzę o teatrze. Dziękuję śledczym Renee Brandt i Brandonowi Howardowi za to, że pozwolili mi na wgląd w ich świat stróżów porządku publicznego i wyprowadzili mnie z wielu błędnych założeń. (Czekanie nawet rok na wyniki badań DNA!) Dziękuję Sharon Amundson za nieoceniane uwagi czytelniczki powieści kryminalnych. Wdzięczna jestem Joshowi Wodarzowi za jego rady i wsparcie, ale przede wszystkim za jego umiejętność postrzegania tej książki taką, jaka mogłaby być, a nie jaka była. Dziękuję ci, Ellen Goodson, za to, że poświęciłaś mi to spokojne piątkowe popołudnie i za kubek gorącej kawy. Wdzięczność to niewystarczające określenie, kiedy myślę o tym, co zrobiła Stephanie Cabot, żeby zmienić mój rękopis w międzynarodowe wydanie. Wszyscy świetni agenci tego świata, możecie się od niej uczyć. (Jej mąż wymyśla nawet fantastyczne tytuły). Jak zawsze dziękuję Tomowi i Lindzie Montgomery za to, że nigdy mi nie mówią, iż do pięciolitrowego dzbanka nie da się wlać sześciu litrów. I, oczywiście, dziękuję Seanowi Montgomery za to, że skupiam się na tym, co naprawdę ważne – jego samochodzie.

¹ Protest polityczny bostończyków w ówczesnej Kolonii Zatoki Massachusetts przeciwko polityce fiskalnej metropolii. [Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].

² Wszystkie cytaty z *Makbeta* Williama Szekspira pochodzą z przekładu Leona Ulricha.

³ Amerykańska sieć aptek i jednocześnie drogerii, w których można także wywołać zdjęcia.

⁴ Martin Luther King.

⁵ Dobrowolna, niezależna organizacja edukacyjna przeznaczona dla dzieci i młodzieży, kładąca szczególny nacisk na rozwój umiejętności życiowych, zainteresowań i podniesienie poziomu wiedzy.

⁶ Hyatt Regency jest hotelem klasy premium, gdy tymczasem Holiday Inn to hotel klasy budget.

⁷ Szkolna impreza w USA, na którą dziewczęta zapraszają chłopców.

⁸ Ostatni mecz finału amerykańskiej ligi baseballu.



MINDY MEJIA

Jest absolwentką Hamline University. W 2012 roku wydała swoją debiutancką powieść *The Dragon Keeper*. Wnuczka farmerów z Minnesoty, mieszka razem z mężem i dwójką dzieci w Twin Cities.


Wszyscy sądzili, że znają Hattie Hoffman. Kiedy została zamordowana, okazało się, jak bardzo się mylili.

Nastoletnia Hattie przez całe życie odgrywa rozmaite role: wzorowej uczennicy, ukochanej córki, dobrej obywatelki. Jest uwielbiana przez mieszkańców rodzinnego miasteczka w Minnesocie. Kiedy w dniu premiery szkolnego przedstawienia zostaje znaleziona martwa, wszyscy są w szoku. Tragedia wstrząsa całą społecznością Pine Valley.

Del Goodman, miejscowy szeryf i jednocześnie przyjaciel rodziny Hoffmanów, przysięga, że odnajdzie zabójcę. Rekonstruuje ostatni rok życia niebezpiecznie hipnotyzującej dziewczyny, podczas którego małymi krokami coraz bardziej zbliżała się do tragicznej śmierci. Prowadzone przez niego śledztwo przynosi jednak więcej pytań niż odpowiedzi. Wygląda na to, że swój talent aktorski Hattie wykorzystywała nie tylko na scenie. **Na jaw wychodzą najmroczniejsze sekrety małego miasteczka...**

**Jeden z 5 topowych tytułów początku 2017 r.
według magazynu „People”**

**Jeden z najlepszych kryminałów według
„The Wall Street Journal”**

KSIAŻKA DOSTĘPNA
TEŻ JAKO E-BOOK 

Patroni medialni:



Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77
[facebook.com/burdaksiążki](https://www.facebook.com/burdaksiążki)

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbkę książki

